

Pamela Druckerman

W PARYŻU
DZIECI
NIE GRYMASZĄ

*Amerykańska
mama odkrywa
tajniki francuskiego
wychowania*



Pamela Druckerman

W PARYŻU
DZIECI
NIE GRYMASZĄ

Przełożyła
Małgorzata Kaczarowska

Wydawnictwo Literackie



Kraków 2013

Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Motto](#)

[Francuskie dzieci nie rzucają jedzeniem](#)

[Rozdział 1. Czy czekasz na dziecko?](#)

[Rozdział 2. Bekający Paryż](#)

[Rozdział 3. Bezsenne noce](#)

[Rozdział 4. Zaczekaj!](#)

[Rozdział 5. Malutki człowiek](#)

[Rozdział 6. Żłobek?](#)

[Rozdział 7. Bébé au lait](#)

[Rozdział 8. Doskonała matka nie istnieje](#)

[Rozdział 9. Caca boudin](#)

[Rozdział 10. Podwójna porcja](#)

[Rozdział 11. Uwielbiam tę bagietkę](#)

[Rozdział 12. Musisz spróbować](#)

[Rozdział 13. To ja decyduję](#)

[Rozdział 14. Pozwól mu na własne życie](#)

[Przyszłość po francusku](#)

[Podziękowania](#)

[Objaśnienia](#)

[ABC tajników francuskiego wychowania \(najważniejsze terminy i pojęcia\)](#)

[Bibliografia](#)

[Autorzy teorii wychowawczych wspomnianych w książce](#)

Tytuł oryginału: BRINGING UP BÉBÉ

Opieką redakcyjną: KATARZYNA KRZYŻAN-PEREK
Redakcja: DOROTA TRZCINKA
Korekta: EWA KOCHANOWICZ, PAULINA ORŁOWSKA, MAŁGORZATA WÓJCIK
Opracowanie graficzne: URSZULA GIREN
Redakcja techniczna: BOŻENA KORBUT
Skład i łamanie: Infomarket

Copyright © Pamela Druckerman, 2012
All rights reserved
© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie, 2013

ISBN 978-83-08-05176-4

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
ksiegarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Dla Simona,
dzięki któremu wszystko ma sens*

*Les petits poissons dans l'eau
Nagent aussi bien que les gros.*

Małe rybki w wodzie
Pływają równie dobrze jak duże.

– francuska piosenka dziecięca

Niektóre imiona i nazwiska, a także inne dane pozwalające na identyfikację osób, zostały zmienione.

Francuskie dzieci nie rzucają jedzeniem

Kiedy moja córeczka Bean miała półtora roku, razem z mężem (ja jestem Amerykanką, on jest Brytyjczykiem) postanowiliśmy zabrać ją na krótkie wakacje. Zdecydowaliśmy się pojechać do nadmorskiego miasteczka, oddalonego od Paryża o kilka godzin jazdy pociągiem. Zarezerwowaliśmy pokój z dziecięcym łóżeczkiem. Mieliśmy wtedy tylko jedno dziecko, uznaliśmy więc, że wakacje z nim nie będą stanowiły zbyt dużego wyzwania.

Śniadanie jedliśmy w hotelu, ale na obiad i kolację musieliśmy chodzić do małych knajpek z owocami morza w pobliżu starego portu. Szybko odkryliśmy, że codzienne jedzenie w restauracji dwóch posiłków w towarzystwie malucha jest torturą zasługującą na umieszczenie w oddzielnym kręgu piekieł. Bean tylko przelotnie interesowała się jedzeniem – zjadała kawałek bagietki albo czegoś smażonego, a już kilka minut później przewracała solniczki i rozrywała opakowania z cukrem. Po czym żądała, by uwolnić ją z dziecięcego krzeselka, aby mogła biegać po restauracji albo uciekać w kierunku doków.

Jaką przyjęliśmy strategię? Jeść jak najszybciej. Natychmiast składaliśmy zamówienie, zanim jeszcze usiedliśmy przy stoliku, błagając kelnera, żeby jak najszybciej przyniósł pieczywo i wszystko – od przystawek po danie główne – podał jednocześnie. Jedliśmy na zmianę – kiedy mąż błyskawicznie połykał rybę, ja pilnowałam, żeby Bean nie wpadła pod nogi kelnerowi albo nie utopiła się w morzu. Potem role się odwracały. Zostawialiśmy ogromne napiwki jako rekompensatę za podarte serwetki i szczątki kalmara rozrzucone wokół stolika.

W drodze do hotelu przysięgaliśmy sobie: koniec z wyjazdami, przyjemnościami i kolejnymi dziećmi! Te „wakacje” ostatecznie upewniły nas, że życie, jakie prowadziliśmy półtora roku wcześniej, definitywnie się zakończyło. Nie wiem, dlaczego w ogóle nas to dziwiło.

Po kilku wizytach w restauracji zauważyłam, że siedzące wokół nas francuskie rodziny nie wydają się przeżywać piekła. Wręcz przeciwnie – rzeczywiście wyglądały tak, jakby były na wakacjach. Dzieci w wieku Bean siedziały spokojnie na swoich krzeselkach, czekały na posiłek i zjadały nie tylko rybę, ale nawet warzywa. Nie było słychać wrzasków ani jęków, dania podawano kolejno, a wokół stolików nie leżały śmieci.

Mieszkalam we Francji już od kilku lat, ale doprawdy nie wiedziałam, jak to wytłumaczyć. W Paryżu rzadko widywałam dzieci w restauracjach, zresztą zanim zostałam matką, nie zwracałam na nie większej uwagi. Teraz też nie przyglądałam się cudzym dzieciom, patrzyłam głównie na własne. Pograżona w udręce, nie mogłam nie zauważyć, że widać istnieją jakieś inne niż moja metody wychowawcze. Tylko na czym właściwie polegają? Czy francuskie dzieci mają spokój zapisany w genach? Czy może zostały skłonione do posłuszeństwa przekupstwem (albo groźbą)? Czy też padły ofiarą staromodnego wychowania, zgodnie z którym dzieci powinno być widać, ale nie słychać?

Nic na to nie wskazywało. Francuskie dzieci nie sprawiały wrażenia zastraszonych – były radosne, rozgadane i ciekawskie, a rodzice odnosili się do nich z czułością i uwagą. Wydawało się

jednak, że przy ich stolikach (i chyba w całym życiu) działa jakaś niewidzialna cywilizująca siła, nieobecna w naszym przypadku.

Kiedy zaczęłam się zastanawiać nad wychowywaniem dzieci we Francji, uświadomiłam sobie, że zachowanie podczas posiłków nie było jedyną różnicą. Nagle nasunęło mi się mnóstwo pytań. Dlaczego na przykład – chociaż spędzałam setki godzin na francuskich placach zabaw – nigdy nie widziałam dziecka (poza moim własnym), które dostałoby ataku złości? Dlaczego moje francuskie przyjaciółki nigdy nie musiały przerywać rozmowy telefonicznej, ponieważ ich pociechy czegoś się domagały? Dlaczego ich salony nie były wiecznie zajęte przez indiańskie namioty i kuchnie dla lalek?

Dlaczego tak wiele znanych mi amerykańskich dzieci odżywiało się wyłącznie makaronem albo białym ryżem, lub akceptowało zaledwie nieliczne „dziecięce potrawy”, podczas gdy francuskie koleżanki mojej córeczki nie odmawiały ryb, warzyw i właściwie jadły wszystko? I dlaczego, poza określoną porą po południu, francuskie dzieci nie podjadały między posiłkami?

Nie przyszło mi wcześniej do głowy, że powinnam podziwiać francuski sposób wychowywania dzieci. Francja nie słynęła z niego w takim stopniu jak z mody czy serów. Nikt nie odwiedzał Paryża po to, by poznawać tutejsze poglądy na budowanie autorytetu rodziców i radzenie sobie z poczuciem winy. Przeciwnie: spotkanie przeze mnie w Paryżu amerykańskie matki były wręcz przerażone tym, że Francuzki rzadko karmią dzieci piersią i pozwalają czterolatkom chodzić ze smoczkiem.

Dlaczego jednak nigdy nie zwróciły uwagi na to, że większość francuskich niemowląt przesypia całe noce już w wieku dwóch–trzech miesięcy? Dlaczego nie wspominały, że francuskie dzieci nie wymagają bezustannej uwagi ze strony dorosłych oraz rozumieją słowo „nie”?

Nikt się tym szczególnie nie przejmował, ale ja coraz wyraźniej widziałam, że Francuzi stwarzają szczególną atmosferę życia rodzinnego. Kiedy odwiedzały nas rodziny amerykańskie, rodzice spędzali większość czasu na rozsądzaniu sporów między dziećmi, pomaganiu młodszym pociechom w raczkowaniu po kuchni albo siedzeniu na podłodze i budowaniu wioski z klocków Lego. Obowiązkowym punktem programu było także kilka cykli płaczu i pocieszania. Kiedy odwiedzali nas francuscy znajomi, my, dorośli, piliśmy kawę, a dzieci wesoło bawiły się same.

Francuscy rodzice bardzo troszczą się o swoje dzieci^{[1][a]}. Są świadomi istnienia pedofilii, alergii i niebezpieczeństwa zadławienia, stosują też rozsądne środki ostrożności. Nie panikują jednak, że ich dzieciom może się coś stać, a spokojne podejście do wychowania ułatwia im zarówno wytyczanie granic, jak i pozwalanie dzieciom na pewną samodzielność.

Nie jestem, mówiąc oględnie, pierwszą osobą, która napisze, że amerykańska klasa średnia ma problemy z wychowywaniem dzieci. Powstały na ten temat setki książek i artykułów, w których drobiazgowo zdiagnozowano, skrytykowano i ponazywano nadopiekuńcze rodzicielstwo, hiperrodzicielstwo, *helicopter parenting*^[b] i – moją ulubioną – dzieciokrację. Jeden z autorów zdefiniował te wszystkie zjawiska jako „poświęcanie wychowywaniu dzieci większej uwagi, niż jest to potrzebne”^[c]. Judith Warner pisała o „kulturze macierzyństwa absolutnego” (warto wspomnieć, że zauważyła ten problem po powrocie z Francji). Nikomu – a już szczególnie samym rodzicom – nie odpowiada niespokojny, nieszczęśliwy rytm amerykańskiego rodzicielstwa.

Dlaczego więc to robimy? Dlaczego moja generacja stosuje ten system wychowywania dzieci, nawet jeśli – tak jak ja – mieszka na emigracji? W latach osiemdziesiątych przeprowadzono serię badań, na których podstawie twierdzono, że dzieci z ubogich rodzin mają słabsze wyniki w szkole, ponieważ nie były odpowiednio stymulowane, szczególnie w pierwszych latach życia. Rodzice z klasy średniej uznali wówczas, że także dla ich dzieci korzystna będzie większa stymulacja^[d].

Mniej więcej w tym samym okresie powiększała się przepaść dzieląca ubogich i zamożnych

Amerykanów. Rodzice dochodzili do wniosku, że muszą wychować swoje dzieci na członków nowej elity i w tym celu odpowiednio wcześniej dostarczać pociechom właściwych bodźców – najlepiej wcześniej niż ich rówieśnikom.

Do tej rodzicielskiej rywalizacji dołączyło przekonanie, że dzieci są istotami o wrażliwej psychice. Jako współcześni młodzi rodzice należymy do pokolenia najgruntowniej w całej historii poddanego psychoanalizie i przyjmujemy za pewnik to, że każdy nasz wybór może w jakiś sposób zaszkodzić dziecku. Dorastaliśmy w latach osiemdziesiątych, gdy gwałtownie wzrosła liczba rozwodów, chcemy więc postępować mniej samolubnie niż – w naszych oczach – postępowali nasi rodzice.

Choć liczba przestępstw z użyciem przemocy w Stanach Zjednoczonych zmniejszyła się w porównaniu z wczesnymi latami dziewięćdziesiątymi^[4], to media budują obraz świata, w którym dzieci są bardziej niż kiedykolwiek narażone na krzywdę fizyczną. Mamy poczucie, że wychowujemy je w bardzo niebezpiecznym świecie i stale musimy być czujni.

W efekcie wychowywanie dzieci stało się stresujące i wyczerpujące. Teraz jednak, we Francji, zauważyłam coś nowego, a dziennikarska ciekawość połączona z matczyną desperacją pchnęła mnie do działania. Pod koniec nieudanego urlopu nad morzem postanowiłam dowiedzieć się, co Francuzi robią inaczej niż Amerykanie; podjąć rodzicielskie śledztwo i odpowiedzieć na pytania: Dlaczego francuskie dzieci nie rzucają jedzeniem? Dlaczego ich rodzice nie krzyczą? Na czym polega ta niewidzialna cywilizująca siła, którą Francuzi nauczyli się wykorzystywać? Czy zdołam zmienić własne przyzwyczajenia i zastosować ją wobec mojej pociechy?

Utwierdziłam się w przekonaniu, że coś jest na rzeczy, kiedy natrafiłam na przeprowadzone przez ekonomistów z Princetown badania^[5], z których jasno wynikało, że według matek z Columbus, stolicy stanu Ohio, opieka nad dziećmi to obowiązek dwa razy bardziej przykry niż według matek z Rennes we Francji. Potwierdzało to moje własne obserwacje: coś sprawia, że rodzicielskie obowiązki są dla Francuzów w mniejszym stopniu harówką, a w większym – przyjemnością.

Byłam przekonana, że sekret jest na wyciągnięcie ręki, po prostu nikt do tej pory nie próbował go odkryć. W torbie z pieluchami zaczęłam więc nosić notatnik, a każda wizyta u lekarza, przyjęcie u znajomych, dziecięce spotkanie czy spektakl teatryku kukiełkowego stały się okazją do obserwowania francuskich rodziców i próbą zrozumienia niepisanych zasad, których przestrzegają.

Początkowo trudno było cokolwiek ustalić. Francuscy rodzice wydawali mi się na przemian skrajnie surowi i szokująco pobłażliwi. Wypytywanie ich także nic nie dawało – większość tych, z którymi rozmawiałam, upierała się, że nie robi niczego szczególnego. Przeciwnie: byli przeświadczeni, że Francja jest dręczona syndromem „dziecka-króla” i utratą autorytetu przez rodziców. (Odpowiadałam im: „Nie wiecie, jak wygląda «dziecko-król». Odwiedźcie Nowy Jork”)^[6].

W ciągu kolejnych kilku lat, po urodzeniu w Paryżu jeszcze dwójki dzieci, stopniowo poznawałam tajemnice francuskich rodziców. Odkryłam na przykład, że Francja ma autorytet o wpływie porównywalnym do pozycji doktora Spocka w Stanach Zjednoczonych, osobę, której nazwisko znane jest w każdym domu w całym kraju, ale której prace są obecnie nie do kupienia po angielsku. Przeczytałam jej książki oraz wiele innych. Przeprowadziłam wywiady z tuzinami rodziców i ekspertów, a także bezwstydnie podsłuchiwałam rodziców przyprowadzających dzieci do szkoły albo robiących zakupy w supermarketach. Wydaje mi się, że w końcu zrozumiałam, co Francuzi robią inaczej.

Oczywiście, mówiąc o francuskich rodzicach, generalizuję – każdy jest przecież inny. Większość spotkanych przeze mnie rodziców mieszkała w Paryżu lub pod Paryżem, miała wyższe

wykształcenie, dobrą pracę i zarobki przekraczające średnią krajową. Nie byli to superbogacze czy elity medialne – miałam do czynienia z wykształconymi klasami średnią i wyższą średnią. Porównywałam ich z amerykańskimi rodzinami o podobnym statusie.

Podróżując po Francji, zauważyłam, że podstawowe poglądy paryżan z klasy średniej na wychowywanie dzieci dzielają również robotnicze matki z prowincji. Byłam zaskoczona tym, że francuscy rodzice mogą wprawdzie nie wiedzieć dokładnie, co robią, ale wszyscy oni robią mniej więcej to samo. Zamożni prawnicy, opiekunki we francuskich przedszkolach i żłobkach, nauczyciele w szkołach publicznych i starsze panie, które napominały mnie w parkach, powtarzali te same podstawowe zasady, które znałam z niemal każdej francuskiej książki lub czasopisma poświęconego wychowywaniu dzieci. Szybko stało się jasne, że we Francji wychowywanie dziecka nie wymaga wyboru metody, ponieważ wszyscy stosują się do tych samych podstawowych reguł. To sprawia, że rodzice czują się zdecydowanie pewniej.

Dlaczego Francja? Z pewnością nie należę do tych, którzy traktują ten kraj z bezkrytycznym zachwytem – *au contraire*, nie jestem nawet przekonana, czy podoba mi się życie tutaj. Zdecydowanie nie chciałabym, żeby moje dzieci wyrosły na zadzierających nosa paryżan. Ale mimo wszelkich zastrzeżeń muszę przyznać, że Francja stanowi doskonały kontrast dla aktualnych problemów amerykańskiego rodzicielstwa. Francuscy rodzice z klasy średniej wyznają bliskie mi wartości: z zapalem rozmawiają z dziećmi, pokazują im przyrodę i czytają mnóstwo książek, zapisują je na lekcje tenisa i zajęcia plastyczne, prowadzą do interaktywnych centrów nauki.

Potrafia się angażować – ale bez popadania w obsesję. Zakładają, że nawet najlepsi rodzice nie są do wyłącznej dyspozycji dzieci i nie jest to powód do wpędzania się w poczucie winy. „W moim domu wieczór to czas dla rodziców” – powiedziała mi pewna paryska matka. „Nasza córeczka może przyjść do nas, jeśli chce, ale to czas dla dorosłych”. Francuscy rodzice dbają o stymulację swoich dzieci, ale nie bezustannie. Podczas gdy amerykańskie bąble chodzą na lekcje chińskiego i kursy przygotowujące do nauki czytania, francuskie – z zasady – po prostu bąblują.

Ponadto Francuzi lubią być rodzicami – sąsiednie kraje cierpią na spadek populacji, a Francja przeżywa wyż demograficzny. W całej Unii Europejskiej wyższy współczynnik urodzeń ma tylko Irlandia^[6].

We Francji istnieje wiele instytucji państwowych, które dbają o to, żeby posiadanie dzieci było bardziej pociągające, a mniej stresujące. Rodzice nie muszą płacić za przedszkola, martwić się o ubezpieczenia zdrowotne ani odkładać pieniędzy na studia. Wielu otrzymuje comiesięczne dofinansowanie – przelewane bezpośrednio na konto bankowe – za samo posiadanie dzieci.

Ale ten system opieki nie tłumaczy dostrzeżonych przeze mnie różnic. Cóż, Francuzi mają po prostu całkowicie odmienne podejście do samego procesu wychowywania dzieci. Kiedy pytałam rodziców, jak utrzymują dyscyplinę w domu, potrzebowali chwili, żeby zrozumieć, co mam na myśli. „Aaa, chodziło ci o to, jak je uczymy...” – odpowiadali. Szybko przekonałam się, że „dyscyplinowanie” to wąska, rzadko używana kategoria zawierająca kary, podczas gdy „uczenie” (niemające nic wspólnego z nauką w rozumieniu szkolnym) to coś, co w swoim odczuciu rodzice robią przez cały czas.

Nagłówki prasowe od lat wieszczą koniec obecnego amerykańskiego sposobu wychowywania dzieci, a tuziny poradników podsuwają Amerykanom pomysły, jak zmienić styl rodzicielstwa.

Ja nie mam żadnej teorii. Żyję jednak w całkowicie funkcjonalnym społeczeństwie, w którym dzieci smacznie śpią i jedzą z apetytem, a rodzice są stosunkowo zrelaksowani. Postanowiłam prześledzić, jak Francuzi osiągnęli ten stan. Okazuje się, że stosowanie odmiennych metod wychowawczych nie wystarczy – trzeba bowiem nieco inaczej spojrzeć na samo dziecko.

Czy czekasz na dziecko?

O dziesiątej rano kierownik redakcji gazety wezwał mnie do gabinetu i powiedział, żebym zapisała się do dentysty na piaskowanie zębów. Wyjaśnił, że opieka dentystyczna przestanie mi przysługiwać wraz z ostatnim dniem mojej pracy w redakcji. Czyli za pięć tygodni.

Tego dnia zostało zwolnionych ponad dwieście osób; ta wiadomość na krótko poprawiła notowania akcji koncernu, do którego należała gazeta. Miałam trochę akcji tej firmy i zastanawiałam się nad ich sprzedażą – raczej dla ironii niż dla zysku – mogłabym w ten sposób skorzystać na własnym zwolnieniu.

Zamiast tego wędrowałam oszołomiona ulicami Dolnego Manhattanu. Pogoda dopasowała się do sytuacji – padał deszcz. Schowałam się pod okapem budynku i zadzwoniłam do mężczyzny, z którym byłam umówiona na wieczór.

– Właśnie zostałam zwolniona – powiedziałam.

– Jesteś załamana? – zapytał. – Masz w ogóle ochotę iść na tę kolację?

Właściwie to poczułam ulgę. Uwolniłam się w końcu od pracy, której – po niemal sześciu latach – nie miałam odwagi rzucić. Byłam reporterką w redakcji zagranicznej w Nowym Jorku i zajmowałam się wyborami i kryzysami finansowymi w Ameryce Łacińskiej. Często w ostatniej chwili dostawałam wiadomość, że mam wyjechać za kilka godzin, a potem spędzałam całe tygodnie w hotelach. Przez pewien czas szefowie mieli nawet wobec mnie wielkie plany, była mowa o kierowaniu redakcją, sfinansowano mi kurs portugalskiego...

Nagle przestano jednak mieć w stosunku do mnie jakiekolwiek oczekiwania, a ja – o dziwo – nie miałam o to pretensji. Naprawdę lubiłam oglądać filmy o korespondentach zagranicznych, ale praca w tym zawodzie wyglądała zupełnie inaczej. Zwykle byłam całkiem sama, robiłam w nieskończoność reportaże i odbierałam telefony od zwierzchników, którzy ciągle chcieli więcej. Taka praca przypominała ujeżdżanie mechanicznego byka na rodeo. Dziennikarze pracujący w podobnym trybie jak ja zdobywali po drodze kostarykańskie lub kolumbijskie żony, które następnie jeździły razem z nimi – mieli przynajmniej obiad na stole, gdy wreszcie dowlekli się do domu. Mężczyźni, z którymi ja się spotykałam, nie byli aż tak mobilni. Zresztą i tak rzadko w którymś mieście zostawałam na tyle długo, żeby umówić się z kimś na więcej niż trzy randki.

Czułam ulgę z powodu opuszczenia redakcji, ale nie byłam przygotowana na to, że stanę się toksyczna towarzysko. Jakiś tydzień po ogłoszeniu zwolnień, kiedy jeszcze przychodziłam do pracy, koledzy zaczęli mnie traktować tak, jakbym roznosiła zarazę. Ludzie, z którymi pracowałam od lat, nie odzywali się ani słowem i unikali zbliżania się do mojego biurka. Koleżanka zabrała mnie na pożegnalny lunch, ale potem nie chciała już razem ze mną wrócić do biura. Jakiś czas po tym, jak zniknęłam z firmy, mój szef – którego nie było w mieście, kiedy odbywała się egzekucja – uparł się, żebym przyszła do redakcji na upokarzające spotkanie, podczas którego zasugerował mi staranie się o pracę poniżej kwalifikacji, a potem udał się pospiesznie na lunch. I w tym momencie całkowicie

jasne stały się dla mnie dwie rzeczy: nie chcę już dłużej pisać o polityce ani o finansach, chcę za to znaleźć partnera życiowego.

Stałam właśnie w mojej maleńkiej kuchni i zastanawiałam się, co zrobić dalej ze swoim życiem, kiedy zadzwonił Simon. Poznaliśmy się pół roku wcześniej w barze w Buenos Aires na spotkaniu korespondentów zagranicznych, na które przyprowadził go nasz wspólny znajomy. Simon był brytyjskim dziennikarzem, przyjechał na kilka dni do Argentyny, żeby przygotować artykuł o futbolu. Mnie wysłano, żebym opisywała kryzys ekonomiczny. Okazało się, że przylecieliśmy z Nowego Jorku tym samym samolotem. Zapamiętał mnie jako kobietę, przez którą został opóźniony start, ponieważ na schodkach samolotu zorientowałam się, że zostawiłam w hali odlotów zakupy ze strefy wolnocłowej, i uparłam się, że muszę po nie wrócić. (Większość zakupów robiłam na lotniskach).

Simon był dokładnie w moim typie: smagły, krępy i inteligentny. (Jest średniego wzrostu, ale później obstawał, by do tej listy dodać „niski”, ponieważ dorastał w Holandii wśród blond olbrzymów). Po kilku godzinach od poznania go uświadomiłam sobie, że „miłość od pierwszego wejrzenia” oznacza po prostu, że czujesz się w czyimś towarzystwie cudownie spokojna. Wtedy jednak powiedziałam tylko: „Absolutnie nie możemy się z sobą przespać”.

Byłam oczarowana, ale ostrożna. Simon pozbył się właśnie swojej londyńskiej nieruchomości i zamierzał kupić tanie mieszkanie w Paryżu. Ja podróżowałam między Ameryką Południową a Nowym Jorkiem i pomyśl związku na odległość z kimś mieszkającym na jeszcze innym kontynencie uznałam za nierealny. Po spotkaniu w Argentynie wymienialiśmy od czasu do czasu e-maile, ale nie pozwalałam sobie traktować go poważnie. Miałam nadzieję, że w mojej strefie czasowej też istnieją jacyś smagli i inteligentni mężczyźni.

Siedem miesięcy później, kiedy Simon tak niespodziewanie zadzwonił i dowiedział się, że właśnie zostałam wylana z pracy, nie zamierzał się rozczulać ani traktować mnie jak wybrakowany towar. Przeciwnie – sprawiał wrażenie zadowolonego, że będę miała trochę wolnego czasu. Powiedział, że mamy jeszcze „coś do załatwienia” i chce przylecieć do Nowego Jorku.

Odparłam, że to fatalny pomysł. Jaki to miało sens? On nie mógł się przeprowadzić do Stanów Zjednoczonych, ponieważ pisał o europejskiej piłce nożnej. Ja nie znałam dobrze francuskiego, a przede wszystkim nigdy nie planowałam życia w Paryżu. Stałam się wprawdzie nieoczekiwanie mobilna, ale obawiałam się wciągnięcia na cudzą orbitę, zanim zdolałam z powrotem stanąć na nogach.

Simon pojawił się jednak w Nowym Jorku, ubrany w tę samą zniszczoną skórzaną kurtkę, którą miał w Argentynie. Przyszedł do mnie z bajglami i wędzonym łososiem, kupionymi w pobliskim sklepie. Miesiąc później poznałam w Londynie jego rodziców, po kolejnych zaś sześciu sprzedałam większość swoich rzeczy, a resztę wysłałam do Francji. Zignorowałam wszystkich znajomych, którzy mówili, że postępuję pochopnie, i opuściłam nowojorskie mieszkanie, niosąc trzy ogromne walizy oraz pudełko południowoamerykańskich monet, które podarowałam pakistańskiemu taksówkarzowi odwożącemu mnie na lotnisko.

Tak oto stałam się paryżanką. Wprowadziłam się do dwupokojowego mieszkania Simona w dawnej dzielnicy rzemieślniczej we wschodnim Paryżu. Nadal otrzymywałam odprawę, dlatego zrezygnowałam z pisania artykułów o tematyce finansowej i zajęłam się gromadzeniem materiałów do książki. W ciągu dnia każde z nas pracowało w oddzielnym pokoju.

Nasz romans niemal natychmiast utracił początkowy blask, przede wszystkim z powodu dzielących nas różnic w podejściu do wystroju wnętrz. Czytałam kiedyś w książce na temat feng shui, że piętrzące się na podłodze rzeczy świadczą o depresji. W przypadku Simona były jednak tylko oznaką niechęci do regałów. Inteligentnie zainwestował w ogromny stół z surowego drewna,

który zajmował większość salonu, oraz prymitywny piecyk gazowy, dzięki któremu nigdy nie mogliśmy liczyć na gorącą wodę. Szczególnie irytował mnie zwyczaj Simona zostawiania w kieszeniach drobnych, które wysypywały się na podłogę, a potem poniewierały się w kątach pokoiów. „Pozbądź się tych pieniędzy” – błagałam.

Świat na zewnątrz także nie oferował mi pocieszenia. Mimo że byłam w kulinarnej stolicy świata, nie mogłam znaleźć nic do jedzenia. Jak większość Amerykanek przyjechałam do Paryża z utrwalonymi nawykami żywieniowymi (uważam się za wegetariankę skłaniającą się ku diecie niskowęglowodanowej). Spacerując po mieście, czułam się osaczona przez te wszystkie piekarnie i restauracje, których menu pełne było dań mięsnych. Przez jakiś czas żyłam niemal wyłącznie na omletach i sałatce z kozim serem. Kiedy prosiłam kelnerów, żeby podali sos oddzielnie, patrzyli na mnie jak na wariatkę. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego we francuskich supermarketach można znaleźć wszystkie amerykańskie płatki śniadaniowe poza robionymi przez moją ulubioną firmę, Grape-Nuts, i dlaczego w kawiarniach nie podają odtłuszczonego mleka.

Wiem, że wydam się niewrażliwa, ponieważ nie zachwyciłam się od razu Paryżem. Może nie byłam na tyle płytką, żeby się zakochiwać w mieście tylko dlatego, że odznaczało się niezwykłą urodą? Miasta, z którymi miałam romans w przeszłości – São Paulo, Meksyk, Nowy Jork – były, no cóż, można by powiedzieć, bardziej smagłe. Nie oczekiwały beczynnie zachwytów.

Tę część Paryża, w której mieszkaliśmy, trudno określić jako szczególnie piękną, a codzienne życie wypełniały drobne rozczarowania. Nikt mnie nie uprzedził, że „wiosna w Paryżu” jest tak opiewana tylko dlatego, że poprzedza ją siedem miesięcy chmur i zimna. (Przybyłam niczego nieświadoma na samym początku tego siedmiomiesięcznego okresu). A chociaż byłam przekonana, że znam francuski, którego uczyłam się w gimnazjum, paryżanie nazywali język, w którym do nich mówiłam, hiszpańskim.

Było jednak w Paryżu również wiele rzeczy sympatycznych. Podobało mi się, że drzwi metra otwierają się kilka sekund przed zatrzymaniem pociągu, co oznacza, że miasto traktuje swoich obywateli jak osoby dorosłe. W ciągu sześciu miesięcy od mojego przyjazdu praktycznie wszyscy moi znajomi z Ameryki przyjechali z wizytą, łącznie z osobami, które później zaczęłam określać „facebookowymi znajomymi”. Simon i ja musieliśmy w końcu ustalić ścisłe zasady odwiedzin i stworzyć system oceny naszych gości. (Wskazówka: jeśli przyjeżdżasz na tydzień, przywieź prezent).

Nie przejmowałam się osławioną paryską nieuprzejmością, bo przynajmniej zakładała ona jakikolwiek kontakt z drugim człowiekiem. Dokuczała mi za to obojętność wobec mnie – nikogo poza Simonem nie obchodziło, że tu jestem, a on często wychodził, żeby pielęgnować własne paryskie sny (które wytrzymały próbę rzeczywistości). Zdaje się, że Simon nigdy nie był w muzeum, ale czytanie gazety w kafejce opisywał jako doświadczenie niemalże nadzmysłowe. Pewnego wieczoru w pobliskiej restauracji rozpląnął się, kiedy kelner postawił przed nim półmisek z serami.

„Dlatego właśnie mieszkam w Paryżu!” – oznajmił, a ja uświadomiłam sobie, że przez skomplikowane powiązanie miłości i sera ja także najwyraźniej mieszkam w Paryżu dla tego śmierdzącego półmiska.

Przyznam uczciwie: zaczęłam dochodzić do wniosku, że główny problem nie tkwi w Paryżu, ale we mnie. Nowy Jork ma słabość do kobiet lekko neurotycznych. Zachęca się je, żeby robiły wokół siebie intelektualne, urocze i popłatane zamieszanie – tak jak Meg Ryan w *Kiedy Harry poznał Sally* albo Diane Keaton w *Annie Hall*. Wiele z moich nowojorskich przyjaciółek, których nie spotkało nigdy nic poważniejszego niż złamane serce, wydawało na psychoterapeutów więcej niż na czynsz.

Ten sposób bycia nie sprawdzał się w Paryżu. Francuzi lubili filmy Woody’ego Allena, ale

w prawdziwym życiu idealna paryżanka była opanowana, skryta, trochę zdystansowana i bardzo pewna siebie. Zamawiała potrawy z menu, nie paplała o swoim dzieciństwie czy diecie. Jeśli Nowy Jork faworyzuje kobiety, które roztrząsają błędy przeszłości i próbują się odnaleźć w swoich emocjach, to Paryż preferuje takie, które – przynajmniej na zewnątrz – niczego nie żałują. We Francji powiedzieć o sobie „neurotyczna” nie jest na poły potępieniem się, a na poły przechwalaniem – to wyłącznie określenie choroby psychicznej.

Nawet Simona, który był z pochodzenia Brytyjczykiem, zaskakiwały moje wieczne wątpliwości i potrzeba ciągłego roztrząsania naszego związku.

– Powiedz mi, o czym myślisz? – pytałam go regularnie, zwykle wtedy, kiedy czytał gazetę.

– O futbolu holenderskim – odpowiadał niezmiennie.

Nie byłam pewna, czy mówi serio – uświadomiłam sobie, że Simon zawsze jest ironiczny. Wszystko, nawet „kocham cię”, mówił z lekkim uśmieszkiem, a jednocześnie niemal nigdy się nie śmiał, kiedy próbowałam żartować. (Nawet niektórzy jego przyjaciele nie mieli pojęcia, że kiedy się uśmiecha, robią mu się dołeczki w policzkach). Simon upierał się, że ten brak uśmiechu to brytyjski obyczaj, ale ja przecież widziałam śmiejących się Anglików. Poza tym czułam się fatalnie, bo kiedy wreszcie mogłam porozmawiać z kimś po angielsku, ten ktoś wyraźnie mnie nie słuchał.

Problem ze śmiechem był jedną z wielu różnic kulturowych, które nas dzieliły. Jako Amerykanka oczekiwałam, że wszystko będzie mówione jasno i wyraźnie. Wracając pociągiem do Paryża po weekendzie spędzonym z rodzicami Simona, zapytałam go, czy mnie polubili.

– Jasne, że cię polubili. Nie zauważyłaś? – odpowiedział pytaniem.

– Ale czy powiedzieli ci, że mnie polubili? – drążyłam.

W poszukiwaniu towarzystwa wędrowałam po mieście na kolejne „randki w ciemno”, umawiając się z przyjaciółmi moich amerykańskich przyjaciół. Większość z nich mieszkała tu już na stałe i nikt nie był zachwycony towarzystwem niedoświadczonej nowej przybyszki. Dla części z nich stwierdzenie „Mieszkam w Paryżu” stało się uniwersalną odpowiedzią na pytanie: „Czym się zajmujesz?” i czymś w rodzaju pełnoetatowej pracy. Wielu spóźniało się na spotkania, tak jakby chcieli w ten sposób udowodnić, że przystosowali się do miejscowych obyczajów. (Potem się okazało, że Francuzi zwykle przychodzą punktualnie, kiedy są z kimś umówieni. Spóźniają się elegancko tylko na spotkania grupowe, w tym na przyjęcia urodzinowe dzieci).

Moje pierwsze próby znalezienia francuskich przyjaciół były jeszcze mniej udane. Na spotkaniu towarzyskim całkiem dobrze dogadywałam się z historyczką sztuki, mniej więcej w moim wieku, która mówiła doskonałą angielszczyzną. Kiedy jednak spotkałyśmy się na herbacie u niej w domu, stało się całkowicie jasne, że zupełnie inaczej postrzegamy nawiązywanie znajomości. Byłam przygotowana na amerykański model zwierzeń i potakiwania pełnego pocieszających „ja też”, ona zaś skubała elegancko ciasteczko i mówiła o teorii sztuki. Wyszłam stamtąd głodna, nie wiedząc nawet, czy ona się z kimś spotyka.

Podobne do moich spostrzeżenia znalazłam tylko w książkach Edmunda White’a, amerykańskiego pisarza, który w latach osiemdziesiątych mieszkał we Francji. Był pierwszą osobą, która przyznawała, że uczucie oderwania od rzeczywistości i lekkiego smutku jest całkowicie naturalną reakcją na życie w Paryżu. „Wyobraź sobie, że umierasz i jesteś wdzięczny, że idziesz do nieba, aż pewnego dnia (może nawet stulecia) uświadamiasz sobie, że najczęściej trwasz w stanie melancholii, chociaż jesteś bezustannie przekonany, że szczęście kryje się tuż za rogiem. Właśnie tak wygląda mieszkanie w Paryżu przez lata, albo nawet dziesiątki lat. To łagodne piekło, tak komfortowe, że przypomina niebo”.

O ile Paryż wzbudzał moje liczne wątpliwości, o tyle byłam pewna, że chcę mieszkać tu z Simonem. Pogodziłam się z tym, że „smagły” nieodzownie wiąże się z „bałaganiarzem”, nauczyłam się odczytywać drobne zmiany wyrazu jego twarzy. Ślad uśmiechu oznaczał, że złapał dowcip. Rzadki szeroki uśmiech był znakiem najwyższej aprobaty. Czasem nawet zdarzało się mu powiedzieć monotonnym głosem: „bardzo zabawne”.

Dodawało mi także otuchy to, że jak na takiego mruka Simon miał całe tuziny oddanych przyjaciół – zapewne dlatego, że za jego ironiczną postawą kryła się urocza bezradność. Nie umiał prowadzić samochodu, nadmuchać balonika ani poskładać ubrań bez pomagania sobie zębami. Wypełniał lodówkę nieotwartymi puszkami z jedzeniem, a żeby ułatwić sobie życie, wszystko gotował w najwyższej temperaturze. (Jego znajomi powiedzieli mi później, że w czasach studenckich słynął z tego, że częstował gości udkami z kurczaka, które były spalone z wierzchu, ale w środku – wciąż zamrożone). Kiedy mu pokazałam, jak zrobić sos do sałaty z oliwy i octu winnego, zapisał sobie przepis i nadal, po wielu latach, korzysta z niego, kiedy ma przygotować obiad.

Trzeba też przyznać, że Simonowi nic we Francji nie przeszkadzało – czuł się doskonale jako cudzoziemiec. Jego rodzice zajmowali się antropologią, jeździł razem z nimi po całym świecie i od urodzenia uczył się zachwycać lokalnymi obyczajami. Zanim skończył dziesięć lat, zdążył już mieszkać w sześciu krajach (w tym rok w Stanach Zjednoczonych). Nabywał znajomość kolejnych języków z taką łatwością, z jaką ja nabywałam buty.

Uznałam, że ze względu na Simona postaram się dać Francji szansę. Wzięliśmy ślub poza Paryżem, w trzynastowiecznym zamku otoczonym fosą. (Starałam się zignorować symbolikę). W imię małżeńskiej harmonii wynajęliśmy większe mieszkanie, a ja zamówiłam regały z IKEA i ustawiłam w każdym pokoju miseczki na drobne. Starałam się dopuszczać do głosu wewnętrzną pragmatyczkę zamiast wewnętrznej neurotyczki. W restauracjach zaczęłam zamawiać potrawy z menu i od czasu do czasu skubałam kawałeczek *foie gras*, a mój francuski zaczął w mniejszym stopniu przypominać doskonały hiszpański, a w większym – bardzo niedobry francuski. Po pewnym czasie byłam już praktycznie zadomowiona – miałam biuro w mieszkaniu, termin oddania książki, a nawet kilkoro nowych znajomych.

Rozmawialiśmy z Simonem o dzieciach i uznaliśmy, że oboje chcielibyśmy mieć jedno. Ja tak naprawdę chciałam trójkę. Podobał mi się pomysł urodzenia ich w Paryżu, dzięki czemu będą w naturalny sposób dwujęzyczne i staną się prawdziwymi obywatelami świata. Nawet gdyby wyrosły na nudnych jajogłowych, wystarczy, że wspomną o „dorastaniu w Paryżu” i natychmiast zyskają w towarzystwie na atrakcyjności.

Trochę się bałam, czy uda mi się zająć w ciążę. W końcu większość dorosłego życia spędziłam, z powodzeniem starając się tego uniknąć. Poszło jednak równie błyskawicznie jak z naszymi zaręczynami: miałam wrażenie, że jednego dnia szukam w Google „jak zająć w ciążę”, a następnego patrzę na dwie różowe kreski na francuskim teście ciążowym.

Byłam przeszczęśliwa, ale wraz z radością przyszedł niepokój. Postanowienie, żeby mniej naśladować Carrie Bradshaw, a bardziej – Catherine Deneuve, natychmiast puściłam w niepamięć. To chyba nie był najlepszy moment na aklimatyzację we Francji. Opętała mnie myśl, że muszę się teraz skupić na nadzorowaniu swojej ciąży i robić wszystko dokładnie tak jak należy. Kilka godzin po tym, jak oznajmiłam Simonowi dobrą nowinę, usiadłam do komputera i zaczęłam przeszukiwać amerykańskie strony internetowe poświęcone ciąży, a potem pobiegłam kupić kilka poradników dla przyszłych mam w anglojęzycznej księgarni w pobliżu Luwru. Chciałam, żeby ktoś mi szczegółowo wyjaśnił przejrystą angielszczyznę, czym powinnam się martwić.

Kilka dni później brałam już preparaty witaminowe dla ciężarnych i uzależniłam się od działu

„Czy to bezpieczne?” w portalu BabyCenter. Czy w ciąży można bezpiecznie jeść produkty nie pochodzące z upraw ekologicznych? Czy można siedzieć cały dzień przy komputerze? Czy można nosić wysokie obcasy, objadać się cukierkami halloweenowymi albo pojechać na urlop w góry?

Dział „Czy to bezpieczne?” był tak wciągający, ponieważ budził coraz to nowe lęki (Czy można bezpiecznie robić kserokopie? Czy można bezpiecznie połknąć nasienie?), ale odmawiał rozwiania ich prostymi odpowiedziami: „tak” lub „nie”. Zamiast tego udzielający odpowiedzi eksperci prezentowali różne opinie i wyrażali się niejasno. „Czy w ciąży można bezpiecznie robić sobie manikiur?” No cóż, tak, ale długotrwała ekspozycja na używany w salonach kosmetycznych zmywacz do paznokci może być niekorzystna. „Czy można bezpiecznie iść na kręgle?” No cóż, tak i nie.

Znajome Amerykanki podobnie jak ja wierzyły, że ciąża – a potem macierzyństwo – jest jak odrabianie obowiązkowej pracy domowej. Pierwszym zadaniem był wybór jednego z tysięcy modeli wychowywania dzieci. Każda osoba, z którą rozmawiałam, powoływała się na inny podręcznik, więc kupiłam i przeczytałam ich całe mnóstwo, ale nie poczułam się dzięki temu lepiej przygotowana. Ogrom sprzecznych zaleceń sprawiał, że dzieci wydały mi się enigmatyczne i niemożliwe do poznania – to, kim były i czego potrzebowały, zależało od tego, który poradnik przeczytałam.

Stałam się także ekspertką w dziedzinie czarnowidztwa. Ciężarna znajoma z Nowego Jorku, która przyleciała na wycieczkę do Paryża, oznajmiła mi przy obiedzie, że w jej przypadku ryzyko urodzenia martwego dziecka wynosi pięć promili. Wiedziała, że powtarzanie tej informacji jest przygnębiające i bezcelowe, ale nie mogła się powstrzymać. Inna znajoma, na nieszczęście mająca doktorat z medycyny, spędziła większość pierwszego trymestru ciąży, katalogując wszystkie możliwe choroby, jakie mogły zagrozić jej dziecku.

Kiedy odwiedzaliśmy rodzinę Simona w Londynie, uświadomiłam sobie, że ten sam niepokój unosi się na Wyspach. (Postanowiłam wierzyć, że jego rodzice za mną przepadają). Siedziałam w kawiarni, kiedy zaczęła mnie elegancko ubrana kobieta, aby streścić mi najnowsze badania wykazujące, że spożywanie dużych ilości kofeiny zwiększa ryzyko poronienia. Dla podkreślenia swojej wiarygodności poinformowała, że jest żoną lekarza. Zupełnie mnie to nie obchodziło, za to zirytowałam się jej założeniem, że nie wiem o tych badaniach. Czytałam o nich i dlatego starałam się przeżyć na filiżance kawy tygodniowo.

Nawał lektur i niepokoje powodowały, że bycie w ciąży zaczęło przypominać pracę na pełny etat. Coraz mniej czasu spędzałam nad książką, którą miałam oddać jeszcze przed narodzinami mojego dziecka, a zamiast tego bratałam się z innymi ciężarnymi Amerykankami na czatach porodowych grup wsparcia. Podobnie jak ja, te kobiety były przyzwyczajone do dostosowywania świata do swoich potrzeb, nawet jeśli ograniczało się to do zamawiania mleczka sojowego do kawy. I również miały poczucie, że ten pierwotny proces zachodzący w ich ciałach wymyka się im spod kontroli. Martwienie się – tak jak ściskanie poręczy fotela w samolocie podczas turbulencji – dawało przynajmniej złudzenie, że coś robimy.

Zadaniem amerykańskich czasopism dla ciężarnych, do których miałam w Paryżu łatwy dostęp, było najwyraźniej podsycanie tych lęków. Koncentrowały się na jedynej rzeczy, nad którą kobieta w ciąży mogła mieć kontrolę – na jedzeniu. „Zanim zamkniesz usta na widelcu pełnym jedzenia, rozważ: «Czy to jest najlepszy kęs, jaki mogę dać mojemu dziecku?». Jeśli przyniesie to korzyść twojemu dziecku – przełknij” zalecają autorzy amerykańskiego poradnika dla ciężarnych *W oczekiwaniu na dziecko*, słynącego z budzenia niepokoju i wielkiego sukcesu sprzedażowego.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że zakazy w czytanych przeze mnie poradnikach miały różną wagę. Papierosy i alkohol na pewno były szkodliwe, podczas gdy małże, mięso na zimno, surowe jaja i sery z niepasteryzowanego mleka mogły okazać się niebezpieczne tylko w przypadku, gdyby

dostały się do nich stosunkowo rzadkie bakterie, takie jak listeria czy salmonella. Na wszelki wypadek traktowałam jednak każdy zakaz poważnie. Stosunkowo łatwo było mi unikać ostryg i *foie gras*, ale – będąc we Francji – panikowałam z powodu serów. „Czy parmezan w tym spaghetti jest robiony z mleka pasteryzowanego?” – pytałam osłupiałych ze zdziwienia kelnerów. Simon musiał znosić moje napady lęku: czy na pewno wyszorował deskę do krojenia po siekaniu na niej surowego kurczaka? Czy w ogóle kocha nasze nienarodzone dziecko?

W oczekiwaniu na dziecko zawiera rozdział *Dieta najlepszej szansy*. Ma ona – zdaniem autorów – wspomagać rozwój mózgu u płodu, zmniejszyć ryzyko wystąpienia w nim określonych zmian, a nawet sprawić, że dziecko wyrośnie na zdrowego dorosłego. Można odnieść wrażenie, że każdy kęs przekłada się na potencjalne punkty IQ. Mogę nie przejmować się głodem: jeśli na koniec dnia uznam, że spożyłam za mało białka, „dieta najlepszej szansy” zaleca mi wepchnięcie w siebie dodatkowej porcji sałatki z jajek.

Miałam być na „diecie”, i w dodatku takiej, dzięki której powinnam utyć. To chyba nagroda za lata pilnowania wagi po to, żeby upolować męża. Na odwiedzanym przeze mnie forum internetowym było pełno kobiet, którym przybyło piętnaście–dwadzieścia kilogramów ponad zalecany limit. Jasne, że wszystkie wołałybyśmy przypominać celebrytki w kompaktowej ciąży i sukniach od najlepszych projektantów albo modelki na okładce czasopisma „Fit Pregnancy”. Znałam kilka kobiet, którym to się udało, ale główny przekaz dla Amerykanek głosił, że mamy dać sobie wolną rękę w kwestii jedzenia. „Nie żałuj sobie, JEDZ” – pisze „przyjaciółka autorka” poradnika *Best Friend’s Guide to Pregnancy* (*Poradnik ciążowy najlepszej przyjaciółki*), który czytałam w łóżku. „Jakie inne radości życia zostały cięzarnej kobiecie?”

Wiele mówi fakt, że „dieta najlepszej szansy” pozwala mi od czasu do czasu „oszukiwać” i zjeść cheeseburgera albo lukrowany pączek. Właściwie cała ciąża po amerykańsku przypomina wielkie oszukiwanie: lista zachcianek ciężarnych kobiet jest niczym katalog przyjemności, których odmawiały sobie od czasów nastoletnich: serniki, koktajle mleczne, makaron z serem i tort lodowy Carvela. Ja miałam ochotę na cytryny (do wszystkiego) i całe bochenki chleba.

Ktoś mi opowiedział, że Jane Birkin, brytyjska aktorka i modelka, która zrobiła karierę w Paryżu i poślubiła legendarnego francuskiego piosenkarza Serge’a Gainsbourga, nigdy nie mogła zapamiętać, czy mówi się *un baguette*, czy *une baguette*, więc zawsze prosiła o *deux baguettes* (dwie bagietki). Zawsze, gdy odwiedzałam piekarnię, postępowałam zgodnie z jej strategią. A potem – z pewnością w odróżnieniu od wiotkiej Birkin – zjadałam obie bagietki.

Traciłam nie tylko figurę, ale także poczucie, że byłam kiedyś osobą, która chodziła na obiady do restauracji i zamartwiała się kryzysem palestyńskim. Teraz spędzałam wolny czas, przeglądając najmodniejsze wózeczki dziecięce i starając się zapamiętać wszystkie możliwe przyczyny kolki. Ta przemiana z kobiety w mamę wydawała mi się nieunikniona. Rozkładówka w poświęconym ciąży amerykańskim czasopiśmie, które kupiłam, wracając do domu, przedstawiała kobietę z wielkim brzuchem, w luźnym podkoszulku i męskich spodniach od pizamy. Opatrzono ją komentarzem, że w takim stroju można chodzić przez cały dzień. Nie mogłam się skoncentrować na ostatnich szlifach mojej książki i pewnie dlatego marzyłam, że rzucam dziennikarstwo i zostaję wykwalifikowaną położną.

Seks stał się ostatnim symbolicznym kamieniem tego upadającego domina. W zasadzie nie był zakazany, ale książki, takie jak *W oczekiwaniu na dziecko*, alarmowały, że seks w ciąży jest naszpikowany niebezpieczeństwami. „To, co sprawiło, że znalazłaś się w obecnym stanie, może teraz stać się jednym z twoich największych problemów” – ostrzegają autorzy, a następnie wyliczają czynniki przeszkadzające w pożyciu intymnym. Wśród nich jest „obawa, że wprowadzenie prącia do

pochwy może być przyczyną infekcji”. Jeśli jednak kobieta postanowi uprawiać seks, poradniki zalecają łączenie przyjemnego z pożytecznym, czyli wykorzystanie tej sytuacji, by ćwiczyć mięśnie Kegla w celu wytrenowania kanału rodowego przed rozwiązaniem.

Nie jestem pewna, czy ktokolwiek stosował się do tych wskazówek – prawdopodobnie inne Amerykanki, tak samo jak ja, trwały po prostu w ciągłym niepokoju. Zarażały się nim nawet osoby mieszkające poza granicami Stanów Zjednoczonych. Może to właśnie odległość pozwoliła mi spojrzeć na macierzyństwo z odpowiedniej perspektywy?

Zaczynałam już wtedy podejrzewać, że wychowywanie dziecka we Francji będzie wyglądało zupełnie inaczej niż w Stanach Zjednoczonych. Kiedy siedziałam w paryskiej kawiarni z brzuchem opartym o stolik, nikt mnie nie zaczepiał, żeby wygłosić przestrogi dotyczące kofeiny – przeciwnie, ludzie siedzący tuż obok palili papierosy. Jedynym pytaniem, jakie nieznajomi zadawali na widok mojego brzucha, było: „Czekasz na dziecko?”. Potrzebowałam chwili, by zrozumieć, o co im chodzi. Nie pytali, czy umówiłam się na obiad z wagarującym sześciolatkiem, ale czy jestem w ciąży.

Czekałam na dziecko i była to prawdopodobnie najważniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiłam. Niezależnie od moich wątpliwości dotyczących Paryża podobało mi się bycie w ciąży w miejscu, w którym pozostawałam całkowicie odporna na ocenę innych ludzi. Paryż był wprawdzie jednym z najbardziej kosmopolitycznych miast świata, ale ja miałam wrażenie, że znajduję się poza obiegiem. Nie rozumiałam wtrącanych nazwisk, szkolnych historyjek i innych drobnych wskazówek, które Francuzom mówiły o czymś statusie społecznym i ważności. A ponieważ byłam cudzoziemką, oni nie znali też mojej pozycji.

Kiedy spakowałam się i przeniosłam do Paryża, nie sądziłam, że wyjeżdżam na stałe. Teraz zaczynałam się martwić, że Simon za bardzo lubi bycie cudzoziemcem – po tym, jak wychowywał się w tylu krajach, było to dla niego naturalne. Przyznał, że czuje się związany z wieloma ludźmi i miastami, dlatego nie potrzebuje jednego miejsca, które będzie oficjalnie jego domem. Nazywał ten stan „częściową niezależnością”, jak mieszkanie w domu-bliźniaku.

Kilku naszych anglosaskich znajomych wyjechało tymczasem z Francji, zwykle w związku ze zmianą pracy. Nasz zawód nie wymagał jednak mieszkania w Paryżu i pomijając półmisek serów, nie mieliśmy tak naprawdę powodów, żeby tu zostać. I właśnie to – plus dziecko – zaczęło się wydawać najpoważniejszym powodem pozostania.



Bekający Paryż

Naszego nowego mieszkania nie dałoby się znaleźć na paryskich pocztówkach. Mieściło się w chińskiej dzielnicy odzieżowej. Aby do niego dotrzeć, trzeba było iść wąskim chodnikiem, na którym co chwila potrącali nas mężczyźni ciągnący wypakowane ubraniami torby na śmieci. Nic nie wskazywało na to, że jesteśmy w tym samym mieście, co wieża Eiffla, Notre Dame czy dostojnie wijąca się Sekwana.

A jednak nowe otoczenie w jakiś sposób nam odpowiadało. Wynajdowaliśmy w pobliżu kafejki, do których chodziliśmy każdego ranka, by zażyć samotności wśród ludzi. Tutaj także życie towarzyskie podlegało obcym mi zasadom. Można było przekomarzać się z kelnerami, ale nie z innymi gośćmi (chyba że stali przy barze i też rozmawiali z obsługą). Ponieważ byłam spragniona kontaktu z ludźmi, pewnego dnia spróbowałam zacząć rozmowę z innym stałym klientem – mężczyzną, którego widywałam codziennie od miesięcy. Powiedziałam mu, zgodnie z prawdą, że przypomina mi mojego amerykańskiego znajomego.

– Kogo, George’a Clooneya? – zapytał złośliwie.

Nigdy więcej nie zamieniliśmy słowa.

Większe postępy udało mi się poczynić w kontaktach z sąsiadami. Zatłoczony chodnik przed naszym domem graniczył z brukowanym placem, otoczonym przez niskie budynki. Zamieszkiwali je artyści, młodzi profesjonaliści, tajemniczy ludzie pracujący poniżej kwalifikacji i staruszki kuśtykające chwiejnie po nierównym bruku. Mieszkaliśmy tak blisko siebie, że wszyscy, nawet ci, którzy udawali, że nas nie dostrzegają, musieli zauważać naszą obecność.

Pomogło mi to, że nasza sąsiadka z przeciwka, architektka o imieniu Anne, była w ciąży o kilka miesięcy bardziej zaawansowanej niż moja. Chociaż pochłonał mnie anglosaski wir objadania się i niepokoju, nie mogłam nie zauważyć, że Anne i inne znane mi ciężarne Francuzki zupełnie inaczej podchodzą do swojego stanu.

Przede wszystkim nie traktowały ciąży jak szkolnej pracy na zaliczenie. Istniało mnóstwo francuskich podręczników macierzyństwa, czasopism i stron internetowych, ale nie były one uważane za lekturę obowiązkową i nikt nie pochłaniał ich hurtowo. Z całą pewnością nikt, kogo spotkałam, nie prowadził analiz porównawczych różnych filozofii macierzyństwa ani nie potrafił nazwać najrozmaitszych metod. Nie było tu najnowszych poradników, które każdy musiał znać, a eksperci nie mieli nad rodzicami władzy absolutnej.

– Te książki są przydatne dla ludzi, którym brakuje pewności siebie, ale nie wydaje mi się, żeby można było wychowywać dziecko z poradnikiem w ręku. Trzeba się kierować uczuciami – powiedziała pewna paryska matka.

Spotkane przeze mnie Francuzki nie lekcewały macierzyństwa ani zdrowia dzieci. Były pełne respektu, zatroskane i świadome gigantycznej zmiany życiowej, jaka je czekała, lecz okazywały to zupełnie inaczej. Amerykanki zwykle demonstrowały zaangażowanie, zamartwiając się

i udowadniając, ile są gotowe poświęcić dla dziecka, jeszcze zanim się ono urodzi; tymczasem Francuzki demonstrowały zaangażowanie, promieniując spokojem i podkreślając to, że nie wyrzekły się przyjemności.

Rozkładówka w magazynie „Neuf Mois” („Dziewięć miesięcy”) prezentowała brunetkę w zaawansowanej ciąży i koronkowej bieliźnie, jedzącą ciastko i zlizującą dżem z palców. „Ważne jest, aby w trakcie ciąży dopieszczać swoją kobiecość” – zalecał inny artykuł. „Ponad wszystko inne powstrzymaj się od pożyczania podkoszulków swojego partnera”. Lista afrodyzjaków dla przyszłych mam obejmowała czekoladę, imbir, cynamon i – skoro byliśmy we Francji – musztardę.

Uświadomiłam sobie, że zwyczajne Francuzki traktują te apele poważnie, kiedy Samia, mieszkająca w sąsiedztwie młoda matka, zaprosiła mnie do swojego mieszkania. Była córką algierskich imigrantów i dorastała w Chartres. Podziwiałam wysokie sufity i żyrandole, kiedy zdjęła z obramowania kominka plik zdjęć.

– Tu mam zdjęcia, jak byłam w ciąży. *Et voilà*, ogromny brzuch! – oznajmiła, podając mi kilka fotografii. Rzeczywiście, było na nich wyraźnie widać, że jest w ciąży. Było również wyraźnie widać, że jest topless.

Przeżyłam szok, przede wszystkim dlatego że nadal używałyśmy w rozmowie formalnego *vous*, a ona właśnie spokojnie podała mi swoje nagie zdjęcia. Zaskoczyło mnie jednak także to, że Samia wyglądała na nich doskonale – jak jedna z prezentujących bieliznę w jakimś czasopiśmie modelek, tyle że prawie bez bielizny.

Trzeba przyznać, że Samia zawsze miała skłonność do teatralnych gestów. Kiedy odprowadzała dwuletnie dziecko do żłobka, wyglądała, jakby właśnie wyszła z filmu *noir*: mocno ściągnięty w talii beżowy trencz, czarna kredka do powiek i świeża warstwa intensywnie czerwonej szminki. Była jedyną znaną mi Francuzką, która naprawdę nosiła beret.

Tak czy inaczej Samia po prostu wcielała w życie standardową francuską wiedzę, że czterdziestotygodniowa przemiana w matkę nie powinna pozbawiać cię ani grama kobiecości. Tutejsze czasopisma ciążowe nie ograniczały się do przyzwalania przyszłym matkom na uprawianie seksu – dokładnie wyjaśniały, jak należy to robić. W „Neuf Mois” zamieszczono rysunki dziesięciu różnych pozycji, w tym „na jeźdźca”, „odwrócony jeździec”, „od tyłu” (nazywana tutaj *un grand classique*) i „siedząca”. Pozycja „wioślarz” składała się z sześciu kroków, z których ostatni głosił: „Kołysząc się w przód i w tył, *Madame* wywołuje rozkoszne tarcie...”.

W „Neuf Mois” rozważano także zalety różnych gadżetów erotycznych dla kobiet ciężarnych („tak” dla kulek gejszy, „nie” dla wibratorów i wszelkich urządzeń elektrycznych). „Nie wahaj się! Wszyscy na tym skorzystają, nawet dziecko. Podczas orgazmu, masowane przez wody płodowe, poczuje się jak w jacuzzi” – wyjaśniał artykuł. Jeden z paryskich ojców przestrzegł mojego męża przed zbliżaniem się podczas porodu do „frontu robót”, żebym nie została odarta w jego oczach z kobiecej tajemnicy.

Francuscy przyszli rodzice podchodzą spokojnie nie tylko do seksu, ale także do jedzenia. Samia przytoczyła mi swoją rozmowę z lekarzem położnikiem.

– Powiedziałam mu: „Panie doktorze, jestem w ciąży, ale uwielbiam ostrygi. Co mam zrobić?”. A on mi odpowiedział: „Proszę jeść ostrygi! Jest pani rozsądną kobietą. Proszę myć wszystko przed jedzeniem, a jeśli ma pani ochotę na sushi, proszę wybrać dobrą restaurację”.

Stereotyp głoszący, że Francuzki w ciąży piją alkohol i palą papierosy, jest zdecydowanie przestarzały. Większość spotkanych przeze mnie kobiet mówiła, że pozwalały sobie czasem na kieliszek szampana, ale najczęściej rezygnowały z alkoholu. Widziałam ciężarną kobietę palącą papierosa tylko raz, na ulicy, i nie wykluczam, że mógł to być jej jedyny papieros w miesiącu.

Francuskie podejście nie zakłada, że wszystko jest dozwolone, ale że kobieta powinna być spokojna i rozsądna. W odróżnieniu ode mnie, znajome francuskie matki dzieliły rzeczy na te, które są zdecydowanie szkodliwe, i te, które mogą być niebezpieczne tylko w razie skażenia bakteriami. Kolejna z poznanych przeze mnie sąsiadek, Caroline, fizjoterapeutka w siódmym miesiącu ciąży, powiedziała, że lekarz nigdy nie wspominał o żadnych ograniczeniach żywieniowych, a ona nigdy o to nie pytała. „Lepiej nie wiedzieć!” – podsumowała. Przyznała, że jada befszytk tatarski i oczywiście razem z rodziną delectuje się *foie gras* na Boże Narodzenie. Stara się tylko jeść zawsze w dobrych restauracjach albo w domu, a jedynym ustępstwem jest to, że jeśli dostaje ser z niepasteryzowanego mleka, odkrawa z niego skórę.

Nie widziałam nigdy ciężarnej kobiety jedzącej ostrygi, bo w takim przypadku rzuciłabym się chyba swoim ogromnym cielskiem na stół, żeby ją powstrzymać. Na pewno byłaby zaskoczona. Zrozumiałam też, dlaczego kelnerzy dziwili się, kiedy przepytywałam ich ze składników każdego dania – Francuzki po prostu nie robiły z tego problemu.

Poświęcone ciąży czasopisma nie roztrząsały mało prawdopodobnych, najczarniejszych scenariuszy. *Au contraire*, sugerowały, że przyszłym matkom najbardziej potrzebny jest spokój ducha. *Dziewięć miesięcy w spa* – brzmiał tytuł artykułu w jednym z francuskich magazynów. *Przewodnik dla młodych matek* – dofinansowana przez Ministerstwo Zdrowia darmowa broszura – obiecywał, że zawarte w nim wskazówki żywieniowe zapewniają „harmonijny rozwój” dziecka, a kobiety powinny czerpać „inspirację” z najróżniejszych smaków. „Ciąża powinna być szczęśliwym okresem!” – oznajmiał.

Czy to bezpieczne? Wszystko na to wskazuje. W porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi Francja ma lepsze niemal wszystkie wskaźniki związane z macierzyństwem i zdrowiem niemowląt. Śmiertelność noworodków jest tu o 57 procent niższa niż w Ameryce. Zgodnie z danymi UNICEF około 6,6 procent francuskich dzieci rodzi się z niedowagą, w Ameryce zaś 8 procent. W przypadku Amerykanek ryzyko śmierci podczas ciąży lub porodu wynosi 1 : 4800, a we Francji – 1 : 6900^u.

Do francuskiego podejścia, że ciążą należy się cieszyć, wcale nie przekonały mnie jednak statystyki czy znajome przyszłe matki, ale ciężarna kotka. Smukła, szarooka, mieszkająca przy naszym placu i mająca się niedługo okocić. Jej właścicielka, piękna malarka po czterdziestce, powiedziała mi, że zamierza ją wysterylizować, kiedy kocięta przyjdą na świat. Nie potrafiła się na to zdobyć, zanim kotka przynajmniej raz zaszła w ciążę. „Chciałam, żeby mogła tego doświadczyć” – oznajmiła.

Oczywiście francuskie matki są nie tylko spokojniejsze od amerykańskich, ale także szczuplejsze. Niektóre ciężarne Francuzki tyją, a stosunek nadmiarowego tłuszczu do masy ciała wydaje się wzrastać w miarę oddalania się od centrum Paryża. Ale otaczające mnie paryżanki z klasy średniej w zastraszający sposób przypominały te wszystkie amerykańskie celebrytki spacerujące po czerwonym dywanie. Miały nadziewane dzieckiem brzuszki rozmiaru piłki do koszykówki, przyczepione do szczupłych nóg, ramion i bioder. Kiedy patrzyło się na nie od tyłu, często trudno było poznać, że są w ciąży.

Tak wiele kobiet miało podobną sylwetkę, że przestałam gapić się na nie z otwartymi ustami, kiedy mijałam je na ulicy albo w supermarkecie. Ta francuska norma była ściśle skodyfikowana. Amerykańskie kalkulatory ciążowe mówiły, że przy moim wzroście i budowie powinnam podczas ciąży przybrać na wadze do szesnastu kilogramów, ale według norm francuskich górną granicę stanowiło dwanaście kilogramów. (Kiedy się o tym dowiedziałam, było już za późno).

Jak Francuzkom udaje się mieścić w tych limitach? Pomaga nacisk ze strony otoczenia. Przyjaciółki, siostry i teściowe otwarcie komunikują, że ciąża nie jest przepustką do

nieograniczonego obżarstwa. (Mnie to ominęło, ponieważ nie miałam francuskich teściów). Francuska dziennikarka Audrey, matka trójki dzieci, opowiadała mi, jak spotkała swoją niemiecką szwagierkę, która dawniej była wysoka i smukła.

– Kiedy tylko zaszła w ciążę, zrobiła się monstrualna, a mnie sam jej widok wydawał się potworny. Mówiła mi: „Wszystko w porządku, mam prawo się zrelaksować, mam prawo utyć. To nic takiego” i tak dalej. Dla nas, Francuzek, to po prostu okropne. Nigdy nie powiedziałybyśmy czegoś takiego. – Wsadziła także szpilę, maskując ją jako uwagę socjologiczną. – Myślę, że Amerykanki i kobiety z Europy Północnej są znacznie bardziej bez troskie od nas, jeśli chodzi o urodę.

Wszyscy przyjmowali za oczywiste to, że ciężarna kobieta powinna ze wszystkich sił starać się utrzymać figurę. Lekarka podiatra, zajmująca się moimi stopami, oznajmiła mi nagle, że powinnam wcierać w brzuch olejek migdałowy, żeby uniknąć rozstępów. (Stosowałam się do tego sumiennie i uniknęłam ich całkowicie). Francuskie czasopisma dla mam zamieszczały długie artykuły o tym, jak zminimalizować niekorzystny wpływ ciąży na piersi (nie przybierać za dużo na wadze i codziennie masować biust zimnym prysznicem).

Francuscy lekarze traktują wyznaczone limity wagowe jak Pismo Święte. Anglosaskie pacjentki w Paryżu były nieodmiennie zaszokowane, kiedy lekarz położnik karmił je za to, że przytyły trochę więcej, niż powinny. „Chodzi o to, że Francuzi chcą, żeby ich kobiety były szczupłe” – złościła się pewna Brytyjka, żona Francuza, wspominając wizyty u lekarza w czasie ciąży. Pediatrzy bez skrupowania komentują pociążowy stan brzucha matki, która przynosi niemowlę na kontrolę. (W moim przypadku ograniczali się do zatroskanego spojrzenia).

Głównym powodem, dla którego ciężarne Francuzki nie tyją nadmiernie, jest to, że bardzo się pilnują, żeby nie jeść za dużo. We francuskich poradnikach ciążowych nie ma kopiastych łyżek sałatki z jajek późnym wieczorem ani instrukcji, żeby jeść nawet wtedy, kiedy jest się sytym, w celu odżywiania płodu. Kobiety, które „czekają na dziecko”, powinny jeść tak samo zbilansowane posiłki jak każda zdrowa osoba dorosła. Jeden z poradników zalecał, że jeśli kobieta nadal czuje się głodna, powinna zjeść podwieczorek składający się na przykład z jednej szóstej bagietki, kawałka sera i szklanki wody.

Zdaniem Francuzów zachcianki kobiet w ciąży to irytujące przyzwyczajenie, z którym należy walczyć. Francuzki nie wmawiają sobie – w przeciwieństwie do Amerykanek – że ich nienarodzone dziecko ma ochotę na sernik. W jednym z francuskich poradników dla przyszłych matek radzono, by zamiast poddawać się zachciankom jedzeniowym, zająć czymś żołądek, chrupiąc jabłko albo surową marchewkę.

Wszystko to nie jest tak straszne, jak mogłoby się wydawać. Francuzki nie postrzegają ciąży jako pozwolenia na przeżeranie się między innymi dlatego, że nie odmawiały sobie ulubionych przysmaków (ani nie pochłaniały ich w tajemnicy) przez większość dorosłego życia. „Amerykańskie kobiety zbyt często jedzą po kryjomu, skutkiem czego mają więcej wyrzutów sumienia niż przyjemności” – wyjaśnia Mireille Guiliano w inteligentnej książce *Francuzki nie tyją*. „Udawanie, że takie przyjemności nie istnieją albo wykreślanie ich na dłuższy czas z jadłospisu często prowadzi do przybierania na wadze”.

Mniej więcej w połowie ciąży dowiedziałam się, że w Paryżu działa grupa anglojęzycznych rodziców, nazwana Message. Natychmiast odnalazłam wśród jej członków pokrewne dusze. Potrafili oni doradzić, gdzie można znaleźć mówiącego po angielsku terapeutę, kupić samochód z automatyczną skrzynią biegów albo zamówić w sklepie mięsny całego pieczonego indyka na Święto Dziękczynienia. (Indyk nie mieści się w większości francuskich piekarników). Zastanawialiście się, jak przywieźć sobie zapas makaronu z serem firmy Kraft z Ameryki? Należy

wyrzucić makaron, który da się kupić we Francji, a do walizki schować same paczuszki z serem.

Członkowie Message lubili we Francji bardzo wiele rzeczy. Na forum internetowym zachwycali się świeżym pieczywem, tanimi lekami na receptę i tym, że ich własne małe dzieci domagają się na zakończenie posiłku camemberta. Jedna z użytkowniczek opisywała, jak jej pięciolatek bawi się figurkami playmobil w „strajk związkowców”.

Ta sama grupa broniła się jednak zaciekle przed tym, co postrzegali jako mroczniejsze aspekty francuskiego systemu wychowywania dzieci. Członkinie wymieniały się numerami komórek anglojęzycznych douli, odsprzedawały sobie poduszki do karmienia piersią i ubolewały nad zamiłowaniem francuskich lekarzy do przepisywania dzieciom czopków. Jedna z nich miała na tyle poważne opory przed wysłaniem córki do francuskiego przedszkola publicznego, że zapisała ją do nowo otwartego przedszkola Montessori, w którym była – przez dość długi czas – jedyną podopieczną.

Podobnie jak ja, te kobiety postrzegały ciążę jako okazję do zwierzeń, martwienia się, zakupów i jedzenia. Nawzajem buntowały się przeciwko presji otoczenia w kwestii utraty przybranej w ciąży wagi. „W jakimś momencie się tym zajmę” – pisała jedna z młodych matek. „Teraz nie zamierzam tracić cennego czasu na ważenie liści sałaty”.

Najważniejszym problemem ciężarnych członkiń Message i innych znanych mi anglosaskich kobiet było to, jak urodzić. W Rzymie poznałam Amerykankę, która urodziła dziecko we włoskiej kadzi na wino (wypełnionej wodą, nie Pinot Grigio). Przyjaciółka z Miami wyczytała, że ból towarzyszący porodowi jest uwarunkowany kulturowo, więc ćwiczyła, żeby urodzić bliźnięta tylko z pomocą technik oddychania zaczerpniętych z jogi. W zorganizowanej przez członkinie Message szkole rodzenia pewna kobieta planowała wrócić do domu, do Sydney, żeby przeżyć autentyczny poród australijski.

Poród, podobnie jak niemal wszystko inne, starałyśmy się dostosować do naszych potrzeb. Moja lekarka położnik opowiedziała mi, że pewnego razu otrzymała od amerykańskiej pacjentki czterostronicowy konspekt zawierający instrukcję między innymi masowania jej łechtaczki po porodzie, ponieważ skurcz macicy podczas orgazmu powinien rzekomo pomóc w wydaleniu łożyska. Co ciekawe, konspekt zakładał również, że przy porodzie będą asystować oboje rodzice pacjentki. („Powiedziałam «Nie ma mowy». Nie chciałam, żeby mnie aresztowano” – mówiła lekarka).

Podczas wszystkich tych rozmów o planowaniu porodu nikt nie wspomniał, że w ostatnim rankingu Światowej Organizacji Zdrowia francuski system opieki medycznej został sklasyfikowany na pierwszym miejscu, a amerykański – na trzydziestym siódmym. Skupiałyśmy się raczej na tym, że francuski system jest nadmiernie zmedykalizowany i podchodzi wrogo do metod „naturalnych”. Ciężarne członkinie Message panikowały, że francuscy lekarze sztucznie wywołają ich poród, zmuszą je do zastosowania znieczulenia zewnątrzoponowego, a potem ukradkiem nakarmią nowo narodzone dzieci z butelki, uniemożliwiając im karmienie piersią. Wszystkie zaczytywałyśmy się w anglojęzycznych czasopismach ciąży, które wyolbrzymiały minimalne ryzyko związane ze znieczuleniem zewnątrzoponowym, a te z nas, które urodziły „naturalnie”, chodziły dumnie jak weterani wojenni.

Chociaż doktor Fernand Lamaze^[4] przyszedł na świat właśnie we Francji, znieczulenie zewnątrzoponowe jest tu teraz niezwykle powszechne. W najlepszych paryskich klinikach i na oddziałach położniczych dostaje je średnio 87 procent kobiet (nie licząc tych, które są poddane cesarskiemu cięciu)^[2]. W niektórych szpitalach odsetek ten dochodzi nawet do 99 procent.

Bardzo niewiele kobiet uważa to za jakiś problem. Francuskie mamy często mnie pytały, gdzie

planuję urodzić dziecko, ale nigdy – w jaki sposób. We Francji wybór metody porodu nie określa kobiety pod względem moralnym ani nie determinuje, jaką będzie matką. Poród jest tu traktowany jako sposób bezpiecznego dostarczenia dziecka z macicy w ramiona matki.

We Francji poród bez znieczulenia zewnątrzoponowego nie jest nazywany „naturalnym”, ale „porodem bez znieczulenia zewnątrzoponowego” (franc. *accouchement sans péridurale*). Nieliczne tutejsze oddziały i kliniki położnicze mają obecnie baseny porodowe i wielkie gumowe piłki, które rodzące kobiety mogą ścisnąć, ale niewiele Francuzek korzysta z tych udogodnień. Powiedziano mi, że ten 1 czy 2 procent porodów bez znieczulenia zewnątrzoponowego w Paryżu to albo stuknięte Amerykanki, takie jak ja, albo Francuzki, które nie zdążyły w porę do szpitala.

Hélène była jedną z najbardziej proekologicznych znajomych Francuzek – zabierała trójkę swoich dzieci na kempingi i karmiła je piersią długo po tym, jak skończyły dwa lata. Jednocześnie jednak przy każdym porodzie miała znieczulenie zewnątrzoponowe i nie widziała w tym żadnej sprzeczności. Jedne rzeczy wołała *au naturel*, a inne – z końską dawką leków.

Różnicę między Ameryką a Francją uświadomiłam sobie w pełni, kiedy przez wspólnych przyjaciół poznałam małżeństwo po trzydziestce, Jennifer i Erica. Ona była Amerykanką zatrudnioną w międzynarodowej firmie w Paryżu, a on Francuzem pracującym w branży reklamowej. Mieszkali pod Paryżem razem z dwiema córeczkami. Kiedy Jennifer po raz pierwszy zaszła w ciążę, Eric uważał, że wystarczy, jeśli znajdą lekarza, wybiorą szpital i będą mieli dziecko. Jennifer jednak przyniosła do domu stos poradników dla przyszłych rodziców i zmuszała Erica, żeby czytał je razem z nią.

Eric wciąż nie mógł uwierzyć, że Jennifer chce zaplanować cały poród. „Chciała urodzić dziecko na balonie albo w wannie” – wspominał. Opowiadał, że lekarz się nie zgodził. „To nie jest zoo ani cyrk. Urodzi pani tak jak wszystkie, na plecach, z rozłożonymi nogami. Dlatego że wtedy, jeśli coś pójdzie nie tak, będę mógł interweniować”.

Jennifer chciała także zrezygnować ze znieczulenia, żeby doświadczyć uczucia towarzyszącego rodzeniu dziecka. „Nigdy nie słyszałem o kobiecie, która do tego stopnia pragnęłaby cierpieć, żeby mieć dziecko” – powiedział Eric.

Tym, co zapamiętali zarówno Eric, jak i Jennifer, był epizod, który w duchu nazwałam „historią croissantową”. Kiedy zaczął się poród, okazało się, że misternie zaplanowany scenariusz można wyrzucić do śmieci – potrzebne było cesarskie cięcie. Lekarz odesłał Erica do poczekalni, a Jennifer w końcu wydała na świat zdrową dziewczynkę. Potem, w sali pooperacyjnej, Eric wspomniął jej, że właśnie zjadł croissanta.

Trzy lata później w Jennifer nadal gotowała się krew na samą wzmiankę o tym rogaliku. „Eric nie siedział tam [w poczekalni] przez cały czas. Wyszedł sobie na croissanta! Kiedy mnie wieziono na salę operacyjną, on wyszedł z kliniki, poszedł sobie gdzieś do piekarni i kupił kilka croissantów. A potem wrócił, jedząc je!”

Nie tak Jennifer wyobrażała sobie poród. „Mój mąż powinien siedzieć pod drzwiami, ogryzać z nerwów paznokcie i zastanawiać się, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka” – oznajmiła. Wspomniała też, że w poczekalni był automat z przekąskami, więc Eric mógł sobie kupić paczkę orzeszków.

Kiedy Eric opowiadał mi swoją wersję historii croissantowej, także zaczynał się denerwować. Owszem, stał tam automat, ale, jak powiedział: „Byłem naprawdę zestresowany i potrzebowałem cukru. Wydawało mi się, że widziałem piekarnię obok, na rogu, ale okazało się, że była trochę dalej. Ale przecież Jennifer wzięli na salę operacyjną o siódmej, a ja wiedziałem, że potrzeba godziny na

różne przygotowania, i przypuszczałem, że zabieg skończy się najwcześniej o jedenastej. Więc przyznaję, przez cały ten czas poświęciłem kwadrans na to, żeby pójść po coś do jedzenia”.

Początkowo uważałam tę historię za klasyczny przypadek z cyklu „mężczyźni są z Marsa”, ale później uświadomiłam sobie, że to przypowieść o francusko-amerykańskich różnicach. Dla Jennifer samolubna wyprawa Erica po croissanta oznaczała, że nie był gotów poświęcić własnego komfortu dla dobra rodziny i nowo narodzonego dziecka. Obawiała się, że Eric nie czuje się wystarczająco zaangażowany w bycie ojcem.

Eric postrzegał sytuację zupełnie inaczej. Czuł się bardzo mocno zaangażowany w poród i przyszłe ojcostwo, ale w tamtej chwili był wystarczająco opanowany, obiektywny i samoświadomy, żeby odejść kawałek od szpitala. Chciał być tatą, ale chciał także zjeść croissanta. „Mam czasem wrażenie, że w Stanach Zjednoczonych jeśli coś nie jest dla ciebie trudne, to należy mieć z tego powodu wyrzuty sumienia” – powiedział.

Miałam nadzieję, że jestem żoną, która nie poczułaby się dotknięta z powodu croissanta, albo że przynajmniej Simon jest mężem, który ukryłby okruszki. Przygotowałam zawierający drastyczne szczegóły plan porodu, w którym zaznaczyłam, że pod żadnym pozorem Simon nie może otrzymać pozwolenia na przecięcie pępownicy. Ponieważ jednak zazwyczaj wrzeszczałam nawet przy depilacji nóg woskiem, nie uważałam się za odpowiednią kandydatkę do porodu naturalnego. Podejrzewałam, że trudno byłoby mi potraktować ból jako uwarunkowanie kulturowe.

Bardziej niepokoiłam się, czy zdążę na czas do szpitala. Za radą przyjaciółki zarezerwowałam miejsce w placówce, ale było to po przeciwnej stronie miasta, gdyby więc dziecko postanowiło przyjść na świat w godzinach szczytu, mogłam mieć kłopoty.

Jeśli w ogóle znalazłabym taksówkę – wśród anglojęzycznych obcokrajowców w Paryżu (którzy przyjeżdżali na krótko, zwykle więc nie mieli samochodów) krążyły plotki, że taksówkarze nie chcą zabierać kobiet z bólami porodowymi, żeby potem nie zeszkrobywać z fotela łóżyska. Poród na tylnym siedzeniu odbiegałby zresztą daleko od ideału także dlatego, że Simon był zbyt przerażony, żeby choć rzucić okiem na zamieszczone w *W oczekiwaniu na dziecko* zalecenia dotyczące nieplanowanych porodów domowych.

Moje skurcze zaczęły się około ósmej wieczorem, przez co nie zdążyłam zjeść świeżo kupionego tajskiego obiadu (na łóżku szpitalnym marzyłam o *pad thai*), ale przynajmniej ulice były puste. Simon wezwał taksówkę, a ja starałam się milczeć, kiedy do niej wsiadałam. Niech tylko kierowca – wąsaty mężczyzna po pięćdziesiątce – spróbuje mnie z niej wyciągnąć.

Nie musiałam się jednak o to martwić. Kiedy tylko ruszyliśmy w drogę, a kierowca usłyszał mój jęk, wpadł w euforię. Oznajmił, że przez całą swoją szoferską karierę czekał na takie wydarzenie jak z filmu.

Kiedy jechaliśmy przez pogrążony w ciemnościach Paryż, rozpięłam pas i zsunęłam się na podłogę taksówki, jęcząc z powodu narastającego bólu. W niczym nie przypominało to depilacji nóg i całkowicie porzuciłam marzenia o naturalnym porodzie. Simon otworzył okno – nie wiem, czy po to, żeby dostarczyć mi trochę powietrza, czy żeby zagłuszyć moje jęki.

Tymczasem taksówkarz pędził coraz szybciej – widziałam tylko migające za oknem latarnie. Zaczął na głos opowiadać historię narodzin swojego syna, dwadzieścia pięć lat temu. „Proszę zwolnić!” – błagałam z podłogi pomiędzy skurczami, a Simon, blady i milczący, patrzył przed siebie.

– O czym myślisz? – zapytałam go.

– O futbolu holenderskim – odpowiedział.

Kiedy przyjechaliśmy do szpitala, taksówkarz podjechał do wejścia na ostry dyżur, wyskoczył z auta i pobiegł do recepcji. Miałam wrażenie, że zaraz zapyta, czy może asystować przy porodzie. Chwilę później wrócił spocony i zadyszany. „Czekają na panią!” – krzyknął.

Rzuciłam się do środka, prosząc Simona, żeby zapłacił za kurs i przekonał taksówkarza do odjazdu. Kiedy tylko zobaczyłam położną, oznajmiłam najlepszą francuszczyznę, na jaką mogłam się zdobyć: *Je voudrais une péridural!* („Poproszę o znieczulenie zewnątrzoponowe”). Gdybym miała plik banknotów, pomachałabym nim do niej.

Okazało się, że mimo francuskiej słabości do znieczulenia zewnątrzoponowego nie jest ono wykonywane na życzenie. Położna zabrała mnie do gabinetu, zbadała szyjkę macicy i spojrzała na mnie rozbawiona. Miałam rozwarcie na trzy centymetry z dziesięciu możliwych. Powiedziała, że kobiety zwykle nie proszą o znieczulenie na tak wczesnym etapie porodu i że nie będzie w tym celu odrywać anestezjologa od jego *pad thai*.

Włączyła za to najbardziej kojącą muzykę, jaką w życiu słyszałam – coś w rodzaju tybetańskiej kołysanki – i podłączyła mnie do kroplówki ze środkiem przeciwbólowym. W końcu, wyczerpana, zapadłam w sen.

Oszczędzę wam szczegółów mojego bardzo zmedykalizowanego i bardzo przyjemnego porodu. Dzięki znieczuleniu zewnątrzoponowemu wypychanie dziecka na świat przypominało precyzyjne ćwiczenia jogi i odbyło się bez żadnego dyskomfortu. Byłam tak skoncentrowana, że nie przeszkadzało mi nawet, gdy mieszkająca po sąsiedzku nastoletnia córka mojej lekarki prowadzącej wpadła tuż po porodzie, żeby poprosić mamę o trochę gotówki.

Tak się złożyło, że zajmowały się mną same kobiety – anestezjolog, położna i lekarka. (Simon uczestniczył w porodzie, stał jednak w bezpiecznej odległości od „frontu robót”). Dziecko przyszło na świat o wschodzie słońca.

Czytałam, że nowo narodzone dzieci przypominają tatę, żeby zapewnić ojców o ich pokrewieństwie i zmotywować do wyruszenia na polowanie (albo zainwestowania w lokatę). Pierwszą myślą, jaka przyszła mi do głowy, kiedy zobaczyłam naszą córeczkę, było to, że ona nie przypomina Simona, ona po prostu ma jego twarz.

Tuliliśmy ją przez chwilę, po czym została ubrana w szykowne, stonowane francuskie ubranko, zapewniane przez szpital, łącznie z czepeczkiem w kolorze écru. Daliśmy małej porządne imię, ale z powodu tego czepeczka nazywaliśmy ją zazwyczaj Bean^[4].

Zostałam w szpitalu przez sześć dni, co we Francji jest standardową praktyką. Nie spieszyło mi się do wyjścia. Dostawałam świeżutkie pieczywo do każdego posiłku (nie było powodu wychodzić na croissant), w ciągu dnia mogłam spacerować po słonecznym ogrodzie. Obszerna lista dostępnych w szpitalnym menu win obejmowała szampana. Trzeciego dnia bezustannie powtarzałam Bean: „Nie urodziłaś się przecież wczoraj!”, a Simon nawet nie udawał, że go to śmieszy.

Jakby dla podkreślenia, że w całej Francji obowiązują uniwersalne wskazówki dotyczące wychowywania dzieci, do wszystkich noworodków jest dołączana instrukcja. Każdy otrzymuje książeczkę w białej, miękkiej okładce, nazywaną *carnet de santé*, która towarzyszy dziecku do ukończenia osiemnastego roku życia. Lekarze zapisują w niej wszystkie badania kontrolne i szczepienia, a także notują wzrost, wagę i rozmiar głowy dziecka. Można tu także znaleźć podstawowe informacje dotyczące żywienia i kąpieli dzieci, terminy wizyt kontrolnych i wykaz najczęstszych dolegliwości.

Książeczka nie przygotowała mnie na przemianę Bean. Przez jakiś miesiąc nasza córeczka wyglądała dokładnie jak Simon, miała ciemnobrązowe oczy i włosy, a nawet dołeczki w policzkach. Gdyby należało mieć jakieś wątpliwości, to dotyczyłyby one mojego macierzyństwa: w pierwszej

rundzie moje jasnowłose i jasnookie geny przegrały przez nokaut ze smagłymi genami Simona.

W wieku mniej więcej dwóch miesięcy Bean przeszła jednak metamorfozę. Jej włosy zmieniły kolor na blond, a brązowe oczy w niemożliwy do wyjaśnienia sposób stały się niebieskie – nasza śródziemnomorska córeczka nagle zaczęła wyglądać jak Szwedka.

Formalnie rzecz biorąc, Bean była Amerykanką (będzie mogła wystąpić o obywatelstwo francuskie, kiedy dorośnie), ale przypuszczałam, że jej francuski w ciągu kilku miesięcy stanie się lepszy od mojego. Nie byłam pewna, czy mamy wychowywać małą Amerykankę, czy też Francuzkę, mogliśmy jednak nie mieć wyboru.



Bezsenne noce

Kilka tygodni po tym, jak wróciliśmy z Bean do domu, sąsiedzi z naszego małego placyku zaczęli pytać: „Czy ona odrabia swoje noce?” (*Elle fait ses nuits?*)

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam francuską wersję pytania: „Czy wasza córka śpi w nocy?”. Szybko zaczęło mnie ono irytować. Jasne, że „nie odrabiała swoich nocy”. Miała dwa miesiące (potem trzy, jeszcze później cztery), a wszyscy chyba wiedzą, że malutkie dzieci śpią niespokojnie. Znałam kilka Amerykanek, których dzieci w tym wieku – szczęśliwym zrządzeniem losu – zasypiały o dziewiątej wieczorem i budziły się o siódmej rano. Niemniej większość znajomych rodziców nie mogła cieszyć się nieprzerwanym snem aż do czasu, kiedy ich dzieci kończyły mniej więcej rok. Przecież słyszałam nawet o czterolatkach, które nadal w nocy przychodziły do sypialni rodziców.

Moi anglosascy znajomi i krewni rozumieli to i ostrożnie pytali: „Jak ona sypia?”. To nawet nie była prośba o udzielenie informacji, raczej zachęta dla wyczerpanych rodziców do wyzalenia się.

Z naszego punktu widzenia posiadanie dzieci automatycznie wiązało się z niewyspaniem. Nagłówek w brytyjskiej gazecie „Daily Mail” głosił: *Rodzice tracą SZEŚĆ MIESIĘCY snu w ciągu pierwszych dwóch lat życia dziecka*, cytując na poparcie tej tezy badanie zamówione przez firmę produkującą łóżka. Czytelnicy uważali artykuł za wiarygodny. „To smutne, ale prawdziwe” – skomentowała jakaś kobieta. „Nasza roczna córeczka nie przespała od dwunastu miesięcy ani jednej całej nocy, a my uważamy się za szczęściarzy, jeśli uda się nam spać przez cztery godziny”. Zgodnie z wynikami ankiety działającej w Stanach Zjednoczonych National Sleep Foundation (Krajowej Fundacji Snu), 46 procent malutkich dzieci budzi się w nocy, ale tylko 11 procent rodziców uważa, że ich dziecko cierpi na zaburzenia snu. W Fort Lauderdale widziałam koszulkę dla niemowlaka z napisem: „Imprezka dziś o 3 w nocy przy mojej kołysce”.

Moje anglojęzyczne przyjaciółki zazwyczaj uważały, że ich dzieci w zakresie snu mają indywidualne potrzeby, do których rodzice muszą się dostosować. Pewnego dnia spacerowałam po Paryżu z zaprzyjaźnioną Brytyjką, kiedy jej mały synek sięgnął jej pod bluzkę, żeby ścisnąć pierś, a potem zasnął. Znajoma była wyraźnie zawstydzona, że stałam się świadkiem tego rytuału, i wyszeptwała, że to jedyny sposób, żeby uciął sobie drzemkę. Nosila go potem w tej pozycji przez trzy kwadranse.

Simon i ja stosowaliśmy oczywiście własną strategię usypiania – postanowiliśmy nie dopuszczać do tego, żeby dziecko zasnęło po karmieniu. I choć nie ustawaliśmy w wysiłkach, żeby to osiągnąć, nasze działania nie przynosiły większych efektów.

W końcu zarzuciliśmy tę metodę na rzecz innej. Trzymaliśmy Bean w świetle przez cały dzień, a nocą w ciemności. Kapaliśmy ją co wieczór o tej samej porze i staraliśmy się wydłużać czas między karmieniami. Przez kilka dni jadłam niemal wyłącznie krakersy i ser brie, ponieważ usłyszałam, że tłuste jedzenie zageęści moje mleko. Odwiedzająca nas nowojorska koleżanka powiedziała, że zgodnie z tym, co gdzieś wyczytała, powinniśmy wydawać głośne szumiące dźwięki, naśladując odgłosy docierające do dziecka w łonie matki. Posłusznie szumieliśmy całymi

godzinami.

Nic nie pomagało – w wieku trzech miesięcy Bean nadal budziła się w nocy po kilka razy. Usypianie jej stało się żmudnym rytuałem – kołysałam ją do snu, a potem nosiłam na rękach jeszcze przez kwadrans, żeby się nie obudziła, kiedy odkładałam ją do kołyski. Simonowy zwyczaj wybiegania myślami w przyszłość stał się dla niego przekleństwem – co noc popadał w rozpacz, przekonany, że już nigdy więcej się nie wyśpi. Moja krótkowzroczność nagle zaczęła się wydawać przeblyskiem ewolucyjnego geniuszu: nie zastanawiałam się, ile to jeszcze potrwa (a potrwało pół roku), po prostu żyłam z nocy na noc.

Pocieszało mnie także to, że należało się tego spodziewać – rodzice noworodków nie powinni oczekiwać, że się wyśpią. Niemal wszyscy znani mi rodzice amerykańscy i brytyjscy mówili, że ich dzieci zaczęły przesypiać całą noc w wieku ośmiu–dziewięciu miesięcy, a czasem nawet znacznie później. „Naprawdę szybko” – odparł przyjaciel Simona z Vermontu, dopytując się żony, kiedy ich synek przestał urządzać im pobudkę o trzeciej nad ranem. „Ile on wtedy miał? Chyba roczek”. Kristin, pracująca w Paryżu brytyjska prawniczka, powiedziała, że jej szesnastomiesięczna córeczka śpi w nocy. Potem jednak dodała „Oczywiście, kiedy mówię, że śpi w nocy, mam na myśli, że budzi się dwa razy, ale tylko na pięć minut”.

Pocieszały mnie też opowieści o rodzicach, którzy byli w gorszej sytuacji niż my. Nie było o nich trudno – moja kuzynka, sypiąca razem ze swoim dziesięciomiesięcznym synkiem, nie była w stanie wrócić do pracy w charakterze nauczycielki, między innymi dlatego że większość nocy spędzała na karmieniu dziecka. Często do niej dzwoniłam, żeby zapytać: „Jak on sypia?”.

Zdecydowanie w najgorszej sytuacji była Alison, przyjaciółka przyjaciółki z Waszyngtonu, matka siedmiomiesięcznego chłopca. Przez pierwsze pół roku jego życia karmiła go co dwie godziny przez całą dobę. W wieku siedmiu miesięcy zaczął sypiać po cztery godziny. Alison – ekspertka od marketingu i absolwentka jednego z najlepszych uniwersytetów – machnęła ręką na wieczne znużenie i na to, że jej kariera utknęła w miejscu. Uważała, że nie ma innego wyboru, jak tylko dostosować się do dziwaczного i męczącego cyklu dobowego dziecka.

Alternatywą dla takiego zrywania się po nocy miał być „trening snu”, polegający na tym, że rodzice zostawiali dzieci same, żeby je „przeczekać”. Ja również o tym czytałam, ale uznałam tę metodę za odpowiednią dla dzieci w wieku co najmniej sześciu–siedmiu miesięcy. Alison powiedziała mi, że raz tego spróbowała, ale poddała się, bo miała wrażenie, że to okrucieństwo. Internetowe dyskusje na temat treningu snu szybko zamieniały się w kłótnie, w których przeciwnicy metody nazywali ją w najlepszym razie egoizmem, a w najgorszym – znęcaniem się nad dzieckiem. „Brzydzę się treningiem snu” – napisała jedna z matek w portalu babble.com, a inna dodała: „Jeśli chcesz sypiać całą noc – nie miej niemowląt. Adoptuj sobie trzylatka”.

Chociaż idea treningu snu brzmiała okropnie, Simon i ja teoretycznie ją popieraliśmy. Byliśmy jednak zdania, że Bean jest za mała na taki wojskowy dryl – podobnie jak nasi anglosascy znajomi i krewni uważaliśmy, że mała budzi się w nocy, ponieważ jest głodna, ponieważ czegoś od nas chce, ponieważ dzieci tak właśnie robią. Była przecież taka malutka. Dlatego jej ulegaliśmy.

Rozmawiałam o spaniu także z francuskimi rodzicami – naszymi sąsiadami, koleżankami z pracy i przyjaciółmi przyjaciół. Wszyscy mówili, że ich dzieci przesypiały całą noc znacznie wcześniej niż Bean. Samia stwierdziła, że jej dwuletnia obecnie córka zaczęła spać w nocy w wieku sześciu tygodni – zapisała dokładną datę. Stephanie, szczupła inspektorka podatkowa mieszkająca przy naszym placyku, sprawiała wrażenie zawstydzonej, gdy zapytałam, kiedy jej synek Nino zaczął „odrabiać swoje noce”.

– Bardzo, bardzo późno! – przyznała. – Dopiero w listopadzie, czyli jak miał... cztery miesiące! Moim zdaniem to bardzo późno.

Niektóre francuskie historie o zasypianiu wydawały się zbyt piękne, by mogły być prawdziwe. Alexandra, pracująca w przedszkolu i mieszkająca na przedmieściach Paryża, powiedziała, że obie jej córki przesypiały noc niemal od urodzenia.

– Już na oddziale położniczym budziły się na butelkę dopiero około szóstej rano – opowiadała.

Wiele z tych dzieci było karmionych butelką lub butelką i piersią na zmianę, ale nie wydaje się, żeby miało to znaczenie. Dzieci moich francuskich znajomych karmione wyłącznie piersią także zaczynały wcześniej przesypiać noc. Niektóre mamy przestawały karmić piersią po jakichś trzech miesiącach, kiedy wracały do pracy, ale ich dzieci spały już wtedy w nocy.

Francuscy rodzice nie oczekują, że ich dzieci będą przesypiały całą noc od urodzenia, ale gdy tylko zarwane noce stają się dla nich nie do wytrzymania – czyli zwykle po dwóch–trzech miesiącach od narodzin dziecka – po prostu się kończą. Opowiadali o nocnych pobudkach jako problemie doraźnym, a nie przewlekłym. Każdy, z kim rozmawiałam, zakładał, że dzieci mogą i prawdopodobnie będą spać w nocy w wieku sześciu miesięcy, a często znacznie wcześniej. Taką samą tezę stawiał bestsellerowy poradnik *Sen, marzenia senne i dziecko (Le Sommeil, le rêve et l'enfant)*.

Do szału doprowadzało mnie jednak to, że chociaż francuscy rodzice potrafili dokładnie określić, kiedy ich dzieci zaczęły spać w nocy, to nie umieli wyjaśnić, jak udało im się to osiągnąć. Nie wspominali o treningu snu, metodzie Ferbera (technice usypiania wymyślonej przez doktora Richarda Ferbera) czy jakiegokolwiek innej znanej praktyce. Twierdzili też, że nigdy nie pozwalają, by ich dzieci płakały przez dłuższy czas – większość wyglądała na lekko zdegustowanych, kiedy opowiadałam im o „przeczekiwaniu”.

Nie pomagały także rozmowy ze starszymi rodzicami. Francuska dziennikarka po pięćdziesiątce – przychodząca do pracy w spódnicy ołówkowej i na szpilkach – była zaszokowana, kiedy się dowiedziała, że mam problemy z usypianiem dziecka. „Nie możesz jej dać czegoś na sen? Wiesz, jakiegoś lekarstwa czy czegoś takiego?” – zapytała. Jej zdaniem w ostateczności powinnam zostawić z kimś dziecko i pojechać do spa na tydzień lub nawet dwa tygodnie.

Nikt z poznanych przeze mnie francuskich rodziców nie usypiał dzieci lekami ani nie chował się w saunie. Większość uważała, że ich dzieci same nauczyły się dłużej spać. Stephanie, inspektorka podatkowa, twierdziła, że nie było w tym jej zasługi. „Myślę, że dziecko samo o tym decyduje” – oznajmiła.

To samo usłyszałam od trzydziestotrzyletniej Fanny, wydawcy kilku czasopism o tematyce finansowej. Powiedziała, że kiedy jej synek Antoine miał jakieś trzy miesiące, sam z siebie przestał się budzić na karmienie o trzeciej w nocy i zaczął spać do rana.

– Postanowił spać – wyjaśniła Fanny. – Nigdy go do niczego nie zmuszałam. Dostawał jedzenie, kiedy był głodny. Po prostu sam wszystko wyregulował.

Jej mąż Vincent, który przysłuchiwał się naszej rozmowie, przypomniał, że dokładnie po trzech miesiącach od urodzenia dziecka Fanny wróciła do pracy. Podobnie jak inni francuscy rodzice, z którymi rozmawiałam, uważał, że to nie była przypadkowa zbieżność w czasie. Uznał, że Antoine zrozumiał, że jego mama musi wcześniej wstawać, żeby iść do biura. Porównał to zrozumienie do sposobu, w jaki mrówki komunikują się za pomocą przekazywanych czułkami cząsteczek chemicznych.

– Bardzo wierzymy w istnienie *le feeling* – powiedział Vincent, używając angielskiego słowa. – Domyślamy się, że dzieci rozumieją wiele rzeczy.

Francuscy rodzice udzielili mi kilku wskazówek dotyczących usypiania dzieci. Niemal wszyscy twierdzili, że przez pierwsze miesiące życia dziecka pozostawiali je w świetle w ciągu dnia, nawet podczas drzemek, a wieczorem kładli je w ciemnościach do łóżeczka. Większość powtarzała też, że od początku uważnie „obserwowali” dziecko, a potem dostosowywali się do jego „rytmu”. O tym rytmie mówili tak często, jakby zakładali zespół rockowy, a nie zajmowali się dzieckiem.

– Przez pierwszych sześć miesięcy najlepiej jest dostosować się do ich rytmu – wyjaśniła Alexandra, której dzieci spały przez całą noc praktycznie od początku życia.

Ja także obserwowałam Bean, często o trzeciej w nocy, dlaczego więc w naszym domu nie było żadnego rytmu? Jeśli przesypianie nocy innym po prostu „zaczynało wychodzić”, to dlaczego nam nie wychodziło?

Kiedy wylewałam swoje żale przed jedną z moich nowych francuskich znajomych, Gabrielle, poleciła mi ona książkę zatytułowaną *Dziecko i jego sen (L'enfant et son sommeil)*. Powiedziała, że jej autorka, Hélène de Leersnyder, jest znaną paryską lekarką pediatrą, specjalizującą się w problemach ze snem.

Książka całkowicie mnie zaskoczyła. Byłam przyzwyczajona do prostego, przejrzystego stylu amerykańskich poradników macierzyństwa, natomiast dzieło doktor de Leersnyder zaczynało się od cytatu z Prousta, a dalsza jego część była peanem na cześć snu.

„Sen wiele mówi o dziecku i życiu rodziny” – pisała de Leersnyder. „Aby położyć się do łóżka i zasnąć, aby rozstać się na kilka godzin z rodzicami, dziecko musi ufać, że zachowa swoje ciało przy życiu nawet wtedy, kiedy nie będzie go kontrolować. Musi też być wystarczająco spokojne, by dopuścić do siebie *pensée de la nuit* (myśli przychodzące nocą)”.

W książce *Sen, marzenia senne i dziecko* także była mowa o tym, że niemowlę będzie dobrze spało tylko pod warunkiem, że zaakceptuje swoją odrębność. „Odkrycie długich, spokojnych nocy, akceptacja samotności – czyż nie jest to znak, że dziecko osiągnęło wewnętrzną równowagę i potrafi uwolnić się od żalu?”

Nawet bardziej „naukowe” rozdziały tych książek sprawiały wrażenie rozważań egzystencjalnych. We Francji faza REM snu jest także nazywana snem paradoksalnym (*sommeil paradoxal*), ponieważ ciało pozostaje wtedy nieruchome, a umysł przejawia niezwykłą aktywność. „Nauczyć się snu, nauczyć się życia – czy nie są to synonimy?” – pyta de Leersnyder.

Nie wiedziałam, jak wykorzystać te informacje. Nie potrzebowałam teorii filozoficznej. Chciałam tylko, żeby Bean spała. Jak miałam się dowiedzieć, dlaczego francuskie dzieci tak dobrze śpią, skoro ich rodzice nie potrafili tego wytłumaczyć, a książki poświęcone temu zagadnieniu przypominały poetycki szyfr? Co powinna zrobić matka, żeby wypocząć w nocy?

O dziwo, objawienia dotyczącego francuskiego sposobu na sen doznałam w Nowym Jorku. Przyjechałam do Stanów, żeby odwiedzić rodzinę i przyjaciół, a także pobieżnie rzucić okiem na amerykańskie metody wychowawcze. Część pobytu spędziłam w Tribeca, w rejonie Dolnego Manhattanu, gdzie stare budynki fabryczne zostały zamienione w eleganckie lofty. Siedziałam na tamtejszych placach zabaw i rozmawiałam z innymi matkami.

Wydawało mi się, że dość dobrze znam poradniki dla rodziców, ale te kobiety uświadomiły mi, że jestem zupełną dyletantką. Nie tylko przeczytały absolutnie wszystko, ale także dobrały własną metodę wychowawczą w taki sposób, w jaki eklektyczny projektant mody dobiera kostiumy. Szły za radami rozmaitych guru w zakresie snu, dyscypliny czy jedzenia. Kiedy naiwnie wspomniałam jednej z tych matek o „rodzicielstwie bliskości”, zostałam natychmiast skarcona.

– Nie lubię tego określenia, przecież każdy stara się być blisko ze swoim dzieckiem –

powiedziała.

Kiedy rozmowa zeszła na temat snu, spodziewałam się, że zaczną cytować mnóstwo teorii, a potem przejdą do typowych amerykańskich narzekań na roczne dzieci, które budzą się dwa razy w nocy. Nie zrobiły tego jednak – okazało się za to, że większość dzieci w Tribecce przesypia nocę à la française, od kiedy skończy mniej więcej dwa miesiące. Jedna z matek, fotografka, wspomniała, że podobnie jak wiele innych kobiet chodzi do miejscowego pediatry, doktora Michela Cohena. Wymawiała jego imię „Miszel”, jak w piosence Beatlesów.

- Czy on jest Francuzem? – zapytałam.
- Owszem – przyznała.
- Francuzem z Francji? – upewniłam się.
- Francuzem z Francji – potwierdziła.

Natychmiast umówiłam się na spotkanie z tym lekarzem. Kiedy weszłam do poczekalni przy jego gabinecie, nie miałam cienia wątpliwości, że jestem w Tribecce, a nie w Paryżu. Zobaczyłam fotele Eames, tapetę retro w stylu lat siedemdziesiątych i matkę lesbijkę w fedorze, a recepcjonistka w czarnej bluzeczce na ramiączkach wywoływała pacjentów po imieniu: „Ella? Benjamin?”.

Kiedy pojawił się doktor Cohen, natychmiast zrozumiałam sekret jego popularności wśród matek. Miał rozczochrane brązowe włosy, duże ciemne oczy i opaloną skórę. Nosił rozchełstaną markową koszulę, a do niej sandały i szorty. Mimo dwudziestu lat spędzonych w Stanach Zjednoczonych mówił z uroczym francuskim akcentem. Skończył właśnie pracę, więc zaproponował, żebyśmy przeszli do pobliskiej kawiarni, na co z miejsca się zgodziłam.

Cohen był wyraźnie zakochany w Ameryce, między innymi dlatego że szanowano tutaj outsiderów i osoby przedsiębiorcze. W kraju nowoczesnego zarządzania ochroną zdrowia został staroświeckim lekarzem z sąsiedztwa (kiedy piliśmy piwo, przywitał się po imieniu z kilkunastoma przechodniami), a jego klinika, Tribeca Pediatrics, miała obecnie pięć filii. Opublikował także zwięzły poradnik macierzyństwa, zatytułowany *Nowe podstawy* (*The New Basics*), ze swoim zdjęciem na okładce.

Cohen nie był przekonany, czy można przypisać jego ojczyźnie zasługi za rewolucję, jaką przyniósł Dolnemu Manhattanowi. Wyjechał z Francji w latach osiemdziesiątych i zapamiętał ją jako kraj, w którym noworodki w szpitalach zostawiano same, żeby się wypłakały. Twierdził, że nawet obecnie „Podczas każdej wizyty w parku widzi się, jak ktoś bije dziecko”. (Być może kiedyś to była prawda, ale mimo niezliczonych godzin spędzanych w paryskich parkach, tylko raz widziałam, jak dziecko dostało klapsa).

Część „porad” Cohena dotyczyła jednak dokładnie tego, co już robili współcześni paryscy rodzice. Zalecał, żeby jako pierwszy stały pokarm dawać dziecku warzywa i owoce, a nie młłą papkę ryżową. Nie miał też obsesji na tle alergii i mówił dużo o „rytmie” i uczeniu dzieci radzenia sobie z frustracją. Wysoko cenił spokój i przykładął dużą wagę do jakości życia rodziców, nie tylko do rzeczy dobrych dla dziecka.

Jak więc Cohen nakłaniał nowojorskie dzieci do spania w nocy?

– Moja pierwsza rada brzmi: kiedy urodzi ci się dziecko, nie rzucaj się na nie w nocy – powiedział doktor Cohen. – Daj mu szansę, żeby samo się wyciszyło, nie reaguj natychmiast, nawet na samym początku.

Może sprawiło to piwo (albo ciemne oczy doktora Cohena), ale podskoczyłam na te słowa. Uświadomiłam sobie, że widziałam francuskie matki i niańki, które oczekiwały krótką chwilę, zanim zajęły się dzieckiem. Nie przyszło mi do głowy, że to celowe działanie lub że ma to jakieś znaczenie. W gruncie rzeczy takie zachowanie trochę mnie drażniło – byłam zdania, że małe dzieci

nie powinny czekać. Czy to wyjaśniało, dlaczego francuskie dzieci zaczynały wcześniej przesyipiać noce, zazwyczaj bez większego płaczu?

Rada Cohena dotycząca przeczekiwania przypominała trochę naturalne rozszerzenie „obserwowania” dziecka. Nie można powiedzieć, że matka je „obserwuje”, jeśli rzuca się, żeby wziąć je na ręce, gdy tylko niemowlę zakwili.

Zdaniem doktora Cohena ta pauza – mam ochotę nazwać ją *La Pauza* – jest sprawą kluczową. Wyjaśnił, że stosowanie jej od najwcześniejszego dzieciństwa ma ogromny wpływ na zachowanie dziecka. „Dzieci rodziców, którzy nie od razu reagowali na nocne hałasy, zawsze dobrze śpią w nocy, podczas gdy dzieci rodziców reagujących natychmiast budzą się regularnie, aż stanie się to całkowicie nie do wytrzymania” – pisał. Większość dzieci będących pod opieką Cohena była karmiona piersią, ale to wyraźnie nie robiło żadnej różnicy.

Jednym z powodów, dla których warto chwilę odczekać, jest to, że niemowlęta często wiercą się i kwilą przez sen, co jest całkowicie normalne i zdrowe. Jeśli rodzice przybiegają i wyjmują dziecko z łóżeczka na każde piśnięcie, to czasem przez to je budzą.

Poza tym dzieci budzą się pomiędzy kolejnymi cyklami snu, trwającymi zazwyczaj około dwóch godzin. To normalne, że początkowo, kiedy uczą się te cykle łączyć, zdarza im się płakać. Jeśli rodzice interpretują ten płacz jako domaganie się jedzenia lub oznakę stresu i pospiesznie zajmują się dzieckiem, to trudniej mu będzie nauczyć się nieprzerwanego snu. Innymi słowy, będzie potrzebowało osoby dorosłej, która przyjdzie i ukołysze je do snu na końcu każdego cyklu.

Noworodki zazwyczaj nie potrafią łączyć cykli, ale w wieku dwóch–trzech miesięcy zyskują tę umiejętność – jeśli tylko mają okazję jej się nauczyć. Zdaniem doktora Cohena przypomina to naukę jazdy na rowerze: jeśli dziecko przynajmniej raz zdoła samo ponownie zasnąć, to za każdym kolejnym razem będzie mu łatwiej. (Dorośli także budzą się między cyklami snu, ale zwykle tego nie pamiętają, ponieważ potrafią natychmiast przejść do następnego cyklu).

Doktor Cohen przyznał, że czasem rzeczywiście trzeba dziecko nakarmić lub wziąć na ręce, ale jeśli nie odczekamy chwili, obserwując je, nie możemy być tego pewni.

– Jeśli żądania dziecka stają się bardziej natarczywe, rzecz jasna trzeba je nakarmić – mówił. – Nie twierdę, że należy zostawiać dziecko samo, żeby rozpaczało.

Podkreślał jednak, że powinno pozwolić mu się nauczyć łączenia cykli.

Ten koncept nie był dla mnie całkowicie nowy. Możliwe, że raz czy dwa próbowałam tego z Bean, ale bez szczególnego przekonania – nikt nigdy nie wyjaśnił mi, że to jest ta kluczowa, najważniejsza rzecz, której należy się trzymać.

Jedna porada doktora Cohena rozwikłała tajemnicę francuskich rodziców, którzy twierdzili, że nigdy nie dopuszczają do tego, żeby ich dziecko płakało przez dłuższy czas. Jeśli stosowali „pauzę” w pierwszych dwóch miesiącach życia dziecka, samo z siebie uczyło się ono ponownego zapadania w sen, a rodzice nie musieli się później uciekać do metody „przeczekiwania”.

„Pauza” nie ma w sobie nic z brutalności treningu snu, przypomina raczej naukę spania. Jednakże czas na jej skuteczne zastosowanie jest krótki – według doktora, gdy dziecko skończy cztery miesiące, złe nawyki senne zostają utrwalone.

Doktor Cohen przyznał, że jego rady dotyczące usypiania dzieci padają w Tribecie na podatny grunt, ponieważ tutejsi rodzice są nastawieni na osiągnięcie pożądaných efektów. W innych miejscach musiał znacznie dłużej przekonywać do tej metody rodziców, którzy nie chcieli zostawiać płaczących dzieci nawet na chwilę. Ostatecznie zdołał jednak nakłonić do przetestowania tego sposobu niemal wszystkich korzystających z jego porad.

– Staralem się wyjaśnić im, gdzie tkwi sedno problemu – powiedział.

Innymi słowy, uczył ich, na czym polega sen.

Po powrocie do Paryża natychmiast zapytałam francuskie matki, czy stosują „pauzę” – wszystkie potwierdziły. Wydawało się im to tak oczywiste, że nawet nie pomyślały, by o tym wspomnieć. Większość zaczęła stosować „pauzę”, kiedy ich dzieci miały kilka tygodni.

Alexandra, której córeczki spały w nocy jeszcze na oddziale położniczym, powiedziała, że nie biegła do nich, kiedy tylko zakwiliły. Czasem czekała pięć czy dziesięć minut, zanim wzięła je na ręce. Chciała się upewnić, czy muszą tylko zapaść w sen wraz z kolejnym cyklem, czy też doskwiera im coś innego: głód, brudna pielucha albo po prostu niepokój.

Alexandra – spinająca kręcone włosy w koński ogon – wyglądała jak skrzyżowanie archetypicznej matki z licealną czirliderką. Była pełna ciepła i nie ignorowała swoich nowo narodzonych dzieci. Przeciwnie – uważnie je obserwowała, wierzyła, że płacząc, chcą jej coś przekazać. Stosując „pauzę”, patrzyła i słuchała. (Dodała, że kolejnym powodem stosowania „pauzy” było „nauczenie dzieci cierpliwości”).

Francuscy rodzice nie mają własnej nazwy na „pauzę”. (To ja, jako Amerykanka, musiałam przypiąć jej jakąś etykietkę). Jednakże wszyscy ją stosują i utwierdzają się nawzajem w jej kluczowym znaczeniu. To była najprostsza rzecz – francuski geniusz nie polegał na odkryciu nowatorskiego, przełomowego sposobu usypiania dzieci, ale koncentrował się na jednej – naprawdę istotnej – kwestii.

Skoro już wiedziałam o istnieniu „pauzy”, zaczęłam zauważać, że we Francji często się o niej wspomina. „Zdrowy rozsądek podpowiada, że jak cię przepytują, przed udzieleniem odpowiedzi należy wysłuchać pytania” – radzi artykuł w popularnej francuskiej witrynie Doctissimo. „Dokładnie tak samo ma się sprawa z płaczącym niemowlęciem: najpierw powinno się je wysłuchać”.

Kiedy już przebiłam się przez filozoficzne wywody autorek *Snu, marzeń sennych i dziecka*, zrozumiałam, że one też zauważyły, że interweniowanie między cyklami snu „bezsponsie” prowadzi do zaburzeń snu, powodujących, że dziecko wybudza się całkowicie co półtorej lub co dwie godziny.

Nagle stało się dla mnie jasne, że Alison, specjalistce od marketingu, która karmiła synka przez sześć miesięcy co dwie godziny, nie trafiło się dziecko z dziwacznymi potrzebami w zakresie snu. To ona bezwiednie nauczyła je domagania się karmienia po każdym dwugodzinnym cyklu snu. Alison nie ulegała potrzebom synka – wbrew swoim intencjom sama te potrzeby stworzyła.

We Francji nie słyszałam o podobnym przypadku. Francuzi uważają „pauzę” za metodę numer jeden na sen i coś, co należy zacząć stosować, kiedy dziecko ma kilka tygodni. W artykule w czasopiśmie „Maman!” podkreślono, że w ciągu pierwszych sześciu miesięcy życia dziecka 50–60 procent jego snu przypada na *sommeil agité* (niepokojny sen). W tej fazie śpiące niemowlę nagle ziewa, przeciąga się, a nawet otwiera i zamyka oczy. „Błędem byłoby uważanie tego zachowania za przywoływanie matki, a co za tym idzie, zakłócanie nauki snu u dziecka przez wzięcie go na ręce”.

„Pauza” nie jest jedyną metodą stosowaną przez francuskich rodziców, ale pozostaje najważniejszym narzędziem. Kiedy odwiedziłam Hélèn de Leersnyder, cytującą Prousta lekarkę specjalizującą się w zaburzeniach snu, ta natychmiast, bez jakiegokolwiek naprowadzania z mojej strony, wspomniała o „pauzie”.

– Czasem dzieci przez sen poruszają oczami, kwilą, ssą, wiercą się trochę. W rzeczywistości jednak się nie budzą, dlatego nie można reagować za każdym razem i przeszkadzać im w spaniu.

Trzeba się nauczyć, w jaki sposób śpi dziecko.

– A jeśli się obudzi? – zapytałam.

– Jeśli obudzi się całkowicie, należy oczywiście wziąć je na ręce.

Kiedy rozmawiałam na ten temat z rodzicami amerykańskimi, rzadko kiedy była mowa o badaniach naukowych. Wobec tak ogromnej liczby rozmaitych przekonujących teorii snu wybór jednej z nich wydawał się kwestią gustu. Kiedy jednak miałam do czynienia z rodzicami francuskimi, od razu zaczynali mówić o cyklach snu, rytmie dobowym i *sommeil paradoxal*. Wiedzieli, że dziecko może kwilić w nocy między cyklami snu albo dlatego, że znajduje się w fazie *sommeil agité*. Kiedy opowiadali o „obserwacji” niemowląt, mieli na myśli to, że uczą się rozpoznawać te fazy. Nie podbiegając nerwowo do dziecka na każdy dźwięk płaczu, byli konsekwentni i pewni siebie – podejmowali świadomą decyzję, wykorzystując swoją wiedzę o tym, jak śpi dziecko.

Kryła się za tym ważna różnica z zakresu filozofii życiowej. Francuscy rodzice uważali, że ich rolą jest łagodne nauczanie dziecka dobrego snu, tak samo jak później mieli uczyć je odpowiedniego dbania o higienę, jedzenia zbilansowanych posiłków i jazdy na rowerze. Nie postrzegali zrywania się po kilka razy w nocy do ośmiomiesięcznego dziecka jako oznaki rodzicielskiego poświęcenia. Uważali to za sygnał, że dziecko ma problemy ze snem, a w jego rodzinie brakuje równowagi. Kiedy opowiadałam Francuzkom o Alison, mówiły, że to po prostu „niemożliwe” – zarówno z punktu widzenia dziecka, jak i matki.

Francuzi tak samo jak Amerykanie uważają, że ich dzieci są cudowne i wyjątkowe, ale wiedzą także, że podlegają one rytmom biologicznym. Zanim więc założymy, że nasze dziecko ma całkowicie odmienne od reszty potrzeby w zakresie snu, powinniśmy pomyśleć o naukowym podejściu do sprawy.

Uzbrojona w nową wiedzę o „pauzie”, postanowiłam rzucić okiem na fachową literaturę poświęconą problemom snu u dzieci. To, czego się dowiedziałam, zaskoczyło mnie: amerykańscy rodzice mogli toczyć „walkę” o spokojny sen, ale amerykańscy badacze tego zagadnienia nie byli tak zagubieni. W większości zgadzali się co do najlepszej metody nauczania dzieci spania w nocy, a ich zalecenia podejrzanie przypominały „pauzę”.

Naukowcy, podobnie jak francuscy rodzice, uważali, że od najwcześniejszego okresu życia dziecka rodzice powinni odgrywać aktywną rolę w uczeniu go właściwego snu. Twierdzili, że u zdrowego malucha możliwe jest rozpoczęcie nauki snu w wieku kilku tygodni, bez konieczności „przeczekiwania”, aż się wypłacze.

Praca porównawcza obejmująca kilkadziesiąt artykułów naukowych poświęconych zagadnieniu snu u dzieci^[1] zawierała wniosek, że kluczowa jest „edukacja/prewencja rodziców”. Ta metoda zakładała uczenie ciężarnych kobiet i rodziców noworodków naukowej teorii snu i informowanie ich o podstawowych zasadach, jakie należało wcielać w życie od urodzenia dziecka, lub też od kiedy skończy ono kilka tygodni.

Na czym polegały te zasady? Autorzy wskazywali artykuł^[2] omawiający badanie przeprowadzone na grupie ciężarnych kobiet planujących karmienie piersią. Naukowcy dali części z nich dwustronicowe ulotki z instrukcjami, wśród których znajdowało się zalecenie, by rodzice nie brali na ręce, nie kołysali ani nie karmili dziecka wieczorem tuż przed zaśnięciem, żeby pomóc mu zrozumieć różnicę między dniem a nocą. Inna porada, dotycząca tygodniowych noworodków, głosiła, że jeśli dziecko zacznie płakać między północą a piątą rano, należy je przewinąć, opatulić lub pochodzić z nim chwilę, ale matka powinna spróbować nakarmić je piersią dopiero wtedy,

gdyby dziecko nadal płakało.

Zalecano także, by matka od urodzenia dziecka starała się zauważyć różnicę między płaczem a kwileniem we śnie. Innymi słowy, powinna odczekać chwilę, zanim weźmie na ręce płaczące dziecko, by mieć pewność, że rzeczywiście jest ono wybudzone.

Naukowcy wyjaśnili rodzicom teoretyczne podstawy tych instrukcji. Grupa kontrolna karmiących piersią matek nie otrzymała żadnych ulotek. Wyniki były imponujące: od urodzenia do ukończenia trzech tygodni wzorce snu u dzieci z obu grup były praktycznie takie same. Jednakże w wieku czterech tygodni 38 procent dzieci z grupy stosującej instrukcje spało przez całą noc, a z grupy kontrolnej – tylko 7 procent dzieci. Po ośmiu tygodniach noc przesyślały wszystkie dzieci z grupy instruowanej i 23 procent dzieci z grupy kontrolnej. Wnioski autorów były jednoznaczne: „Wyniki badania wykazują, że nie ma związku między karmieniem piersią a wybudzaniem się dzieci w nocy”.

„Pauza” nie jest jakąś tam francuską mądrością ludową, podobnie jak nie jest nią przekonanie, że spokojny sen od najwcześniejszego dzieciństwa służy wszystkim. „Mówiąc ogólnie, wybudzanie się dzieci w nocy należy do kategorii diagnostycznej przewlekłej bezsenności u dzieci” – wyjaśniają autorzy artykułu.

Ich zdaniem istnieje coraz więcej dowodów na to, że małe dzieci, które śpią zbyt krótko lub często budzą się w nocy, są nerwowe, agresywne i nadpobudliwe, cierpią na zaburzenia popędów i mają problemy z nauką i pamięcią. Są bardziej podatne na wypadki, ich metabolizm i układ immunologiczny są słabsze, a ogólny stan zdrowia jest gorszy. W dodatku zaburzenia snu z okresu niemowlęcego mogą utrzymywać się przez wiele lat. W badaniach nad karmiącymi piersią matkami niemowlęta z grupy rodziców stosujących instrukcje były na koniec oceniane jako pewniejsze siebie, bardziej przewidywalne i spokojniejsze od innych.

W artykułach podkreślano, że zaburzenia snu u dziecka rzutują negatywnie na całą rodzinę, pogarszając jej funkcjonowanie i prowadząc nawet do depresji u matki. I odwrotnie – jeśli dzieci spały dobrze, to ich rodzice twierdzili, że życie małżeńskie układa im się lepiej, a oni są lepszymi, mniej zestresowanymi opiekunami.

Oczywiście, także francuskim dzieciom czasem nie udaje się nauczyć snu w zarezerwowanym na to czteromiesięcznym przedziale. W takim przypadku eksperci zalecają zazwyczaj jakiś rodzaj przeczekiwania.

Także badający sen naukowcy są w tej kwestii zgodni. Autorzy wspomnianego artykułu porównawczego wskazywali, że wzięcie dzieci na przeczekanie – od razu lub stopniowo – działa bardzo dobrze i zazwyczaj okazuje się skuteczne już po kilku dniach. „Najpoważniejszym problemem w przypadku przeczekiwania jest niekonsekwencja rodziców” – podsumowywali.

Doktor Michel Cohen zaleca dość ekstremalną wersję przeczekiwania rodzicom, którzy nie zdołali wykorzystać czteromiesięcznego okresu nauki. Radzi, żeby uspokoić dziecko cwieczorną kąpielą i piosenkami, potem położyć je do łóżka o rozsądnej godzinie, najlepiej jeszcze zanim zaśnie, a następnie wrócić do niego o siódmej rano.

W Paryżu także przeczekiwanie było bardzo francuskie. Uświadomiłam to sobie, kiedy poznałam Laurence, pochodzącą z Normandii nianię pracującą dla rodziny w Montparnasse. Od dwudziestu lat zajmowała się dziećmi i powiedziała mi, że najważniejsze jest wyjaśnienie dziecku, co się zamierza zrobić, zanim zostawi się je samo.

Laurence opisywała kolejne stadia:

– Wieczorem należy do niego mówić. Trzeba mu powiedzieć, że jeśli się obudzi raz, przyjdiesz i dasz mu smoczek, ale potem nie będziesz więcej wstawać. Noc to pora na spanie. Jesteś blisko

i przyjdiesz je pocieszyć raz, ale nie będziesz przychodzić przez całą noc.

Dodała jeszcze, że aby dziecko w dowolnym wieku zaczęło spać w nocy, trzeba wierzyć, iż naprawdę będzie mogło to zrobić.

– Jeśli w to nie uwierzysz, nie zadziała – powiedziała. – Ja zawsze sobie powtarzam, że dziecko będzie spało lepiej następnej nocy. Zawsze mam nadzieję, nawet jeśli budzi się po trzech godzinach. Musisz w to uwierzyć.

Niewykluczone, że francuskie dzieci spełniają oczekiwania rodziców i opiekunów. Być może zawsze nasze dziecko śpi tak, jak tego oczekujemy, a prosta wiara w to, że ma własny rytm, pomaga go odnaleźć.

Aby uwierzyć w „pauzę” albo skutecznie „przeczekać” starsze dziecko, trzeba także uwierzyć, że to dziecko jest istotą zdolną do nauki (w tym przypadku snu) i potrafi poradzić sobie – przynajmniej częściowo – z frustracją. Doktor Cohen poświęcił wiele czasu przekonywaniu rodziców do tej francuskiej idei. Na częste obiekcje, że czteromiesięczne dziecko będzie w nocy głodne, odpowiadał: „Będzie głodne, ale nie będzie musiało jeść. My także bywamy głodni w środku nocy, ale nauczyliśmy się, że nie należy wtedy jeść, ponieważ żołądek musi odpocząć. Żołądek dziecka tak samo potrzebuje odpoczynku”.

Francuzi nie uważają, że ich dzieci powinny być w stanie sprostać biblijnym próbom, ale też nie uważają, że odrobina frustracji złamie im charakter. Są zdania, że nauczy to dzieci pewności siebie. Zgodnie z tym, co piszą autorki *Snu, marzeń sennych i dziecka*, „spełnianie wszystkich żądań dziecka i nieodmawianie mu niczego może mieć zły wpływ na formowanie się jego osobowości. Dziecko nie będzie czuło żadnej bariery, o którą może się oprzeć, nie będzie wiedziało, czego się od niego oczekuje”.

Dla Francuzów uczenie niemowlaka snu nie jest egoistyczną strategią dla leniwych rodziców, ale niezwykle ważną pierwszą lekcją samodzielności dla dziecka. Psycholog cytowany w czasopiśmie „Maman!” twierdził, że dzieci, które nauczyły się bawić same w ciągu dnia – nawet w pierwszych kilku miesiącach życia – mniej się niepokoją, kiedy są kładzione do łóżka.

Doktor de Leersnyder napisała, że nawet małym dzieciom trzeba zapewnić trochę prywatności. „Niemowlę w kołysce uczy się, że od czasu do czasu może być samo, nie czując głodu, nie czując pragnienia, nie śpiąc, po prostu spokojnie leżąc. Od początku życia potrzebuje samotności, potrzebuje zasypiać i budzić się bez natychmiastowego nadzoru matki”.

De Leersnyder poświęciła fragment książki temu, co ma robić matka, której dziecko śpi. „Powinna zapomnieć o dziecku i pomyśleć o sobie. Może teraz wziąć prysznic, elegancko się ubrać, stać się piękna dla przyjemności własnej, jej męża i innych osób. Wieczorem może się przygotować na nadejście nocy i na miłość”.

Amerykańskiej matce trudno sobie wyobrazić taką scenę z filmu noir – sugerującą oczy obwiedzione kredką i jedwabne pończochy – poza srebrnym ekranem. Simon i ja po prostu założyliśmy, że na dłuższy czas przeorganizujemy swoje życie, dostosowując się do zachcianek Bean.

Francuzi nie uważają, by takie podejście jak nasze było dla kogokolwiek korzystne. Postrzegają naukę snu jako część nauki życia w rodzinie i dostosowywania się do potrzeb innych. Doktor de Leersnyder powiedziała mi:

– Jeśli dziecko budzi się w nocy dziesięć razy, matka nie będzie mogła następnego dnia iść do pracy. Dlatego ono zaczyna rozumieć, że – *voilà* – nie może się budzić dziesięć razy w nocy.

– Niemowlę to zrozumie? – chciałam się upewnić.

– Oczywiście, że tak – potwierdziła.

- Jak może zrozumieć coś takiego?
- Ponieważ dzieci rozumieją wszystko.

„Pauza” jest niezwykle ważna, ale francuscy rodzice nie postrzegają jej jako panaceum na wszystko. Kultuwują przekonania i obyczaje, które – w połączeniu z cierpliwością i miłością – skłaniają dzieci do spokojnego zasypiania. „Pauza” działa częściowo dlatego, że zdaniem rodziców niemowlęta nie są bezradnymi baryłeczkami. Mogą się uczyć, a nauka, prowadzona łagodnie i w odpowiednim tempie, nie szkodzi dziecku w rozwoju. Przeciwnie, dzieci nabierają w ten sposób pewności siebie i spokoju oraz stają się świadome istnienia innych ludzi. To właśnie kładzie podwaliny pod cechującą się obopólnym szacunkiem relację między rodzicami a dziećmi, jaką miałam okazję później obserwować.

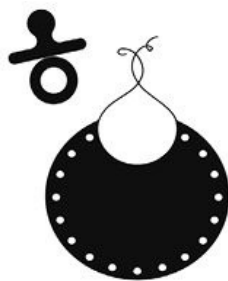
Gdybyśmy tylko to wiedzieli, kiedy Bean się urodziła...

Zdecydowanie zmarnowaliśmy czteromiesięczny okres, kiedy można było bezboleśnie nauczyć ją spania w nocy – w wieku dziewięciu miesięcy nadal budziła się codziennie około drugiej nad ranem. Zacisnęliśmy więc zęby i postanowiliśmy to przeczekać. Pierwszej nocy płakała przez dwanaście minut (a ja tuliłam się do Simona i także płakałam). Potem zasnęła z powrotem. Następnej nocy płakała przez pięć minut.

Trzeciej nocy Simona i mnie powitała o drugiej całkowita cisza.

– Chyba budziła się ze względu na nas – powiedział Simon. – Uważała, że tego od niej oczekujemy.

Potem zasnęliśmy, a Bean od tamtej pory odrabiała swoje noce.



Zaczekaj!

Powoli przyzwyczajałam się do życia we Francji. Pewnego dnia, po spacerze w pobliskim parku, oznajmiłam Simonowi, że w końcu dołączyliśmy do światowej elity.

– Może i jesteśmy światowi, ale nie jesteśmy elitą – odparł.

Chociaż radziłam sobie we Francji, tęskniłam za Stanami Zjednoczonymi. Tęskniłam za robieniem zakupów w dresie, uśmiechaniem się do nieznajomych i żartowaniem z nimi, ale przede wszystkim tęskniłam za rodzicami. Trudno mi było uwierzyć, że wychowuję dziecko, podczas gdy dzieli mnie od nich ponad siedem tysięcy kilometrów.

Podobnie czuła się moja matka. Kiedy dorastałam, najbardziej obawiała się tego, że poznam przystojnego cudzoziemca i wyjdę za niego za mąż. Tak często dzieliła się ze mną swoimi obawami, że być może w ten sposób podsunęła mi ten pomysł. Podczas jednej z jej wizyt w Paryżu zaprosiła mnie i Simona na obiad, a potem wybuchnęła płaczem przy stoliku.

– Co oni tutaj mają, czego nie miałybyś w Ameryce? – dopytywała się.

(Gdyby jadła ślimaki, wskazałabym jej talerz, ale niestety zamówiła kurczaka).

Życie we Francji stawało się łatwiejsze, ale nie potrafiłam się naprawdę zasymilować. Przeciwnie – urodzenie dziecka i doskonalenie umiejętności językowych uświadomiły mi, jak bardzo jestem tu obca. Niedługo po tym, jak Bean zaczęła przesypiać nocę, zaprowadziliśmy ją po raz pierwszy do państwowego żłobka, nazywanego tutaj *crèche*. W trakcie wstępnej rozmowy poradziłam sobie z pytaniami o rodzaj używanego smoczka i ulubione pozycje do spania, mieliśmy też przygotowaną kartę szczepień i kontaktowe numery telefonu. Ale jedno pytanie nas zaskoczyło: o której godzinie Bean dostaje mleko?

W kwestii żywienia amerykańscy rodzice są podzieleni na dwa zwalczające się obozy – można to nazwać „walką na jedzenie”. Jeden obóz uważa, że dzieci należy karmić o ustalonych porach, a drugi – że powinny dostawać jeść wtedy, kiedy są głodne. Amerykańska witryna BabyCenter proponuje osiem różnych harmonogramów posiłków dla pięcio- i sześciomiesięcznych dzieci, w tym jeden zakładający karmienie dziesięć razy dziennie.

My stosowaliśmy podejście mieszane. Bean zawsze dostawała mleko zaraz po obudzeniu i tuż przed snem, ale w międzyczasie karmiliśmy ją wtedy, kiedy wydawało się nam, że jest głodna. Simon był zdania, że butelka albo cyc są lekiem na każdy problem – byliśmy gotowi na wszystko, żeby tylko nie płakała.

Kiedy opowiedzieliśmy pani w *crèche* o naszym systemie, popatrzyła na nas, jakbyśmy właśnie się przyznali, że pozwalamy dziecku prowadzić samochód. Jak to nie wiemy, w jakich porach nasza córka jest karmiona?! To problem, który ona niebawem rozwiąże. Jej spojrzenie mówiło, że chociaż mieszkamy w Paryżu, wychowujemy dziecko, które śpi, je – i owszem, prawdopodobnie także robi kupy – jak Amerykanka.

Spojrzenie tej kobiety mówiło też jasno, że także w tym przypadku we Francji nie ma

przeciwstawnych obozów. Rodzice nie zadręczają się tym, jak często ich dzieci powinny jeść. Większość francuskich dzieci, od kiedy skończy cztery miesiące, jada posiłki o ustalonych porach. Podobnie jak w przypadku snu rodzice uważają to za podejście zdroworozsądkowe, a nie za część filozofii wychowawczej.

Jeszcze dziwniejsze wydało mi się to, że wszystkie francuskie dzieci jedzą zazwyczaj w podobnej porze. Znajome matki niemal zawsze mówiły, że ich dzieci dostają jeść około ósmej rano, w południe, o czwartej i ósmej wieczorem. *Twoje dziecko (Votre Enfant)*, cieszący się poważaniem francuski poradnik dla rodziców, zawierał tylko jedno przykładowe menu dla cztero- i pięciomiesięcznych dzieci, wykorzystujące taką właśnie sekwencję posiłków.

We Francji nie mówi się nawet o „karmieniu” dzieci, co może budzić skojarzenia z podrzucaniem siana krowom. Mówi się o „posiłkach”, a ich układ przypomina znajomą mi sekwencję: śniadanie, obiad i kolacja plus podwieczorek. Innymi słowy, już czteromiesięczne dzieci we Francji jedzą w tych samych porach, w jakich będą jadły przez resztę życia (dorośli rezygnują zwykle z podwieczorku).

Można by pomyśleć, że istnienie takiego ogólnokrajowego harmonogramu żywienia dzieci będzie oczywiste, ale ja miałam wrażenie, że to tajemnica państwowa. Jeśli po prostu zapytać francuskich rodziców, czy ich dzieci jedzą zgodnie z jakimś misternym planem, prawie zawsze zaprzeczają. Podobnie jak w przypadku snu – upierają się, że po prostu dostosowują się do „rytmu” dziecka. Kiedy zwracałam uwagę, że najwyraźniej wszystkie francuskie dzieci jedzą mniej więcej w tych samych porach, rodzice machali ręką, traktując to jako zbieg okoliczności.

Jeszcze większą tajemnicą było dla mnie to, że wszystkie dzieci potrafiły wytrzymać cztery godziny między posiłkami. Bean zaczynała się denerwować, kiedy musiała czekać chociaż kilka minut na karmienie, a my denerwowaliśmy się razem z nią. Zaczęłam jednak dostrzegać, że we Francji stale się na coś czeka. Najpierw było oczekiwanie przez rodziców chwili po tym, jak ich dziecko się obudziło, czyli „pauza”. Teraz natrafiłam na harmonogram, w którym należało odczekać dłuższy czas między posiłkami dziecka. No i oczywiście pamiętałam te wszystkie malutkie dzieci czekające grzecznie w restauracji, aż zostanie im przyniesiony obiad.

Francuzi najwyraźniej gremialnie dostąpili cudu – ich malutkie dzieci nie tylko potrafiły czekać, ale również nie były z tego powodu nieszczęśliwe. Czy ta zdolność wyjaśniała różnicę między dziećmi francuskimi a amerykańskimi?

Aby znaleźć odpowiedź na te pytania, napisałam e-mail do Waltera Mischela, światowej sławy eksperta zajmującego się umiejętnością oczekiwania na nagrodę przez dzieci. Jest on obecnie osiemdziesięcioletnim profesorem psychologii na Uniwersytecie Columbia. Wiele o nim czytałam, zapoznałam się także z kilkoma spośród jego licznych prac naukowych. Wyjaśniłam, że mieszkam w Paryżu i gromadzę informacje o francuskim sposobie wychowywania dzieci; zapytałam, czy znalazłby chwilę, żeby porozmawiać ze mną przez telefon.

Profesor Mischel odpowiedział w ciągu kilku godzin i ku mojemu zdumieniu okazało się, że on także jest właśnie w Paryżu. Czy miałabym ochotę wpaść na kawę? Dwa dni później siedzieliśmy przy kuchennym stole w mieszkaniu jego przyjaciółki w Dzielnicy Łacińskiej, rzut kamieniem od Panteonu.

Profesor nie wyglądał nawet na siedemdziesiąt lat, a już na pewno nie na osiemdziesiąt. Miał gładko ogoloną głowę i kipiał skondensowaną energią jak bokser, ale jego twarz była łagodna, niemal dziecięca. Nietrudno było wyobrazić go sobie jako ośmioletniego chłopca z Wiednia, który razem z rodziną uciekł z Austrii, kiedy kraj został zaanektowany przez nazistów.

Jego rodzina ostatecznie osiadła w Brooklynie, a kiedy dziewięcioletni Walter miał iść do szkoły, został przydzielony do przedszkola, żeby nauczyć się angielskiego. Jak wspominał: „Próbowałem chodzić na czworakach, żeby nie wystawać spomiędzy pięciolatków, kiedy nasza grupa szła korytarzem”. Rodzice Mischela, wykształceni i pochodzący z zamożnej klasy średniej, otworzyli tani sklep wielobranżowy i starali się wiązać koniec z końcem. Matka, która w Wiedniu cierpiała na łagodną postać depresji, w Ameryce nabrała energii, ale ojciec nigdy nie pogodził się z taką degradacją społeczną.

Te doświadczenia z dzieciństwa sprawiły, że Mischel patrzył na Amerykę z perspektywy outsidera, i pomogły mu sformułować pytanie, na które szukał odpowiedzi przez większą część swojej kariery naukowej. Po trzydziestce wyrócił do góry nogami naukę o osobowości, twierdząc, że cechy charakteru u ludzi nie są ustalone i zależą od kontekstu. Mimo małżeństwa z Amerykanką i wychowania trzech córek w Kalifornii profesor co roku pielgrzymował do Paryża. „Zawsze czułem się Europejczykiem i uważałem Paryż za stolicę Europy” – powiedział. (Rozwiódł się w 1996 roku i od dziesięciu lat był związany z Francuzką, dzieląc swój czas między Nowy Jork a Paryż).

Najsłynniejszym osiągnięciem Mischela było opracowanie w latach sześćdziesiątych w Stanford „testu cukierka”. Eksperymentator przyprowadzał cztero- lub pięciolatka do pokoju, w którym na stole leżał cukierek. Następnie mówił dziecku, że wyjdzie na chwilę z pokoju. Jeśli dziecko zdoła się powstrzymać do jego powrotu od zjedzenia łakocia, dostanie w nagrodę dwa cukierki. Jeśli zje cukierek, nie dostanie drugiego.

Był to bardzo trudny test. Spośród 653 dzieci, które brały udział w badaniach w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, tylko jedno na troje zdołało powstrzymać się od zjedzenia cukierka przez całe piętnaście minut nieobecności prowadzącego eksperyment. Niektóre zjadały cukierek, kiedy tylko zostały same, a większość była w stanie zaczekać tylko około trzydziestu sekund^[4].

W połowie lat osiemdziesiątych Mischel powtórnie przebadał dzieci z pierwszej grupy eksperymentalnej, teraz już będące nastolatkami. Chciał sprawdzić, czy po latach widać jakieś różnice między dziećmi niecierpliwymi a tymi, które umiały czekać. Jego zespół odkrył bezsporną korelację: im dłużej dziecko potrafiło oprzeć się zjedzeniu cukierka jako czterolatek, tym lepsze wyniki osiągało we wszystkich badanych teraz kategoriach. Dzieci cierpliwe miały na przykład lepszą zdolność koncentracji i rozumowania oraz – zgodnie z raportem opublikowanym przez zespół Mischela w 1988 roku – „nie załamywały się pod wpływem stresu”.

Czy to możliwe, że skłanianie dzieci do oczekiwania na nagrodę – co jest powszechne wśród Francuzów z klasy średniej – naprawdę czyni je spokojniejszymi i odporniejszymi na stres? Czy amerykańskie dzieci z klasy średniej, zazwyczaj przywykłe do tego, że od razu dostają to, czego chcą, będą się załamywać pod wpływem stresu? Czy i w tym przypadku francuscy rodzice – kierując się tradycją i własnym wyczuciem – postępują dokładnie tak, jak zalecają tacy naukowcy jak profesor Mischel?

Bean, która na ogół niemal natychmiast otrzymywała to, czego chciała, potrafiła w jednej chwili dostać ataku hysterii. Podczas każdej wizyty w Ameryce zauważałam, że nieszczęśliwe, wrzeszczące dzieci domagające się wypuszczenia z wózeczka albo rzucające się na chodnik są częścią codziennego życia.

W Paryżu rzadko dochodziło do podobnych scen – francuskie dzieci, nawet bardzo małe, przyzwyczajone do dłuższego czekania, dziwnie spokojnie podchodziły do tego, że ich zachcianki nie są od razu spełniane. Kiedy odwiedzałam francuskie rodziny, zauważałam u dzieci podejrzany brak jęczenia i narzekania. Za to często – w każdym razie znacznie częściej niż w moim domu –

wszyscy spokojnie zajmowali się własnymi sprawami.

We Francji regularnie widywałam coś, co wydawało mi się pomniejszym cudem: rodzice z małymi dziećmi w domu byli w stanie wypić całą filiżankę kawy i prowadzić dłuższą rozmowę. „Czekanie” stanowiło część ich rodzicielskiego języka: zamiast mówić do niesfornych dzieci: „uspokój się” albo: „przestań”, często rzucali tylko krótkie: *attends*, „zaczekaj”.

Profesor Mischel nie poddawał francuskich dzieci testowi cukierka (musiałby zapewne wykorzystać w nim *pain au chocolat*), ale jako długoletni obserwator życia we Francji przyznał, że jest zaskoczony różnicą między dziećmi francuskimi a amerykańskimi.

Powiedział, że w Ameryce „z pewnością można odnieść wrażenie, że umiejętność samokontroli przychodzi dzieciom z coraz większym trudem”. Dotyczyło to po części także jego wnuków. „Nie podoba mi się, że kiedy dzwonię do córki, potrafi mi powiedzieć, że nie może ze mną rozmawiać, ponieważ dziecko szarpie ją za rękę, a ona nie jest w stanie mu wyjaśnić: «Zaczekaj, rozmawiam z dziadkiem»”^[2].

Jeśli dzieci potrafią czekać, życie całej rodziny staje się przyjemniejsze. We Francji dzieci „sprawiają wrażenie bardziej zdyscyplinowanych i wychowywanych w taki sposób, w jaki ja zostałem wychowany” – powiedział profesor Mischel. „Kiedy Francuzi przychodzą z wizytą z małymi dziećmi, można zjeść z nimi francuski obiad... Oczekuje się, że dzieci będą umiały właściwie się zachowywać i cieszyć się posiłkiem”.

„Cieszyć się” jest bardzo ważnym słowem – francuscy rodzice wcale nie spodziewają się, że ich dzieci będą milczące, ponure i posłuszne. Po prostu nie uważają, żeby mogły się one dobrze bawić, jeśli nie potrafią nad sobą panować.

Często słyszałam, jak rodzice we Francji mówili dzieciom, żeby były *sage*. *Sois sage* oznacza tyle, co „bądź grzeczny”, ale niesie ze sobą także głębsze implikacje. Zanim wejdziemy do czyjegoś domu, mówię Bean, żeby była grzeczna – zakładam tym samym, że jest jak dzikie zwierzątko, które musi przez godzinę udawać oswojone, ale w każdej chwili może znowu zacząć szaleć. To sugeruje, że bycie grzecznym jest przeciwne jej prawdziwej naturze.

Kiedy jej mówię, żeby była *sage*, proszę ją nie tylko o stosowne zachowanie, ale również o to, by zastanawiała się nad tym, co robi, i odnosiła z szacunkiem do innych. Zakładam, że posiada wiedzę dotyczącą podobnych okoliczności i potrafi nad sobą zapanować. Daję tym także do zrozumienia, że jej ufam.

Bycie *sage* nie oznacza siedzenia bez ruchu. Francuskie dzieci potrafią świetnie się bawić. W weekendy Bean i jej koledzy godzinami biegali po parku i krzyczeli, a przerwy w przedszkolu, a potem w szkole, także oznaczały nieskrępowaną zabawę. W Paryżu organizuje się bardzo wiele imprez dla dzieci – festiwali filmów dziecięcych, przedstawień teatralnych, warsztatów gotowania – wymagających cierpliwości i skupienia. Znajomym Francuzom zależało, by ich dzieci zgromadziły jak najwięcej doświadczeń, miały kontakt ze sztuką i muzyką.

Byli jednak zdania, że jeśli dzieci nie nauczą się cierpliwości, nie potrafią cieszyć się w pełni takimi zajęciami. Z ich punktu widzenia umiejętność samokontroli, spokojnego panowania nad sobą, zamiast niecierpliwienia się i stawiania żądań, jest tym, co pozwala dzieciom dobrze się bawić.

Rodzice i opiekunowie nie zakładają też, że dzieci mają nieskończoną cierpliwość i że maluchy wysiedzą na koncercie symfonicznym czy na eleganckim bankiecie. Zwykle mówią o czekaniu w kategoriach minut albo sekund.

Nawet tak krótki czas potrafi jednak zrobić ogromną różnicę. Jestem obecnie przekonana, że powodem, dla którego francuskie dzieci rzadziej narzekają lub dostają ataków złości – a już na pewno rzadziej niż dzieci amerykańskie – jest wykształcenie w nich wewnętrznej zdolności radzenia

sobie z frustracją. Nie oczekują, że dostaną to, czego chcą, natychmiast. Kiedy francuscy rodzice mówią o „uczeniu” dzieci, mają tak naprawdę na myśli głównie uczenie ich tego, jak nie zjeść cukierka.

W jaki sposób Francuzi zmieniają zwyczajne dzieci w specjalistów w oczekiwaniu? Czy my także możemy nauczyć Bean cierpliwości?

Profesor Walter Mischel przeglądał setki taśm wideo pokazujących wierzące się czterolatki podczas testu cukierka. Zauważył, że dzieci niecierpliwe były skoncentrowane na cukierku, podczas gdy te, które potrafiły czekać, umiały zająć się czymś innym. „Dzieci, którym z łatwością przychodziło oczekiwanie, podczas eksperymentu śpiewały sobie jakieś piosenki, dłużyły w uszach albo bawiły się palcami” – wyliczał. Te, które nie umiały się niczym zająć i koncentrowały się tylko na cukierku, ostatecznie go zjadały^[3].

Mischel podsumował, że siła woli potrzebna do oczekiwania nie wymaga stoickiego podejścia do życia, ale polega na nauczaniu się technik, które czynią czekanie mniej frustrującym. „Istnieje na to wiele sposobów, spośród których najprostszym i najbardziej bezpośrednim jest... zajęcie się czymś innym” – powiedział.

Rodzice nie muszą jakoś szczególnie wpajać dzieciom „strategii oczekiwania”. Mischel twierdzi, że dzieci dochodzą do tego same, jeśli tylko rodzice dają im okazję do poćwiczenia cierpliwości. „Myślę, że w procesie wychowawczym często zapominamy o tym, jak niezwykle zdolności poznawcze mają małe dzieci, jeśli coś je zainteresuje” – podkreślił.

Dokładnie to robili obserwowani przeze mnie francuscy rodzice. Nie uczyli swoich dzieci bezpośrednio technik oczekiwania, ale stwarzali im mnóstwo okazji, żeby mogły to poćwiczyć.

Pewnego pochmurnego sobotniego popołudnia pojechałam pociągiem podmiejskim do Fontenay-sous-Bois, podparyskiej miejscowości położonej na wschód od miasta. Przyjaciółka umówiła mnie na spotkanie z mieszkającą tam rodziną. Martine, pani domu, była elegancką, czynną zawodowo prawniczką po trzydziestce. Mieszkała z mężem, lekarzem z oddziału ratunkowego, oraz dwójką dzieci w nowoczesnym niskim budynku stojącym pośród drzew.

Natychmiast zauważyłam, jak bardzo mieszkanie Martine przypominało moje własne: zabawki leżały pod ścianami połączonego z otwartą kuchnią salonu (taki układ nazywany jest we Francji *cuisine américaine*). Miałyśmy taki sam sprzęt AGD ze stali nierdzewnej.

Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Mimo obecności dwójki małych dzieci dom Martine miał w sobie spokój, o jakim my mogliśmy tylko pomarzyć. Kiedy przyjechałam, jej mąż pracował w salonie na laptopie, a obok niego spał roczny Auguste. Trzyletnia Paulette, z krótko ostrzyżonymi włosami, siedziała przy kuchennym stole i nakładała masę muffinkową do małych foremek. Kiedy foremka była pełna, ozdabiała ją kolorową posypką i świeżymi żurawinami.

Martine i ja usiadłyśmy na drugim końcu stołu, żeby porozmawiać. Byłam zafascynowana małą Paulette i jej muffinkami – dziewczynka była całkowicie pochłonięta swoim zadaniem. Potrafiła się jakoś powstrzymać od podjadania słodkiej masy, a kiedy skończyła, zapytała mamę, czy może wylizać łyżkę.

– Nie, ale możesz zjeść trochę posypki – odparła Martine, co zachęciło Paulette do wysypania kilku łyżeczek posypki na stół.

Moja córeczka Bean była w tym samym wieku, ale mnie nie przyszłoby do głowy zlecenie jej samodzielnego wykonania tak skomplikowanego zadania. Cały czas bym ją nadzorowała, a ona walczyłaby z moim nadzorem, co oczywiście kosztowałoby nas obie mnóstwo nerwów i narzekania. Bean prawdopodobnie wyjadałaby masę, żurawiny i posypkę za każdym razem, kiedy bym się

odwróciła, a ja z całą pewnością nie mogłabym spokojnie rozmawiać z gościem.

Na pewno nie miałabym ochoty powtarzać więcej takiego przedsięwzięcia. We Francji jednak wspólne pieczenie było cotygodniowym rytuałem. Właściwie za każdym razem, kiedy odwiedzałam francuską rodzinę w weekend, szykowali ciasto albo częstowali mnie plackiem upieczonym wcześniej tego dnia.

Początkowo myślałam, że to z okazji mojej wizyty, ale szybko sobie uświadomiłam, że nie miało to ze mną nic wspólnego. W każdy weekend w Paryżu odbywało się powszechne pieczenie ciasta. Właściwie odkąd dziecko zaczyna siadać, matka włącza je w ten odbywający się co tydzień lub co dwa tygodnie rytuał. Rola maluchów nie ogranicza się do nasypywania mąki albo rozniecenia kilku bananów – rozbijają jajka, odmierzają szklankami cukier i mieszają ciasto z nadnaturalną pewnością siebie. Potrafią właściwie same wszystko zrobić.

Pierwszym ciastem, jakiego uczy się większość francuskich dzieci, jest *gâteau au yaourt* (ciasto jogurtowe) – lekkie, nie za słodkie, do którego można dodać owoce, groszek czekoladowy, cytrynę albo łyżeczkę rumu i które udaje się prawie zawsze. Do odmierzania jego składników wykorzystuje się kubeczki po jogurcie.

Efektem całego tego pieczenia jest nie tylko blacha ciasta, ale także nauczanie dzieci panowania nad sobą. Zajęcie wymagające odmierzania i dodawania składników w odpowiedniej kolejności jest idealnym treningiem cierpliwości. W dodatku francuskie rodziny nie pożerają ciasta, kiedy tylko wyłoni się ono z piekarnika (tak jak ja to robię), lecz czekają, żeby zjeść je na *goûter* – francuski podwieczorek.

Trudno mi wyobrazić sobie świat, w którym mamy nie noszą w torebkach krakersików lub cukierków, przygotowanych w celu łagodzenia nieuniknionych momentów frustracji ich dzieci. Jennifer, reporterka „New York Timesa”, narzekała, że wszelkie zajęcia, w których o dowolnej porze dnia uczestniczy jej córka, wymagają przekąsek^[4]. „Najwyraźniej w naszym kręgu cywilizacyjnym jednogłośnie zdecydowano, że dzieci nie są w stanie wykonywać żadnych czynności, nie wpychając sobie jednocześnie czegoś do dziobów” – napisała.

We Francji *goûter* to oficjalny i jedyny czas na przekąskę. Zazwyczaj wypada około wpół do piątej, kiedy dzieci wracają ze szkoły. Podaje się go o stałej, przestrzeganej przez wszystkich porze, podobnie jak pozostałe posiłki.

Goûter wyjaśnia, dlaczego widziane przeze mnie w restauracji francuskie dzieci jadły z takim apetytem. Były rzeczywiście głodne, ponieważ nie podjadały przez cały dzień. (Dorośli w ciągu dnia piją czasem kawę, ale rzadko coś jedzą. Znajomy, który przyjechał z wizytą do Francji, narzekał, że bardzo trudno było mu znaleźć jakieś przekąski dla dorosłych).

Martine, matka spod Paryża, twierdziła, że nigdy nie starała się specjalnie uczyć dzieci cierpliwości. Jednakże codzienne rytuały w jej rodzinie – jakie widziałam także w wielu innych domach Francuzów z klasy średniej – są nieustającym ćwiczeniem w oczekiwaniu nagrody.

Martine powiedziała, że często kupuje Paulette słodycze, sprzedawane w większości piekarni. Mała może je jednak zjeść dopiero na *goûter*, nawet jeśli musi czekać na ten posiłek wiele godzin. Paulette była do tego przyzwyczajona – Martine musiała czasem przypomnieć jej o obowiązujących zasadach, ale Paulette nie protestowała.

Goûter nie oznacza jednak nieposkromionego obżarstwa. „Było wspaniale, gdy dostawaliśmy ciasto” – wspomina Clotilde Dusoulier, francuska pisarka specjalizująca się w tematyce kulinarnej. „Jednak w pewnym momencie mama zawsze mówiła: «Już wystarczy». To uczyło dzieci umiarkowania”. Clotilde, która niedawno przekroczyła trzydziestkę, w dzieciństwie piekła z matką ciasto „prawie w każdy weekend”.

Nie tylko pory podawania i skład francuskich posiłków sprawiają, że każdy z nich staje się treningiem cierpliwości w kapsułce. Ważne jest także, jak się je i w jakim towarzystwie. Od najmłodszych lat francuskie dzieci są przyzwyczajane do posiłków wielodaniowych, składających się – co najmniej – z przystawki, dania głównego i deseru. Są także przyzwyczajone jeść z rodzicami, co dodatkowo wspomaga naukę cierpliwości. Zgodnie z badaniami UNICEF 90 procent francuskich piętnastolatków kilka razy w tygodniu zjada główny posiłek w towarzystwie rodziców. W Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii odsetek ten wynosi około 67 procent.

Posiłki są spożywane bez pośpiechu – przywoływane wcześniej badania porównawcze kobiet z Rennes we Francji i z Ohio w Stanach Zjednoczonych wykazały, że Francuzki spędzają dziennie dwa razy więcej czasu na jedzeniu niż Amerykanki i z pewnością przekazują swoim dzieciom takie tempo.

Szczęśliwie w domu Martine czas na *goûter* nadszedł właśnie wtedy, kiedy muffinki wyłoniły się z piecyka. Paulette radośnie pochłonęła dwa ciastka, ale Martine nie spróbowała nawet jednego. Najwidoczniej, aby się przed tym powstrzymać, zdołała sobie wmówić, że muffinki to jedzenie dla dzieci. (Niestety, uznała, że ja też to potrafię, i nie poczęstowała mnie).

To jeszcze jeden sposób, w jaki francuscy rodzice uczą dzieci czekania – sami są dla nich przykładem. Dziewczynki dorastające w domach, w których matki nie jedzą muffinek, z pewnością wyrosną na kobiety niejedzące muffinek. (Moja matka ma mnóstwo wspaniałych zalet, ale zawsze jadła muffinki).

Uderzyło mnie to, że Martine nie oczekuje od córki idealnej cierpliwości. Wiedziała, że Paulette będzie czasem podjadać albo popełniać błędy, ale nie reagowała wtedy tak gwałtownie, jak zdarzało się to mnie. Rozumiała, że całe to pieczenie i czekanie jest po to, by kształtować cierpliwość.

Innymi słowy, Martine wykazywała cierpliwość nawet w nauce cierpliwości.

Kiedy Paulette próbowała nam przerwać rozmowę, Martine powiedziała: „Zaczekaj dwie minutki, skarbie. W tej chwili rozmawiam”. Było to zarazem uprzejme i bardzo stanowcze. Zaskoczył mnie zarówno ciepły ton Martine, jak i jej pewność, że Paulette jej posłucha.

Martine uczyła swoje dzieci cierpliwości od najmłodszych lat. Kiedy Paulette była niemowlęciem i płakała, Martine, zanim wzięła ją na ręce, odczekiwała zazwyczaj pięć minut (oczywiście, Paulette zaczęła przesypiać noce, mając dwa i pół miesiąca).

Martine uczyła dzieci także innej umiejętności – samodzielnej zabawy. „Najważniejsze, żeby nauczył się być szczęśliwy we własnym towarzystwie” – powiedziała o swoim synku Auguste.

Dziecko, które potrafi bawić się samo, może skorzystać z tej umiejętności, gdy jego matka rozmawia przez telefon. Jest to coś, co Francuzki starają się zaszcześcić swoim dzieciom zdecydowanie częściej niż Amerykanki. Według badań, do których udało mi się dotrzeć, Amerykanki z wyższym wykształceniem twierdziły, że zachęcanie dziecka do samodzielnej zabawy jest średnio istotne, podczas gdy dla Francuzek z porównywalnej grupy było to niezwykle ważne^[5].

Rodzice ceniący tę umiejętność są prawdopodobnie bardziej skłonni zostawić dziecko w spokoju, kiedy bawi się samo. Gdy francuskie matki twierdzą, że należy wyciągać wnioski z naturalnego rytmu dziecka, mają na myśli także to, że kiedy jest zajęte zabawą, nie należy mu przeszkadzać.

To najwyraźniej kolejny przykład intuicyjnego stosowania ustaleń naukowców przez francuskich rodziców i opiekunów. Walter Mischel twierdził, że najgorszym „koszmarem” dziecka między osiemnastym a dwudziestym czwartym miesiącem życia jest chwila, gdy jest ono „zajęte i zadowolone, a w tym momencie wkracza matka z widelcem pełnym szpinaku (...)”.

„Najgorzej radzą sobie matki, które ingerują, kiedy dziecko jest zajęte i nie chce ani nie

potrzebuje ich obecności, za to nie ma ich wtedy, kiedy dziecko szuka ich towarzystwa. Umiejętność rozpoznania tych potrzeb jest kluczowa”.

Rzeczywiście, prowadzone na ogromną skalę przez rząd amerykański badania dotyczące opieki nad dziećmi^[6] pokazały, że szczególnie istotne jest „wyczulenie” matki – zdolność dostrajania się do tego, w jaki sposób dziecko odbiera świat. „Wyczulona matka jest świadoma potrzeb, nastrojów, zainteresowań i możliwości dziecka” – podsumowano w opisie badania. „Kieruje się tą wiedzą podczas interakcji z dzieckiem”. I odwrotnie, matka pogrążona w depresji ma zły wpływ na dziecko, ponieważ własny stan psychiczny nie pozwala jej na dostrojenie się do niego.

Przekonanie profesora Mischela o wadze tego wyczulenia nie bierze się tylko z wyników badań. Opowiadał, że jego matka była na przemian nadopiekuńcza i nieobecna. Nigdy nie nauczył się jeździć na rowerze, ponieważ matka za bardzo bała się wypadku, by pozwolić mu na naukę, a jednocześnie żadne z rodziców nie przyszło, żeby posłuchać, jak wygłasza mowę pożegnalną podczas ceremonii ukończenia szkoły średniej.

Oczywiście, amerykańscy rodzice chcą, żeby ich dzieci były cierpliwe. Powtarzamy, że „cierpliwość jest cnotą”, zachęcamy nasze maluchy, żeby dzieliły się z innymi, czekały na swoją kolej, nakrywały do stołu i uczyły się gry na pianinie. Nie doskonaliśmy jednak tej umiejętności tak pieczołowicie, jak rodzice francuscy. Podobnie jak w przypadku snu składamy zwykle umiejętność czekania lub jej brak na karb indywidualnych różnic temperamentu. Z amerykańskiego punktu widzenia rodzice albo mają szczęście i trafia im się dziecko cierpliwe, albo nie.

Francuscy rodzice i opiekunowie nie mogli uwierzyć, że Amerykanie są tak liberalni w kwestii tej kluczowej umiejętności. Uważają, że wychowywanie dziecka, które domaga się natychmiastowej reakcji, czyniłoby ich życie nieznośnym. Kiedy wspomniałam o tematyce tej książki na spotkaniu towarzyskim w Paryżu, gospodarz – francuski dziennikarz – opowiedział historię z czasu, kiedy przez rok mieszkał w Kalifornii Południowej. On i jego żona, prawniczka, zaprzyjaźnili się z pewną amerykańską parą i postanowili spędzić wspólnie weekend w Santa Barbara. Po raz pierwszy wtedy spotkali nawzajem swoje dzieci, w wieku od siedmiu do piętnastu lat.

Z punktu widzenia moich gospodarzy weekend szybko zamienił się w koszmar. Choć od tamtego czasu minęło już wiele lat, oni nadal wspominali, jak często amerykańskie dzieci przerywały dorosłym w pół słowa. Nie było też ustalonych pór posiłków – amerykańskie dzieci brały jedzenie z lodówki, kiedy tylko chciały.

Dla pary francuskiej wyglądało to tak, jakby amerykańskie dzieci rządziły w domu.

– Uderzyło nas i nie dawało nam spokoju to, że rodzice nigdy nie mówili im „nie” – wspominał dziennikarz.

– Uważali, że to *n’importe quoi* – dodała jego żona. – Najgorsze, że nasze dzieci także zaczęły uważać, że to *n’importe quoi*.

Po chwili uświadomiłam sobie, że kiedy Francuzi opisują zachowanie amerykańskich dzieci, zwykle używają frazy *n’importe quoi*, co oznacza „nieważne” albo „co tylko chcesz”. Sugerowali w ten sposób, że amerykańskie dzieci nie mają wytyczonych jasnych granic, że ich rodzicom brakuje autorytetu i że wszystko jest dozwolone. Takie zachowanie było antytezą francuskiego ideału, czyli *cadre* – ramy. *Cadre* oznacza, że dzieci mają bardzo jasno wytyczone granice zachowania, a rodzice ściśle pilnują ich przestrzegania. W obrębie tych granic dzieci otrzymują jednak mnóstwo swobody.

Oczywiście amerykańscy rodzice także wytyczają granice, ale często zupełnie inne niż francuscy – w gruncie rzeczy te amerykańskie granice często wydają się Francuzom szokujące. Laurence, niania z Normandii, powiedziała mi, że nie zatrudnia się już u amerykańskich rodzin, podobnie jak kilka jej

koleżanek po fachu. Z ostatniej takiej pracy zrezygnowała po kilku miesiącach, głównie z powodu problemów z ustaleniem pewnych norm.

Laurence była wysoka, krótko ostrzyżona, łagodna, ale rzeczowa. Nie chciała mnie urazić, ale przyznała, że w porównaniu z francuskimi rodzinami, dla których pracowała, w domach Amerykanów było znacznie więcej płaczu i jęczenia. (Wtedy po raz pierwszy usłyszałam onomatopieczny czasownik francuski *chuinte* – „jęczeć”).

W ostatniej amerykańskiej rodzinie, dla której pracowała, była trójka dzieci w wieku ośmiu i pięciu lat oraz osiemnastu miesięcy. W przypadku pięciolatki „jęczenie było jej ulubionym zajęciem. Jęczała bezustannie, w każdej chwili gotowa się rozpłakać”. Laurence uważała, że najlepiej będzie ignorować jej zachowanie, żeby się nie utrwałało. Ale matka dziewczynki – która często była w domu, w drugim pokoju – zazwyczaj przybiegała i spełniała dowolną zachciankę małej.

Laurence opowiadała, że ośmioletni chłopczyk był jeszcze gorszy. „Zawsze chciał trochę więcej i trochę więcej”. Wspominała, że kiedy jego rosnące żądania nie mogły zostać spełnione, wpadał w histerię.

Laurence twierdzi, że w takiej sytuacji „dziecko jest mniej szczęśliwe. Czuje się zagubione. W rodzinach, w których obowiązują jasne zasady, nie przesadnie surowych, ale stosujących jakiś *cadre*, życie toczy się znacznie łatwiej”.

W przypadku Laurence czara goryczy przelała się, kiedy matka amerykańskiej rodziny zażądała, żeby dwójka starszych dzieci była na diecie. Laurence odmówiła i zapowiedziała, że będzie im po prostu podawać pełnowartościowe posiłki. Potem odkryła, że kiedy około wpół do dziewiątej wieczorem kładła dzieci do łóżka i wychodziła, matka dawała im jeszcze ciasteczka albo ciasto.

– Były korpulentne – powiedziała Laurene o trójce dzieci.

– Korpulentne? – zapytałam.

– Powiedziałam „korpulentne”, żeby nie powiedzieć „grube” – wyjaśniła.

Chciałabym złożyć tę historię na karb stereotypów – na pewno nie wszystkie amerykańskie dzieci zachowują się w taki sposób, a francuskie również często przyjmują postawę *n’importe quoi*. (W przyszłości Bean miała powiedzieć do ośmiomiesięcznego brata, naśladując nauczycielkę: *Tu ne peux pas faire n’importe quoi* – „Nie możesz robić tego, co ci się podoba”).

Niemniej, szczerze mówiąc, we własnym domu obserwowałam amerykańskie dzieci zachowujące się w klasyczny sposób *n’importe quoi*¹⁴. Kiedy odwiedzali nas znajomi Amerykanie, dorośli spędzali większość czasu, biegając za dziećmi albo zajmując się nimi w inny sposób.

– Może za jakieś pięć lat uda nam się porozmawiać – zażartowała koleżanka z Kalifornii, która przyjechała do Paryża z mężem i dwiema córeczkami, siedmio- i czteroletnią. Od godziny próbowaliśmy dopić herbatę.

Przyszli do nas po całodziennym zwiedzaniu Paryża, podczas którego ich młodsza córka, Rachel, dostała kilku imponujących ataków złości. Kiedy szykowałam obiad, oboje rodzice przyszli do kuchni, żeby mi powiedzieć, że ich dziewczynki nie mogą już dłużej czekać. Gdy w końcu usiedliśmy do obiadu, pozwolili Rachel wpełznąć pod stół, podczas gdy reszta z nas (łącznie z Bean) jadła posiłek. Rodzice tłumaczyli, że Rachel jest bardzo zmęczona, więc nie panuje nad sobą, a potem zaczęli się rozwodzić nad jej niezwykłymi zdolnościami w zakresie czytania i nad tym, że może zostać przyjęta do przedszkola dla wybitnie uzdolnionych dzieci.

Podczas posiłku poczułam, że coś dotyka mojej nogi.

– Rachel mnie łaskocze – powiedziałam nerwowo do jej rodziców, a chwilę potem wrzasnęłam.

Wybitnie uzdolnione dziecko mnie ugryzło.

Określanie granic nie jest, rzecz jasna, wynalazkiem francuskim. Wielu amerykańskich rodziców i ekspertów także uważa, że granice są istotne, ale w Stanach Zjednoczonych pogląd ten ściera się z opinią, że dzieci powinny móc wyrażać siebie. Czasem odnosiłam wrażenie, że rzeczy, których chce Bean – wypić sok jabłkowy zamiast wody, założyć kostium księżniczki do parku, podróżować na rękach zamiast w wózku – są czymś niewzruszonym i pierwotnym. Nie zgadzałam się na wszystko, ale ciągłe tłumienie jej potrzeb wydawało mi się złe, a może nawet szkodliwe.

Niezwykle trudno było mi wyobrazić sobie Bean jako dziecko, które będzie w stanie wysiedzieć spokojnie podczas czterodaniowego obiadu albo bawić się po cichu, kiedy rozmawiam przez telefon. Nie byłam nawet pewna, czy chcę tego od niej wymagać. Czy nie złamię jej charakteru? Czy tłumiąc jej prawo do wyrażania siebie, nie zniweczę szans na to, że wymyśli nowego Facebooka? Przez te wszystkie wątpliwości często się poddawałam.

I nie tylko ja. Na przyjęcie z okazji czwartych urodzin Bean jeden z jej anglojęzycznych kolegów przyszedł z dwoma prezentami – jednym dla niej, a drugim dla siebie. Jego matka powiedziała, że zdenerwował się w sklepie, ponieważ prezent miał być nie dla niego. Moja przyjaciółka Nancy podzieliła się ze mną nową filozofią wychowawczą, która miała wyeliminować kłótnie: nigdy nie mów dziecku „nie”, a nie będzie mogło ci się sprzeciwić.

We Francji odmowie nie towarzyszą tak sprzeczne uczucia. „Musisz nauczyć dziecko frustracji” – głosi francuska maksyma rodzicielska. W mojej ulubionej serii francuskich książeczek dla dzieci *Prawdziwa Księżniczka (Princesse Parfaite)* jest ilustracja, na której bohaterka, Zosia, ciągnie matkę za rękę w stronę stoiska z naleśnikami. Tekst pod rysunkiem wyjaśnia: „Przechodząc obok *crêperie*, Zosia zrobiła scenę. Chciała naleśnika z dżemem jeżynowym. Jej mama się nie zgodziła, ponieważ właśnie zjadły obiad”.

Na następnej stronie Zosia wraca do sklepu w stroju tytułowej Prawdziwej Księżniczki. Tym razem zasłania sobie oczy, żeby nie zobaczyć sterty świeżych maślanych bułeczek. Zachowuje się *sage*. „Zosia wiedziała, że aby uniknąć pokusy, trzeba odwrócić głowę” – głosi opis.

Warto zauważyć, że w pierwszej scenie Zosia płacze, kiedy nie dostaje tego, czego chce, ale w drugiej, kiedy sama odwraca swoją uwagę, jest uśmiechnięta. Przesłanie jest czytelne: dzieci zawsze będą miały ochotę poddać się impulsowi chwili, ale będą szczęśliwsze, jeśli zachowają się *sage* i zapanują nad sobą. (Warto przy okazji dodać, że paryscy rodzice nie pozwalają swoim małym córeczkom chodzić na zakupy w kostiumach księżniczek – są one przeznaczone tylko na dziecięce bale albo na przebieranki w domu).

W książce *Szczęśliwe dziecko (Un enfant heureux)* francuski psycholog Didier Pleux dowodzi, że najlepszym sposobem na zapewnienie dziecku szczęścia jest sfrustrowanie go. „To nie znaczy, że należy zabraniać mu zabawy albo odmawiać przytulania” – tłumaczy Pleux. „Należy szanować upodobania dziecka, jego rytm i indywidualność. Musi się jednak nauczyć, i to już w najmłodszych latach, że nie jest samo na świecie i że na wszystko jest odpowiednia pora”.

Przekonałam się, jak odmienne oczekiwania wobec dzieci żywi się we Francji, podczas wspomnianych już wakacji nad morzem, gdy zobaczyłam francuskie dzieci jedzące z zadowoleniem w restauracji – zabrałam półtoraroczną Bean do sklepu pełnego idealnie ułożonych stosików marynarskich T-shirtów w żywych kolorach. Bean natychmiast zaczęła je rozrzucać i właściwie nie zareagowała, kiedy ją skarciłam.

W moim odczuciu zachowanie Bean, biorąc pod uwagę jej wiek, było zupełnie normalne, dlatego dużym zaskoczeniem były dla mnie – wypowiedziane bez złośliwości – słowa sprzedawczyni:

– Nigdy nie widziałam, żeby dziecko tak się zachowywało.

Jedyne, co mogłam zrobić, to przeprosić i wyjść.

Profesor Walter Mischel podkreślał, że uleganie dziecku może zapoczątkować niebezpieczne błędne koło: „Jeśli dziecko się przekona, że kiedy każą mu czekać, a ono zacznie krzyczeć, mama od razu przyjdzie i czekanie się skończy, to bardzo szybko się nauczy, że nie trzeba czekać. Niecierpliwość, krzyki, kontynuacja złego zachowania i jęczenie zostaną w ten sposób nagrodzone”.

Francuscy rodzice zachwycają się tym, że każde dziecko ma odmienny temperament, ale ich zdaniem zdrowe dziecko jest zdolne do niejęczenia, niezałamywania się po usłyszeniu „nie” i – mówiąc ogólnie – niedomagania się uwagi rodziców czy ściągania wszystkich rzeczy w ich zasięgu.

Rodzice we Francji są skłonni postrzegać nagłe żądania dziecka jako *caprices* – impulsywne zachcianki albo kaprysy. Nie sprawia im trudności odmawianie w takim przypadku. „Uważam, że Francuzki szybciej niż Amerykanki zaczynają rozumieć, że dzieci miewają zachcianki i że tych zachcianek nie należy spełniać” – powiedział mi pediatra zajmujący się zarówno francuskimi, jak i angielskimi dziećmi.

Francuska psycholożka napisała^[8], że kiedy dziecko ma *caprice* – na przykład w sklepie zaczyna się nagle domagać zabawki – matka powinna zachować absolutny spokój i łagodnie mu wytłumaczyć, że tego dnia nie planowali kupowania zabawki. Potem może spróbować odwrócić uwagę dziecka, na przykład opowiadając historię ze swojego życia. „Historie o rodzicach są dla dzieci zawsze interesujące” – pisała. (Kiedy to przeczytałam, zaczęłam w każdej sytuacji kryzysowej krzyczeć do Simona: „Opowiedz historię ze swojego życia!”).

Psycholożka zaleca, by przez cały ten czas matka pozostawała w bliskim kontakcie z dzieckiem, obejmując je albo patrząc mu w oczy. Musi też jednak sprawić, by dziecko zrozumiało, że „nie może dostawać wszystkiego od razu. Absolutnie kluczowe jest, żeby nie doszło do wniosku, że jest wszechmocne, że może robić, co chce, i dostawać wszystko”.

Francuscy rodzice nie obawiają się, że frustrując dziecko, skrzywdzą je. Przeciwnie – uważają, że ich dzieci zostaną skrzywdzone, jeśli nie nauczą się radzić sobie z frustracją. Traktują tę zdolność jako jedną z podstawowych umiejętności życiowych, którą po prostu trzeba opanować. Rodzice zaniedbują dziecko, jeśli zaniechają tej nauki.

Niania Laurence powiedziała, że jeśli dziecko chce, żeby je wzięła na ręce, kiedy jest zajęta gotowaniem, odpowiada mu, że teraz nie może tego zrobić, a potem wyjaśnia dlaczego. Przyznała też, że jej podopieczni nie zawsze przyjmują to spokojnie, ale ona pozostaje stanowcza i pozwala dziecku wyrazić niezadowolenie.

– Nie dopuszczam, żeby płakało przez osiem godzin, ale pozwalam mu popłakać – opowiadała. – Tłumaczę mu, że nie mogłam postąpić inaczej.

Tak często się działo, kiedy miała pod opieką kilkoro dzieci jednocześnie.

– Jeśli zajmuję się jednym, a inne chce mojej uwagi, biorę je na ręce, jeśli mogę. Ale jeśli nie mogę, pozwalam mu płakać.

Francuskie przekonanie, że nawet malutkie dzieci powinny umieć czekać, wywodzi się po części z mroczniejszych dni francuskiego systemu wychowawczego, kiedy żądano od nich, by były spokojne i posłuszne. Wiąże się także z poglądem, że nawet najmniejsze dzieci to istoty zdolne do rozumowania i nauki. Zgodnie z nim, kiedy bieглиśmy, żeby nakarmić Bean za każdym razem, gdy zakwiliła, traktowaliśmy ją jak osobę uzależnioną, podczas gdy oczekiwanie, że potrafi wykazać się cierpliwością, byłoby okazaniem jej szacunku.

Podobnie jak w przypadku nauki zasypiania francuscy eksperci uważają naukę radzenia sobie z odmową za jeden z najważniejszych kroków w rozwoju dziecka. Zmusza je to do zrozumienia, że

na świecie są inni ludzie, z potrzebami równie ważnymi jak jego własne. Francuski psychiatra dziecięcy napisał, że ta *éducation* powinna się zacząć, kiedy dziecko ma od trzech do sześciu miesięcy. „Matka od czasu do czasu pozwala mu chwilę poczekać, w ten sposób przyzwyczajając je do koncepcji upływu czasu. Te chwile frustracji, które rodzice codziennie mu narzucają, w połączeniu z ich miłością pozwalają mu opierać się pokusom i w wieku dwóch–czterech lat wyrzec się przekonania, że jest ono wszechpotężne. To właśnie czyni z niego człowieka – takie wyrzeczenie nie musi być wyraźnie widoczne, ale jest niezbędnym elementem przejścia”^[9].

Z francuskiego punktu widzenia nie pomagam Bean, spełniając jej zachcianki. Eksperci i rodzice uważają, że odmowa daje dziecku szansę, by wyzwolić się z tyranii własnych pragnień. „Jako małe dziecko masz nieograniczone potrzeby i pragnienia. To normalne. Rolą rodziców jest powstrzymać ten proces – dlatego przeżywa ono frustrację” – tłumaczy Caroline Thompson, psycholożka rodzinna prowadząca dwujęzyczny gabinet w Paryżu.

Thompson, której matka była Francuzką, a ojciec Anglikiem, podkreślała, że dzieci często złoszczą się na rodziców, kiedy coś zostaje im zabronione. Powiedziała, że kiedy anglojęzyczni rodzice znajdują się w takiej sytuacji, zwykle uważają, że robią coś źle, więc tłumaczy im, że nie wolno mylić rozzłoszczenia dziecka z błędami wychowawczymi.

Przeciwnie: „Jeśli rodzice nie potrafią znieść myśli o tym, że dziecko ich nie cierpi, będą unikać frustrowania go. Wtedy dziecko zostanie podporządkowane własnej tyranii, będzie musiało się zmagać ze swoją chciwością i potrzebami. Jeśli rodzice nie umieją go powstrzymać, samo musi nauczyć się powstrzymywać – lub też nie – a to dla niego znacznie bardziej frustrujące”.

Poglądy Thompson są zgodne z tym, co można uznać za konsensus we Francji: wytyczanie dzieciom granic i zmuszanie ich do radzenia sobie z frustracją czyni je szczęśliwszymi i lepiej przystosowującymi się do otoczenia ludźmi. Jednym z głównych sposobów na łagodną naukę frustracji jest zmuszanie dzieci w życiu codziennym, żeby chwilę poczekały. Podobnie jak w przypadku „pauzy”, będącej sposobem na sen, francuscy rodzice skupiają się na tej jednej rzeczy: traktują czekanie nie jako jedną z wielu ważnych spraw, ale jako podstawę wychowywania dziecka.

Nadal zadziwiał mnie ogólnofrancuski harmonogram żywienia dzieci. Jakim cudem wszystkie dzieci we Francji uczą się jeść o tych samych porach, skoro nikt ich do tego nie zmusza? Kiedy o tym wspominałam, matki – jak zwykle – zaczynały się rozwodzić nad rytmem i elastycznością, a także nad tym, że każde dziecko jest inne.

Po pewnym czasie uświadomiłam sobie jednak, że jest kilka zasad, które traktują one jako oczywiste i często nawet o nich nie wspominają. Pierwsza głosiła, że po kilku miesiącach życia dziecko powinno jeść mniej więcej o stałych porach. Druga – że dzieciom należy podawać większe porcje, ale rzadziej, a nie małe, za to bardzo często. A trzecia – że dzieci powinny dostosować się do rytmu życia rodziny.

Matki rzeczywiście nie zmuszają dzieci do jedzenia o określonych porach, ale łagodnie kierują je we właściwą stronę, przestrzegając powyższych trzech zasad. Autorka poradnika *Twoje dziecko* twierdzi, że idealnym podejściem jest karmienie dziecka przez pierwszych kilka miesięcy piersią na żądanie, a potem „stopniowe i elastyczne przechodzenie na określone godziny, odpowiadające rytmowi dnia codziennego”.

Jeśli dziecko budzi się o siódmej czy ósmej, a rodzice stosują się do powyższych zasad i uważają, że przerwy między posiłkami powinny trwać mniej więcej cztery godziny, zostanie ono przyzwyczajone do ogólnofrancuskiego harmonogramu. Zje coś rano, potem około południa, popołudniowe karmienie wypadnie mniej więcej o czwartej, a w końcu dostanie jeść o ósmej

wieczorem, zanim zostanie położone spać. Jeśli zacznie płakać o wpół do jedenastej, rodzice uznają, że dla jego dobra lepiej będzie, jeśli zaczeka do południa i wtedy dostanie większą porcję. Dostosowanie się do tego rytmu może zająć trochę czasu – rodzice pracują nad tym stopniowo, bez gwałtownych przejść. W końcu jednak dziecko przyzwyczaja się do tego tak samo jak dorośli, i cała rodzina może jeść posiłki razem.

Martine twierdziła, że przez pierwsze miesiące karmiła Paulette na żądanie. Około trzeciego miesiąca, żeby skłonić ją do czekania trzy godziny między karmieniami, zaczęła zabierać małą na spacer, albo wkładać w nosidełko – dzięki temu ta zwykle szybko przestawała płakać. Tak samo postąpiła, żeby zwiększyć odstępy między posiłkami do czterech godzin. Powiedziała, że nigdy nie pozwalała, żeby jej dziecko bardzo długo płakało. Stopniowo dopasowywało się do rytmu jedzenia cztery razy dziennie. „Byłam bardzo elastyczna, taka już jestem” – opowiadała.

Kluczowe założenie mówi, że wszyscy mają swój rytm – zarówno dziecko, jak i jego rodzice oraz cała rodzina. We Francji dąży się do równowagi między tymi rytmemi. *Twoje dziecko* wyjaśnia: „Ty i twoje dziecko macie własne prawa i każda decyzja musi być kompromisem”.

Lekarz pediatra opiekujący się Bean nigdy nie wspominał mi o czteroposiłkowym harmonogramie. Przy jednej z wizyt był jednak nieobecny i zastępowała go młoda Francuzka, mająca córeczkę w wieku Bean. Kiedy zapytałam ją o plan posiłków, odpowiedziała, że – *bien sûr* – Bean powinna jeść cztery razy dziennie, a potem sięgnęła po karteczkę i rozpisała harmonogram. Był mi dobrze znany: rano, południe, czwarta po południu, ósma wieczorem. Kiedy później zapytałam stałego pediatrę, dlaczego nigdy o tym nie wspominał, powiedział, że woli nie sugerować tego harmonogramu amerykańskim rodzicom, ponieważ zwykle podchodzą do niego zbyt sztywno.

Stopniowe przyzwyczajanie Bean do stałych pór posiłków zajęło nam kilka tygodni, ale było warto. Okazało się, że Bean potrafi czekać – musiała tylko trochę poćwiczyć.

Gâteau au yaourt (Ciasto jogurtowe)

2 kubeczki jogurtu naturalnego po 150 g (puste kubeczki posłużą do odmierzenia innych składników)

2 jajka

2 kubeczki cukru (lub jeden, zależnie od tego, jak słodkie ciasto lubimy)

1 łyżeczka wanilii

niepełny kubeczek oleju roślinnego

4 kubeczki mąki

1 1/2 łyżeczki proszku do pieczenia

ewentualnie kwaśna śmietana

Nagrząć piekarnik do 200°C.

Olejem roślinnym nasmarować tortownicę o średnicy 25 cm lub podłużną foremkę do pieczenia.

Ostrożnie wymieszać jogurt, jajka, cukier, wanilię i olej. W drugiej miseczce wymieszać mąkę z proszkiem do pieczenia. Wsypać suche składniki do mokrych, mieszać ostrożnie, aż się połączą (nie za długo). Można też wsypać 2 kubeczki zamrożonych owoców, kubeczek czekoladowego

groszku lub inne ulubione dodatki. Piec przez 35 minut, następnie nakłuć patyczkiem – jeśli ciasto nadal jest wilgotne, piec jeszcze 5 minut. Ciasto powinno być lekko chrupiące z wierzchu, ale sprężyste w środku. Zostawić do wystygnięcia. Smakuje wybornie podawane z herbatą i kleksem śmietany.



Malutki człowiek

Kiedy Bean miała półtora roku, zapisaliśmy ją do Centrum Adaptacyjnego dla Małych Dzieci na zajęcia Aquatic Milieu, nazywane także „Maluchy w wodzie”. Były one płatne, organizowane przez miejscowy urząd dzielnicy i odbywały się w każdą sobotę na jednym z pobliskich basenów.

Miesiąc przed pierwszymi zajęciami organizatorzy wezwali uczestników na spotkanie informacyjne. Inni rodzice byli bardzo podobni do nas – z wyższym wykształceniem, gotowi wstawać wcześniej w sobotę, żeby ich dziecko nauczyło się pływać. Każdej rodzinie przydzielono czterdzieści pięć minut o określonej godzinie, przypomniano także, że – podobnie jak na wszystkich basenach publicznych w Paryżu – mężczyźni muszą nosić kąpielówki, nie bokserki.

We troje przybyliśmy na basen, rozebraliśmy się w szatni koedukacyjnej i założyliśmy kostiumy kąpielowe tak dyskretnie, jak to było możliwe. Potem wraz z innymi rodzicami i dziećmi weszliśmy do basenu. Bean rzucała nadmuchiwaną piłką, zjeżdżała na zjeżdżalni i zeskakiwała do wody z nadmuchiwanym materacy. W pewnym momencie podpłynął do nas instruktor, przedstawił się i odpłynął. Zanim się obejrzelśmy, nasz czas się skończył i do basenu wskoczyła następna zmiana rodziców z dziećmi.

Uznałam, że pewnie były to zajęcia wstępne, a lekcje zaczną się od przyszłego tygodnia. Ale następnym razem było tak samo: mnóstwo chłapania się w wodzie, ale nikogo, kto by uczył dzieci machania nogami, wydychania bąbelków czy innych podstaw pływania. Nie dostawaliśmy w ogóle żadnych wskazówek – co pewien czas tylko ten sam instruktor podpływał i sprawdzał, czy jesteśmy zadowoleni.

W końcu osaczyłam go w rogu basenu i zapytałam, kiedy zacznie uczyć moją córeczkę pływania. Uśmiechnął się pobłaźliwie i odpowiedział, jakby to było całkowicie oczywiste:

– Na tych zajęciach dzieci nie uczą się pływać.

Później dowiedziałam się, że paryskie dzieci są zwykle zapisywane na naukę pływania, kiedy skończą co najmniej sześć lat. Po co w takim razie tu przychodziliśmy? Okazało się, że celem zajęć jest umożliwienie dzieciom „odkrycia” wody i „otwarcia oczu” na wrażenia towarzyszące przebywaniu w niej.

Co takiego?! Bean już dawno „odkryła” wodę w wannie. Teraz chciałam, żeby nauczyła się pływać! I to jak najwcześniej, najlepiej zanim skończy dwa lata. Wydawało mi się, że za to właśnie zapłaciłam i dlatego wyciągałam całą rodzinę z łóżka w zimny sobotni poranek.

Kiedy rozejrzałam się dookoła, uświadomiłam sobie, że wszyscy ci rodzice na zebraniu informacyjnym wiedzieli, że zapisują dzieci na zajęcia polegające na „odkrywaniu” wody i „otwieraniu oczu”, a nie na nauce pływania. Czy ich dzieci miały także „odkrywać” pianino, zamiast uczyć się gry na nim?

Zrozumiałam, że nie chodzi tu tylko o to, że francuscy rodzice robią pewne rzeczy inaczej – oni mają kompletnie odmienną wizję tego, jak dzieci się uczą i kim są. Okazało się, że mój problem nie

dotyczył tylko lekcji pływania, ale miał podłoże filozoficzne.

W latach sześćdziesiątych szwajcarski psycholog Jean Piaget przyjechał do Stanów Zjednoczonych, aby propagować swoją teorię stadiów rozwoju u dzieci. Po niemal każdym odczycie ktoś z publiczności zadawał pytanie, które Piaget zaczął określać jako „pytanie amerykańskie”. Brzmiało tak: „Jak możemy przyspieszyć te stadia?”. Wtedy on odpowiadał: „Ale po co je przyspieszać?”. Jego zdaniem zbyt wczesne zmuszanie dzieci do opanowywania nowych zdolności nie było ani możliwe, ani pożądane. Uważał, że dzieci będą się rozwijać we własnym rytmie, napędzane własnymi siłami wewnętrznymi.

„Pytanie amerykańskie” streszcza podstawową różnicę między rodzicami amerykańskimi a francuskimi. Amerykanie uważają, że ich zadaniem jest przepychać, stymulować i przenosić dzieci z jednego stadium rozwoju do następnego. Zakładamy, że im szybciej rozwijają się nasze dzieci, tym lepszymi jesteśmy rodzicami. Część zaprzyjaźnionych anglojęzycznych matek w Paryżu chwaliła się podczas grupowych spotkań, że ich dzieci uczęszczają na lekcje muzyki albo bawią się z dziećmi mówiącymi w języku portugalskim. Zwykle jednak te same matki stawały się małomówne, jeśli chodziło o jakiegokolwiek szczegóły dotyczące tych zajęć, byle tylko nikt inny nie mógł zapisać na nie swojego dziecka. Nigdy nie przyznałyby otwarcie, że rywalizują z innymi matkami, ale taki wniosek sam się nasuwał.

Tymczasem rodzicom francuskim nie zależy na tym, żeby ich dzieci koniecznie miały przewagę nad innymi. Nie zmuszają ich do wcześniejszej nauki czytania, pływania czy matematyki, nie próbują wyhodować małych geniuszy. Nie odnosiłam wrażenia, że – potajemnie czy nie – uczestniczę z nimi w wyścigu o jakąś nienazwaną nagrodę. Francuzi zapisują dzieci na tenis, szermierkę czy zajęcia z angielskiego, ale nie chlubią się tym jako dowodem na to, że są dobrymi rodzicami. Nie pilnują się także, opowiadając o tych lekcjach, jakby były one rodzajem tajnej broni. We Francji dziecko nie jest zapisywane na odbywające się w sobotnie poranki zajęcia muzyczne w celu aktywacji określonych sieci neuronów, tylko po to, żeby dobrze się bawiło. Podobnie jak nasz instruktor pływania francuscy rodzice wierzą w „otwieranie oczu” i „odkrywanie”.

Tak naprawdę rodzice we Francji inaczej patrzą na samą naturę dziecka. Kiedy zaczynałam poznawać ten punkt widzenia, natrafiłam na dwoje ludzi, których dzieliło dwieście lat – na filozofa Jeana Jacques’a Rousseau i kobietę, o której nigdy wcześniej nie słyszałam – Françoise Dolto. Ta dwójka wywarła ogromny wpływ na francuski sposób wychowywania dzieci, a duch ich poglądów pozostaje we Francji nadal żywy.

Współczesna francuska filozofia wychowawcza wywodzi się od Rousseau. Sam filozof nie był wzorowym ojcem (podobnie jak Piaget, nie był nawet Francuzem). Urodził się w 1712 roku w Genewie, a jego dzieciństwo trudno uznać za udane: matka zmarła dziesięć dni po tym, jak przyszedł na świat, a jedyny starszy brat uciekł z domu. Później jego ojciec, zegarmistrz, musiał opuścić Genewę z powodu problemów w interesach, pozostawiając małego Jeana Jacques’a pod opieką wuja. Rousseau w końcu przeprowadził się do Paryża, gdzie oddał własne dzieci niedługo po ich urodzeniu do sierocińca. Twierdził, że miało to chronić cześć ich matki, byłej szwaczki, którą zatrudniał jako służącą.

Wszystko to nie powstrzymało jednak Rousseau przed opublikowaniem w 1762 roku traktatu pedagogicznego zatytułowanego *Emil, czyli o wychowaniu*. Opisuje w nim edukację fikcyjnego chłopca imieniem Emil (który, gdy dorósł, spotkał uroczą i równie fikcyjną Zofię). Niemiecki filozof Immanuel Kant porównał później wagę tej książki do znaczenia rewolucji francuskiej. Moi francuscy znajomi mówili mi, że to lektura w liceum. Wpływ *Emila* jest tak trwały, że cytaty i fragmenty z tego dzieła stały się sloganami współczesnego wychowania – na przykład ten

o znaczeniu „otwierania oczu”. Wiele z jego zasad Francuzi nadal traktują jako rzeczy oczywiste.

Emil został wydany w czasach trudnych dla francuskiego rodzicielstwa. Oficjalne szacunki paryskiej policji mówiły, że spośród 21 tysięcy dzieci urodzonych w 1780 roku w Paryżu 19 tysięcy zostało odesłanych do matek aż do Normandii i Burgundii^[1]. Część noworodków nie przeżyła podróży i obijania w zimnych powozach. Inne zmarły pod opieką kiepsko opłacanych, przepracowanych matek, które przyjmowały za dużo dzieci i często przez długi czas przetrzymywały je ciasno zawinięte w powijaki – prawdopodobnie dlatego, żeby nie zrobiły sobie krzywdy.

Dla pracujących rodziców zatrudnienie mamki było decyzją podyktowaną warunkami ekonomicznymi – było tańsze niż wynajęcie kogoś, kto zastępowałby matkę w rodzinnym sklepie^[2]. Dla kobiet z klas wyższych był to jednak wybór związany ze stylem życia, oczekiwało się bowiem od nich, że będą swobodnie prowadzić wyrafinowane życie towarzyskie. Dziecko „przeszkadzało nie tylko w małżeństwie matki, ale także w jej przyjemnościach” – pisze francuski historyk socjologii^[3]. „Zajmowanie się dzieckiem nie było ani przyjemne, ani eleganckie”.

Rousseau starał się w *Emilu* wyrzucić te poglądy do góry nogami. Namawiał matki do karmienia piersią, potępiał powijaki, pikowane kapturki i „smycze dla dzieci” – przedmioty, które w jego czasach miały gwarantować bezpieczeństwo. „Nie tylko nie będę na to zbytnio uważał, żeby się Emil nigdy nie skaleczył, ale żałowałbym, gdyby mu się to nigdy nie zdarzyło i gdyby wyrósł, nie zaznawszy bólu” – napisał Rousseau. „Jeżeli chwyci za jakieś ostrze, nie ciśnie go mocno i nie zatnie się głęboko”.

Rousseau uważał, że dzieciom powinno się zostawiać swobodę i pozwolić na naturalny rozwój. Doradzał opiekunom Emila: „wyprowadzajcie go codziennie na łąkę. Tam niechaj biega, niech się bawi, niech się przewraca choćby sto razy na dzień”. Wyobrażał sobie dziecko, które może dowolnie eksplorować i poznawać świat, stopniowo „otwierając oczy”. „Niechaj Emil z rana biega boso o każdej porze roku” – pisał. Pozwolił fikcyjnemu Emilowi na lekturę zaledwie jednej książki – *Robinsona Crusoe*.

Zanim przeczytałam *Emila*, dziwiłam się, słysząc, jak francuscy rodzice i opiekunowie mówią o „odkrywaniu” przez dzieci świata i „otwieraniu oczu”. Jedna z opiekunek w żłobku Bean oznajmiła na zebraniu z rodzicami, że dzieci w czwartki rano będą chodziły na siłownię – oczywiście nie po to, żeby ćwiczyć, ale żeby „odkrywać” swoje ciało. W regulaminie żłobka zapisane było, że dzieci powinny „odkrywać świat z radością i przyjemnością...”. Kolejne centrum edukacyjne w pobliżu nazywało się po prostu Enfance et Découverte („Dzieciństwo i odkrycia”). Największym komplementem, jaki mogło usłyszeć dziecko we Francji, było powiedzenie, że jest ono *éveillée* (światłome i przebudzone). W odróżnieniu od Ameryki nie był to eufemistyczny sposób nazwania go brzydkim.

„Otwieranie oczu” polegało na otwarciu dziecka na wrażenia zmysłowe, w tym smakowe. Nie zawsze wymagało to czynnego udziału rodziców. Mogło polegać na wpatrywaniu się w niebo, wachaniu przygotowywanego obiadu albo samodzielnej zabawie na kocu. Stanowiło to sposób na wyostrenie zmysłów dziecka i przygotowywało je do rozpoznawania różnych wrażeń. Było także pierwszym krokiem w nauce bycia kulturalną osobą dorosłą, która umie się dobrze bawić. „Otwieranie oczu” to swego rodzaju ćwiczenie dziecka w sztuce *profiter* – cieszenia się przyjemnością i urodą chwili.

Oczywiście, zdecydowanie to popierałam, kto by się z tym nie zgodził? Zaskakiwał mnie tylko wielki nacisk, jaki na to kładziono.

Amerykańscy rodzice – jak zauważył Piaget – byli zwykle bardziej zainteresowani tym, żeby ich

dzieci nabywały konkretnych umiejętności i przechodziły na kolejne etapy rozwoju. Często także uważali, że rodzaj i tempo postępów dzieci zależą od działań rodziców. Oznaczało to, że ich decyzje i postępowanie były niezwykle istotne – można więc zrozumieć, dlaczego dziecinny język znaków, wstępna nauka czytania i wybór odpowiedniego przedszkola uchodziły za sprawy najwyższej wagi. Z tego samego powodu amerykańscy rodzice wiecznie poszukiwali ekspertów i porad w zakresie rodzicielstwa.

Dostrzegałam te różnice kulturowe na moim małym paryskim placu. Pokój Bean wypełniały czarno-białe karty z obrazkami, klocki dla dzieci z nadrukowanym alfabetem oraz (obecnie już zdyskredytowane) płyty z odcinkami *Małego Einsteina*, które z wdzięcznością przyjmowaliśmy w prezencie od amerykańskich krewnych i przyjaciół. Bezustannie puszczaaliśmy małego Mozarta, aby stymulować rozwój jej zdolności poznawczych.

Moja francuska sąsiadka Anne nie słyszała o *Małym Einsteinie* i nie była zainteresowana, kiedy jej o nim opowiedziałam. Wolała pozwalać swojej córeczce, żeby siedziała i bawiła się starymi zabawkami kupionymi na pchlim targu albo wędrowała po wspólnym podwórku.

Nieco później wspomniałam Anne, że w pobliskim przedszkolu zwolniło się miejsce i Bean, będąca w najstarszej grupie w żłobku, mogłaby pójść do przedszkola rok wcześniej. Obawiałam się, że w żłobku nie dbano w wystarczającym stopniu o jej rozwój.

– Dlaczego miałybyś posyłać ją wcześniej do przedszkola? – zapytała Anne. – Przecież tak krótko może być po prostu dzieckiem.

Badania Uniwersytetu w Teksasie wykazały, że przez to całe „otwieranie oczu” francuskie matki nie próbują wspomagać rozwoju zdolności poznawczych dzieci ani przyspieszać ich przyszłych postępów w szkole. Uważają, że ma ono ukształtować w dziecku „cechy charakteru, takie jak pewność siebie i tolerancję dla różnorodności”. Inne twierdzą, że należy pozwolić dziecku doświadczyć najróżniejszych smaków, kolorów i widoków, po prostu dlatego, że sprawi mu to przyjemność^[4].

Ta przyjemność, zdaniem jednej z matek, stanowi „motywację do życia”. „Gdybyśmy nie czerpali z życia przyjemności, nie mielibyśmy żadnego powodu, żeby żyć”.

W Paryżu XXI wieku, pełnym rodziców i dzieci, dziedzictwo Rousseau przybrało dwie wyraźnie sprzeczne formy. Z jednej strony pozostały z niego zabawy na łące (albo w basenie), ale z drugiej – dość surowa dyscyplina. Rousseau twierdził, że wolność dziecka powinna się mieścić w jasno wytyczonych granicach i podlegać silnemu autorytetowi rodziców.

„Wiesz, w jaki sposób możesz najpewniej uczynić dziecko swoje nieszczęśliwym?” – pisał. „Przyzwyczajając je do tego, że wszystko otrzymuje, bowiem pożądania jego rosną bez przerwy dzięki łatwości ich zaspokajania. Prędzej czy później niemożność zmusi cię pomimo woli do odmowy, ta odmowa zaś, do której nie przywykło, da mu więcej udręczeń niż obycie się bez tego, czego pożąda”.

Rousseau dowodził, że największą pułapką rodzicielstwa jest przekonanie, że skoro dziecko potrafi dobrze dyskutować, jego argumenty mają taką samą wagę jak nasze. „Najgorsze jest wychowanie, które każe [dziecku] wahać się ciągle między swoją wolą a twoją i walczyć nieustannie, kto z was dwu będzie panem”.

Według Rousseau jedyną osobą mogącą sprawować rządy w domu był ojciec. Często opisywał coś, co obecnie nazywa się *cadre* i stanowi model dla współczesnych francuskich rodziców. Idealny *cadre* polega na tym, że rodzice są bardzo stanowczy w określonych kwestiach, a w pozostałych – bardzo pobłażliwi.

Fanny, wydawca z dwójką małych dzieci, powiedziała mi, że jeszcze zanim je urodziła, usłyszała, jak znany francuski aktor opowiada w radiu o byciu ojcem. Ujął w słowa jej wizję *cadre* i sposób, w jaki ona sama została wychowana.

– Powiedział: „Edukacja oznacza wyraźny *cadre*, ale wewnątrz niego panuje wolność”. Naprawdę mi się to spodobało. Myślę, że dziecko także czuje się pewniej, jeśli wie, że może robić, co chce, ale istnieją przy tym określone granice.

Niemal wszyscy znajomi francuscy rodzice twierdzili, że są „surowi”, co jednak nie oznaczało, że zachowują się cały czas jak potwory. Podobnie jak Fanny przejawiali surowość w kilku najważniejszych sprawach, tworzących szkielet *cadre*.

– Staram się być troszeczkę surowa przez cały czas – wyjaśniła Fanny. – Odkryłam, że w przypadku niektórych zasad wystarczy, że odpuszczysz jeden raz, a natychmiast robisz dwa kroki w tył. Dlatego rzadko odpuszczam.

W przypadku Fanny te zasady wiązały się z jedzeniem, ze spaniem i z oglądaniem telewizji – jak powiedziała. Poza tym jej córeczka Lucie mogła robić, co chciała. Jednak nawet w tych kluczowych kwestiach Fanny starała się zapewnić małej odrobinę wolności wyboru.

– Jeśli chodzi o telewizję, oglądamy tylko DVD, a nie programy telewizyjne, ale to ona może wybrać, które DVD. Staram się podobnie postępować w innych sprawach. Kiedy rano się ubieramy, mówię jej: „W domu możesz nosić, co chcesz. Jeśli masz ochotę założyć letnią bluzeczkę w zimie, proszę bardzo. Ale kiedy wychodzimy z domu, ja decyduję”. Na razie to działa. Zobaczymy, co będzie, kiedy skończy trzynaście lat.

Celem istnienia *cadre* nie jest uwięzienie dziecka w środku, ale stworzenie wokół niego przewidywalnego i kierującego się spójnymi zasadami świata.

– Ten *cadre* jest potrzebny, bez niego można się zagubić – mówiła Fanny. – *Cadre* daje poczucie pewności. Wierzysz w swoje dziecko, a ono to wyczuwa.

Cadre sprawia wrażenie czegoś wspierającego i wzmacniającego dziecko, ale dziedzictwo Rousseau ma także ciemniejszą stronę. Kiedy przyprowadziłam Bean na pierwsze szczepienie, tuliłam ją w ramionach i przepraszałam za ból, który miała za chwilę poczuć. Francuski pediatra skarcił mnie.

– Niech pani jej nie przeprasza – powiedział. – Szczepionki są częścią życia. Nie ma powodu za to przepraszać.

Miałam wrażenie, że przemawia przez niego duch Rousseau, który napisał: „jeżeli oddalasz od nich ze zbytnią troskliwością wszelką przykrość, gotujesz im wielką niedolę”. (Nie jestem pewna, co Rousseau myślał o czopkach).

Rousseau nie podchodził do dzieci sentymentalnie – uważał je za podatne na wpływy grudki gliny i chciał z nich ukształtować dobrych obywateli. Wielu myślicieli postrzegało dzieci jako *tabula rasa* – czystą kartkę – przez setki lat. Pod koniec XIX wieku amerykański psycholog i filozof William James powiedział, że dla noworodka otoczenie jest „jednym wielkim brzęczącym chaosem”. Jeszcze w XX wieku przyjmowano za pewnik, że dzieci bardzo powoli zaczynają pojmować świat i zdawać sobie sprawę ze swojej obecności w nim.

We Francji koncepcja, że dzieci są istotami drugiej kategorii, które stopniowo zdobywają wyższy status, przetrwała do lat sześćdziesiątych. Spotykałam Francuzów po czterdziestce, którym w dzieciństwie nie pozwalano odzywać się przy stole, chyba że osoba dorosła zadała im pytanie. Często oczekiwano, że będą *sage comme une image* (cisi jak obraz) – był to odpowiednik powiedzenia, że dzieci powinno się widzieć, ale nie słyszeć.

Zaczęło się to zmieniać pod koniec lat sześćdziesiątych. W marcu 1968 roku studenckie zamieszki

na Sorbonie przerodziły się w serię protestów studentów i robotników w całym kraju. Dwa miesiące później jedenaście milionów francuskich robotników ogłosiło strajk, a prezydent Charles de Gaulle rozwiązał Zgromadzenie Narodowe.

Protestujący stawiali żądania finansowe, ale wielu z nich tak naprawdę chciało całkowitej zmiany stylu życia. Francuskie społeczeństwo – religijne, konserwatywne obyczajowo, patriarchalne i niezmiennie od stuleci – nagle zaczęło się wydawać przestarzałe. Protestujący pragnęli jakiegoś rodzaju wyzwolenia, umożliwiającego kobietom wybór nowych dróg życiowych, rozluźniającego sztywne podziały klasowe i ułatwiającego codzienną egzystencję, która nie sprowadzałaby się do *métro, boulot, dodo* („przemieszczanie się, praca, sen”). Ostatecznie rząd francuski stłumił protesty, uciekając się także do siły, ale zajścia wywarły ogromny wpływ na cały naród. (Na przykład Francja jest obecnie jednym z najbardziej świeckich krajów Europy).

Ofiarą 1968 roku padł także autorytarny model rodzicielstwa. Skoro wszyscy byli równi, to dlaczego dzieci nie mogły się odzywać przy obiedzie? Model zaproponowany przez Rousseau – dziecko jako czysta kartka – nie pasował do nowo wyemancypowanego społeczeństwa we Francji. W dodatku Francuzów zafascynowała psychoanaliza – nagle doszli do wniosku, że rodzice, każąc dzieciom milczeć, mogą skrzywić ich psychikę.

Nadal uważano, że dzieci powinny być grzeczne i panować nad sobą, ale po 1968 roku stopniowo zachęcano je do wyrażania siebie. Znajomi młodzi francuscy rodzice często używali określenia *sage* w znaczeniu samokontroli, ale także oddawania się z radością jakiejś czynności. „Dawniej chodziło o «*sage* jak obraz», teraz mówimy «*sage* i świadomy»” – wyjaśnia francuska psycholożka i pisarka Maryse Vaillant, należąca do słynnego „pokolenia '68”.

W ten pokoleniowy przewrót wkroczyła Françoise Dolto, kolejna pionierka francuskiego rodzicielstwa. Francuzi, z którymi rozmawiałam – nawet bezdzietni – nie mogli uwierzyć, że w Ameryce nigdy o niej nie słyszano i tylko jedna jej książka doczekała się przekładu na angielski (nakład jest od dawna wyczerpany).

We Francji nazwisko Dolto jest znane w każdym domu, trochę tak jak dawniej nazwisko doktora Benjamina Spocka w Stanach Zjednoczonych. W 2008 roku uczczono setną rocznicę jej urodzin zalewem artykułów, wspomnień, a nawet filmem telewizyjnym o jej życiu. UNESCO zorganizowało w Paryżu trzydniową konferencję poświęconą jej pracom, a książki Dolto można znaleźć w niemal każdej francuskiej księgarni.

W połowie lat siedemdziesiątych zbliżająca się do siedemdziesiątki Dolto była już najśłynniejszym psychoanalitykiem i pediatrą we Francji. W 1976 roku jedna ze stacji radiowych zaczęła nadawanie codziennego dwunastominutowego programu, w którym Dolto odpowiadała na listy słuchaczy dotyczące wychowywania dzieci. „Nikt nie spodziewał się tak błyskawicznego i długotrwałego sukcesu audycji” – wspominał Jacques Pradel, wówczas dwudziestosiedmioletni prowadzący. Opisywał odpowiedzi Dolto na pytania słuchaczy jako „genialne i niemal wieszczę”. „Nie wiem, skąd je brała” – mówił^[5].

Kiedy oglądałam dokumenty telewizyjne pokazujące Dolto z tamtego okresu, mogłam zrozumieć, czemu udało jej się dotrzeć do zatroskanych rodziców. W grubych okularach, statecznie ubrana, sprawiała wrażenie mądrej prababki. (Spośród znanych ludzi najbardziej przypominała Goldę Meir). Podobnie jak w przypadku jej amerykańskiego odpowiednika, doktora Spocka, wszystko, o czym mówiła – nawet najbardziej rewolucyjne poglądy – wydawało się oczywiste.

Dolto mogła wyglądać jak uniwersalna *grand-mère*, ale jej poglądy na wychowanie dzieci były uroczo radykalne i zgodne z duchem czasu. Na swój sposób emancypując dzieci, twierdziła, że nawet niemowlęta są zdolne do racjonalnego myślenia i zaraz po urodzeniu zaczynają rozumieć

język mówiony. Było to przesłanie intuicyjne, niemal mistyczne, ale zwyczajni Francuzi nadal w nie wierzą. Kiedy zapoznałam się z książkami Dolto, uświadomiłam sobie, że wiele spośród najdziwniejszych twierdzeń francuskich rodziców – na przykład pogląd, że należy rozmawiać z niemowlętami o tym, jak powinny zasypiać – pochodzi wprost od niej.

Audycja radiowa uczyniła z Françoise Dolto postać dla Francuzów niemal mityczną. Jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych książki zawierające zapis tych programów i innych rozmów z Dolto piętrzyły się w supermarketach. Mnóstwo dzieci uważano za *Génération Dolto*. Psychoanalityk cytowany w specjalnym, poświęconym Dolto wydaniu magazynu „Télérama” z 2008 roku wspomina, jak kiedyś jechał taksówką z kierowcą, który twierdził, że zawsze słucha jej audycji. „Nie posiadał się ze zdumienia. Powiedział: «Ona rozmawia z dziećmi, jakby były ludźmi!»”.

Główne przesłanie Dolto nie tworzyło „filozofii rodzicielstwa” i nie zawierało szczegółowych instrukcji. Jeśli jednak przyjęło się jako podstawową zasadę – tak jak to uczyniło społeczeństwo francuskie – że dzieci są istotami racjonalnymi, wiele zaczynało się zmieniać. Skoro małe dzieci rozumieją, co do nich mówisz, to już w najmłodszych latach możesz nauczyć je wielu rzeczy. Na przykład tego, jak jeść w restauracji.

Przyszła Françoise Dolto urodziła się w roku 1908 jako Françoise Marette w licznej, zamożnej rodzinie paryskich katolików. Na pierwszy rzut oka prowadziła uprzywilejowane życie: lekcje gry na skrzypcach, gosposia w kuchni i pawie spacerujące po ogrodzie. Była wychowywana na przykładną żonę.

Françoise nie okazała się jednak rozważną i posłuszną córką, jakiej życzyliby sobie rodzice. Nie była *sage comme une image*, ale zdecydowana, bezpośrednia i przepełniona ciekawością w stosunku do otaczających ją ludzi. W najwcześniejszych listach młodziutka Dolto sprawia wrażenie nadnaturalnie świadomej kłopotliwych różnic, uniemożliwiających jej porozumienie się z rodzicami. W wieku ośmiu lat postanowiła zostać „lekarzem od edukacji” – mediatorem między dorosłymi a dziećmi. Taki zawód nie istniał, więc później to właśnie ona go stworzyła^[6].

Nagle dla Francuzek możliwe stało się zdobycie zawodu. Françoise należała – podobnie jak również urodzona w 1908 roku Simone de Beauvoir – do pierwszej generacji dziewcząt, które mogły przystąpić do *baccalauréat*, egzaminu kończącego szkołę średnią i stanowiącego podstawę do przyjęcia na studia.

Po uzyskaniu *le bac* Dolto podporządkowała się naciskom rodziców i zadowoliła dyplomem pielęgniarstwa. Dopiero kiedy jej młodszy brat Philippe przygotowywał się do egzaminów do szkoły medycznej, rodzice pozwoli jej zacząć studia, pod jego opieką. Jako specjalizację wybrała psychoanalitikę, wówczas jeszcze mało znaną gałąź wiedzy. Rodzina miała chyba nadzieję, że dzięki temu Dolto pozbędzie się niekobiecych ambicji. W liście do niej z 1934 roku^[7], ojciec napisał, iż ma nadzieję, że psychoanaliza „pomoże Ci zmienić Twoją osobowość i staniesz się, jak sama mówisz, prawdziwą kobietą, co doda tylko blasku innym twoim zaletom...”.

Jednak to właśnie psychoanalityka – pod kierunkiem René Laforgue’a, który założył pierwszy instytut psychoanalityczny we Francji – wyzwoliła Françoise Dolto i umożliwiła jej zostanie „lekarzem od edukacji”. Studiowała zarówno psychoanalitikę, jak i pediatrię, praktykując w szpitalach w całej Francji.

Choć to nietypowe dla ekspertów od wychowania dzieci, Dolto była doskonałą matką dla własnej trójki potomstwa. Córką Catherine napisała o rodzicach: „nigdy nie zmuszali nas do odrabiania lekcji, ale – jak wszyscy – dostawaliśmy burę za złe stopnie. W każdy czwartek musiałam za karę siedzieć w domu za niegrzeczne zachowanie. Mama mi mówiła: «Masz pecha, że musisz tu tkwić.

Kiedy będziesz miała tego dość, nauczysz się trzymać język za zębami»”.

Dolto przez całe życie zaskakująco jasno pamiętała, w jaki sposób postrzegała świat, gdy była dzieckiem. Odrzucała dominujący wówczas pogląd, że dzieci należy traktować jako zbiór fizycznych objawów. (W tamtych czasach dzieci moczące się w nocy podłączano do urządzeń, które razily je prądem). Zamiast tego rozmawiała z nimi o ich życiu i zakładała, że wiele symptomów fizycznych może mieć podłoże psychologiczne. „A co ty o tym myślisz?” – pytała swoich małych pacjentów^[8].

Zasłynęła tym, że prosiła trochę starsze dzieci, żeby za każdą wizytę „płacili” jej jakimś przedmiotem, na przykład kamieniem, co miało podkreślić ich niezależność i odpowiedzialność. Ten szacunek dla dzieci wywierał ogromne wrażenie na jej studentach. „Zmieniała wszystko, a my, studenci, chcieliśmy, żeby wiele rzeczy się zmieniło” – wspominała psychoanalityczka Myriam Szejer.

Dolto traktowała z szacunkiem nawet niemowlęta. Jeden z jej dawnych uczniów wspominał, jak radziła sobie z płaczącym kilkumiesięcznym maluchem: „Wszystkie jej zmysły były wyczulone, skierowane na wychwytywanie emocji, jakie budziło w niej dziecko. Nie chodziło tylko o jego pocieszenie, ale o zrozumienie, co chce jej przekazać. Albo, mówiąc ściślej, o to, co dziecko widzi”. Krążą legendy o tym, jak Dolto podchodziła do niedających się wcześniej pocieszyć małych dzieci w szpitalu i po prostu tłumaczyła im, dlaczego tu przebywają i gdzie są ich rodzice. Podobno natychmiast się uspokajały.

Nie było to mówienie do dzieci w stylu amerykańskim, zakładające, że rozpoznają one głos matki albo uspokajają się, słysząc kojące dźwięki. Nie chodziło też o uczenie dziecka mowy lub przygotowywanie go, by zostało nowym Jonathanem Franzenem.

Dolto uważała, że ogromne znaczenie ma to, co się mówi do dziecka. Jej zdaniem kluczowe było, aby rodzice mówili mu prawdę, łagodnie potwierdzając to, co już wie.

Uważała wręcz, że dzieci podsłuchują rozmowy dorosłych – i intuicyjnie pojmują otaczające je problemy i konflikty – już w łonie matki. W czasach przed wynalezieniem USG wyobrażała sobie rozmowę między matką a liczącym zaledwie minuty noworodkiem w następujący sposób: „Widzisz, czekaliśmy na ciebie. Jesteś chłopcem. Może słyszałeś, jak mówiliśmy, że chcielibyśmy dziewczynkę, ale jesteśmy bardzo szczęśliwi, że jesteś chłopcem”.

Dolto pisała, że starsze niż półroczne dziecko powinno brać udział w rozmowach rodziców o rozwodzie. Twierdziła, że kiedy umrze dziadek, nawet bardzo małe dziecko powinno przynajmniej na chwilę przyjść na pogrzeb. „Ktoś z rodziny powinien mu powiedzieć: «*Voilà*, to pogrzeb twojego dziadka». Takie wydarzenie jest przecież naturalne w społeczeństwie”. Z punktu widzenia Dolto „w najlepszym interesie dziecka nie zawsze leży to, co je uszczęśliwia, ale to, co pozwala mu na racjonalne zrozumienie” – napisała Sherry Turkle, socjolożka z MIT, we wstępie do książki Dolto *Kiedy rodzice się rozstają* (*Quand les parents se séparent*). Turkle stwierdza, że zdaniem Dolto dzieci potrzebują najbardziej „uporządkowanego życia wewnętrznego, które może wspierać ich autonomię i dalszy rozwój”.

Niektórzy zagraniczni psychoanalitycy krytykowali Dolto za nadmierne poleganie na własnej intuicji, we Francji jednak rodzice zdawali się czerpać zarówno intelektualną, jak i estetyczną przyjemność z jej wizji, świadczących o ogromnej wyobraźni.

Gdyby teorie Dolto kiedykolwiek dotarły do anglojęzycznych rodziców, prawdopodobnie uznaliby je oni za dziwne. Amerykańscy rodzice znajdowali się pod władzą doktora Spocka, który był starszy od Dolto o pięć lat i z wykształcenia także był psychoanalitykiem. Spock pisał, że dziecko może zrozumieć, że będzie miało nowego braciszka albo siostrzyczkę dopiero w wieku osiemnastu miesięcy. Specjalizował się w uważnym słuchaniu rodziców, nie dzieci. „Zaufajcie

sobie. Wiecie więcej, niż wam się wydaje” brzmiała słynna fraza, otwierająca jego poradnik *Dziecko. Pielęgnacja i wychowanie (Baby and Child Care)*.

Zdaniem Dolto to dzieci wiedziały więcej, niż komukolwiek się wydawało. Nawet pod koniec życia podłączona do aparatu tlenowego Dolto siadała na podłodze z małymi pacjentami, żeby spojrzeć na świat z ich perspektywy, a jej poglądy głoszone z tego miejsca były pociągająco bezpośrednie.

„Jeśli po przyjściu na świat kolejnego dziecka nie pojawia się zazdrość (...), to bardzo zły znak. Starsze dziecko powinno okazywać oznaki zazdrości, ponieważ jest to dla niego problem – pierwszy raz widzi, jak wszyscy adorują kogoś młodsze od niego” – mówiła.

Dolto upierała się, że dzieci działają z pobudek racjonalnych, nawet kiedy są niegrzeczne, a rolą rodziców jest wysłuchanie ich i zrozumienie ich motywacji. „Dziecko, które reaguje w nietypowy sposób, zawsze ma ku temu powody (...). Naszym zadaniem jest zrozumieć, co się wydarzyło” – twierdziła.

Jako przykład przytaczała przypadek malutkiego dziecka, które nagle odmawia pójścia dalej ulicą. Dla rodziców wygląda to na nagły upór, ale dziecko robi to z jakiegoś powodu. „Powinniśmy spróbować je zrozumieć i powiedzieć: «Istnieje jakiś powód. Nie rozumiem go, ale zastanówmy się nad tym». Przede wszystkim zaś nie należy nagle robić z tego tragedii”.

W jednym z programów zrealizowanych z okazji setnej rocznicy urodzin Dolto francuska psychoanalityczka tak podsumowywała jej przesłanie: „Istoty ludzkie rozmawiają z innymi istotami ludzkimi. Niektóre z nich są duże, inne małe, ale komunikują się z sobą”^[9].

Wydawało się, że Spock w swym opasłym tomiszczu *Dziecko. Pielęgnacja i wychowanie* starał się przewidzieć wszystkie możliwe sytuacje, w jakich mogą się znaleźć dzieci, poczynając od niedrożności kanalików łzowych, a kończąc (w wydaniach już pośmiertnych) na wychowaniu w rodzinie homoseksualnej. Książki Dolto miały natomiast format kieszonkowy – zamiast udzielać mnóstwa szczegółowych instrukcji, autorka stale wracała do kilku podstawowych zasad i najwyraźniej zakładała, że rodzice sami będą umieli wyciągnąć wnioski.

Dolto zgodziła się na audycję radiową, pod warunkiem że będzie odpowiadać na listy, a nie telefony od rodziców. Uważała, że rodzice bez niczyjej pomocy dostrzegają rozwiązanie swoich problemów, gdy zapiszą je na kartce. Prowadzący audycję Pradel wspomina: „Powiedziała mi: «Zobaczysz, kiedyś dostaniemy list od kogoś, kto nam napisze: Wysyłam ten list, ale chyba już wiem, na czym polega problem». I rzeczywiście dostaliśmy dokładnie taki list, jak przewidziała”.

Podobnie jak Spock w Stanach Zjednoczonych Dolto była obwiniana we Francji za wywołanie fali zbyt pobłażliwego rodzicielstwa, szczególnie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Łatwo zauważyć, że jej rady można było w taki właśnie sposób interpretować – część rodziców uznała, że skoro mają słuchać tego, co dzieci mówią, powinni też robić to, czego dzieci chcą.

Jednak Dolto niczego takiego nie twierdziła. Była zdania, że rodzice powinni uważnie słuchać swoich dzieci i tłumaczyć im otaczający je świat, ale uznawała za oczywiste, że ten świat będzie zawierał wiele ograniczeń, a dziecko, jako istota racjonalna, może te ograniczenia pojąć i stosować się do nich. Nie zamierzała odrzucać wymyślnego przez Rousseau *cadre* – chciała go tylko uzupełnić ogromną dawką empatii i szacunku dla dziecka, czyli czegoś, czego mogło brakować we Francji przed 1968 rokiem.

Obecnie rodzice, których spotykałam w Paryżu, rzeczywiście potrafili znaleźć równowagę między słuchaniem dziecka a jasnym przekazem, że to oni podejmują decyzje (nawet jeśli czasem sami musieli sobie o tym przypominać). Francuscy rodzice bezustannie słuchają swoich dzieci. Ale nawet jeśli mała Agathe oznajmi, że życzy sobie na obiad *pain au chocolat*, z pewnością go nie dostanie.

Francuscy rodzice uczynili Dolto (stojącą na ramionach Rousseau) częścią swojej filozofii wychowawczej. Kiedy dziecku przyśni się koszmar, „zawsze je uspokajam, mówiąc do niego” – opowiadała Alexandra, pracująca w paryskim żłobku. „Zdecydowanie popieram rozmawianie z dziećmi, nawet zupełnie małutkimi. One rozumieją. Na pewno rozumieją”.

Francuskie czasopismo „Parents” doradza, że jeśli dziecko boi się obcych, matka powinna je uprzedzić, że ktoś ma przyjść z wizytą. Potem, kiedy zadzwoni dzwonek, „powiedz mu, że gość już jest, i odczekaj kilka sekund, zanim otworzysz drzwi (...). Jeśli dziecko nie rozpłacze się na widok obcego, nie zapomnij mu pogratulować”.

Słyszałam, że czasem po powrocie z oddziału położniczego z noworodkiem, francuscy rodzice pokazują mu mieszkanie^[10]. Często też mówią niemowlętom, co zamierzają zrobić: „podniosę cię”, „zmienię ci pieluchę”, „szykuję dla ciebie kąpiel”. Nie chodzi tylko o wydawanie kojących dźwięków, ale o przekazywanie informacji. A ponieważ dziecko jest takim samym człowiekiem jak wszyscy, rodzice odnoszą się do niego bardzo grzecznie. (Poza tym nigdy nie jest za wcześnie na naukę dobrych manier).

Praktyczne skutki założenia, że niemowlę lub małutkie dziecko rozumie, co się do niego mówi, i może się do tego zastosować, są bardzo istotne. Oznacza to bowiem, że można je nauczyć wczesnego przesypiania nocy, niepchania się każdego ranka do sypialni rodziców, siedzenia grzecznie przy stole, jedzenia tylko w porach posiłków i nieprzerywania rodzicom. Można oczekiwać, że dziecko – przynajmniej troszeczkę – dostosuje się do potrzeb dorosłych.

Przekonałam się o tym, kiedy Bean miała jakieś dziesięć miesięcy. Zaczęła wtedy siadać przy regale w salonie i wyrzucać na podłogę wszystkie książki, które mogła dosięgnąć.

Było to oczywiście irytujące, ale nie sądziłam, że uda mi się ją powstrzymać, dlatego po prostu zbierałam książki i odstawiałam je na miejsce. Pewnego ranka przyszła do nas z wizytą Lara, francuska znajoma Simona. Kiedy zobaczyła, jak Bean zrzuca książki, natychmiast uklękła obok niej i wyjaśniła cierpliwie, ale stanowczo: „Nie można tak robić”. Potem pokazała Bean, jak odstawić książki na półkę, i powiedziała, żeby ich nie ruszała. Lara stale używała francuskiego słowa *doucement* („ostrożnie”, „łagodnie”). (Później zauważyłam, że francuscy rodzice ciągle powtarzają *doucement*). Byłam zdumiona, kiedy Bean posłuchała jej.

To wydarzenie odsłoniło przepaść kulturową dzielącą mnie i Larę w kwestii macierzyństwa. Zakładałam, że Bean jest niezwykle uroczym i niezwykle dzikim zwierzątkiem, które ma ogromny potencjał, ale nie jest w stanie kontrolować swojego zachowania. Jeśli czasem jest grzeczna, należy to przypisać jakiemuś rodzajowi tresury albo szczęśliwemu zrządzeniu losu. Ostatecznie nie umie przecież mówić i nie ma jeszcze włosów.

Jednakże Lara (wówczas bezdzietna, obecnie matka dwóch bardzo grzecznych dziewczynek) założyła, że Bean, nawet mając zaledwie dziesięć miesięcy, rozumie, co się do niej mówi, i potrafi nad sobą panować. I na pewno Bean umie zachowywać się *doucement*, jeśli tylko tego chce. W efekcie Bean spełniła jej oczekiwania.

Dolto zmarła w 1988 roku. Niektóre z jej intuicyjnych wniosków dotyczących dzieci znalazły obecnie potwierdzenie w wynikach badań naukowych. Udowodniono, że można określić, co dzieci wiedzą, porównując, jak długo wpatrują się w różne rzeczy. Podobnie jak dorośli maluchy patrzą zwykle dłużej na to, co je zaskakuje. Badania przeprowadzone na początku lat dziewięćdziesiątych wykazały, że „małe dzieci potrafią wykonywać podstawowe działania matematyczne na obiektach” oraz „mają świadomość istnienia procesów myślowych – do pewnego stopnia pojmują, jak ludzie

myślą i dlaczego zachowują się tak, a nie inaczej” – pisał psycholog Paul Bloom z Uniwersytetu Yale^[11]. Badania przeprowadzone na Uniwersytecie Kolumbii Brytyjskiej dowiodły, że ośmiomiesięczne dzieci rozumieją pojęcie prawdopodobieństwa^[12].

Istnieją także dowody na to, że małe dzieci mają poczucie moralności. Bloom pokazywał sześciomiesięcznym dzieciom rodzaj teatrzyku kukiełkowego, w którym kółko próbowało wtoczyć się na wzgórze. „Pomocnik” pomagał mu w dostaniu się na górę, podczas gdy „przeszkadzacz” je spychał. Po przedstawieniu, kiedy dzieciom zaprezentowano „pomocnika” i „przeszkadzacza”, niemal wszystkie sięgnęły po „pomocnika”. „Dobra postać przyciągała dzieci, zła je do siebie zrażała” – wyjaśniał Paul Bloom.

Oczywiście te eksperymenty nie dowodzą, że – jak twierdziła Dolto – niemowlęta rozumieją język mówiony, zdają się jednak potwierdzać tezę, że od najwcześniejszych lat są zdolne do myślenia racjonalnego. Ich umysły nie są „wirującym i brzęczącym chaosem”, a my powinniśmy zwracać uwagę na to, co do nich mówimy.



Żłobek?

Kiedy zadzwoniłam do matki i powiedziałam, że Bean została przyjęta do państwowego żłobka w Paryżu, po drugiej stronie słuchawki zapadła długa cisza.

– Żłobka? – zapytała w końcu matka.

Przyjaciele ze Stanów Zjednoczonych byli równie sceptyczni.

– Nie chciałabym się znaleźć w takiej sytuacji – prychnęła przyjaciółka, której synek miał dziewięć miesięcy, czyli tyle, ile miała mieć Bean, idąc do żłobka. – Wolałabym, żeby miał bardziej indywidualną opiekę.

Kiedy jednak mówiłam francuskim sąsiadom, że Bean została przyjęta do *crèche*, jak nazywano tutaj całodziennie żłobki, gratulowali mi i niemalże otwierali szampana.

Była to największa różnica zachowań, jaką do tej pory zaobserwowałam. Matki z klasy średniej w Stanach Zjednoczonych na ogół nie były zachwycone instytucją żłobka. Już samo słowo kojarzyło im się z pedofilami i niemowlętami płaczącymi w brudnych, pograżonych w półmroku salach. „Wolałabym, żeby miał bardziej indywidualną opiekę”, było eufemistycznym sposobem powiedzenia: „W odróżnieniu od ciebie kocham moje dziecko i nie chcę, żeby opiekowała się nim jakaś instytucja”. Amerykańscy rodzice, których było na to stać, zatrudniali opiekunki do dziecka na pełny etat, a gdy maluch skończył dwa lub trzy lata, posyłali go do przedszkola. Ci, którzy musieli korzystać ze żłobków, bardzo ostrożnie wybierali placówkę i robili to z poczuciem winy.

Tymczasem francuscy rodzice z klasy średniej – architekci, lekarze, dziennikarze – walczyli zębami i pazurami o miejsce w pobliskiej *crèche*, czynnej przez pięć dni w tygodniu, zazwyczaj od ósmej do szóstej. Matki składały aplikacje, kiedy tylko zaszły w ciążę, a potem przekonywały, płaszczyły się i błagały. *Crèches* były finansowane przez państwo, a rodzice płacili za nie zróżnicowane stawki w zależności od zarobków.

– Uważam, że to idealny system, naprawdę idealny – zachwycala się moja przyjaciółka Esther, francuska prawniczka, której córeczka zaczęła chodzić do *crèche*, kiedy skończyła dziewięć miesięcy.

Nawet moje niepracujące znajome starały się zapisać dzieci do żłobka. Jako ewentualną alternatywę traktowały żłobki na pół dnia lub zatrudnienie niańki, co także było dofinansowywane. (Witryny rządowe prezentowały wiele możliwości).

Wszystko to stanowiło dla mnie rodzaj szoku kulturowego. Czy żłobek sprawi, że moje dziecko stanie się agresywne, zaniedbane i niepewne emocjonalnie, jak straszyły nagłówki amerykańskich gazet? Czy może, jak zapewniali francuscy rodzice, umożliwi mu socjalizację i „otwarcie oczu” pod opieką wykwalifikowanego personelu?

Po raz pierwszy zaczęłam się obawiać, że nasz mały międzykulturowy eksperyment idzie za daleko. Czym innym jest trzymanie widelca w lewej ręce i obojętne patrzenie na obcych, a czym innym narażenie dziecka na potencjalnie dziwaczne i szkodliwe doświadczenie, które miało trwać

kilka lat. Czy nie stawaliśmy się za bardzo francuscy? Bean mogła próbować *foie gras*, ale czy koniecznie powinna próbować *crèche*?

Postanowiłam poczytać trochę o tych zabawnie nazwanych żłobkach – dlaczego w ogóle mówiło się na nie *crèche*? Ta nazwa kojarzyła mi się tylko z bożonarodzeniową szopką.

Okazało się, że historia francuskich *crèches* zaczęła się w latach czterdziestych XIX wieku. Jean-Baptiste-Firmin Marbeau, ambitny młody prawnik szukający okazji do zabłyśnięcia, był wówczas wicemerem I Dzielnicy Paryża. Trwała właśnie rewolucja przemysłowa, a w miastach takich jak Paryż roilo się od kobiet, które przyjechały z prowincji, aby pracować jako szwaczki i robotnice w fabrykach. Marbeau został obarczony zadaniem przygotowania raportu dotyczącego *salles d'asile*, darmowych ochronek dla dzieci w wieku od dwóch do sześciu lat.

Był pod wrażeniem. „Jakże starannie, powiedziałem sobie, społeczeństwo opiekuje się dziećmi najuboższych!” – napisał.

Zastanawiał się jednak, kto opiekuje się dziećmi pracujących matek z ubogich rodzin, zanim skończą dwa lata. Przejrzał dzielnicową „listę ubogich” i postanowił odwiedzić kilka matek. „Z kąta brudnego dziedzińca zawołałem Madame Gérard, praczkę. Zeszła do mnie, ponieważ nie chciała mnie wpuścić do domu, «zbyt brudnego, żeby go pokazywać» (to jej własne słowa). Trzymała w ramionach noworodka, a za rękę prowadziła półtoraroczne dziecko”.

Marbeau dowiedział się, że kiedy Madame Gérard szła robić pranie, zostawiała dzieci z opiekunką. Kosztowało ją to dziennie siedemnaście centymów, czyli prawie jedną trzecią jej zarobków, opiekunka zaś była równie ubogą kobietą, która – kiedy Marbeau ją odwiedził – była „na posterunku, czuwając nad trójką maluchów bawiących się na podłodze w nędznym pokoju”.

Jak na ówczesne czasy nie była to jeszcze najgorsza opieka nad dziećmi. Niektóre matki pozostawiały swoje pociechy same w mieszkaniu albo przywiązywały je na dzień do nogi łóżka. Nieco starsze dzieci często opiekowały się młodszym rodzeństwem, kiedy matka była w pracy, a wiele niemowląt oddawano pod opiekę mamek, żyjących zwykle w warunkach stanowiących zagrożenie dla zdrowia maluchów.

Marbeau wpadł na pomysł *crèche*, czyli żłobka – nazwa celowo przywodziła na myśl przytulny żłobek z bożonarodzeniowej szopki. Miało to być miejsce zapewniające całodzienną opiekę ubogim dzieciom do ukończenia przez nie dwóch lat, finansowane z pieniędzy bogatych dobroczyńców, którzy mogli także nadzorować te placówki. Marbeau wyobrażał sobie skromnie wyposażone, ale idealnie czyste budynki, w których pielęgniarki będą zajmować się dziećmi i uczyć matki zasad higieny i moralności. Matki miały płacić zaledwie pięćdziesiąt centów dziennie. Te, które karmiły jeszcze piersią, przychodziłyby do *crèche* dwa razy dziennie, żeby nakarmić swoje dziecko.

Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Niebawem powstała komisja do spraw żłobków, której zadaniem było dokładne zbadanie sprawy, a sam Marbeau zajął się pozyskiwaniem potencjalnych donatorów. Jak każdy skuteczny pracownik organizacji charytatywnej odwoływał się zarówno do dobrego serca, jak i korzyści ekonomicznych.

„Te dzieci są naszymi współobywatelami, naszymi braćmi. Są biedne, nieszczęśliwe i słabe, powinniśmy je ratować” – pisał w opublikowanym w 1845 roku podręczniku poświęconym żłobkom. Dalej dodawał: „Jeśli możecie ocalić życie dziesięciu tysięcy dzieci, pospieszcie się – nie należy pogardzać dwudziestoma tysiącami rąk do pracy, gdyż to praca buduje bogactwo”. *Crèches* miały także zapewnić matkom spokój ducha i pozwolić im „z czystym sumieniem poświęcić się pracy”.

W tym samym podręczniku Marbeau zalecał, aby *crèches* były otwarte od wpół do szóstej rano do

wpół do dziewiątej wieczorem, w godzinach pracy robotników. Opisywany przez niego plan dnia niewiele różnił się od trybu życia wielu znanych mi pracujących mam: „Matka wstaje przed piątą, ubiera dziecko, zajmuje się pracami domowymi, idzie do *crèche*, idzie do pracy (...). O ósmej wieczorem spieszy z powrotem, zabiera dziecko razem z brudnymi pieluchami, wraca do domu, aby położyć nieszczęsne maleństwo spać, a następnie pierze jego pieluszki, żeby wyschły do rana, kiedy to cały cykl się powtarza! (...) jak udaje się jej to wytrzymać?”.

Najwyraźniej Marbeau miał dar przekonywania: pierwszy żłobek został otwarty w przekazanym na ten cel budynku przy rue de Chaillot w Paryżu. Dwa lata później takich placówek było trzynaście, a ich liczba stale rosła, zwłaszcza w Paryżu.

Po drugiej wojnie światowej rząd francuski przekazał żłobki pod kuratelę instytucji nazwanej PMI – Protection maternelle et infantile (Ochrona matki i dziecka), a także otworzył oficjalne kursy dyplomowe dla *puéricultrice*, czyli osób specjalizujących się w opiece nad niemowlętami i małymi dziećmi.

Na początku lat sześćdziesiątych liczba ubogich francuskich rodzin była mniejsza, a ich poziom życia wyższy niż kiedykolwiek wcześniej. Jednocześnie coraz więcej matek z klasy średniej podejmowało pracę, a co za tym idzie, z usług *crèches* zaczęły korzystać także lepiej sytuowane rodziny. W ciągu dziesięciu lat liczba miejsc w żłobkach niemal się podwoiła, dochodząc do 32 tysięcy w 1971 roku. Nagle okazało się, że matki z klasy średniej czują się dotknięte, jeśli nie mogą dostać miejsca w *crèche*, które zaczęło się wydawać oczywistym prawem kobiet pracujących.

Powstawały także najrozmaitsze warianty żłobków: żłobki czynne przez kilka godzin dziennie, żłobki „rodzinne”, w których dziećmi opiekowali się naprzemiennie rodzice, a także żłobki przy poszczególnych firmach, dla dzieci pracowników. W ślad za twierdzeniem Françoise Dolto, że dzieci również są ludźmi, wzrosło zainteresowanie żłobkami, których rola nie miała się już ograniczać do ochrony dzieci przed chorobami czy traktowania ich jak potencjalnych przestępców. Niebawem *crèches* stały się ucieleśnieniem typowych dla klasy średniej sloganów o „socjalizacji” i „otwieraniu oczu”.

Po raz pierwszy usłyszałam o *crèche*, kiedy byłam w ciąży, od mojej przyjaciółki Dietlind – pochodzącej z Chicago, ale mieszkającej od ukończenia studiów w Europie. (W Paryżu żyje cała kasta emigrantek, które przyjechały na wymianę studencką, a potem wyszły za kolegów ze studiów albo po prostu nigdy nie wróciły do domu). Dietlind promieniowała ciepłem, mówiła swobodnie po francusku i nadal uroczo nazywała siebie „feministką”. Była jedną z nielicznych znanych mi osób, które naprawdę pracowały nad tym, żeby świat stał się lepszym miejscem. Jej jedyną wadą pozostawało to, że nie potrafiła gotować: jej rodzina żyła niemal wyłącznie na jedzeniu z sieci sklepów z mrożonkami Picard. Pewnego razu próbowała nawet poczęstować mnie świeżo odmrożonym sushi.

Mimo to Dietlind pozostawała modelową matką, kiedy więc powiedziała mi, że jej dwaj synowie, obecnie w wieku pięciu i ośmiu lat, uczęszczali do pobliskiej *crèche*, zapamiętałam to sobie. Moja przyjaciółka uważała, że żłobek był wspaniałym miejscem. Jeszcze wiele lat później zaglądała do *crèche*, żeby przywitać się z *directrice* i dawnymi opiekunkami jej synów, którzy wspominali spędzone tam dni z pogodną nostalgią. Ich ulubiona opiekunka przycinała im włosy.

Co więcej, Dietlind zaproponowała, że wstawi się za mną u *directrice*. Ciągłe powtarzała, że ten żłobek nie jest „elegancki”. Nie wiedziałam, co miała na myśli. Czy uważała, że oczekuję kojców projektu Philippe’a Starcka? Czy „elegancki” było zawoalowanym określeniem na „czysty”?

Przed moją matką dzielnie udawałam obywatelkę świata, ale w głębi ducha podzielałam część jej

obaw. To, że żłobek podlegał władzom miasta Paryża, wydawało mi się dość okropne. Miałam wrażenie, że będę zostawiać dziecko jak na pocztce albo w wydziale motoryzacyjnym. Wyobrażałam sobie anonimowe biurokratki przechodzące obok szlochającej w łóżeczku Bean. Może jednak wolałabym „elegancki” żłobek, cokolwiek to oznaczało? A może po prostu wolałam sama zajmować się Bean?

To jednak nie wchodziło w grę – byłam dopiero w połowie pracy nad książką, którą miałam skończyć, zanim Bean przyszła na świat. Po jej urodzeniu wzięłam kilka miesięcy urlopu, ale teraz termin złożenia tekstu w wydawnictwie (i tak przekładany) zbliżał się nieubłagane. Zatrudniliśmy uroczą nianię Adelyn z Filipin, która przychodziła rano i przez cały dzień zajmowała się naszą córeczką. Ponieważ jednak pracowałam w domu, irytująca dla wszystkich pokusa, żeby bezustannie je nadzorować, okazała się silniejsza ode mnie.

Bean wyraźnie rozwijała całkiem niezłą bierną znajomość tagalogu, głównego języka Filipin, a ja podejrzewałam, że Adelyn często przemawia do niej w tym języku w pobliskim McDonalddie, ponieważ za każdym razem, kiedy go mijałyśmy, Bean zaczynała wyciągać rączki i krzyczeć. „Nieelegancka” *crèche* wydawała się w tej sytuacji lepszym pomysłem.

Byłam też zaskoczona, że dzięki Dietlind mamy gdzieś „dojście”. Przywykłam do braku synchronizacji z resztą kraju – czasem nie wiedziałam o istnieniu jakiegoś święta narodowego, dopóki nie wyszłam z domu i nie przekonałam się, że wszystkie sklepy są pozamykane. Zapisanie Bean do *crèche* zbliżyłoby nas do Francji.

Żłobki kusząco ułatwiały życie. Jeden z nich znajdował się po przeciwnej stronie ulicy, a od placówki, do której chodziły dzieci Dietlind, dzieliło nas pięć minut marszu. Podobnie jak dziewiętnastowieczne praczki mogłam tam wpadać, żeby nakarmić Bean piersią i wytrzeć jej nos.

Przed wszystkim jednak trudno było się oprzeć naciskowi ze strony dorosłych Francuzów. (Pozostawało się cieszyć, że nie próbują mnie nakłonić, żebym zaczęła palić). Anne, tak jak pozostałe francuskie matki z naszego placyku, rozwodziła się nad zaletami *crèche*. Simon i ja uznaliśmy, że nawet z naszym „dojściem” mamy niewielkie szanse na zdobycie miejsca w żłobku, dlatego udaliśmy się do urzędu dzielnicy i złożyliśmy podanie.

Dlaczego Amerykanie z klasy średniej mają tak sceptyczny stosunek do instytucji żłobka? Odpowiedzi należy szukać w XIX wieku. W jego połowie nowiny o wymyślonych przez Marbeau *crèches* dotarły do Ameryki, która miała własne straszne opowieści o biednych dzieciach przywiązywanych do łóżka. Zainteresowani filantropi i aktywiści społeczni wybrali się do Paryża i wrócili zachwyceni. W ciągu kolejnych dekad finansowane z funduszy dobroczynnych żłobki dla dzieci ubogich pracujących matek zostały otwarte w Bostonie, Nowym Jorku, Filadelfii i Buffalo. Część z nich przyjęło nazwę francuską, ale w większości określano je jako *day nurseries*. W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku było ich już dziewięćdziesiąt, a wiele z nich przyjmowało dzieci nowych imigrantów. Żłobki miały uchronić dzieci przed trafieniem na ulicę i zrobić z nich „Amerykanów”^[4].

Na początku XX wieku w Ameryce pojawił się trend tworzenia prywatnych przedszkoli dla dzieci w wieku od dwóch do sześciu lat. Ich program bazował na koncepcjach dotyczących wagi wczesnego kształcenia, a także stymulowania socjalnego i emocjonalnego rozwoju dzieci. Od samego początku placówki te starały się przyciągnąć rodziców z klas średniej i wyższej średniej.

Odrębne pochodzenie żłobków i przedszkoli wyjaśnia, dlaczego ponad sto lat później w Ameryce określenie *day care* nadal ma konotacje robotnicze, podczas gdy rodzice z klasy średniej walczą o to, by posłać swoje pociechy do przedszkola. Tłumaczy także, dlaczego amerykańskie przedszkola

są otwarte tylko przez kilka godzin dziennie – zakładano, że matki ich wychowanków nie muszą pracować albo stać je na zatrudnienie opiekunek^[2].

Amerykańscy rodzice z klasy średniej odnoszą się do żłobków z dużą nieufnością^[3]. Częściowo jest to kwestia nomenklatury. „Gdyby zostały nazwane «centrami wczesnej edukacji dziecięcej dla grupy 0–5 lat», uznano by, że są wartościowe” – twierdzi Sheila Kamerman, wykładowca na Uniwersytecie Columbia, która od wielu lat zajmuje się tą tematyką.

Amerykanie wciąż zadreęczają się pytaniem, jak nawet najlepszy żłobek może wpłynąć na wrażliwą psychikę dziecka. Autorzy artykułów publikowanych w gazetach spierają się, czy żłobki powodują opóźnienia w nauce, rozbudzają w dzieciach agresję, czy może sprawiają, że stają się one niepewne emocjonalnie i uzależnione od matek. Znałam amerykańskie mamy, które wołały zrezygnować z pracy, niż posłać dziecko do żłobka.

Często ich obawy nie są bezpodstawne – poziom amerykańskich żłobków jest nierówny. Brakuje odpowiednich regulacji prawnych na poziomie krajowym, a w niektórych stanach nie wymaga się od pracowników żłobków ukończenia żadnych kursów. Departament Pracy donosi, że opiekunki w żłobkach zarabiają mniej niż dozorczy i „wielu pracowników odchodzi z zawodu, czego przyczyną jest niezadowolenie z warunków, zarobków i stresującego środowiska pracy”. Często się zdarza, że w ciągu roku zmienia się aż 35 procent personelu danej placówki.

Oczywiście istnieją także dobre żłobki, ale albo chesne jest w nich bardzo wysokie, albo są przeznaczone wyłącznie dla dzieci pracowników określonych firm. Łatwo z kolei o przykłady marnych żłobków, a szczególnie złą opieką są otoczone dzieci z ubogich rodzin. Program edukacyjny w niektórych placówkach – zazwyczaj tych kosztownych – przypomina raczej kurs przygotowawczy na studia. Aby dogodzić nerwowym rodzicom, pewna sieć żłobków w Kolorado reklamuje się tym, że w ich placówkach dzieci poniżej jednego roku są uczone „czytania i pisanie”.

Jedyną grupą amerykańskiego społeczeństwa, która nie ma uprzedzeń do żłobków, jest armia. Departament Obrony prowadzi największą w kraju sieć żłobków, liczącą ponad osiemset centrów edukacyjnych (CDC – child development center) w jednostkach wojskowych na całym świecie. Przyjmują one dzieci, które ukończyły sześć tygodni, i zazwyczaj są otwarte od szóstej rano do wpół do siódmej wieczorem^[4].

Żłobki prowadzone przez amerykańską armię niezwykle przypominają francuskie *crèches*. Godziny otwarcia są dopasowane do dnia pracy, a chesne zależy od sumy dochodów rodziców – rząd dopłaca do kosztów utrzymania dziecka. Podobnie jak francuskie *crèches* wojskowe żłobki są tak oblegane, że mają zwykle długie listy oczekujących.

Francuskie matki są przekonane, że pobyt w żłobku dobrze zrobi ich dzieciom. W Paryżu (poza stolicą żłobków jest mniej) około jednej trzeciej dzieci poniżej trzeciego roku życia chodzi do *crèche*, a połowa z nich korzysta z jakiejś formy opieki zbiorowej. Francuzki obawiają się pedofilów, ale nie w *crèche* – zgodnie z badaniami krajowej organizacji działającej na rzecz rodziców matki uważają, że dzieci są bezpieczniejsze pod opieką wykwalifikowanych dorosłych niż „sam na sam z obcą osobą”. „Jeśli dziecko ma przebywać z kimś *tête-à-tête*, to wolałabym, żeby było ze mną” – oznajmiła mama półtorarocznej dziewczynki, która chodziła razem z Bean do żłobka. Powiedziała też, że gdyby nie udało się jej zdobyć miejsca w *crèche*, zrezygnowałaby z pracy.

Francuzi czują niepokój, zostawiając po raz pierwszy dziecko w *crèche*, ale postrzegają go jako własny lęk przed rozstaniem. „We Francji rodzice nie boją się posyłać dzieci do żłobków” – wyjaśnia Marie Wierink, socjolożka zatrudniona we francuskim Ministerstwie Pracy. „*Au contraire*, obawiają się raczej, że jeśli nie dostaną miejsca w żłobku, ich dziecko coś straci”.

Dzieci w żłobkach nie uczą się czytać, nie poznają liter ani nie zdobywają innych umiejętności przygotowujących je do dalszej edukacji. Socjalizują się natomiast z innymi maluchami. W Ameryce tylko niektórzy rodzice wymieniają to jako zaletę żłobka, we Francji uważają tak wszyscy. „Wiedziałam, że to dla niej bardzo dobrze, że to początek jej życia towarzyskiego” – powiedziała moja przyjaciółka Esther, prawniczka, której córeczka zaczęła chodzić do *crèche*, kiedy miała dziewięć miesięcy.

Francuscy rodzice przyjmują za pewnik, że żłobki są generalnie na wysokim poziomie, a zatrudniony w nich personel jest troskliwy i wysoko wykwalifikowany. Na francuskich czatach internetowych dla rodziców najpoważniejszą skargą na żłobek, jaką znalazłam, było narzekanie matki, że jej dziecku podano ravioli razem z musaką, równie ciężkostrawnym daniem. „Wysłałam do żłobka pismo i dostałam odpowiedź, że etatowa kucharka była nieobecna” – wyjaśniała i dodawała ponuro: „Zobaczmy, co się będzie działo przez resztę tygodnia”.

To przekonanie, że żłobek ma dobry wpływ na dzieci, pozwala rozwiązać wiele wątpliwości i złagodzić poczucie winy matki. Moja przyjaciółka Hélène, z zawodu inżynier, nie pracowała przez kilka lat po urodzeniu najmłodszej córeczki, ale nigdy nawet w najmniejszym stopniu nie czuła się winna, że posyła malutką do żłobka pięć razy w tygodniu. Po pierwsze dawało to Hélène czas dla siebie, a po drugie Hélène nie chciała, by jej córkę ominęło takie doświadczenie.

Główne pytanie o żłobki we Francji brzmi obecnie: co zrobić, żeby umieścić w nich więcej dzieci? Z powodu wyżu demograficznego każdy polityk starający się o jakąkolwiek funkcję publiczną – wszystko jedno, lewicowy czy prawicowy – musi obowiązkowo obiecywać tworzenie nowych żłobków lub rozbudowę istniejących. Czytałam nawet o programie zamiany nieużywanych przechowalni bagażu na dworcach kolejowych w żłobki dla dzieci tych osób, które dojeżdżają do pracy pociągami (większość kosztów adaptacji miało pochłonąć zapewnienie pomieszczeniom dźwiękoszczelności).

Rywalizacja o miejsca w *crèche* jest, jak by to powiedzieli Francuzi, *énergique*. W każdej z dwudziestu dwóch dzielnic Paryża zbierają się komisje złożone z urzędników i dyrektorów żłobków, których zadaniem jest rozdzielanie istniejących miejsc. W zamożnej XVI Dzielnicy na pięćset miejsc były cztery tysiące kandydatów. W naszym mniej ekskluzywnym rejonie wschodniego Paryża szansa na miejsce wynosiła jeden do trzech.

Walka o miejsce w *crèche* jest jednym z rytuałów inicjacyjnych dla młodych rodziców. W Paryżu kobieta może oficjalnie zgłosić się do urzędu dzielnicy, kiedy jest w szóstym miesiącu ciąży, ale czasopisma ponaglają matki, żeby umawiały się na rozmowy z dyrektorami wybranych *crèches*, gdy tylko test ciążowy wskaże pozytywny wynik.

Pierwszeństwo mają dzieci wychowywane przez samotnych rodziców, wieloraczkę, dzieci adoptowane, a także pochodzące z rodzin wielodzietnych (co najmniej troje dzieci) lub rodzin „w szczególnie trudnej sytuacji”. To, jak znaleźć się w tej ostatniej, najszerzej kategorii, jest tematem zażartych dyskusji na forach internetowych. Jedna z matek doradzała napisanie do urzędników dzielnicowych listu podkreślającego pilną konieczność powrotu do pracy, a także nadludzkie, uwieńczone niepowodzeniem wysiłki zapewnienia dziecku innej formy opieki. Proponowała, żeby kopię tego listu przesłać do władz lokalnych i prezydenta Francji, a następnie umówić się na spotkanie z merem dzielnicy. „Idziesz tam z dzieckiem na rękę, wyglądasz na zdesperowaną i powtarzasz tę samą historię, którą opisałeś w liście” – radziła. „Na pewno zadziała”.

Simon i ja postanowiliśmy wykorzystać naszą jedyną przewagę: bycie cudzoziemcami. W liście dołączonym do aplikacji wychwalaliśmy przyszłą dwujęzyczność Bean (która jeszcze nie zaczęła mówić) i podkreślaliśmy, że jej angloamerykańskość wzbogaci *crèche*. Dietlind, zgodnie

z obietnicą, wstawiła się za nami u dyrektorki żłobka, do którego chodził jej synek, ja także spotkałam się z nią i próbowałam promieniować jednocześnie desperacją i urokiem osobistym. Co miesiąc dzwoniłam do urzędu dzielnicy (z jakiegoś powodu, podobnie jak w przypadku większości francuskich małżeństw, staranie się o względy *crèche* stało się głównie moim obowiązkiem), żeby przypomnieć im o naszym „niezwykłym zainteresowaniu i potrzebie uzyskania miejsca”. Ponieważ nie byłam obywatelką Francji i nie mogłam głosować, postanowiłam nie zawracać głowy prezydentowi.

O dziwo wszystkie te starania rzeczywiście podziałały: z urzędu dzielnicy przyszedł list gratulacyjny z informacją, że Bean dostała miejsce w *crèche* od połowy września, kiedy to ukończy dziewięć miesięcy. Z triumfem zadzwoniłam do Simona: my, cudzoziemcy, pokonaliśmy tubylców w ich własnej grze! Byliśmy zdumieni i pijani sukcesem, ale mieliśmy też poczucie, że wygraliśmy nagrodę, na którą nie zasługujemy, i nie jesteśmy nawet pewni, czy w ogóle jej chcemy.

Wciąż jeszcze miałam wątpliwości, kiedy po raz pierwszy odprowadzaliśmy Bean do żłobka. Znajdował się on na końcu ślepej uliczki, w trzypiętrowym betonowym budynku z niedużym, wyłożonym sztuczną trawą podwórkiem. Wyglądał jak amerykańska szkoła publiczna w miniaturze. Rozpoznałam część dziecięcych mebelków z katalogu IKEA. Budynek i sprzęty, choć niewyszukane, były czyste i pogodne.

Dzieci zostały podzielone według wieku na grupy zwane maluchami, średniakami i starszakami. Grupa Bean rezydowała w słonecznej sali, w której stały kuchenki dla lalek, dziecinne mebelki i regały pełne zabawek odpowiednich do wieku dzieci. Do tej sali przylegała druga, oddzielona szklaną ścianą, w której każde dziecko miało własne łóżeczko wyposażone w smoczek i pluszowego zwierzątko nazywanego *doudou*.

Przywitała nas Anne-Marie, główna opiekunka grupy Bean (ta sama, która strzygła synów Dietlind). Była panią po sześćdziesiątce, z krótkimi blond włosami i zmieniającą się kolekcją T-shirtów z nadrukami z miejsc, do których podróżowali jej wychowankowie. (Później podarowaliśmy jej koszulkę – świadectwo miłości do Brooklynu). Większość personelu pracowała w *crèche* średnio od trzynastu lat, ale Anne-Marie była tu o wiele dłużej. Podobnie jak inne opiekunki była wykwalifikowaną *auxiliaires de puériculture*, co nie ma dobrego odpowiednika w innych językach.

Żłobek co tydzień odwiedzali pediatra i psycholog, a opiekunki notowały codziennie drzemki i wypróżnienia Bean, a także informowały mnie o tym, jak jadła. Dzieci w jej grupie były karmione pojedynczo i sadzane do jedzenia na kolanach albo na bujanym krzeselku. Kładziono je spać mniej więcej o stałej porze każdego dnia i starano się ich nie budzić. Anne-Marie poprosiła mnie, żebym w pierwszym, adaptacyjnym okresie przynosiła swoją bluzkę, z którą Bean mogła spać. Przypominało to trochę szkolenie psa, ale się zgodziłam.

Byłam zaskoczona pewnością siebie, jaką promieniowały Anne-Marie i inne opiekunki. Doskonale wiedziały, czego mogą potrzebować dzieci w danym wieku, i potrafiły im to dostarczyć. Umiały też przekazać to ich rodzicom, bez cienia zarozumiałości czy zniecierpliwienia. Irytowało mnie tylko to, że Anne-Marie upierała się nazywać mnie „mamą Bean”, zamiast mówić mi po imieniu – twierdziła, że nie jest w stanie nauczyć się imion wszystkich rodziców.

Nasze wątpliwości dotyczące żłobka jeszcze się nie rozwiały, dlatego zdecydowaliśmy się zapisać Bean tylko na cztery dni w tygodniu, od wpół do dziesiątej rano do wpół do czwartej po południu. Wielu spośród jej kolegów przebywało w żłobku pięć dni w tygodniu i znacznie dłużej. (Żłobek był czynny od wpół do ósmej do szóstej po południu).

Podobnie jak za czasów Marbeau oczekiwano, że Bean będzie przychodzić do żłobka w czystej pieluszcze. To zalecenie stało się punktem wyjścia do niemal talmudycznych dyskusji między mną a Simonem. Co należy rozumieć przez „przyjście”? Jeśli Bean robi kupę w drzwiach albo w momencie, kiedy będziemy się z nią żegnać, to kto powinien zmienić rzeczoną pieluchę? My czy *auxiliaires*?

Pierwsze dwa tygodnie były przeznaczone na adaptację – Bean stopniowo zostawała w *crèche* coraz dłużej, z nami lub bez nas. Trochę płakała, kiedy wychodziłam, ale Anne-Marie zapewniała mnie, że bardzo szybko się uspokajała, gdy mnie już nie było. Często jedna z opiekunek podnosiła ją do okna wychodzącego na ulicę, więc mogłam do niej jeszcze pomachać.

Jeśli żłobek szkodził jakoś Bean, nie byliśmy w stanie tego stwierdzić. Bardzo szybko stała się pogodna, kiedy ją zostawialiśmy, i szczęśliwa, kiedy ją odbieraliśmy. Po pewnym czasie dostrzegłam, że *crèche* stanowi mikrokosmos francuskiego systemu wychowywania dzieci. Dotyczyło to także jego ciemnych stron: Anne-Marie i inne opiekunki zdumiewało, że karmię dziewięciomiesięczną Bean piersią, zwłaszcza gdy robiłam to na terenie żłobka. Nie były zachwycone moim krótkotrwałym planem przynoszenia codziennie przed obiadem butelek z mlekiem odciągniętym z piersi, ale nie próbowały protestować.

Wyraźnie widoczne były również te wszystkie wielkie i pozytywne koncepcje francuskiego rodzicielstwa. Ponieważ w tak wielu kwestiach panuje powszechna zgoda co do najlepszej metody, francuscy rodzice nie muszą się martwić, że opiekunki nie stosują się do ich prywatnej filozofii wychowawczej. Zazwyczaj wprowadzają one taki sam harmonogram i uczą tych samych nawyków co rodzice.

Na przykład opiekunki stale mówią do dzieci, nawet do tych najmniejszych, z głębokim przekonaniem, że maluchy je rozumieją^[5]. Często wspomina się także o *cadre*. Na jednym z zebrań z rodzicami opiekunka opisywała go niemal poetyckimi słowami: „Wszystko jest bardzo *encadré* – obudowane ramami – na przykład godziny, w których dzieci są przynoszone i zabierane. W obrębie tych ram staramy się jednak wprowadzić elastyczność, płynność i spontaniczność, zarówno z uwagi na dzieci, jak i kadrę wychowawczą”.

Bean spędzała większość dnia, raczkując po sali i bawiąc się wszystkim, na co miała ochotę. To także mnie niepokoiło – co z zajęciami muzycznymi i zorganizowanymi zabawami? Szybko zrozumiałam, że cała ta swoboda jest celowa i znowu odzwierciedla francuski model *cadre*: dzieci mają jasno wytyczone granice, ale mnóstwo wolności w ich obrębie. W żłobku uczą się też radzić sobie z nudą i same się bawić. „Kiedy dziecko się bawi, stwarza samo siebie” – powiedziała mi Sylvie, inna opiekunka Bean.

Przygotowany przez ratusz raport dotyczący żłobków odwoływał się do ducha „aktywnego odkrywania”, zgodnie z którym dzieci „mogą zaspokajać apetyt życia przez eksperymentowanie z pięcioma zmysłami, wykorzystywanie mięśni, poznawanie wrażeń duchowych i przestrzeni fizycznej”. Dla starszych dzieci były organizowane zabawy, nikogo jednak nie zmuszano do uczestnictwa.

„Proponujemy, ale nie zmuszamy” – wyjaśniła kolejna opiekunka Bean. Kojąca muzyka pomagała dzieciom w zasypianiu, a przy każdym łóżeczku leżała sarta książeczek do oglądania. Dzieci stopniowo budziły się na *goûter*, podwieczorek. *Crèche* nie przypominało wydziału motoryzacyjnego – raczej luksusowy kurort.

Na placu zabaw także obowiązywało tylko kilka dobrze przemyślanych reguł. Chodziło o to, żeby dzieci miały maksymalnie dużo wolności. „Kiedy wychodzą na dwór, staramy się jak najmniej interweniować” – wyjaśniła inna opiekunka, Mehrie. „Jeśli wkraczamy za często, dzieci zaczynają

szaleć”.

Żłobek uczy maluchy także cierpliwości. Widziałam, jak dwulatka domagała się, żeby Mehrie wzięła ją na ręce, kiedy ta sprzątała ze stołu po obiedzie. „W tej chwili jestem zajęta. Zaczekaj chwileczkę” – powiedziała łagodnie do małej, a potem wyjaśniła mi: „Staramy się uczyć je czekania, to bardzo ważne. Nie mogą dostawać wszystkiego od razu”.

Opiekunki przemawiały do dzieci spokojnie i z szacunkiem, mówiąc o prawach: masz prawo zrobić to, nie masz prawa robić tamtego. Powtarzały to z takim samym niezłomnym przekonaniem, jakie słyszałam w głosie francuskich rodziców: wszyscy uważali, że jeśli *cadre* ma być niezmienny, muszą obowiązywać stałe zasady. „Zakazy są zawsze konsekwentne i zawsze tłumaczymy ich powody” – powiedziała mi Sylvie.

Wiedziałam, że żłobek bywa stanowczy w niektórych sprawach, gdyż po pewnym czasie Bean zaczęła powtarzać wyuczone w nim frazy. Wiedziałam, że pochodzą z *crèche*, ponieważ tamtejsze opiekunki były dla niej jedynym źródłem języka francuskiego. Zupełnie jakby przez cały dzień nosiła z sobą magnetofon, a my wieczorem mogliśmy odsłuchać taśmę. Większość tego, co powtarzała Bean, było w trybie rozkazującym, jak na przykład *on va pas crier!* („nie będziemy krzyczeć!”). Moje ulubione, rymujące się zwroty, których natychmiast zaczęłam używać w domu, to *couche-toi!* („śpij!”) i *mouche-toi!* („wytrzyj nos!”), mówione, kiedy trzyma się chusteczkę przed twarzą dziecka.

Przez jakiś czas Bean mówiła po francusku wyłącznie w trybie rozkazującym albo w formie deklaracji, co jest dozwolone, a co nie jest. Kiedy w domu bawiła się w „nauczycielkę”, stawiała na krześle, machała palcem i wykrzykiwała polecenia do wymyślonych dzieci, a czasem także do zaskoczonych gości, którzy przyszli na obiad.

Szybko zaczęła wracać do domu nie tylko z nowymi komendami, ale także z piosenkami. Często śpiewała jedną, którą znaliśmy jako *tomala, tomala, vatovi!* – Bean każdą linijkę powtarzała coraz głośniej, machając w kółko ramionami. Dopiero później dowiedziałam się, że to jedna z najbardziej znanych francuskich piosenek dziecięcych (jej słowa w rzeczywistości brzmią *ton moulin, ton moulin, va trop vite*), opowiadająca o wiatraku, który zbyt szybko się kręci.

Tym, co ostatecznie przekonało nas do *crèche*, było jedzenie, a dokładniej – obiady. W każdy poniedziałek w żłobku wywieszano jadłospis na wielkiej białej tablicy przy wejściu.

Czasem fotografowałam te plany posiłków i wysyłałam e-mailem do mojej matki. Przypominały wypisywane kredą menu w małych paryskich knajpkach. Obiad składał się z czterech dań: warzywna przystawka na zimno, danie główne z ryżem albo gotowanymi warzywami, codziennie inny ser oraz deser – owoce albo mus owocowy. Dla każdej grupy wiekowej menu było odrobinę modyfikowane – najmłodsze dzieci przeważnie jadły to samo, ale w postaci *purée*.

Typowy posiłek zaczynał się od surówki z serca palmy i pomidorów, potem podawano plasterki indyka *au basilic* z ryżem w prowansalskim sosie śmietanowym. Trzecim daniem był plasterek sera Saint Nectaire z kawałkiem chrupiącej bagietki, a na deser dzieci dostawały świeże owoce kiwi.

Miejscowa kucharka w każdym żłobku codziennie przygotowywała obiad ze świeżych składników. Kilka razy w tygodniu ciężarówka przywoziła sezonowe warzywa i owoce, czasem nawet pochodzące z upraw ekologicznych. Pomijając używaną od czasu do czasu pastę pomidorową, nie korzystano z przetworzonej żywności – czasem używano mrożonek, ale nigdy gotowych potraw.

Trudno mi było wyobrazić sobie dwulatki siedzące grzecznie podczas takiego posiłku, więc opiekunki w *crèche* pozwoliły mi obserwować obiad w pewną środę, kiedy Bean została w domu z nianią. Byłam oszołomiona, gdy uświadomiłam sobie, że moja córeczka zazwyczaj je w ten właśnie sposób. Siedziałam cichutko z reporterskim notatnikiem, podczas gdy jej koledzy usiedli po

czworo przy kwadratowych stolikach dla dzieci. Jedna z opiekunek przyprowadziła wózek pełen przykrytych talerzy i pieczywa zawiniętego w folię dla zachowania świeżości.

Przy każdym stole czekała opiekunka, która odsłaniała i omawiała poszczególne potrawy. Na przystawkę była intensywnie czerwona sałatka z pomidorów w sosie winegret. „Potem zjemy *le poisson*” – oznajmiła i zaprezentowała aprobującym spojrzeniom dzieci płatki białej ryby w lekkim maślanym sosie, z gotowanym groszkiem, marchewką i cebulą. Później zapowiedziała ser: „Dzisiaj mamy *le bleu*”. Pokazała dzieciom kruszący się ser pleśniowy. Potem wyjęła deser: całe jabłka, które miała później pokroić na cząstki.

Jedzenie wyglądało prosto, świeżo i apetycznie. Gdyby nie nietłukące talerze, małe kawałki i to, że niektórym biesiadnikom trzeba było przypominać o powiedzeniu *merci*, mogłabym pomyśleć, że trafiłam do wykwintnej restauracji.

Kim właściwie były osoby opiekujące się Bean? Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, pewnego wietrznego jesiennego poranka pojawiłam się na dorocznym egzaminie wstępnym do ABC Puériculture, jednej ze szkół kształcących przyszłych pracowników żłobków. Czekwały tam setki przejętych dwudziestokilkuletnich kobiet (i nieliczni mężczyźni), rzucających sobie nieśmiało spojrzenia lub rozwiązujących ostatnie zadania w opasłych książkach z ćwiczeniami.

Ich niepokój był zrozumiały: z ponad pięciuset osób przystępujących do tego testu zaledwie trzydzieści miało zostać przyjętych do szkoły. Kandydatów sprawdzano w zakresie umiejętności wyciągania wniosków, czytania ze zrozumieniem, matematyki i biologii człowieka. Ci, którzy przeszli do drugiego etapu, musieli pomyślnie przejść egzamin z psychologii, wygłosić prezentację i stawić się na przesłuchanie przed komisją ekspertów.

Trzydziestu szczęśliwców odbywało następnie rok kursów i stażów, a potem przystępowało do zaliczenia rządowego programu nauczania. Uczyli się podstaw dotyczących żywienia, snu i higieny dzieci oraz ćwiczyli mieszanie odżywek i zmianę pieluszek. Później, przez całą karierę zawodową od czasu do czasu uczestniczyli w tygodniowych kursach doszkalających.

We Francji pracę w żłobku można nazwać karierą zawodową – w całym kraju istnieją szkoły o podobnie wyśrubowanych wymaganiach, produkujące armię wykwalifikowanego personelu dla *crèches*. Połowa opiekunek w każdym żłobku musi mieć stopień *auxiliaires* lub równorzędny, jedna czwarta – dyplom w zakresie zdrowia, wypoczynku lub działalności społecznej. Jedna czwarta może nie mieć żadnych formalnych kwalifikacji, ale musi zostać przeszkolona na miejscu^[6]. W żłobku Bean trzynaście z szesnastu opiekunek miało stopień *auxiliaires* lub pokrewny.

Zaczęłam postrzegać Anne-Marie i inne opiekunki Bean jako profesorów w zakresie opieki nad dziećmi. Zrozumiałam także ich pewność siebie: były doskonałe w swoim zawodzie i zasłużyły na szacunek rodziców. Miałam wobec nich dług wdzięczności: przez niemal trzy lata, które Bean spędziła w żłobku, nauczyły ją korzystać z nocnika i odpowiedniego zachowania przy stole, a także pozwoliły jej nasiąkać kulturą francuską.

Kiedy rozpoczął się trzeci rok uczęszczania Bean do *crèche*, doszłam do wniosku, że dni zaczynają się jej dłużyć i chyba nie otrzymuje dostatecznej stymulacji. Byłam gotowa przenieść ją do przedszkola, ale sama Bean nadal dobrze czuła się w żłobku. Cały czas nawijała o Maky i Lili, jej najlepszych przyjaciółkach. (Ciekawe, że ciągnęło ją do innych dzieci cudzoziemców: rodzice Lili pochodzili z Maroka i Japonii, a tata Maky z Senegal). Zdecydowanie była zsocjalizowana – kiedy wraz z Simonem zabraliśmy ją na długi weekend do Barcelony, dopytywała się bez przerwy, gdzie są pozostałe dziewczynki i chłopcy.

Dzieci spędzały mnóstwo czasu, biegając z krzykiem po wyłożonym sztuczną trawą podwórku, na

którym czekały małe hulajnogi i wózek. Tam zwykle była Bean, kiedy po nią przychodziłam, a kiedy tylko mnie zauważyła, podbiegała pędem i wpadała mi radośnie w ramiona, wykrzykując nowiny dnia.

W ostatnim dniu w *crèche* po przyjęciu pożegnalnym i sprzątnięciu szafki Bean uściskała i ucałowała na pożegnanie Sylvie, jej główną opiekunkę. Przez cały rok Sylvie była wcieleniem profesjonalizmu, ale teraz rozplakała się, kiedy Bean ją objęła. Ja także płakałam.

Po zakończeniu żłobka mieliśmy z Simonem wrażenie, że Bean dobrze się tam czuła, mimo że wcześniej często żyliśmy w poczuciu winy, codziennie ją tam zostawiając. Nie mogliśmy także pozostać obojętni na pojawiające się regularnie w prasie amerykańskiej alarmujące artykuły o tym, jak żłobek wpływa na dzieci.

Europejczycy nie zastanawiają się już właściwie nad tą kwestią. Sheila Kamerman z Uniwersytetu Columbia zauważa, że obecnie w Europie przyjmuje się za oczywiste, że doskonałe żłobki z niewielkimi grupami i ciepłymi, profesjonalnymi, zadowolonymi z pracy opiekunkami są dla dzieci dobre. I odwrotnie, zakłada się, że niedobre żłobki mają na nie zdecydowanie zły wpływ.

Amerykanie mają zbyt wiele obaw związanych ze żłobkami, by zakładać coś podobnego. Dlatego rząd Stanów Zjednoczonych sfinansował zakrojone na największą jak dotąd skalę badania tego, w jaki sposób najwcześniejsza zorganizowana opieka nad dzieckiem wpływa na jego późniejszy rozwój i zachowanie^[2].

Wiele artykułów poświęconych żłobkom w Ameryce powstało na bazie informacji zgromadzonych w ramach tych badań. Dowiedziono, że wczesnodziecięcy system opieki nie ma wielkiego znaczenia dla rozwoju dziecka. „Jakość opieki rodzicielskiej ma o wiele większy wpływ na dalszy rozwój dziecka niż typ, częstotliwość lub jakość opieki w żłobku” – wyjaśniał komentarz. Dzieci radziły sobie lepiej, jeśli ich rodzice byli lepiej wykształceni i sytuowani, jeśli miały w domu mnóstwo książek i zabawek i mogły uczestniczyć we „wzbogacających doświadczeniach”, takich jak wizyty w bibliotece. Nie miało znaczenia, czy dziecko spędzało w żłobku ponad trzydzieści godzin tygodniowo, czy też przebywało w tym czasie w domu z matką.

Jak już wspominałam, badania wykazały, że kluczowe jest „wyczulenie” matki – to, na ile potrafi ona dostroić się do postrzegania świata przez dziecko. To samo dotyczyło żłobków. Jeden z naukowców^[8] napisał, że „dobrej jakości” żłobek to taki, w którym opiekunki są „wyczulone na potrzeby dziecka i reagują na jego werbalne i niewerbalne sygnały, stymulują jego ciekawość i pragnienie poznawania świata, są emocjonalnie ciepłe, pomocne i opiekuńcze”.

Dzieci lepiej sobie radzą, jeśli ich opiekunowie są wrażliwi – wszystko jedno, czy mówimy o nianie, babci czy o pracownicy żłobka. „Nie jest możliwe, by w danej klasie w szkole bez dodatkowych informacji wskazać dzieci, które chodziły do żłobka” – napisał badacz.

Uświadomiłam sobie, że Amerykanie nie powinni się niepokoić, czy niedobry żłobek wyrzuci na dziecko zły wpływ (jasne, że tak), ale zastanowić, czy pobyt w takim żłobku będzie dla dziecka przyjemny. Amerykańskich rodziców tak bardzo pochłania rozwijanie zdolności poznawczych u dzieci, że zapominają zapytać, czy ich pociechy w żłobku są szczęśliwe i dobrze się tam czują. O tym właśnie mówią rodzice francuscy.

Nawet moja matka przywykła do żłobka, chociaż pomogło jej chyba to, że zaczęła go nazywać *crèche*. Nam z całą pewnością posłużył dobrze: poczuliśmy się bardziej częścią Francji, a przynajmniej częścią naszej dzielnicy. Na pewien czas odłożyliśmy odwieczne dyskusje „zostawać czy nie zostawać w Paryżu?”. Nie potrafiliśmy wyobrazić sobie przeprowadzki w jakieś inne

miejsce, w którym byłoby trudno znaleźć porządną, przystępną finansowo żłobek. Na horyzoncie majaczyła zaś kolejna wymówka, aby tu pozostać: *école maternelle*, darmowe publiczne przedszkole, w którym było miejsce praktycznie dla każdego.

Francuski żłobek podobał nam się przede wszystkim dlatego, że polubiła go Bean. Jadła sery pleśniowe, dzieliła się zabawkami i bawiła w *tomate, ketchup* (francuską odmianę zabawy w „mam chusteczkę haftowaną”). Opanowała także do perfekcji francuski tryb rozkazujący. Stała się trochę zbyt agresywna: zdarzało się jej kopnąć mnie w łydkę, przypuszczałam jednak, że skłonność do ataków złego humoru odziedziczyła po ojcu. Nie wydaje mi się, żebym za jakiegokolwiek jej wady mogła winić żłobek.

Maky i Lila pozostały jej wiernymi przyjaciółkami, a czasem zabieraliśmy nawet Bean do *crèche*, żeby mogła popatrzeć na dzieci bawiące się na podwórku. Co jakiś czas, zupełnie niespodziewanie, Bean patrzyła na mnie i mówiła „Sylvie płakała”. To było miejsce, w którym czuła się ważna.



Bébé au lait

Polubienie *crèche* okazało się łatwe – w odróżnieniu od polubienia matek innych dzieci. Wiedziałam, że błyskawiczne nawiązywanie znajomości w stylu amerykańskim we Francji się nie sprawdza. Słyszałam, że tutaj przyjaźń między kobietami rodzi się powoli i czasem potrzebuje lat, żeby się zacieśnić. (Z drugiej strony, we Francuzce znajdziesz najprawdopodobniej przyjaciółkę na całe życie, podczas gdy błyskawicznie zawierane znajomości w Ameryce potrafią się równie błyskawicznie skończyć).

Zdażyłam się już wprawdzie zaprzyjaźnić z kilkoma Francuzkami, ale albo nie miały one dzieci, albo mieszkały po przeciwnej stronie miasta. Zakładałam, że powinnam poznać jakieś mamy z sąsiedztwa, z dziećmi w wieku Bean. W moich wyobrażeniach wymieniałymy się przepisami, organizowałyśmy pikniki i narzekałyśmy na mężów – tak właśnie wyglądało to w Ameryce. Moja własna matka nadal przyjaźniła się z kobietami, które poznała na placu zabaw, kiedy byłam malutka.

Byłam więc zupełnie nieprzygotowana na to, że francuskie matki kompletnie mnie zignorują. Mówiły mi ledwie *bonjour*, kiedy zostawiałyśmy nasze maluchy w żłobku. W końcu nauczyłam się imion większości rówieśników Bean, ale nawet po upływie roku byłam przekonana, że żadna z pozostałych mam nie wie, jak nazywa się Bean – a już na pewno nie wiedziały, jak ja mam na imię.

To początkowe stadium, jeśli tak należało je nazwać, nie sprawiało wrażenia czegoś, co mogło rozwinąć się w przyjaźń. Matki, które widywałam kilka razy w tygodniu w żłobku, wyraźnie mnie nie rozpoznawały, kiedy mijałyśmy się w supermarkecie. Być może, jak twierdziły książki o różnicach kulturowych, szanowały moją prywatność – odezwanie się do mnie byłoby nawiązaniem relacji, a zatem nałożeniem pewnych zobowiązań. A może po prostu były zarozumiałe?

To samo działo się na placu zabaw. Kanadyjki i Australijki traktowały plac zabaw podobnie jak ja – jako miejsce, w którym można się poznać i być może znaleźć przyjaźń na całe życie. Kilka minut po nawiązaniu rozmowy wymieniałymy się informacjami o rodzinnych miastach, sytuacji domowej i poglądach na szkoły dwujęzyczne. Chwilę później potakiwałyśmy, jakby ktoś nam za to płacił: „Jeździsz na Concorde, żeby kupić płatki Grape-Nuts? Ja też!”.

Zwykle jednak byłam sama z matkami francuskimi, a one nie zamierzały mi potakiwać. Szczerze mówiąc, rzadko zaszczęcały mnie choćby spojrzeniem, nawet jeśli nasze dzieci siłowały się w piaskownicy o jakąś zabawkę. Kiedy próbowałam nawiązać rozmowę klasycznym: „Ile ma lat?”, zwykle odmrukiwały liczbę i patrzyły na mnie, jakbym była potencjalną porywaczką. Rzadko same zadawały jakieś pytania, a jeśli to robiły, okazywały się Włoszkami.

Trzeba uczciwie przyznać, że byłam w Paryżu – bez wątpienia jednym z najmniej przyjaznych miejsc na Ziemi. Prawdopodobnie to tutaj wymyślono pogardliwe prychnięcie – nawet mieszkańcy pozostałych części Francji mówili mi, że paryżanie są zimni i zdystansowani.

Powinnam zapewne zignorować te kobiety, ale nie potrafiłam – zaintrygowały mnie. Przede wszystkim wiele z nich wyglądało znacznie lepiej niż my, Amerykanki. Odprowadzałam rano Bean

do żłobka z włosami związanymi w koński ogon, ubrana w to, co znalazłam na podłodze obok łóżka. Za to one pojawiały się nienagannie uczesane i wyperfumowane. Nie gapiłam się już ze zdumieniem, kiedy spacerowały po parku w szpilkach i obcisłych džinsach, pchając wózki z malutkimi noworodkami. (Dalej od centrum Paryża mamy robiły się trochę grubsze).

Te matki nie były tylko eleganckie, ale także zdumiewająco opanowane. Nie krzyczały do swoich dzieci na cały park ani nie uciekały pośpiesznie z wyjącem maluchem. Trzymały się prosto i nie promieniowały tą słynną mieszkanką zmęczenia, niepokoju i bycia-na-krawędzi, jaka wylewała się z większości znanych mi amerykańskich matek (ze mną włącznie).

Jakaś część mnie pragnęła nakarmić je siłą kilkoma łyżkami tłustego pasztetu, ale inna umierała z ciekawości, w czym tkwi ich sekret. To, że ich dzieci dobrze spały i nie jęczały, na pewno pomagało im zachować spokój, ale to nie było wszystko. Czy musiały się z czymś potajemnie zmagać? Gdzie się podziały ich fałdki na brzuchu? Czy francuskie matki naprawdę są doskonałe? A jeśli tak, to czy są szczęśliwe?

Pierwszą różnicą między matkami francuskimi a amerykańskimi, pojawiająca się zaraz po urodzeniu dziecka jest karmienie piersią. Kobiety z krajów anglosaskich postrzegają to, jak długo matka karmi piersią, jak wskaźnik sukcesu – niczym premię dla maklerów na Wall Street. Pewna była bizneswoman z zaprzyjaźnionej anglojęzycznej grupy regularnie podchodziła do mnie, kiedy nasze dzieci się bawiły, i pytała z fałszywą niewinnością: „I co, karmisz ją jeszcze piersią?”.

Fałsz polegał na tym, że obie doskonale wiedziałyśmy o bezpośredniej rywalizacji na „osiągi” w karmieniu piersią. Matka traciła punkty, jeśli podawała dziecku także mleko w proszku, często odciągała mleko lub karmiła piersią zbyt długo (wtedy bowiem zaczynała sprawiać wrażenie stukniętej hipiski).

W kręgach klasy średniej w Stanach Zjednoczonych wiele matek traktowało podawanie niemowlętom mleka w proszku niemal jako rodzaj znęcania się nad nimi. To, że karmienie piersią wymagało wytrwałości, było niewygodne i czasem powodowało fizyczny ból, zwiększało jego status.

Dodatkowe punkty amerykańskie mamy przyznawały za karmienie piersią we Francji, gdzie nie jest to popularne, a wiele osób uważa ten widok za nieprzyjemny. „Karmiąca piersią matka jest uważana jeśli nie za osobliwą dziwaczkę, to za kogoś, kto poświęca się bardziej, niż musi” – wyjaśniał poradnik macierzyństwa opublikowany przez Message, organizację zrzeszającą anglojęzyczne matki w Paryżu.

My, emigrantki, opowiadałyśmy sobie przerażające historie o francuskich lekarzach, którzy – kiedy matka przychodziła do nich z pękniętą brodawką czy blokadą przewodów mlecznych – beztrudnie doradzali przejście na karmienie mlekiem w proszku. Aby z tym walczyć, Message miało własną armię „działaczy na rzecz karmienia piersią”. Zanim urodziłam Bean, jedna z takich osób przestrzegła mnie, żebym nigdy nie oddawała dziecka pod opiekę personelu szpitalnego, kiedy idę spać, ponieważ pielęgniarki nie zastosują się do moich instrukcji i dadzą mu butelkę, gdy będzie płakać. W jej ujęciu „niechęć do ssania piersi” wydawała się czymś bardziej przerażającym niż autyzm.

To nieprzyjazne środowisko sprawiło, że anglojęzyczne matki w Paryżu czuły się jak mlekodajne superbohaterki walczące ze złymi lekarzami i obcymi, którzy pragną ukraść ich dzieciom przeciwciała. Na czacie matki-emigrantki wyliczały najdziwniejsze miejsca, w których karmiły dzieci w Paryżu – znalazła się wśród nich bazylika Sacré-Cœur, nagrobek na cmentarzu Père-Lachaise czy przyjęcie koktajlowe w Four Seasons Hotel George V. Jedna z matek opowiadała

o okolicznościach karmienia: „Stałam przy kontuarze biura linii easyJet na lotnisku Charlesa de Gaulle’a i składałam skargę. Musiałam położyć dziecko na ladzie”. Współczułam nieszczęsnemu pracownikowi.

W naszym zapale nie potrafiłyśmy pojąć, dlaczego francuskie matki tak rzadko karmią piersią. Około 63 procent Francuzek karmi dzieci piersią przez pewien czas^[1]. Trochę ponad połowa karmi jeszcze wtedy, kiedy wychodzą z oddziału położniczego, ale większość całkowicie przerywa karmienie niedługo potem. W Stanach Zjednoczonych 74 procent matek karmi dzieci piersią przez jakiś czas, a jedna trzecia niemowląt czteromiesięcznych jest odżywiana wyłącznie mlekiem matki^[2].

Nam, matkom anglosaskim, jeszcze trudniej było zrozumieć, dlaczego nawet Francuzki z klasy średniej, których styl życia przypominał amerykański, także zwykle nie karmiły piersią. W końcu gotują one na parze purée z ekologicznie uprawianych porów dla siedmiomiesięcznych dzieci i posyłają trzylatki na te same lekcje gry na bębnach afrykańskich co my.

– Czy one nie wiedzą tego co my? – pytała mnie z niedowierzaniem pewna Amerykanka. Prowadziłyśmy dyskusje na temat tego, dlaczego Francuzki nie karmią piersią: nie chce im się, bardziej zależy im na cyckach niż na dzieciach (choć piersi deformowały się z powodu ciąży, a nie karmienia) albo po prostu nie mają pojęcia, jakie to ważne.

Miejscowi mówili mi, że karmienie piersią kojarzy się z wiejskimi obyczajami i z czasami, kiedy odsyłano niemowlęta do mamek na prowincję. Inni twierdzili, że firmy produkujące mleko dla niemowląt płacą szpitalom, rozdają darmowe próbki na oddziałach położniczych i reklamują się na potęgę. Olivier, mąż zaprzyjaźnionej ze mną dziennikarki Christine, miał teorię, że karmienie pozbawia kobiece piersi aury tajemniczości, zamieniając je w coś użytkowego i zwierzęcego. Francuscy ojcowie, którzy strategicznie unikają „frontu robót” podczas porodu, starają się także nie oglądać kobiecych piersi, gdy są wykorzystywane w mało seksownym celu.

We Francji działają niewielkie grupki entuzjastów karmienia piersią, ale zazwyczaj nie wywiera się na kobiety presji, by karmiły je przez dłuższy czas. Kiedy moja brytyjska znajoma Alison, ucząca w Paryżu angielskiego, powiedziała lekarzowi, że wciąż karmi piersią trzynastomiesięczne dziecko, ten zapytał: „Co na to pani mąż? I psychiatra?”. Według „Enfant Magazine”, jednego z najpopularniejszych francuskich czasopism, „karmienie piersią dłużej niż trzy miesiące jest zawsze źle postrzegane przez otoczenie”.

Alexandra, pracująca w żłobku matka dwóch córek, powiedziała mi, że nie dała żadnej z nich ani kropli swojego mleka – mówiła to bez usprawiedliwiania się czy poczucia winy. Była szczęśliwa, gdy jej mąż, strażak, chciał pomóc w opiece nad dziewczynkami, a karmienie butelką było dla niego zajęciem w sam raz. Podkreślała, że dziewczynki są teraz idealnie zdrowe.

– Nocne wstawanie, by dać dziecku butelkę, to dla ojca doskonały trening – dodała Alexandra. – A ja dzięki temu się wysypiałam i mogłam pić wino w restauracjach. To nie takie złe być *maman*.

Zdaniem Pierre’a Bitouna, francuskiego pediatry i wieloletniego orędownika karmienia piersią, wiele Francuzek uważa, że ma po prostu za mało mleka. Twierdził, że dzieje się tak, ponieważ na francuskich oddziałach położniczych nie zachęca się kobiety do karmienia nowo narodzonych dzieci co kilka godzin. Tymczasem przez pierwsze dni po porodzie kluczowe jest, żeby matki zaczęły wytwarzać dostatecznie dużo mleka. Jeśli nie karmią od samego początku bardzo często, rzeczywiście nie mają potem wystarczająco dużo mleka i niezbędne staje się wprowadzenie mleka w proszku. „Trzeciego dnia dziecko traci na wadze dwieście gramów, a lekarze mówią: «Och, nie ma pani dość mleka. Musimy dać dziecku mleko w proszku albo będzie głodne». Tak właśnie się dzieje. To szaleństwo”.

Doktor Bitoun wygłasza we francuskich szpitalach odczyty, w których stara się wyjaśnić naukowe

podstawy karmienia piersią i płynące z tego korzyści. Ale „przyzwyczajenia kulturowe są silniejsze od nauki” – przyznaje. „Trzy czwarte ludzi, z którymi współpracowałem w szpitalach, nie wierzy, że mleko matki jest zdrowsze od sztucznych mieszanek. Uważają, że nie ma żadnej różnicy albo przynajmniej tak mówi się matkom, żeby nie czuły się winne”.

Należy zaznaczyć, że chociaż francuskie dzieci pochłaniają nieprawdopodobne ilości mleka w proszku, górują nad dziećmi amerykańskimi praktycznie pod względem każdego wskaźnika zdrowia. Francja plasuje się o jakieś sześć punktów ponad średnią dla krajów rozwiniętych w zbiorczym rankingu UNICEF dotyczącym ogólnego stanu zdrowia i bezpieczeństwa dzieci, uwzględniającym śmiertelność noworodków, szczepienia ochronne dzieci do lat dwóch oraz śmierć lub zranienie na skutek nieszczęśliwego wypadku przed ukończeniem dziewiętnastego roku życia. Stany Zjednoczone lokują się osiemnaście punktów poniżej tej średniej.

Francuscy rodzice nie mają powodów wierzyć, że sztuczne mleko jest czymś strasznym ani traktować karmienia piersią jak świętego rytuału. Uważają, że mleko matki jest znacznie ważniejsze dla dziecka urodzonego w ubóstwie w Czarnej Afryce niż pochodzącego z paryskiej rodziny należącej do klasy średniej. „Rozglądamy się dokoła i widzimy, że wszystkie te dzieci, które piły mleko w proszku, są zdrowe” – powiedziała Christine, dziennikarka z dwójką małych dzieci. „My także kiedyś je piliśmy”.

Ja nie podchodziłam do tego tak spokojnie. Rozmowa z konsultantką do spraw karmienia piersią z grupy Message wstrząsnęła mną głęboko i na oddziale położniczym po urodzeniu Bean upierałam się, że mała musi przebywać ze mną przez cały czas. Budziłam się za każdym razem, kiedy zakwiliła, i praktycznie w ogóle nie zdołałam odpocząć.

To cierpienie i samopoświęcenie wydawało mi się po prostu naturalne, ale po kilku dniach uświadomiłam sobie, że jako jedyna matka na oddziale poddaję się takim torturom. Pozostałe kobiety, nawet te, które karmiły piersią, nocą oddawały dzieci pod opiekę pielęgniarek – uważały, że mają prawo do kilku godzin snu.

W końcu byłam wystarczająco wykończona, żeby także tego spróbować. Początkowo czułam się potwornie winna, ale błyskawicznie przekonałam się do tego systemu i nic nie wskazywało na to, by szkodził on Bean. Wbrew plotkom pielęgniarki i opiekujące się noworodkami *puéricultrices* bez najmniejszych oporów przywoziły Bean do mojego pokoju na karmienie, a potem zabierały z powrotem.

Francja prawdopodobnie nigdy nie stanie się mekką dla karmiących piersią, ale działa tu Protection maternelle et infantile (PMI – Ochrona matki i dziecka) – ta sama rządowa organizacja, której podlegają żłobki. Ma ona przychodnie w całym Paryżu, oferujące darmowe wizyty kontrolne i szczepienia wszystkim dzieciom poniżej szóstego roku życia, nawet tym, które przebywają we Francji nielegalnie. Rodzice z klasy średniej rzadko korzystają z usług PMI, ponieważ państwowy system ubezpieczeń pokrywa większość kosztów wizyt u prywatnych pediatrów. (Rząd francuski jest głównym ubezpieczycielem, ale większość lekarzy prowadzi prywatną praktykę).

Miałam opory przed zapisaniem się do publicznej przychodni. Czy będzie odczuwaczona? Czy będzie czysta? Przekonał mnie kluczowy argument: będzie całkowicie darmowa. Lokalna przychodnia PMI znajdowała się dziesięć minut od naszego mieszkania i za każdym razem mogliśmy się umawiać do tego samego lekarza. Spora część nieskazitelnie czystej poczekalni została przeznaczona na kącik zabaw dla dzieci. Protection maternelle et infantile wysyłało *puéricultrice* z wizytą domową do kobiet, które dopiero co wróciły ze szpitala, żeby sprawdzić stan ich i dziecka. Jeśli matka popadła w depresję poporodową, na miejscu mogła skonsultować się z psychiatrą. Wszystko to było za darmo, nie dostawało się żadnego rachunku – porównajcie to z wartością tej odrobiny mleka z piersi.

W kwestii karmienia piersią zastosowałam się jednak do zaleceń Amerykańskiej Akademii Pediatrycznej – karmiłam Bean w ten sposób przez dwanaście miesięcy, co do dnia. Ostatnie, pożegnalne karmienie odbyło się w pierwsze urodziny Bean. Czasem podobało mi się karmienie piersią, ale często irytowało mnie to, że muszę przerywać swoje zajęcia i biec do domu, żeby nakarmić małą albo – co zdarzało się coraz częściej – spędzać upojne chwile w towarzystwie pompy do odciągania mleka. Wyrwałam przede wszystkim ze względu na korzyści zdrowotne, o których czytałam, i dlatego, że chciałam się popisać w tej cichej rywalizacji z matką z zaprzyjaźnionej anglojęzycznej grupy.

Nacisk społeczny na karmienie piersią w Ameryce służy zdrowiu społeczeństwa – dzięki temu mleko z piersi trafia do brzuszków dzieci. Ale trochę w tym przesadzamy. Francuzki potrafią z góry przewidzieć tę karuzelę niepokoju i poczucia winy, więc przynajmniej próbują stawiać jej opór.

Doktor Bitoun spędził wiele lat na propagowaniu karmienia piersią. Przez ten czas zauważył, że większości francuskich matek nie daje się przekonać argumentami odwołującymi się do punktów IQ i wydzielania immunoglobulin A. Aby nakłonić je do karmienia piersią, należy mówić, że będzie to doświadczenie przyjemne zarówno dla nich, jak i dla dziecka. „Działał tylko argument odwołujący się do przyjemności” – podsumował.

Wiele francuskich matek na pewno chciałoby karmić piersią dłużej niż faktycznie robią. Nie zamierzają jednak działać pod przymusem moralnym ani przechwalać się tym na urodzinach dwulatków. Mleko w proszku być może jest gorsze niż mleko matki, ale bez wątplenia sprawia, że pierwsze miesiące macierzyństwa są dla francuskich mam znacznie mniej stresujące.

Francuskie matki, nawet jeśli swobodnie podchodzą do karmienia piersią, na pewno z taką samą swobodą nie traktują odzyskiwania figury po porodzie. Byłam zdumiona, gdy się dowiedziałam, że szczupła kelnerka z kawiarni, do której zwykle chodziłam pisać, jest matką sześciolatka. Brałam ją za dwudziestotrzyletnią hipsterkę.

Kiedy powiedziałam jej o amerykańskim skrócie MILF (*Mom I'd Like to Fuck* – „Mamuśka do przelecenia”), uznała to za komiczne. We francuskim nie ma podobnego zwrotu, ponieważ we Francji nie ma żadnego powodu, dla którego kobieta nie może być seksowna tylko dlatego, że zdarzyło się jej mieć dzieci. Francuzi nierzadko mówią, że macierzyństwo nadaje kobietom pociągającą aurę *plénitude* (szczęścia i energii ducha).

Oczywiście niektóre amerykańskie mamy też szybko zrzucają nadprogramowe kilogramy, ale o wiele łatwiej jest znaleźć przeciwne przykłady. Sesja zdjęciowa „Metamorfoza młodej mamy” w magazynie „American Baby” pokazuje trzy zawstydzone panie, wciąż jeszcze trochę przy kości, które uśmiechają się bez przekonania, ubrane w luźne sukienki. Swoje maluchy trzymają strategicznie na wysokości bioder. W komentarzu jest bezlitosna informacja: „Urodzenie dziecka zmienia twoje ciało, a bycie mamą zmienia twoje życie”, a potem zaczynają się peany na cześć spodni na gumce.

Dla niektórych Amerykanek poświęcenie ciała na rzecz macierzyństwa jest czymś uzasadnionym moralnie – jakby oddaniem się wyższej sprawie. Konsultantka marketingu sportowego, matka sześciomiesięcznego berbecia, opowiedziała mi, że do zaprzyjaźnionej grupy mam dołączyła Francuzka i natychmiast zapytała pozostałe panie (jak się domyślam – z uroczym galijskim akcentem): „Okej, to jak sobie radzicie ze zrzuceniem wagi?”. Moja rozmówczyni i pozostałe matki odpowiedziały milczeniem – to nie był temat, na jaki zwykle rozmawiały. Jasne, byłyby szczęśliwe, gdyby mogły jak na zawołanie zrzucić dziesięć kilogramów, ale żadnej z nich nie udawało się skutecznie schudnąć. Czułyby się egoistkami, gdyby zrezygnowały na chwilę z opiekowania się dzieckiem, żeby popracować nad brzuszkiem, albo nawet gdyby za często o tym rozmawiały.

W Paryżu nie udałooby się uciszyć żadnego zgromadzenia pytaniem, jak młode matki radzą sobie z nadwagą. Kobiety w ciąży podlegają potężnej presji społecznej – najpierw, by nadmiernie nie przytyć, a potem, by jak najszybciej po porodzie zrzucić dodatkowe kilogramy.

Wspomniana wcześniej konsultantka ma siostrę, Nancy, która mieszka w Paryżu i ma synka ze swoim francuskim przyjacielem. Dwie siostry, podobne nawet z wyglądu, mogłyby się stać ilustracją pewnego rodzaju eksperymentu socjologicznego. Presja otoczenia, której podlegały, zależała od tego, gdzie mieszkały i kim byli ich partnerzy życiowi. Nancy powiedziała mi, że kilka miesięcy po urodzeniu dziecka partner zaczął jej przypominać, żeby nie nosiła spodni od dresu i zrzuciła fałdkę na brzuchu. Jako zachętę obiecywał wyprawę na zakupy po nowe ubrania.

Nancy przyznała, że była jednocześnie zaskoczona i urażona. Podobnie jak jej siostra w Connecticut wyobrażała sobie, że jako mama należy do „chronionego gatunku” i może na jakiś czas zaniedbać siebie, żeby poświęcić się opiece nad dzieckiem. Jej francuski partner patrzył na tę kwestię inaczej – wciąż uważał ją za pełnowartościową kobietę i oczekiwał odpowiednich do tego korzyści estetycznych. Był zaskoczony i poruszony tym, że Nancy chciała tak po prostu się poddać.

We Francji trzy miesiące to liczba magiczna: Francuzki w każdym wieku mówiły, że „odzyskały *ligne*” w trzy miesiące po porodzie. Audrey, dziennikarka, powiedziała mi przy kawie, że po obu porodach szybko odzyskała figurę – a w jednym przypadku urodziła bliźniaki.

– Oczywiście, to w końcu naturalne – oznajmiła. – Ty przecież tak samo, prawda?

(Siedziałam już przy stoliku, kiedy przysła do kawiarni).

Jako cudzoziemka, której mąż nie jest Francuzem, czułam się wyłączona z trzymiesięcznej zasady – zresztą usłyszałam o niej dopiero wtedy, kiedy Bean miała pół roku. Moje uroczę ciało postanowiło zmagazynować nadmiary tłuszczu wokół brzucha i bioder, co wyglądało, jakbym nie rozstała się co najmniej z łóżyskiem.

Na pewno byłabym szczuplejsza, gdybym miała francuskich teściów, którzy wierciliby mi dziurę w brzuchu. Można było odnieść wrażenie, że szczupłość, podobnie jak otyłość, jest czymś, co rozprzestrzenia się przez kręgi społeczne. Jeśli wszystkie kobiety dokoła ciebie zakładają, że bez dwóch zdań zrzucą te kilka kilogramów, to jest znacznie większa szansa, że ty także to zrobisz. (Oczywiście łatwiej też schudnąć, jeśli nie przytyło się nadmiernie).

Aby stracić nadwagę po ciąży, Francuzki nie zmieniają swoich przyzwyczajeń – postępują dokładnie tak jak zwykle, tylko z większym zaangażowaniem.

– Po prostu bardzo uważam – wyjaśniła mi Virginie, smukła matka trójki dzieci, pewnego dnia podczas obiadu, kiedy pochłaniałam ogromny talerz kambodżańskiej zupy z makaronem. (Każdy kraj, który Francja niegdyś okupowała lub skolonizowała, miał w Paryżu nadreprezentację tanich restauracji z przepyszną kuchnią regionalną).

Virginie twierdziła, że nigdy nie była na diecie, nazywanej po francusku *régime*. Po prostu bardzo uważała.

– Co masz na myśli? – zapytałam między jedną a drugą łyżką zupy.

– Żadnego pieczywa – powiedziała stanowczo.

– Żadnego pieczywa? – powtórzyłam z niedowierzaniem.

– Żadnego pieczywa – oznajmiła Virginie z kamiennym spokojem.

Nie miała jednak na myśli tego, że nigdy nie je pieczywa. Chodziło jej o dni robocze, od poniedziałku do piątku. Twierdziła, że w weekendy oraz okazjonalnie, podczas wieczornych wyjść, je, na co tylko ma ochotę.

– Chcesz powiedzieć „na co tylko masz ochotę” w niewielkich ilościach? – zapytałam.

– Nie, jem, na co tylko mam ochotę – odparła z tą samą pewnością.

Podobny tryb odżywiania zaleca Mireille Guiliano we *Francuzki nie tyją*, chociaż proponuje tylko jeden „ulgowy” dzień, a i wtedy doradza, żeby nie przesadzać. To inspirujące poznać kogoś, kto rzeczywiście wprowadza te zasady w życie, i to najwyraźniej z ogromnym powodzeniem.

„Uważanie” może być kolejnym przykładem na to, że Francuzki intuicyjnie postępują zgodnie z wynikami badań naukowych. Naukowcy stwierdzili, że najlepszą metodą na schudnięcie i utrzymanie wagi jest stałe pilnowanie się – polegające na przykład na zapisywaniu tego, co się je, i codziennym ważeniu się^[3]. Odkryli, że ludziom łatwiej jest się wykazać silną wolą, jeśli nie skreślają na zawsze danego rodzaju jedzenia, ale obiecują sobie, że zjedzą je później^[4] (na przykład w weekend).

Podobało mi się także pragmatyczne, neutralne sformułowanie „bardzo uważać” – w przeciwieństwie do naładowanego wartościowaniem amerykańskiego „być grzecznym” (i jego pełnych poczucia winy, demoralizujących antonimów: „oszukiwać” i „być niegrzecznym”). Jeśli po prostu przestałaś uważać i zjadłaś kawałek ciasta, możesz to sobie wybaczyć i wrócić do rozsądnego jedzenia przy następnym posiłku.

Virginie powiedziała, że taki sposób jedzenia jest tajemnicą poliszynela paryskich kobiet.

– Każda szczupła dziewczyna, którą widzisz – obrysowała w powietrzu kontur swojej drobnej sylwetki – bardzo uważa.

Kiedy Virginie miała wrażenie, że przybyło jej kilka kilogramów, zaczynała uważać jeszcze bardziej. (Moja przyjaciółka Christine, francuska dziennikarka, podsumowała to potem niezwykle zwięźle: „Kobiety w Paryżu mało jedzą”).

Podczas obiadu Virginie przyjrzała mi się dokładnie i najwyraźniej doszła do wniosku, że niedostatecznie uważam.

– Pijesz *café crème*, tak? – zapytała.

Café crème to w Paryżu kawa z mlekiem: porcja espresso zalana filiżanką gorącego mleka, które nie zostaje spienione do postaci cappuccino.

– Tak, ale z chudym mlekiem – odparłam słabo.

Robiłam tak, kiedy byłam w domu. Virginie stwierdziła, że nawet chude mleko jest ciężkostrawne. Ona sama piła *café allongé* – espresso rozwodnione wrzątkiem. (Filtrowana amerykańska kawa lub herbata także były dopuszczalne). Zapisywałam propozycje Virginie: Pić więcej wody! Wchodzić po schodach! Chodzić na spacer! – jakby to były objawienia.

Nie byłam otyła – podobnie jak moja przyjaciółka Nancy, reprezentowałam tylko „typ macierzyński”. Nie musiałam się obawiać, że kiedy podrzucam Bean na kolanach, uderzę ją wystającą kością biodrową, ale zdecydowanie chciałam być szczuplejsza. Obiecałam sobie, że nie będę myślała o następnej ciąży, dopóki nie skończę książki i nie osiągnę zamierzonej wagi w kilogramach. (Po latach spędzonych we Francji wciąż nie byłam pewna, czy włożyć sweter, kiedy ktoś mi podawał temperaturę na zewnątrz w stopniach Celsjusza, ani jak wysoka jest osoba, której wzrost mierzono w centymetrach. Błyskawicznie jednak nauczyłam się, czy moja waga w kilogramach oznacza, że zmieszczę się w dzinsy czy nie).

Oczywiście francuskie matki nie różnią się od amerykańskich tylko smukłą figurą – ostatecznie nie wszystkie ją mają, a ja znałam Amerykanki, które przed upływem trzech miesięcy od porodu wskakiwały w dzinsy sprzed ciąży. Umiałam jednak już z daleka wskazać w parku moje rodaczki tylko na podstawie języka ciała. Podobnie jak ja pochylały się one nad dziećmi, wyciągając zabawki na trawę i jednocześnie rozglądając się za rzeczami, którymi maluch mógłby się udławić. Widać

było, że są podporządkowane służbie swojemu dziecku.

Francuskie mamy różni od nich także to, że po porodzie wracają do stylu życia sprzed ciąży. Zachowują większy fizyczny dystans wobec dzieci – nigdy nie widziałam Francuzki, która wspinałaby się ze swoim dzieckiem na drabinki na placu zabaw, zjeżdżała z nim na zjeżdżalni albo siedziała na huśtawce, co często można zaobserwować w Stanach Zjednoczonych i w przypadku Amerykanek odwiedzających Francję. Zazwyczaj, z wyjątkiem okresu, w którym dzieci uczą się dopiero chodzić, francuscy rodzice przysiadają na obrzeżach placu zabaw lub na krawędzi piaskownicy i wdają się w rozmowę (aczkolwiek nie ze mną).

W amerykańskich domach każdy pokój może zostać opanowany przez zabawki. Byłam kiedyś z wizytą u znajomych, którzy zdjęli wszystkie książki z regałów w salonie i ustawili na ich miejsce stos zabawek i gier dla dzieci.

Niektórzy francuscy rodzice także trzymają zabawki w salonie, jest ich jednak stosunkowo niewielu. Choć dzieci mają tony zabawek, to nie anektują nimi wspólnej przestrzeni – w najgorszym razie zabawki są chowane przynajmniej na noc. Rodzice uważają, że jest to zdrowy system – kiedy dzieci pójdą spać, oni mają czas, żeby odetchnąć. Samia, moja sąsiadka, która przez cały dzień była niezwykle troskliwą matką dwuletniej dziewczynki, powiedziała mi, że kiedy jej córeczka idzie spać, nie chce oglądać żadnych zabawek. „Jej świat jest w jej pokoju”.

Różnice między Ameryką a Francją nie ograniczają się do przestrzeni fizycznej – zaskoczyło mnie niemal uniwersalne założenie, że nawet najlepsza matka nie może być bezustannie na usługi dziecka i nie musi się czuć z tego powodu winna^[5].

Amerykańskie poradniki rodzicielstwa zawierają zazwyczaj zalecenie, by matka nie zapominała o własnym życiu. Często jednak słyszałam od amerykańskich niepracujących kobiet, że nie zatrudniają opiekunek do dzieci, ponieważ opiekę nad nimi uważają za swój obowiązek.

W Paryżu nawet matki, które nie pracują, zapisują dziecko do żłobka przynajmniej na pół dnia, żeby mieć trochę czasu dla siebie. Przyznają sobie prawo do pójścia na zajęcia jogi lub do fryzjera na poprawę pasemek. W efekcie nawet najbardziej zapracowane kury domowe nie pojawiają się w parku zmordowane czy niechlujnie ubrane i nie przypominają członkiń odrębnego plemienia.

Francuskie kobiety znajdują czas dla siebie nie tylko w wymiarze fizycznym, ale potrafią odpocząć od swoich dzieci także mentalnie. W filmach z Hollywood natychmiast można poznać, czy dana bohaterka ma dzieci – nierzadko właśnie to stanowi oś fabuły. Tymczasem we francuskich melodramatach i komediach romantycznych, na które się czasem wymykałam, to, czy bohaterka posiadała dzieci, było często nieistotne dla fabuły. W typowym francuskim filmie, zatytułowanym *Les Regrets*, prowincjonalna nauczycielka przeżywa na nowo romans z dawnym ukochanym, który wrócił do rodzinnego miasteczka z powodu choroby matki. Mimochodem dowiadujemy się, że nauczycielka ma córkę, ale mała pojawia się na ekranie tylko na krótką chwilę; film jest przede wszystkim historią miłosną ze śmiałymi scenami łóżkowymi. Protagonistka nie została pokazana jako zła matka – po prostu bycie matką nie miało dla tej historii żadnego znaczenia.

We Francji dominuje przekonanie, że chociaż rodzicielstwo jest niezwykle istotne, nie należy podporządkowywać mu swojego życia. Kobiety, które poznałam w Paryżu, przekonywały, że matka nie powinna być „niewolnicą” swoich dzieci. Kiedy Bean przyszła na świat, jedna z największych stacji telewizyjnych emitowała poranny talk-show zatytułowany *Les Maternelles*, w którym eksperci i rodzice roztrząsali wszelkie aspekty wychowywania dzieci. Zaraz po nim był nadawany inny program, *Nie jesteśmy tylko rodzicami*, który poruszał tematykę związaną z pracą, seksem, hobby i związkami.

Oczywiście niektóre Francuzki z klasy średniej zatracają się w macierzyństwie, a niektórym

Amerykankom udaje się tego uniknąć. W obu krajach jednak wizja idealnej matki jest całkowicie różna. Zaskoczyła mnie sesja zdjęciowa aktorki Géraldine Pailhas we francuskim czasopiśmie dla matek^[6]. Trzydziestodwuletnia matka dwójki dzieci prezentowała różne typy macierzyństwa. Na jednym zdjęciu paliła papierosa, pchała wózek i patrzyła w dal. Na innym miała blond perukę i czytała biografię Yvesa Saint Laurenta. Na kolejnym w czarnej sukni wieczorowej i absurdalnie wysokich szpilkach popychała przed sobą staroświecki wózek dziecięcy.

Komentarz opisywał Pailhas jako ideał francuskiej matki: „Jest do głębi najprostszym uosobieniem kobiecej wolności: szczęśliwa w roli matki, ożywiona i ciekawa nowych wrażeń, doskonale radzi sobie w sytuacjach kryzysowych i zawsze troskliwie opiekuje się dziećmi, ale nie stara się za wszelką cenę osiągnąć doskonałości w macierzyństwie, ponieważ, jak zapewnia, «doskonała matka nie istnieje»”.

W tym artykule i w wyglądzie Pailhas było coś, co przypominało mi te wszystkie francuskie matki, które lekcewały mnie w parku. W prawdziwym życiu większość z nich nie spaceruje w szpilkach od Christiana Louboutina, ale podobnie jak Pailhas demonstrują, że chociaż są oddanymi matkami, myślą także o rzeczach niemających związku z dziećmi i bez poczucia winy cieszą się chwilami *liberté*.

Oczywiście Pailhas zrzuciła nadwagę zaraz po urodzeniu dzieci. Uwodzicielski wygląd i aureę kobiecości zawdzięczała jednak także swojemu życiu wewnętrznemu^[7], które dostrzegałam na zdjęciach i u francuskich mam w parku albo w żłobku. Nie wyglądała jak komiksowa MILF, ale jak seksowna, pogodna kobieta. Nie wyobrażałam sobie, by powiedziała mi, że może być tylko tak szczęśliwa, jak najmniej szczęśliwe z jej dzieci.

Opowiedziałam o tym mojej znajomej Sharon, walońskiej Belgijce, agentce literackiej, która wyszła za mąż za przystojnego Francuza. Razem z nim i dwójką dzieci Sharon mieszkała w najróżniejszych krajach, a teraz natychmiast wskazała mi inną wspólną cechę dla zdjęć Pailhas i matek, które otaczały mnie w Paryżu.

– Z punktu widzenia Amerykanek rola matki jest bardzo wąska i jasno zdefiniowana – powiedziała. – Kiedy są mamami, ubierają się jak mamy. Kiedy są seksowne, są wyłącznie seksowne. A dzieci mogą widzieć je tylko w roli mam.

We Francji (i najwyraźniej także w Belgii) za idealną uznaje się sytuację, kiedy role „mamy” i „kobiety” są połączone.



Doskonała matka nie istnieje

Powiem wam coś, czego może jeszcze nie wiecie: siedzenie po dwanaście godzin dziennie przy komputerze i zjadanie stresu drażetkami M&M's nie sprzyja utracie wagi.

Pozwoliło mi jednakże na skończenie książki, której sama obecność w witrynie Amazon.com obudziła we mnie „kobietę”. Podobnie jak spotkania autorskie – pojechałam do Nowego Jorku bez męża i dziecka, żeby opowiadać o książce każdemu, kto tylko chciał mnie słuchać, i żeby wpatrywać się w nią czule w księgarniach. (Pewien sprzedawca od razu mnie rozszyfrował – podszedł i zapytał: „Czy pani jest autorką?”).

Prawdziwą przemianę przeżyłam, kiedy książka ukazała się we Francji. Po latach wyobcowania w Paryżu nagle włączyłam się w narodowy dialog. Książka stanowiła dziennikarskie studium tego, jak różne kultury traktują niewierność. (Dalej od ekonomii nie mogłam już uciec, a to wydawało się dobrym tematem do badania we Francji). Amerykanie traktowali tę książkę jako pisane całkowicie serio rozważania o moralności, Francuzi zaś zakładali, że ma ona dostarczyć im rozrywki.

Zostałam zaproszona do talk-show *Le Grand Journal* na rozmowę o książce – na żywo i po francusku. Niewiele wiedziałam o tym programie poza tym, że był nadawany przez pięć wieczorów w tygodniu, pięć po siódmej. Mój francuski wydawca wyjaśnił mi, że ta audycja jest jedną z najśłynniejszych w kraju, a jej prowadzący, Michel Denisot, to legenda dziennikarstwa. To właśnie on, wspierany przez zaproszonych specjalistów, przepytывał każdego gościa, a wszystko to było dowcipne, ale też trochę okrutne. Zupełnie jak na eleganckim francuskim przyjęciu, tylko na żywo w telewizji.

Wydawnictwo było zachwycone rozgłosem, ale przerażone moim francuskim. Uprosiło zaprzyjaźnionego biznesmena, żeby godzinami ćwiczył ze mną odpowiedzi na pytania. Mężczyzna był lekko nerwowy i cały czas mi przypominał, że *affaire* po francusku (w odróżnieniu od angielskiego *affair*) nie oznacza przygody pozamałżeńskiej – w tym znaczeniu należy używać słowa *aventure* lub *liaison*.

W wieczór programu czułam się nasiąknięta francuskim i przygotowana. Wypiłam trzy filiżanki espresso, zrobiłam sobie fryzurę i makijaż, a potem nagle stanęłam przed gigantyczną kurtyną, która otworzyła się, gdy Michel Denisot zapowiedział moje nazwisko. Zeszłam po lśniących białych schodach jak Miss America, a potem podeszłam do wielkiego stołu, przy którym czekali gospodarz programu i troje jego gości.

Tak mocno koncentrowałam się na rozumieniu pytań, że nie miałam czasu się denerwować. Na szczęście w większości przypadków mogłam korzystać z przeciwiczonych wcześniej odpowiedzi. Jak wpadłam na pomysł napisania tej książki? Czym Francja różni się od Stanów Zjednoczonych? Kiedy jeden z gości zapytał mnie, czy w ramach zbierania materiałów sama dopuściłam się zdrady małżeńskiej, kokieteryjnie zatrzepotałam rękami i odparłam, że jestem dziennikarką, więc, rzecz jasna, pozostałam *très professionnelle*. Goście i publiczność w studiu byli zachwyceni.

Po tym sukcesie Denisot zaczął zmierzać do końca rozmowy. Ponieważ podsumowywał to, o czym rozmawialiśmy, przestałam słuchać go tak uważnie jak na początku. Mój brat, który oglądał powtórkę programu w Internecie, powiedział, że było po mnie widać ulgę.

Nagle usłyszałam swoje imię – Denisot zadał mi jeszcze jedno pytanie. Chodziło o jakiegoś Moïse (tak brzmi francuska wersja imienia Mojżesz) i o blog. Mojżesz prowadził bloga? Brat powiedział mi później, że kiedy kamera zrobiła na mnie zbliżenie, byłam jak skamieniała – łatwo było się zorientować, że nie miałam pojęcia, czego Denisot ode mnie chce.

Nagle do mnie dotarło: Denisot nie powiedział *blog* tylko *blague*, co po francusku oznacza żart. Chciał, żebym powtórzyła dowcip z książki. Chodziło o ten, w którym Mojżesz schodzi z góry i mówi: „Mam dobrą i złą wiadomość. Dobra wiadomość jest taka, że utargowałem do dziesięciu przykazań. Zła – że niewierność jednak została”.

Tego pytania nie ćwiczyłam i nie potrafiłam dokładnie przypomnieć sobie samej anegdotki, a już na pewno nie po francusku. Jak się mówi „góra”? Jak się mówi „przykazanie”? Zdołałam tylko wydusić: „Niewierność jednak została!”. Na szczęście publiczność w studiu była nadal w dostatecznie dobrym humorze, żeby się roześmiać, a Denisot rozsądnie zwrócił się do następnego gościa.

Pomijając ten drobny incydent, byłam wdzięczna, że znowu stałam się częścią pracującego świata. Pozwoliło mi to dostroić się do francuskiego społeczeństwa – w końcu po śmiałej odmowie karmienia dziecka piersią i odnowieniu umysłu i ciała francuskie matki wracają do pracy. Rzadko się zdarza, żeby kobiety z wyższym wykształceniem na jakiś czas lub na stałe zrezygnowały z kariery po urodzeniu dziecka. Kiedy mówiłam Amerykanom, że mam dziecko, pytali mnie, czy pracuję. Z kolei Francuzi chcieli wiedzieć, gdzie pracuję.

W Stanach Zjednoczonych znałam wiele kobiet, które zrezygnowały z pracy, żeby wychowywać dzieci. We Francji spotkałam zaledwie jedną taką matkę. Uświadomiłam sobie, jak będzie wyglądało moje życie kury domowej we Francji, kiedy pewnego ranka odłożyłam pracę i zabrałam Bean do pobliskiego parku. Został on założony w XIX wieku na miejscu dawnego pałacu templariuszy (nowojorski Central Park mógł się przy nim schować). Choć może to brzmi jak pomysł z *Kodu Leonarda da Vinci*, to jednak sam park miał miejski charakter – znacznie bardziej prawdopodobne było znalezienie w nim porzuconego smoczka niż średniowiecznego zabytku. Znajdował się tam niewielki staw, altana z kutego żelaza i plac zabaw, który zapełniał się codziennie, kiedy tylko dzieci kończyły lekcje.

Siedziałam z Bean w altanie, kiedy nagle usłyszałam amerykański angielski – to była kobieta z dwójką małych dzieci. Bardzo szybko wymieniliśmy się historiami naszego życia. Powiedziała mi, że zrezygnowała z pracy redaktorki merytorycznej, aby towarzyszyć mężowi na rocznym urlopie naukowym w Paryżu. Umówili się, że on będzie prowadził badania, a ona spędzi ten czas, nasiąkając kulturą miasta i opiekując się dziećmi.

Byli w Paryżu od dziewięciu miesięcy, ale moja rozmówczyni nie wydawała się zakochana w Mieście Świąteł. Sprawiała wrażenie osoby, której życie polega na ciąganiu dwójki maluchów do parku i z powrotem. Miała problemy ze znalezieniem słów i przepraszała za to, wyjaśniając, że rzadko ma okazję rozmawiać z dorosłymi. Słyszała o grupach anglojęzycznych mam, ale twierdziła, że nie chce spędzać cennego czasu we Francji w towarzystwie Amerykanek. (Postanowiłam nie brać tego do siebie). Mówiła doskonale po francusku i była pewna, że nawiąże znajomości z francuskimi matkami.

– Gdzie są inne matki? – zapytała mnie.

Odpowiedź brzmiała oczywiście: „w pracy”. Francuzki pracowały częściowo dlatego, że mogły.

Doskonałe żłobki, dofinansowanie do nianiek i inne możliwości zapewnienia dzieciom opieki sprawiały, że matki mogły wrócić do życia zawodowego. To nie przypadek, że od Francuzek oczekiwano odzyskania dawnej figury w trzy miesiące po porodzie – wtedy mniej więcej wracały do pracy.

Francuzki pracowały także dlatego, że chciały. W badaniu przeprowadzonym w 2010 roku przez Pew Research Center 91 procent dorosłych Francuzów stwierdziło, że najbardziej satysfakcjonujące jest małżeństwo, w którym zarówno mąż, jak i żona pracują zawodowo. (Tego samego zdania było zaledwie 71 procent Amerykanów i Brytyjczyków)^[4].

Niektóre kobiety z wyższym wykształceniem pracowały na cztery piąte etatu, co oznaczało, że zostawały z dziećmi w domu w środy, kiedy przedszkola i podstawówki miały wolne. Znajome matki mówiły jednak, że nie przypominają sobie właściwie żadnej kobiety, która postanowiłaby zostać gospodynią domową.

– Znałam taką jedną, ale ma się niedługo rozwieść – powiedziała moja przyjaciółka Esther, prawniczka, traktując tę historię jak przestrozę.

Wspomniana kobieta zrezygnowała z pracy jako sprzedawczyni, aby zająć się dziećmi, ale ponieważ stała się finansowo zależna od męża, miała mniejsze prawo głosu w sprawach domowych.

– Tłumiła w sobie niezadowolenie i uczucia, a przez to po pewnym czasie jej stosunki z mężem zaczęły się coraz bardziej pogarszać – wyjaśniła Esther.

Przyznała, że niekiedy matka naprawdę nie może pracować – na przykład jeśli ma trójkę dzieci – twierdziła jednak, że przerwa w pracy nie powinna trwać zbyt długo, powiedzmy do chwili, gdy najmłodsze dziecko skończy dwa lata.

Pracujące Francuzki uważały, że kilkuletni urlop jest ryzykowny.

– Co zrobisz, jeśli jutro twój mąż straci pracę? – zapytała moja przyjaciółka Danièle.

Hélène, inżynier z trójką dzieci, przyznała, że wolałaby nie pracować i polegać na pensji męża, ale nie zdecydowała się na to.

– Mężowie czasem znikają – wyjaśniła.

Francuzki pracują nie tylko ze względu na bezpieczeństwo finansowe, ale także dla zachowania statusu społecznego. Gospodynie domowe są nisko cenione, przynajmniej w Paryżu. Kobiety nie chcą zajmować miejsca niepracującej żony, która siedzi ponuro na proszonym przyjęciu, ponieważ nikt nie kwapi się do rozmowy z nią.

– Mam dwie niepracujące przyjaciółki. Odnoszę wrażenie, że nikt się nimi nie interesuje – powiedziała Danièle, dziennikarka po pięćdziesiątce, matka nastolatki. – Kiedy dzieci już dorosną, nie będziesz miała nic do powiedzenia w towarzystwie.

Kobiety we Francji otwarcie stawiają także pytanie, jaka byłaby jakość ich życia, gdyby przez cały dzień zajmowały się tylko dziećmi. Media rozważają tę kwestię bez ogródek i bardzo chłodno. Czytałam kiedyś artykuł, którego autor stwierdzał, że „główną zaletą (...) sytuacji [matki niepodjęjącej aktywności zawodowej] jest to, że może obserwować dorastanie dzieci. Niemniej pozostawanie w domu w roli matki wiąże się z niedogodnościami, przede wszystkim z izolacją i samotnością”.

W Paryżu jest niewiele niepracujących matek z klasy średniej, dlatego nie organizuje się tu dziecięcych spotkań w tygodniu, seansów czytania bajek czy innych zajęć dla matek z dziećmi. Te, o których wiedziałam, były przeznaczone głównie dla osób anglojęzycznych – w zaprzyjaźnionej grupce dzieci z sąsiedztwa był tylko jeden mały Francuz, którego przyprowadzała niania. Jego matka, prawniczka, prawdopodobnie życzyła sobie, żeby chłopiec miał kontakt z językiem

angielskim. (Nie słyszałam, żeby mówił po angielsku). Sama pojawiła się tylko raz, kiedy wypadła jej kolej, by zaprosić wszystkich do siebie. Przyszła prosto z biura, w garsonce i na wysokich obcasach – patrzyła na nas, anglojęzyczne matki w tenisówkach i z ogromnymi torbami na pieluchy, jakbyśmy były stadem egzotycznych zwierząt.

Wychowanie w stylu amerykańskim i jego atrybuty – karty do nauki dla dzieci i przedszkola, w których uczy się rywalizacji – to obecnie stereotyp. Ten trend został odwrócony, a potem odwrócono także ów odwrócony już trend. Byłam więc zaskoczona tym, co zobaczyłam na placu zabaw w Nowym Jorku. Przystosowano go do potrzeb malutkich dzieci i oddzielono od reszty parku wysoką metalową bramką; znajdowała się tam niska zjeżdżalnia oraz huśtawki w kształcie zwierząt. Wszystko zostało zaprojektowane tak, by maluchy mogły bezpiecznie łązić i się przewracać. Kilka niań siedziało niczym Francuzki na obrzeżach placu, rozmawiając i obserwując swoich podopiecznych.

Wtedy pojawiła się biała matka z wyższej klasy średniej. Chodziła za swoim synkiem krok w krok między niedużymi przyrządami i bezustannie monologowała:

– Chcesz się teraz połuścić na żabce, Calebie? Masz ochotę pójść na huśtawkę?

Caleb ignorował te pytania – najwyraźniej zamierzał po prostu trochę połązić. Ale matka nie odstępowała go na krok i na bieżąco relacjonowała każdy jego ruch.

– Tuptasz sobie! – powiedziała w pewnym momencie.

Uznałam, że Calebowi trafiła się po prostu nadgorliwa matka, ale wtedy przez bramę wmaszerowała kolejna kobieta z wyższej klasy średniej, popychając przed sobą blond berbecia w czarnym T-shircie. Ona także natychmiast zaczęła relacjonować działania dziecka. Kiedy mały podszedł do bramy, żeby popatrzeć na trawnik, matka najwyraźniej uznała, że nie jest to dostatecznie stymulujące. Podbiegła i odwróciła go do góry nogami.

– Wisisz do góry nóżkami! – krzyknęła. Sekundę później zadarła bluzkę, żeby zaproponować mu łyk mleka. – Przyszliśmy do parku! Przyszliśmy do parku! – szczebiotała, kiedy mały pił.

Ten sam scenariusz powtórzyło kilka kolejnych matek z dziećmi i po jakiejś godzinie byłam w stanie bezbłędnie przewidzieć, która kobieta będzie się bawić w „relację na żywo” – oceniałam to na podstawie marki jej torebki. Najbardziej zaskoczyło mnie to, że żadna z tych matek nie czuła się zażenowana tym, że brzmi jak wariatka. Nie szeptały swoich komentarzy, tylko nadawały je na pełny regulator.

Kiedy opisałam to wszystko Michelowi Cohenowi, od razu wiedział, o czym mówię. Orzekł, że kobiety mówiły na głos, żeby pochwalić się tym, jak dobrymi są matkami. Te „relacje na żywo” były tak często praktykowane, że Cohen w swoim poradniku wychowania dzieci umieścił rozdział *Stymulacja*, w którym zalecił wprost, żeby matki przestały to robić. „Okresy zabawy i śmiechu powinny się naturalnie przeplatać z okresami spokoju i ciszy” – napisał. „Nie musicie bezustannie mówić, śpiewać czy zabawiać dzieci”.

Niezależnie od tego, czy ten rodzaj intensywnego nadzoru jest dobry dla maluchów, na pewno sprawia, że opieka nad dzieckiem staje się dla matki bardziej męcząca^[2]. Samo patrzeć na te kobiety było wyczerpujące, a przecież ich „relacja na żywo” nie kończyła się po opuszczeniu placu zabaw. „Być może nie czekają nas już noce nieprzespane z niepokoju, że nasza biel jest nie dość biała, ale na pewno będzie nam spędzać sen z powiek pytanie, dlaczego nasz Jasperek nie zaczął jeszcze korzystać z nocnika” – napisała Katie Allison Granju w portalu babble.com. Opisała przypadek znajomej matki, magistra biologii, która spędziła ostatni tydzień – cały tydzień – ucząc dziecko posługiwania się łyżką.

Ta biologka z pewnością także zadawała sobie pytanie, czy już oszalała – my, Amerykanki, jesteśmy świadome, że tak intensywne macierzyństwo ma swoją cenę. Niemniej podobnie jak rodzice zadający Piagetowi „pytanie amerykańskie” uważamy, że tempo rozwoju naszego potomstwa zależy od naszych decyzji i od tego, jak bardzo jesteśmy zaangażowane w proces wychowania. Dlatego koszt nienauczenia dziecka posługiwania się łyżką albo niezrelacjonowania zjazdu na zjeżdżalni wydaje się niedopuszczalnie wysoki, zwłaszcza jeśli wszyscy wokół to robią.

Oczekiwania dotyczące poziomu zaangażowania matki z klasy średniej najwyraźniej wzrosły. „Relacje na żywo” i intensywny kurs jedzenia łyżką to przejawy metody wychowawczej nazywanej *concerted cultivation* („kształcenie planowane”), którą socjolożka Annette Lareau zaobserwowała wśród białych i afroamerykańskich rodziców z klasy średniej^[3].

Napisała ona, że rodzice „postrzegali wychowanie dziecka jako rodzaj projektu zawodowego. Starali się rozwijać jego talenty i umiejętności, posyłając je na liczne zajęcia zorganizowane, zapewniając mu intensywne ćwiczenia, mające na celu rozwijanie zdolności rozumowania i językowych, a także ściśle nadzorując jego postępy w szkole”.

Niewykluczone, że moja decyzja o zamieszkaniu we Francji była jednym wielkim aktem *concerted cultivation*. Zamierzałam bowiem uczynić moje dziecko dwujęzycznym amatorem dobrego sera. We Francji jednak powszechne były inne wzorce i nie znalazłam przedszkoli dla dzieci wybitnie uzdolnionych. W Ameryce *concerted cultivation* nie jest kwestią wyboru – przeciwnie, wymagania wydają się stale rosnać. Moja pracująca na pełny etat przyjaciółka skarżyła mi się, że oczekuje się od niej nie tylko kibicowania na meczach piłki nożnej, w których gra jej córka, ale także przychodzenia na treningi^[4].

Elisabeth, francuska matka mieszkająca na Brooklynie, była zdumiona tym, jak bardzo Amerykanie są zaangażowani w sukcesy sportowe swoich dzieci. Napisała, że musiała kilka razy zmienić datę i godzinę przyjęcia urodzinowego jej dziesięcioletniego synka, żeby dopasować się do rozkładu zajęć jego amerykańskich kolegów. Każda z matek twierdziła, że obecność jej dziecka na danych zawodach jest „konieczna” i że bez niego „drużyna może przegrać!”^[5].

Amerykańskie dążenie do doskonałości często zaczyna się, zanim jeszcze dzieci nauczą się chodzić. Słyszałam o nowojorskiej matce, której roczny synek brał lekcje francuskiego, hiszpańskiego i chińskiego. Kiedy mały skończył dwa lata, matka zrezygnowała z kursu francuskiego, ale dorzuciła muzykę, plastykę, pływanie i jakiś rodzaj matematyki. Ta sama kobieta w swoim wolnym czasie (zrezygnowała z pracy w charakterze konsultanta do spraw zarządzania) pisała podania o przyjęcie dziecka do dwóch tuzinów przedszkoli.

Tego rodzaju historie nie są domeną tylko nadmiernie ambitnych mieszkańców Nowego Jorku. Podczas pobytu w Miami umówiłam się na lunch z wyjątkowo trzeźwo myślącą znajomą, Danielle. Byłam przekonana, że jeśli ktokolwiek potrafi uniknąć tego szalonego wychowawczego kołowrotka, to właśnie ona. Promieniowała opanowaniem i ciepłem, a mimo że żyła w mieście, którego mieszkańcy śledzą modne trendy w biżuterii, zdecydowanie nie była materialistką. Część dzieciństwa spędziła we Włoszech, mówiła trzema językami i generalnie wydawała się zadowolona ze swojego życia. Miała dyplom magistra zarządzania, a w jej CV nie brakowało wysokich stanowisk w branży marketingowej.

Danielle nie lubiła nadgorliwych rodziców i z przerażeniem opowiadała o mieszkającej po sąsiedzku matce, której czteroletni synek chodził już na lekcje tenisa, piłki nożnej, francuskiego i gry na fortepianie. Przyznawała, że ta kobieta jest przypadkiem skrajnym, ale sama jej obecność sprawia, że inni czują się niepewnie.

– Zaczynasz myśleć: ten mały robi tyle rzeczy, jak moje dziecko może z nim rywalizować?

Dopiero potem przychodzi opamiętanie i mówi się: Nie o to chodzi, nie chcemy przecież rywalizować z kimś takim.

Mimo to Danielle wpadła w praktycznie bezustanny kołowrót zajęć swojej czwórki dzieci (najmłodsze były bliźniętami). W przeciętnym tygodniu siedmioletnia Juliana miała treningi piłki nożnej we wtorkowe i czwartkowe popołudnia, religię w środy, zbiórki skautów w co drugi czwartek (po piłce nożnej) i spotkanie z kolegami w piątek. Kiedy wracała do domu, czekały ją dwie godziny odrabiania lekcji.

– Wczoraj miała napisać baśń ludową, przygotować miniesej o tym, jak Martin Luther King zmienił Amerykę, i nauczyć się na klasówkę z hiszpańskiego – opowiadała Danielle.

Niedawno Juliana powiedziała, że chciałaby się zapisać na pozalekcyjne kółko ceramiczne.

– Ponieważ czułam się winna, bo w szkole nie mają plastyki, zgodziłam się. Jedyne wolne dzień, jaki jej został, to poniedziałek.

Cały tydzień Juliany wypełniają obecnie zajęcia dodatkowe – a Danielle ma przecież jeszcze troje innych dzieci.

– Zaplanowanie wszystkiego tak, żeby każdy dotarł, gdzie trzeba, we właściwym czasie, wymaga wykorzystania całej wiedzy, jaką zdobyłam na kursach zarządzania w szkole biznesu – stwierdziła.

Danielle przyznała, że mogłaby po prostu zrezygnować ze wszystkich tych zajęć z wyjątkiem piłki nożnej (jej mąż jest trenerem drużyny dziecięcej), ale co jej dzieci robiłyby wtedy w domu? W sąsiedztwie nie byłoby ich kolegów, ponieważ wszyscy także jeździli na różne zajęcia.

W efekcie Danielle nie wróciła do pracy.

– Zawsze myślałam, że kiedy moje dzieci pójdą do szkoły, będę mogła znowu pracować na pełny etat – powiedziała, a potem pożegnała się i pobiegła do samochodu.

To, że rząd francuski zapewnia i dofinansowuje opiekę nad dziećmi, na pewno czyni życie matek łatwiejszym. We Francji zaskoczyło mnie jednak, że tamtejsze kobiety potrafią także same ułatwiać sobie życie. Francuski odpowiednik spotkań dziecięcych polegał na tym, że zostawiałam Bean w domu któregoś z jej kolegów, żeby się pobawiła, i wychodziłam. (Anglojęzyczne znajome zakładały, że będę obecna przez cały czas). Francuscy rodzice nie są niegościnni, tylko praktyczni – słusznie zakładają, że mam inne rzeczy do roboty. Czasem zostawiałam na filiżankę kawy, kiedy wpadałam odebrać małą.

Tak samo było w przypadku przyjęć urodzinowych. Amerykańskie i brytyjskie matki oczekiwały, że zostanę i będę dotrzymywać im towarzystwa, często przez wiele godzin. Nikt nigdy nie powiedział tego na głos, ale wydaje mi się, że w tym czasie nadzorowałyśmy nasze dzieci, żeby mieć pewność, że są zadowolone i szczęśliwe.

Na francuskich przyjęciach urodzinowych rodzice zostawiają dzieci powyżej trzech lat i wychodzą – uważają, że poradzą sobie one bez nich. Zazwyczaj są zapraszani przed końcem przyjęcia na kieliszek szampana i spotkanie z innymi rodzicami. Simon i ja byliśmy zachwyceni za każdym razem, gdy dostawaliśmy takie zaproszenie: to była darmowa opieka nad dzieckiem, zakończona na dodatek przyjęciem koktajlowym.

We Francji istnieje określenie matki, która spędza cały swój czas na ciągnięciu za sobą dzieci: *maman-taxi*. I nie jest to komplement. Nathalie, paryska architektka, powiedziała mi, że zatrudnia opiekunkę, która w sobotnie przedpołudnie zabiera trójkę jej dzieci na różne zajęcia, podczas gdy ona sama idzie z mężem na obiad.

– Kiedy jestem z nimi, daję im z siebie wszystko, ale kiedy mam wolne, to mam wolne –

powiedziała mi Nathalie.

Virginie, moja mentorka w kwestii diety, często spotykała się przed południem z grupą mam kolegów jej syna z podstawówki. Pewnego ranka przyszedłam na takie spotkanie i wspomniałam o zajęciach dodatkowych. Temperatura przy stole natychmiast wzrosła. Virginie wyprostowała się i przemówiła w imieniu pozostałych.

– Trzeba dać dzieciom spokój. Muszą się czasem ponudzić w domu, muszą mieć czas na zabawę – oznajmiła.

Virginie i jej przyjaciółki nie były leniwe – miały wyższe wykształcenie i ciekawą pracę, były też oddanymi matkami. W ich domach stało pełno książek, a dzieci uczyły się szermierki, gry na gitarze lub fortepianie, tenisa i wrestlingu (nazywanego we Francji *catch*). Zazwyczaj jednak w danym semestrze miały tylko jeden rodzaj zajęć dodatkowych.

Jedna z mam, atrakcyjna i pulchna publicystka (która podobnie jak ja starała się „bardziej uważać”), na spotkaniu w kawiarni powiedziała, że przestała posyłać dzieci na kurs tenisa i inne zajęcia, ponieważ stwierdziła, że są zbyt „ograniczające”.

– Ograniczające dla kogo? – zapytałam

– Ograniczające dla mnie – wyjaśniła. – Trzeba je tam zawieźć, odczekać godzinę, potem jechać po nie i przywozić z powrotem. W przypadku lekcji muzyki muszą jeszcze wieczorem poćwiczyć... Dla mnie to strata czasu, a dzieci tego nie potrzebują. Mają dużo pracy domowej, mają dom, mają różne gry do dyspozycji, a ponieważ jest ich dwoje, to nie będą się nudzić. Poza tym w każdy weekend gdzieś wychodzimy.

Byłam zdumiona tym, jak bardzo takie drobne decyzje i założenia odmieniają codzienne życie francuskich matek. Kiedy mają wolną chwilę, są z siebie dumne, jeśli potrafią oderwać się od obowiązków i zrelaksować. U fryzjera wyrwałam z francuskiej edycji „Elle” artykuł, w którym matka opowiadała, że uwielbia zabierać swoich dwóch synków na staroświecką karuzelę w pobliżu wieży Eiffla.

„Kiedy Oscar i Léon próbują dosięgnąć drewnianych pierścieni, ja przez pół godziny fantastycznie odpoczywam. Zazwyczaj wyłączam komórkę i po prostu patrzę przed siebie, czekając na nich... To jak najlepsza opiekunka do dziecka!” Doskonale znałam tę karuzelę. Zazwyczaj spędzałam te pół godziny na machaniu do Bean za każdym razem, kiedy mnie mijała.

To nie przypadek, że tak wiele francuskich matek stosuje ten model wychowania. Zasada „dać im spokój” pochodzi wprost od Françoise Dolto, świętej patronki francuskiego rodzicielstwa, która zdecydowanie zalecała, by zostawiać dziecko samo, w bezpiecznym otoczeniu, żeby mogło sobie pobałaganić i pomyśleć samodzielnie o różnych sprawach.

„Dlaczego matka robi wszystko za swoje dziecko?” – pytała Dolto w *Głównych stadiach dzieciństwa* (*Les Étapes majeures de l'enfance*), wyborze z jej dzieł. „Ono jest szczęśliwe, jeśli może robić różne rzeczy samo, spędzić rano na samodzielnym ubieraniu się i zakładaniu butów, jest szczęśliwe, że może założyć sweter na lewą stronę, zaplatać się w spodnie, bawić się, szperać po kątach. Że przez to nie pójdzie z mamą do sklepu? Cóż za pech, na całe szczęście!”

W Dzień Zdobycia Bastylli zabrałam Bean na piknik w pobliskim parku, pełnym rodziców z małymi dziećmi. Nie bawiłam się w „relację na żywo”, ale nie spodziewałam się też, że przeczytam czasopismo sprzed trzech tygodni, które przyniosłam wraz ze stosem książeczek i zabawek dla niej. Spędziłam większość dnia, bawiąc się z Bean i czytając jej.

Na kocu nieopodal siedziała francuska matka, szczupła kobieta o kasztanowych włosach, i prowadziła rozmowę z przyjaciółką, podczas gdy jej roczna córeczka bawiła się... no cóż,

praktycznie niczym. Matka najwyraźniej przyniosła tylko piłkę, która miała zająć jej dziecko na całe popołudnie. Zjadły drugie śniadanie, a potem mała bawiła się na trawie, turlała trochę i rozglądała się, podczas gdy jej matka spokojnie rozmawiała ze znajomą.

Słońce i trawa niczym się nie różniły, ale ja byłam na pikniku amerykańskim, a ona – *voilà* – na francuskim. Podobnie jak matki w Nowym Jorku starałam się dopingować Bean w przechodzeniu kolejnych etapów rozwoju i byłam gotowa poświęcić w tym celu własną przyjemność. Francuska mama – która wyglądała, jakby stać ją było na markową torebkę – wydawała się zadowolona z tego, że dziecko samo „otwiera oczy”. Jej córeczka zaś najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu.

Wszystko to tłumaczy w znacznym stopniu tajemniczy spokój francuskich matek, ale nadal wszystkiego nie wyjaśnia. Brakuje kluczowego elementu: sercem francuskiej maszyny macierzyństwa jest moim zdaniem to, jak Francuzki radzą sobie z poczuciem winy.

Współczesne amerykańskie matki poświęcają opiece nad dziećmi znacznie więcej czasu niż w 1965 roku^[6]. Aby wywiązać się z tego obowiązku, mniej godzin przeznaczają na prace domowe, własny wypoczynek i sen. Mimo to dzisiejsi rodzice uważają, że powinni spędzać z dziećmi więcej czasu.

W efekcie żyją z gigantycznym poczuciem winy. Przekonałam się o tym, kiedy odwiedziłam Emily, mieszkającą w Atlancie z mężem i osiemnastomiesięczną córeczką. W trakcie kilkugodzinnej wizyty zauważyłam, że Emily kilka razy powtórzyła: „Jestem złą matką”. Mówiła to, kiedy ulegała żądaniom małej, domagającej się dodatkowej porcji mleka, albo kiedy nie miała czasu przeczytać jej więcej niż dwóch książeczek. Powtórzyła to, kiedy próbowała uśpić małą o zaplanowanej porze, a także żeby wytłumaczyć, dlaczego w nocy pozwala jej czasem chwilę popłakać.

Słyszałam także inne Amerykanki mówiące „Jestem złą matką” – ta fraza wydaje się czymś w rodzaju słownej obsesji. Emily powtarzała ją tak często, że – jak sobie uświadomiłam – mimo negatywnego wydźwięku musiała czerpać z niej jakąś pociechę.

W przypadku amerykańskich matek poczucie winy jest emocjonalnym podatkiem, jaki płacimy za chodzenie do pracy, niekupowanie warzyw z upraw ekologicznych albo sadzanie dziecka przed telewizorem, żebyśmy mogły posurfować w Internecie lub ugotować obiad. Jest nam łatwiej to zrobić, jeśli czujemy się winne. Nie jesteśmy egoistyczne, „zapłaciłyśmy” za nasze błędy.

Także pod tym względem Francja była inna. Tutejsze matki doskonale znały kuszące pragnienie czucia się winną – tak samo jak Amerykanki miały wrażenie, że robią za dużo i starają się za mało. Ostatecznie pracowały przecież, wychowując malutkie dzieci, i podobnie jak kobiety w Ameryce często nie dorastały do własnych wyobrażeń tego, jak powinna wyglądać ich kariera lub macierzyństwo.

Różnica polegała na tym, że Francuzki nie mitologizowały tego poczucia winy. Przeciwnie – uważały je za coś niezdrowego i nieprzyjemnego, starały się więc go pozbyć. „Poczucie winy to pułapka” – powiedziała moja znajoma Sharon, agentka literacka. Kiedy spotykała się z francuskimi przyjaciółkami na drinka, przypominały sobie, że „doskonała matka nie istnieje... powtarzamy to sobie, żeby się nawzajem wspierać”.

Francuskie mamy bez wątpienia mają wysoko ustawioną poprzeczkę: oczekuje się od nich, że będą seksowne, skuteczne w pracy i codziennie postawią na stole świeżo ugotowany obiad. Starają się jednak do niesionego ciężaru nie dokładać poczucia winy.

Zaprzyjaźniona francuska dziennikarka Danièle jest współautorką książki *Doskonała matka to ty* (*La mère parfaite, c'est vous*). Wciąż jednak wspomina dzień, w którym po raz pierwszy zostawiła w żłobku pięciomiesięczną córkę.

– Czułam się okropnie, ale czułabym się równie okropnie, gdybym z nią została i nie wróciła do pracy – wyjaśniła.

Zdołała zmierzyć się z poczuciem winy i je pokonać. „Mogę po prostu czuć się winna i robić swoje” – powiedziała sobie. Zakończyła, żeby dodać otuchy nam obu:

– Doskonała matka nie istnieje.

Tym, co naprawdę pozwala Francuzkom radzić sobie z poczuciem winy, jest przekonanie, że spędzanie całego czasu razem jest niezdrowe dla obu stron. Zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa przytłoczenia dziecka uwagą i niepokojem albo wykształcenia przerażającej *relation fusionnelle*, w której potrzeby matki i dziecka stają się zbyt wymieszane. Dzieci – nawet niemowlęta i zupełne maluchy – powinny prowadzić własne życie wewnętrzne bez nieustającej interwencji matki.

– Nie jest dobrze dla dziecka, jeśli stanie się jedynym celem twojego życia – powiedziała Danièle. – Co się dzieje z dzieckiem, które jest jedyną nadzieją swojej matki? Myślę, że to zdanie podzielają wszyscy psychoanalitycy.

Ta rozłąka nie powinna jednak nastąpić zbyt szybko. Kiedy francuska minister sprawiedliwości Rachida Dati wróciła do pracy pięć dni po urodzeniu córki imieniem Zohra, w prasie nastąpił wybuch gremialnego oburzenia. W ankiecie francuskiej edycji „Elle” 42 procent czytelniczek określiło Dati jako „nadmierną karierowiczkę”. (Znacznie mniej kontrowersji wzbudził fakt, że czterdziestotrzyletnia Dati była samotną matką i nie zamierzała zdradzać, kto jest ojcem dziecka).

Kiedy Amerykanki mówią o szukaniu równowagi między pracą a domem, mają na myśli rodzaj żonglerki, którą uprawiają, starając się, żeby wszystkie elementy ich życia były w ruchu i nic nie skończyło się spektakularną katastrofą.

Francuzki także mówią o *l'équilibre*, ale rozumieją to pojęcie zupełnie inaczej. Dla nich polega ono na niedopuszczeniu, by jakakolwiek składowa życia – także macierzyństwo – zdominowała pozostałe. Przypomina to przygotowywanie pełnowartościowego posiłku z odpowiednimi proporcjami białka, węglowodanów, owoców, warzyw i słodczy. Pod tym względem „karierowiczka” Rachida Dati miała taki sam problem jak gospodynie domowe: jej życie za bardzo skoncentrowało się na jednym z jego elementów.

Oczywiście dla niektórych francuskich matek *l'équilibre* pozostaje niedościgłym ideałem, ale przynajmniej można z niego czerpać otuchę. Kiedy zapytałam moją paryską przyjaciółkę Esther, która pracowała na pełny etat jako prawniczka, jak ocenia siebie jako matkę, powiedziała coś, co zaparło mi dech w piersiach z powodu prostoty i braku neurotycznego napięcia:

– W zasadzie nie mam wątpliwości co do tego, czy jestem dostatecznie dobrą matką, ponieważ naprawdę wierzę, że nią jestem.

Inès de la Fressange nie była zwyczajną Francuzką – w latach osiemdziesiątych XX wieku była muzą Karla Lagerfelda i główną modelką Chanel. Później poproszono ją, by została nową twarzą Marianne, symbolu Republiki Francuskiej pojawiającego się na znaczkach i w charakterze popiersi w ratuszach. Poprzednimi wcieleniami Marianne były między innymi Brigitte Bardot i Catherine Deneuve. Kiedy się zgodziła, Lagerfeld podobno powiedział, że nie chciałby „ubierać pomnika”, i się rozstali.

De la Fressange, która właśnie przekroczyła pięćdziesiątkę, nadal jest smukłą brunetką o oczach sarny i długich nogach, które nie mieszczą się pod kawiarnianym stolikiem. Ma własną markę sygnowaną swoim nazwiskiem, a od czasu do czasu pojawia się na wybiegu na pokazach mody. W 2009 roku czytelniczki „Madame Figaro” ogłosiły ją najlepszym ucieleśnieniem paryżanki.

Jest ona także matką, a jej dwie równie długonogie i fotogeniczne córki – nastoletnie Nine

i Violette – zaczęły już własną karierę w świecie mody i modelingu. De la Fressange żartowała z własnego uroku, nazywając się „śniadym szparagiem”. Twierdziła także, że jest niedoskonałą matką. „Zapominałam o porannych ćwiczeniach jogi i zawsze nakładałam szminkę na usta i tusz na rzęsy z pomocą lusterka samochodowego. Najważniejsze jest pozbyć się poczucia winy z powodu własnej niedoskonałości”.

Oczywiście de la Fressange trudno uznać za przypadek typowy, ale ucieleśnia ona pewien francuski ideał równowagi. W wywiadzie dla „Paris Match” opowiadała, jak trzy lata po śmierci męża spotkała pewnego mężczyznę w kurorcie narciarskim w Alpach Francuskich, gdzie przyjechała na urlop z córkami. Mężczyzna całkiem przypadkiem okazał się właścicielem jednego z największych francuskich czasopism, odznaczonym Orderem Legii Honorowej. (De la Fressange nie bez powodu była muzą Lagerfelda).

Na kilka miesięcy wstrzymała się z nawiązaniem z nim bliższej znajomości, wyjaśniając, że nie jest jeszcze gotowa. Jednakże, jak powiedziała „Paris Match”: „Ostatecznie to ja zadzwoniłam do niego i powiedziałam: «W porządku, jestem matką i pracującą dziewczyną, ale jestem także kobietą». Uznałam, że dziewczynkom dobrze zrobi, jeśli ich mama będzie zakochana”.



Caca boudin

Kiedy Bean skończyła trzy lata, zaczęła używać zwrotu, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Początkowo wydawało mi się, że mówi *caca budda*, co brzmiało jak przedziwna obelga pod adresem moich znajomych buddystów (*caca* jest francuskim słowem, jakim dzieci określają kupę). Niebawem jednak zrozumiałam, że to ma być *caca boudin*, gdzie *boudin* oznacza parówkę. Moja córka biegała i powtarzała – wybaczenie dosadność – „kupoparówka”.

Podobnie jak wszystkie uniwersalne wulgaryzmy *caca boudin* miało bardzo liczne zastosowania. Bean wykrzykiwała je radośnie, kiedy ganiała po mieszkaniu z kolegami, ale używała także wtedy, kiedy chciała powiedzieć „wszystko jedno”, „daj mi spokój” albo „nie twoja sprawa”. Była to odzywka wielofunkcyjna.

Ja: Co robiliście dzisiaj w przedszkolu?

Bean: *Caca boudin* (prychnięcie).

Ja: Chcesz jeszcze brokułów?

Bean: *Caca boudin!* (histeryczny śmiech).

Simon i ja nie byliśmy pewni, jak traktować *caca boudin*. Czy to ma być wulgarne, czy też urocze? Powinniśmy się gniewać czy być rozbawieni? Nie rozumieliśmy kontekstu kulturowego i nie mogliśmy czerpać z własnych doświadczeń z dzieciństwa we Francji. Na wszelki wypadek powiedzieliśmy jej, żeby nie powtarzała tego określenia. Bean poszła na kompromis – nadal go używała, ale dodając: „Nie mówimy *caca boudin*. To brzydkie słowo”.

Rozwijająca się znajomość francuskiego Bean miała swoje zalety. Kiedy polecieliśmy na Boże Narodzenie do Ameryki, przyjaciółki mojej matki bezustannie prosiły Bean, żeby wymawiała imię ich fryzjera, Jeana-Pierre’a, z paryskim akcentem. (Kiedy Jean-Pierre ostrzygł ją na pazia, rozplływały się w zachwytach). Bean chętnie śpiewała na życzenie którąś z francuskich piosenek, jakich nauczyła się w przedszkolu, a ja sama byłam zaskoczona za pierwszym razem, gdy odpakowała prezent i powiedziała spontanicznie: *oh là là!*

Zaczęło się jednak stawać jasne, że dwujęzyczność to nie tylko sztuczka do popisywania się na przyjęciach czy neutralna umiejętność. Im lepszy stawał się francuski Bean, tym częściej przynosiła ona do domu nie tylko nieznane frazy, ale także nowe pomysły i zasady. Nowy język nie czynił z niej osoby mówiącej po francusku, tylko Francuzkę, a ja nie byłam pewna, czy mi to odpowiada. Nie byłam nawet pewna, na czym polega „Francuzka”.

Francja wkroczyła do naszego domu, kiedy Bean zaczęła chodzić do *écolle maternelle*, bezpłatnego publicznego przedszkola. Było ono całodniowe i działało cztery dni w tygodniu – wolne były weekendy i środy. Przedszkole nie jest obowiązkowe, a dzieci mogą przychodzić tylko na kilka godzin, ale w zasadzie wszystkie trzylatki we Francji chodzą do *maternelle* w pełnym wymiarze i uczą się podobnych rzeczy. To francuska metoda kształtowania maluchów na obywateli Francji.

École maternelle stawia sobie ambitne cele. Jest to właściwie projekt narodowy, mający prowadzić do przemiany egoistycznych trzylatków w cywilizowanych, empatycznych ludzi. Dystrybuowana przez Ministerstwo Edukacji broszura dla rodziców wyjaśnia, że w przedszkolu dzieci „odkrywają różnorodność i ograniczenia grupy, której są częścią. Mogą poznać przyjemność towarzyszącą przyjęciu do grupy i poczuciu docenienia, a z czasem będą uczestniczyć w przyjmowaniu do grupy nowych kolegów”.

Charlotte, przedszkolanka z trzydziestoletnim stażem (nadal domagała się z wdziękiem, żeby dzieci mówiły do niej *maîtresse* – co może oznaczać zarówno nauczycielkę, jak i kochankę), powiedziała, że najmłodsze dzieci są bardzo egoistyczne. „Nie rozumieją, że przedszkolanka jest dla wszystkich” – podsumowała. Dopiero stopniowo zaczyna do nich docierać, że kiedy opiekunka mówi coś do wszystkich, to oznacza, że zwraca się także do każdego z nich osobno. Część zajęć odbywa w trzy- lub czteroosobowych grupach, przy oddzielnych stolikach lub w różnych częściach sali.

Mnie przedszkole skojarzyło się z akademią sztuk pięknych dla krasnoludków. Przez pierwszy rok ściany sali, w której miała zajęcia grupa Bean, szybko pokryły się rysunkami i malunkami dzieci. Nauka „postrzegania, odczuwania, rozwijania wyobraźni i tworzenia” także była jednym z celów przedszkola. Dzieci uczyły się zgłaszania do odpowiedzi *à la française*, podnosząc do góry jeden palec.

Martwiłam się trochę o Bean. *Crèche* przypominała jeden wielki plac zabaw, podczas gdy *maternelle* miała w sobie więcej ze szkoły. Grupy były duże, a ja zostałam uprzedzona, że rodzice dostają bardzo skąpe informacje o dzieciach. Jedna z amerykańskich mam przestała się dopytywać o postępy córki, kiedy przedszkolanka w końcu wyjaśniła: „Jeśli nic nie mówię, to znaczy że wszystko jest w porządku”. Pierwszą opiekunką Bean była ponura kobieta, która przez cały rok powiedziała o małej tylko to, że jest „bardzo spokojna”. (Bean uwielbiała tę przedszkolankę i lubiła nowych kolegów).

Duży nacisk kładziono na wykonywanie poleceń. Kiedy Bean była pierwszy rok w przedszkolu, irytowało mnie, że cała grupa zazwyczaj rysowała dokładnie to samo. Pewnego ranka w sali zawisło dwadzieścia pięć identycznych żółtych patykowatych figurek z zielonymi oczami. Jako osoba, która nie jest w stanie napisać niczego bez wyznaczonego ostatecznego terminu (albo dwóch), rozumiałam potrzebę ograniczania swobody twórczej, ale widok tych niemal identycznych obrazków był dla mnie bardzo przykry. (W kolejnym roku Bean dostała więcej swobody w wyborze tematu).

Dopiero po pewnym czasie zauważyłam, że w sali najmłodszej grupy, do której chodziła Bean, na ścianie nie ma nawet alfabetu. Na zebraniach z rodzicami nikt nie wspominał o czytaniu – więcej uwagi poświęcano kwestii karmienia sałatą mieszkających w akwarium ślimaków (malutkich i niejadalnych).

Odkryłam, że w przedszkolu dzieci w ogóle nie uczą się czytać. Poznają tylko litery, głoski i dowiadują się, jak napisać własne imię. Powiedziano mi, że niektóre z nich same zaczynają czytać, ale nie byłam w stanie stwierdzić które, ponieważ ich rodzice o tym nie wspominali. Czytanie pojawia się we francuskim programie edukacyjnym dopiero w pierwszej klasie podstawówki, kiedy dzieci kończą siedem lat.

Takie swobodne podejście sprzeciwiało się moim najbardziej podstawowym amerykańskim przekonaniom – im wcześniej, tym lepiej. Tymczasem nawet najambitniejsi rodzice kolegów z przedszkola Bean nie spieszyli się z tym. „Wolę, żeby nie marnowały teraz czasu na naukę czytania” – powiedziała mi Marion, dziennikarka. Ona i jej mąż twierdzili, że na tym etapie znacznie bardziej istotne jest, żeby dzieci nauczyły się zachowań społecznych, porządkowania myśli i jasnego

wyrażania.

Mieli szczęście – chociaż w przedszkolu nie uczono czytania, z pewnością uczono mówienia. Okazało się, że głównym celem edukacyjnym *maternelle* jest doskonalenie przez dzieci ze wszystkich środowisk mówionego francuskiego. W broszurze dla rodziców, wydanej nakładem państwowym, stwierdzano, że ich język mówiony powinien być „bogaty, uporządkowany i zrozumiały dla innych” (co oznaczało, że powinni mówić znacznie lepiej ode mnie). Przedszkolanka Charlotte powiedziała, że dzieci imigrantów, kiedy przychodzą do przedszkola we wrześniu, zazwyczaj znają tylko podstawowe zwroty francuskie albo w ogóle nie znają języka. W marcu jednak mówią już przynajmniej nieźle, a czasem wręcz płynnie.

Francuzi zdają się zakładać, że jeśli ich dzieci będą umiały jasno mówić, to będą także jasno myśleć. Rządowa broszura wyjaśniała, że poza doskonaleniem gramatyki francuskie dziecko uczy się w przedszkolu „obserwować, zadawać pytania i stopniowo racjonalizować swoje dociekania. Uczy się przyjmować punkt widzenia inny od własnego, a ta konfrontacja z myśleniem logicznym daje mu podstawy do wyciągania wniosków. Staje się zdolne do liczenia, klasyfikowania, porządkowania i opisywania”. Wszyscy ci nieomylni filozofowie i intelektualiści, których widywałam w wieczornych francuskich programach telewizyjnych, najwyraźniej zaczęli naukę analitycznego myślenia w przedszkolu.

Byłam wdzięczna za istnienie *maternelle* – nie zapomniałam, że moje przyjaciółki w Stanach Zjednoczonych – nawet jeśli nie kupowały DVD z nauką czytania dla niemowląt – walczyły o to, żeby umieścić swoje dzieci w prywatnych przedszkolach, gdzie wysokość czesnego potrafiła dochodzić do dwunastu tysięcy dolarów rocznie za trwające pół dnia zajęcia. Spotkałam pewną matkę z New Jersey, która dojeżdżała pięćdziesiąt minut samochodem, żeby zostawić swoje bliźniaczki w przedszkolu. Kiedy wracała do domu, mogła co najwyżej wziąć prysznic i nastawić pranie, a potem musiała jechać z powrotem, żeby je odebrać. Koszty opieki nad dziećmi w Stanach Zjednoczonych są przytłaczające, i nie dotyczy to tylko osób zamożnych – w badaniach ukazujących, ile pieniędzy potrzebuje amerykańska para z dwójką małych dzieci, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo finansowe, wydatki na opiekę nad dziećmi okazały się największe^[4].

Francuskie przedszkola są dalekie od doskonałości. Przedszkolanki mają zapewnione etaty niezależnie od tego, czy sobie dobrze radzą, czy też nie. Stale słyszy się też o problemach z dofinansowaniem, a czasem brakuje miejsc. Grupa Bean liczyła aż trzydzieścioro pięcioro dzieci, a nie było to jeszcze dopuszczalne maksimum. (Przedszkolanka ma asystentkę, która zajmuje się rozdawaniem materiałów, odprowadzaniem do toalety i ogólną opieką nad dziećmi).

Są też oczywiście dobre strony – w przedszkolu jedyną regularną opłatą był abonament obiadowy (jego wysokość jest uzależniona od dochodów rodziców i wynosi od trzynastu eurocentów do pięciu euro dziennie). Mieściło się siedem minut spacerem od naszego domu, było otwarte od 8.20 do 16.20 przez cztery dni w tygodniu. Znajdowała się tam też świetlica, w której – za dodatkową niewielką opłatą – dzieci mogły przebywać codziennie do wczesnego wieczora i przez cały dzień w środy. Była ona czynna także w wiele świąt państwowych i przez większość wakacji, a jej pracownice zabierały dzieci do parku lub muzeów.

Przedszkole wyraźnie odegrało ogromną rolę w przemianie mojej małej Amerykanki we Francuzkę. Sprawilo nawet, że i ja stawałam się bardziej francuska. Inaczej niż w żłobku pozostali rodzice natychmiast zainteresowali się Bean, a pośrednio także mną. Postrzegali teraz naszą rodzinę jako część grupy, z którą będą podróżować przez całą szkołę (po zakończeniu *crèche* dzieci szły do różnych przedszkoli). Niektóre matki kolegów Bean miały malutkie dzieci i były na urlopie macierzyńskim, a kiedy odbierałam Bean z przedszkola i zabierałam ją do parku po przeciwnej stronie ulicy, siedziałam razem z nimi, a nasze dzieci wspólnie się bawiły. Z czasem zaczęto nas

zapraszać na przyjęcia urodzinowe, popołudniowe *goûters* i obiady.

Przedszkole wciągnęło nas wszystkich głębiej w życie Francji, ale uświadomiło nam także, że francuskie rodziny przestrzegają nieznanych nam zasad towarzyskich. Kiedy byłam na kolacji u mojej przyjaciółki Esther i jej męża, mających córeczkę w wieku Bean, Esther zdenerwowała się, ponieważ mała nie chciała wyjść z pokoju, żeby się z nami pożegnać. W końcu poszła po nią i wyciągnęła ją siłą.

– *Au revoir* – powiedziała pokornie czterolatka, czym usatysfakcjonowała Esther.

Oczywiście uczyłam Bean mówienia magicznych słów, takich jak „proszę” i „dziękuję”, ale okazało się, że we Francji są cztery magiczne słowa: *s’il vous plaît* („proszę”), *merci* („dziękuję”), *bonjour* („dzień dobry”) i *au revoir* („do widzenia”). „Proszę” i „dziękuję” są niezbędne, ale dalece niewystarczające. Kluczowe są *bonjour* i *au revoir*, w szczególności zaś *bonjour*. Nie miałam pojęcia, że nauka mówienia *bonjour* to główna część sekretu bycia Francuzem.

– Upieram się, żeby moje dzieci potrafiły powiedzieć *merci*, *bonjour* i *bonjour, madame* – powiedziała mi Audrey Goutard, francuska dziennikarka i matka trójki dzieci. – Wyobraź sobie, że od kiedy skończyły roczek, powtarzam im to piętnaście razy dziennie.

Niektórym francuskim rodzicom nie wystarcza samo *bonjour*. „Powinny to mówić z pewnością siebie, bo to pierwszy krok w znajomości” – oznajmiła inna francuska matka. Virginie, szczupła gospodyni domowa, upierała się, żeby jej dzieci doskonaliły grzeczność, mówiąc *bonjour, monsieur* i *bonjour, madame*.

Esther upierała się przy *bonjour* pod groźbą kary.

– Jeśli nie powie *bonjour*, zostanie w swoim pokoju i nie będzie mogła zjeść obiadu z gośćmi – wyjaśniła. – Dlatego mówi *bonjour*, może nie do końca szczerze, ale mam nadzieję, że powtarzanie zrobi swoje.

Benoît, profesor i ojciec dwójki dzieci, opowiadał mi, że przeżył kryzys rodzinny, kiedy zabrał dzieci do dziadków. Jego trzyletnia córka budziła się w złym humorze i nie chciała przed śniadaniem powiedzieć dziadkowi *bonjour*. W końcu poszła na kompromis i siadając do stołu, mówiła *pas bonjour, papi* (niedobry dzień, dziadku). „On był z tego zadowolony, ponieważ na swój sposób się z nim witała” – powiedział Benoît.

Oczywiście, dorośli także powinni mówić *bonjour*. Przypuszczam, że turyści często są traktowani szorstko w paryskich kafejkach i sklepach po części dlatego, że nie zaczynają rozmowy od *bonjour*, nawet gdyby mieli potem przejść na angielski. Wypada powiedzieć *bonjour*, kiedy wsiada się do taksówki, kiedy kelnerka po raz pierwszy podchodzi do naszego stolika w restauracji albo kiedy chcemy zapytać sprzedawczynię, czy ma spodnie w naszym rozmiarze. Powitanie oznacza dostrzeżenie istnienia drugiego człowieka, sygnalizuje, że uważamy drugą osobę za równorzędną, a nie tylko kogoś, kto ma nam usługiwać. Byłam zaskoczona, gdy zauważyłam, że ludzie wyraźnie się odprężają, kiedy porządnie i głośno mówię *bonjour*. To oznaczało że chociaż mam dziwny akcent, możemy rozmawiać jak cywilizowani obywatele.

W Stanach Zjednoczonych czterolatek nie ma obowiązku witać się z dorosłymi, nawet gdy wchodzi do cudzego domu – zwykle przemyka się do środka, gdy jego rodzice witają się z gospodarzami. To powinno im wystarczyć – dziecko nie musi dostrzegać ich istnienia, ponieważ nie jest pełnoprawnym człowiekiem, ale częścią odrębnego dziecięcego królestwa. Gospodarze mogą godzinami wysłuchiwać, jak genialne jest dziecko ich gości, i nie usłyszeć od niego ani słowa.

Na rodzinnym spotkaniu w Stanach Zjednoczonych byłam zdumiona tym, że moi młodszy kuzyni i krewni w wieku od pięciu do czternastu lat w ogóle nie odzywają się do mnie przy stole, chyba że

zaczę ich bezpośrednio wypytwać. Niektórzy odpowiadali mi półsłówkami – nawet nastolatki nie były przyzwyczajone do wyrażania swoich myśli wobec słabo im znanej osoby dorosłej.

Jedną z przyczyn francuskiej obsesji na punkcie mówienia *bonjour* jest to, że we Francji dzieci nie są wyłączone z życia tak jak w Stanach. Dziecko się wita, co oznacza że istnieje. Tak jak każda osoba dorosła, która wchodzi do mojego domu, musi mnie przywitać, tak powinno to robić także każde dziecko. „Witając kogoś, pokazujesz, że widzisz w nim człowieka” – powiedział profesor Benoît. „Ludzie czują się dotknięci, jeśli dziecko się z nimi nie przywita”.

Nie jest to tylko konwencja towarzyska, ale ogólnonarodowy trend. Na zebraniu rodziców w przedszkolu Bean opiekunka powiedziała, że jednym z zadań przedszkola jest to, żeby dzieci zapamiętały imiona wszystkich dorosłych pracowników (Bean mówiła do opiekunek po imieniu) i ćwiczyły mówienie do nich *bonjour*, *au revoir* i *merci*. Rządowa broszura informowała, że w ramach *maternelle* dzieci powinny poznać reguły „wychowania i dobrych manier”, w tym „codziennie witać się i żegnać z opiekunami, odpowiadać na pytania, dziękować za pomoc i nie przerywać osobie, która mówi”.

Francuskim dzieciom nie zawsze wychodzi mówienie *bonjour*. Często rodzice muszą przypominać o tym swoim pociechom („No już, powiedz *bonjour*”), a osoba czekająca na powitanie po krótkiej chwili mówi życzliwie, że nie ma problemu. To najwyraźniej także należy do tego małego rytuału.

Zmuszanie dzieci do mówienia *bonjour* ma nie tylko zadowolić dorosłych, ale także pomaga uświadomić dzieciom, że nie są jedynymi osobami mającymi uczucia i potrzeby.

– To pozwala uniknąć egoizmu – wyjaśniła Esther, która wywlokła z pokoju córkę (uroczą, rozpieszczaną jedynaczkę), żeby ta się ze mną pożegnała. – Dzieci, które ignorują ludzi i nie mówią *bonjour* ani *au revoir*, pozostają w swojej własnej bańce. Skoro rodzice już się dla nich poświęcają, to kiedy mają się nauczyć, że powinny także dawać, a nie tylko brać?

Mówienie „proszę” i „dziękuję” stawia dziecko w sytuacji osoby słabszej, petenta. Dorosły coś dla niego zrobił lub dziecko prosi dorosłego, by ten coś zrobił. Natomiast *bonjour* i *au revoir* stawiają dziecko i dorosłego na równi, przynajmniej na moment – utwierdzają w przekonaniu, że dzieci są ludźmi mającymi własne prawa.

Nie mogłam oprzeć się przeświadczeniu, że pozwalanie, by amerykańskie dziecko przemknęło się bez przywitania, uruchamia reakcję łańcuchową, w której wyniku skacze ono po mojej kanapie, nie chce jeść niczego poza nieokraszonym makaronem i gryzie mnie w nogę przy obiedzie. Jeśli zostaje wyłączone z pierwszej zasady grzeczności, bardzo szybko – podobnie jak wszyscy wokół – zaczyna zakładać, że także inne zasady go nie dotyczą lub też nie jest w stanie ich przestrzegać. Mówienie *bonjour* informuje dziecko i jego otoczenie, że potrafi ono zachowywać się poprawnie, i nadaje ton całej interakcji z dorosłymi.

Także rodzice przyznają, że rytuał powitania jest na swój sposób aktem dorosłości. „Nie uważam, żeby łatwo im było się witać” – oznajmiła Denise, etyk medycyny z dwiema córkami w wieku siedmiu i dziewięciu lat. Powiedziała jednak, że dzieciom pomaga świadomość, że ich powitanie ma znaczenie dla dorosłych. „Myślę, że dziecko, które nie mówi *bonjour*, nie może czuć się pewne siebie” – wyjaśniła.

Podobnie jak rodzice takiego dziecka, ponieważ mówienie *bonjour* jest także ważnym wyznacznikiem wychowania. Dzieciom, które nie używają francuskich magicznych słów, może zostać przypięta etykieta *mal élevé* – źle wychowanych.

Denise opowiedziała mi, że jej młodsza córka miała kolegę, który dużo krzyczał i w żartach nazywał Denise *chérie* – „kochanie”. „Powiedziałam mężowi, że nie będę go więcej zapraszać” –

oznajmiła. „Nie chciałam, żeby moja córeczka bawiła się ze złe wychowanymi dziećmi”.

Dziennikarka Audrey Goutard napisała książkę *Wielka księga rodziny (Le Grand Livre de la Famille)*, w której starała się podważyć wybrane zasady francuskiego systemu wychowywania dzieci. Nie ośmieliła się jednak zakwestionować wagi *bonjour*.

– Szczerze mówiąc, we Francji dziecko, które nie mówi *bonjour, monsieur* i *bonjour, madame*, nie zostanie zaakceptowane – powiedziała mi. – Sześciolatek, który nie oderwie wzroku od telewizora, kiedy wchodzisz do zaprzyjaźnionego domu... Nazwałabym to złym wychowaniem. Nie twierdę, że to normalne. W naszym społeczeństwie obowiązuje wiele norm obyczajowych, a jeśli ich nie przestrzegasz, zostajesz wykluczony z towarzystwa. To głupie, ale tak jest. Dlatego zmniejszasz szansę swoich dzieci na integrację, spotkanie nowych ludzi. W mojej książce napisałam, że lepiej jest, żeby dzieci znały tę normę.

Szczerze mówiąc, ledwie zauważałam, że francuskie dzieci mówią *bonjour*, a już w ogóle nie miałam pojęcia, jak bardzo jest to istotne. Podobnym sygnałem statusu społecznego w Stanach Zjednoczonych są ładne i czyste zęby. Kiedy mówisz *bonjour*, oznacza to że ktoś zadbał o twoje wychowanie i umiesz przestrzegać podstawowych zasad grzeczności. Trzy- i czteroletni koledzy Bean – w przeciwieństwie do niej – mieli już za sobą długotrwałe ćwiczenia w mówieniu *bonjour*. Moja córka dysponując tylko „proszę” i „dziękuję”, była przystosowana do życia w społeczeństwie zaledwie w połowie. Możliwe, że już została jej przyczepiona okropna etykieta „źle wychowanej”.

Postarałam się zaapelować do jej pasji małego antropologa, tłumacząc, że *bonjour* to miejscowy zwyczaj, którego powinna przestrzegać.

– Mieszkamy we Francji, a dla Francuzów mówienie *bonjour* jest bardzo ważne. Dlatego my też musimy to mówić – wyjaśniłam Bean. Napominałam ją w windzie, zanim weszłyśmy na przyjęcie urodzinowe albo odwiedziłyśmy któregoś z jej francuskich kolegów.

– Co powiesz, kiedy wejdziemy? – pytałam niespokojnie.

– *Caca boudin* – odpowiadała.

Zazwyczaj kiedy wchodziłyśmy, nie mówiła nic, więc rytualnie i bardzo publicznie napominałam ją, żeby powiedziała *bonjour*. Przynajmniej w ten sposób dostosowywałam się do obowiązującej normy, a może nawet zaszczepiałam w niej nawyk.

Pewnego dnia, kiedy odprowadzałam Bean do przedszkola, spontanicznie spojrzała na mnie i oznajmiła:

– Nawet jeśli się wstydzę, muszę mówić *bonjour*.

Może nauczyła się tego w przedszkolu, ale tak czy inaczej była to prawda i dobrze, że o tym wiedziała. Niepokoiło mnie jednak to, że jej obyczaje stają się nadmiernie międzynarodowe. Co innego bawić się we Francuzkę, a całkiem co innego – naprawdę się asymilować.

Chociaż miałam pewne wątpliwości, czy Bean powinna wyrastać na Francuzkę, byłam zachwycona jej rozwijającą się dwujęzycznością. Simon i ja zwracaliśmy się do niej tylko po angielsku, a w przedszkolu mówiła tylko po francusku. Chwilami zdumiewało mnie, że urodziłam dziecko, które potrafi bez wysiłku wymawiać takie frazy, jak *carottes rapées* i *confiture sur le beurre*.

Myślałam, że małe dzieci po prostu „chwytają” język, ale bardziej przypominało to długotrwały proces, złożony z prób i błędów. Czasem słyszałam, że Bean nadal mówi po francusku z amerykańskim akcentem, a chociaż całe życie spędziła w obrębie obwodnicy Paryża, dzięki nam ewidentnie promieniowała z niej jakaś amerykańskość. Kiedy pewnego środowego poranka zabrałam ją na zajęcia muzyczne (zazwyczaj robiła to opiekunka), odkryłam, że prowadząca mówi

do Bean łamanym angielskim, chociaż do innych dzieci zwracała się po francusku. Potem nauczycielka rytmiki poleciła po francusku grupie dziewczynek, żeby położyły się na podłodze płasko *comme une crêpe* – „jak naleśnik”. Do Bean powiedziała: *comme une pancake*, używając angielskiej nazwy naleśnika.

Początkowo nawet ja byłam w stanie zauważyć, że Bean robi mnóstwo błędów we francuskim i wymyśla dziwaczne konstrukcje. Zazwyczaj używała angielskiego *for* zamiast francuskiego *pour*. Znała też tylko słownictwo z przedszkola, niewystarczające do swobodnej rozmowy o samochodach albo obiedzie. Pewnego dnia nagle mnie zapytała: „Czy *avion* to to samo co *airplane* (samolot)?”. Próbowала to wszystko sobie poukładać.

Nie byłam pewna, które błędy Bean wynikały z jej dwujęzyczności, a które z tego, że miała trzy lub cztery lata. Pewnego dnia w metrze pochyliła się do mnie i powiedziała:

– Pachniesz jak *vomela*.

Jak się okazało, było to połączenie *vomit* („wymiotuje”) i *Pamela*.

Chwilę później znowu się do mnie pochyliła.

– Jak teraz pachnę? – zapytałam.

– Jak college – odparła.

W domu niektóre francuskie wyrazy zaczęły wypierać ich angielskie odpowiedniki. Mówiliśmy *coucous* zamiast *peekaboo* (a kuku), a kiedy ją łaskotaliśmy – *guili-guili* zamiast *coochi coochi coo*. Bean nie bawiła się w *hide-and-seek* (chowanego), tylko w *cache-cache*. Wyrzucaliśmy śmieci do *poubelle*, a jej smoczek nazywał się *tétine*. W domu nikt nie puszczał bąków, tylko *prouts*.

Na wiosnę pierwszego roku spędzanego przez Bean w przedszkolu przyjaciele powiedzieli mi, że jej amerykański akcent zniknął – brzmiała jak rodowita *Parisienne*. Nabrała takiej pewności we francuskim, że podsłuchiłam, jak żartuje z kolegami, używając karykaturalnego amerykańskiego akcentu (prawdopodobnie wzorowanego na mnie). Lubiła celowo mieszać dwa rodzaje wymowy i oznajmiła, że czekoladowa posypka – *sprinkles* – na pewno nazywa się po francusku *shpreenkels*.

Ja: Jak powiesz *d'accord* po angielsku?

Bean: Przecież wiesz! [z akcentem z Alabamy] Dah-kord.

Mój ojciec uznał, że „francuska” wnuczka jest urocza, i poprosił, żeby nazywała go *grand-père*. Bean nawet przez moment nie wzięła tego na serio – wiedziała, że on nie jest Francuzem. Nazywała go po prostu dziadkiem.

Wieczorem razem z Bean oglądałyśmy książeczki z obrazkami. Była podekscytowana, kiedy z wyraźną ulgą stwierdzała, że – podobnie jak w przypadku *airplane* – pewne słowa po francusku i angielsku oznaczają to samo. Kiedy przeczytałyśmy w książeczce o Madeline zdanie *Something is not right!* („Coś jest nie tak!”), przetłumaczyła je na potoczny francuski: *Quelque chose ne va pas!*

Chociaż Simon mówił z akcentem brytyjskim, angielski Bean brzmiał bardziej amerykańsko – nie byłam pewna, czyja to zasługa, moja czy Elmo. Inne paryskie anglojęzyczne dzieci miały własne akcenty. Przyjaciółka Bean, której tata pochodził z Nowej Zelandii, a matka była w połowie Irlandką, brzmiała jak czystej krwi Brytyjka. Synek paryskiej mamy i kalifornijskiego taty brzmiał jak francuski kucharz z amerykańskich programów telewizyjnych z lat siedemdziesiątych. Mały chłopczyk mieszkający na rogu, którego tata mówił po persku, a mama pochodziła z Australii, skrzeczał jak Muppet.

Bean czasem kładła akcent na niewłaściwą sylabę w angielskim (na przykład drugą sylabę w słowie *salad* – „sałata”), a niekiedy stosowała w zdaniach szyk francuski („Ja, nie chcę zastrzyku, ja”) lub tłumaczyła dosłownie francuski na angielski („Bo to jest tak!”). Zdarzało się jej powiedzieć

after („potem”), kiedy chodziło jej o *later* („później”), ponieważ we francuskim w obu przypadkach używane było to samo słowo, *après*.

Czasami po prostu nie wiedziała, jak mówią osoby, dla których angielski jest językiem ojczystym. Przechwytywała dziwaczne słówka z oglądanych na DVD filmów o księżniczkach Disneya i kiedy chciała wiedzieć, czy dobrze w czymś wygląda, pytała po prostu „Czy jam jest najpiękniejsza w świecie?”. To jednak były drobiazgi – nic, czego nie naprawiłby letni wyjazd na obóz do Stanów.

Kolejnym francuskim słowem, które weszło do naszego słownika, było *bêtise*, które oznaczało drobne przewinienie. Kiedy Bean stawiała na stole, bez pozwolenia brała cukierek albo rzuciła groszek na podłogę, mówiliśmy, że „zrobiła *bêtise*”. *Bêtises* były złe, ale nie jakoś szczególnie. Ich nagromadzenie prawdopodobnie sprowadziłoby karę, ale pojedyncze *bêtise* zwykle uchodziło na sucho.

Przyswoiliśmy to francuskie słowo, ponieważ w angielskim brakowało mu dobrego odpowiednika. Po angielsku nie mówi się raczej dziecku, że popełniło *small act of naughtiness* („drobny akt nieposłuszeństwa”). Zwykle przyczepiamy etykietkę raczej do dziecka niż do zakazanego czynu, nazywając je niegrzecznym, źle wychowanym albo po prostu niedobrym.

Te frazy nie oddają jednak ciężaru przewinienia. Oczywiście nawet w angielskim znałam różnicę między uderzeniem stołu a uderzeniem człowieka, ale możliwość zakwalifikowania danego czynu jako drobnego przewinienia – *bêtise* – pomagała mi, jako matce, odpowiednio reagować. Nie musiałam panikować i krzyczeć za każdym razem, gdy Bean zrobiła coś nie tak albo była nieposłuszna. Czasem było to tylko *bêtise* – to słowo mnie uspokajało.

Zawdzięczałam wzbogacenie mojego francuskiego słownictwa nie tylko Bean, ale także wielu francuskim książeczkom dla dzieci, które weszły w nasze posiadanie przy okazji przyjęć urodzinowych, impulsywnych zakupów i pchlich targów. Pilnowałam się, żeby nie czytać Bean na głos, jeśli w pobliżu był rodowity Francuz – sama słyszałam swój amerykański akcent i to, jak zacinam się na trudniejszych słowach. Zazwyczaj byłam tak skoncentrowana, żeby niczego nie przekreślić, że dopiero za trzecim czytaniem dowiadywałam się, o czym dana bajka opowiada.

Szybko zauważyłam, że francuskie i angielskie książeczki i dziecięce piosenki nie różnią się tylko językiem – często mają także zupełnie odmienną fabułę i przesłanie. W książeczkach amerykańskich zazwyczaj mamy jakiś problem, zmaganie się z nim, a na końcu jego radosne rozwiązanie. Łyżka żałuje, że nie urodziła się nożem lub widelcem, ale w końcu uświadamia sobie, jak wspaniale jest być łyżką. Chłopiec, który nie pozwalał innym dzieciom bawić się w swoim pudle, zostaje z niego wyrzucony i uświadamia sobie, że wszystkie dzieci powinny się bawić razem. Każdy uczy się czegoś nowego, a życie staje się lepsze.

Nie dotyczyło to tylko książek – dostrzegłam, jak deliryczną nadzieją promieniuje śpiewana przeze mnie piosenka, zgodnie z którą, jeśli ktoś jest szczęśliwy i o tym wie, to powinien klaskać w ręce, czy oglądany na DVD musical na podstawie *Ani z Zielonego Wzgórza* z piosenką o tym, że słońce jutro wszędzie. W anglojęzycznym świecie każdy problem zdaje się mieć rozwiązanie, a szczęście czeka tuż za rogiem.

We francuskich książeczkach, które czytałam Bean, podobny schemat stanowił tylko punkt wyjścia. Kiedy pojawiał się problem, bohater lub bohaterka się z nim zmagali. Często jednak ich zwycięstwo okazywało się krótkotrwałe, a historia kończyła się tym, że bohater ma znowu ten sam problem. Rzadko kiedy pojawiała się przemiana charakterologiczna, dzięki której wszyscy czegoś się uczyli i stawali dojrzałsi.

Jedna z ulubionych francuskich książeczek Bean opowiadała o dwóch ślicznych dziewczynkach,

które były kuzynkami i najlepszymi przyjaciółkami. Eliette (ruda) zawsze rozkazywała Alice (brunetce). Pewnego dnia Alice uznała, że ma dość, i przestała się bawić z Eliette. Przez dłuższy czas sytuacja była patowa, aż w końcu Eliette przyszła do domu Alice, przeproszała ją i obiecywała, że się zmieni. Alice przyjęła przeprosiny. Na następnej stronie dziewczynki bawią się w lekarza, a Eliette próbuje ukłuć Alice strzykawką. Nic się nie zmieniło. Koniec.

Nie wszystkie historie dla dzieci kończą się w taki sposób, ale wiele z nich ma podobny finał. Przesłanie jest takie, że zakończenie nie musi być uporządkowane, żeby było szczęśliwe. To stereotyp dotyczący Europejczyków, ale można go dostrzec w morałach książeczek Bean: życie jest nieoczywiste i skomplikowane. Nie zawsze widać jasny podział na dobro i zło, w każdym z nas tkwi jedno i drugie. Eliette lubi się rządzić, ale można się z nią świetnie bawić. Alice jest ofiarą, ale jak się wydaje – sama tego chce i zgłasza się po więcej.

Powinniśmy zakładać, że Eliette i Alice będą kontynuować swój mały dysfunkcyjny cykl, ponieważ, no cóż, tak właśnie wygląda przyjaźń między dziewczynkami. Żałuję, że nie dowiedziałam się tego, kiedy miałam cztery lata, ale dopiero po trzydziestce. Pisarka Debra Ollivier zauważyła, że kiedy amerykańskie dziewczynki obrywają płatki stokrotki, mówią „kocha, nie kocha”, natomiast małe Francuzki dostrzegają znacznie więcej odcieni emocjonalnych, mówiąc „kocha mnie troszeczkę, bardzo, namiętnie, do szaleństwa, wcale”^[2].

Postaci często miały też sprzeczne cechy charakteru. W jednej z opowieści z cyklu *Prawdziwa Księżniczka* Zosia otwiera prezent i oznajmia, że się jej nie podoba. Na następnej stronie jednak Zosia jest „prawdziwą księżniczką” i zrywa się, żeby powiedzieć *merci* osobie, od której go dostała.

W amerykańskiej wersji takiej książki Zosia prawdopodobnie zwalczyłaby w sobie złe nawyki i na dobre przemieniła się w prawdziwą księżniczkę. Francuska wersja bardziej przypomina prawdziwe życie: Zosia musi sobie radzić z oboma aspektami swojej osobowości. Książeczka zachęca do pielęgnowania nawyków „księżniczki” (na końcu jest mały dyplom za dobre sprawowanie), ale zakłada, że dzieci są popychane wrodzonymi impulsami do *bêtise*.

We francuskich książeczkach dla czterolatek jest także mnóstwo nagości i miłości. Bean miała książeczkę o chłopcu, który przez przypadek przyszedł do szkoły na golasa, a także inną, opowiadającą o romansie między chłopcem, który niechcący zsiusiał się w spodnie, a dziewczynką, która pożyczyła mu swoje spodnie, a dla siebie zrobiła spódnice z chustki. Te książki – podobnie jak znani mi francuscy rodzice – traktowały przedszkolne romanse i zauroczenia jak prawdziwe uczucia.

Spotykałam czasem ludzi wychowywanych we Francji przez amerykańskich rodziców. Kiedy pytałam ich, czy czują się Francuzami, czy Amerykanami, zawsze odpowiadali, że to zależy od okoliczności – czuli się Amerykanami, przebywając we Francji, i Francuzami, kiedy byli w Ameryce.

Bean najwyraźniej zmierzała w podobnym kierunku. Bez trudu wpoilałam jej pewne amerykańskie cechy, takie jak skłonność do jęczenia i niespokojnego snu. Inne jednak wymagały wiele pracy. Zaczęłam wybierać niektóre amerykańskie święta, kierując się ilością koniecznego gotowania. Halloween było oczywiste, Święto Dziękczynienia zostało skreślone. Dzień Niepodległości (4 lipca) wypadał na tyle blisko Dnia Zdobycia Bastylii (14 lipca), że miałam poczucie, jakbyśmy jednocześnie świętowali oba. Nie byłam pewna, co zalicza się do „klasycznych” potraw amerykańskich, ale z jakiegoś powodu upierałam się, że Bean powinna polubić grzanki z serem i tuńczykiem.

Sprawienie, żeby Bean czuła się choć trochę Amerykanką, było trudne, a ja chciałam w dodatku,

żeby czuła się też Żydówką. Wprawdzie wpisałam ją w przedszkolu na listę dzieci niejedzących wieprzowiny, to jednak wyraźnie nie wystarczało do wykształcenia się jej religijnej tożsamości. Próbowала zrozumieć, co oznacza to dziwne pojęcie, wykluczające Świętego Mikołaja, i jak może od niego uciec.

– Nie chcę być Żydówką, chcę być Brytyjką – oznajmiła na początku grudnia.

Wahałam się, czy rozmawiać z nią o Bogu. Obawiałam się, że świadomość istnienia wszechpotężnej i wszechobecnej istoty – zapewne będącej także w jej pokoju – może ją przerazić (już i tak bała się czarownic i wilków). Zamiast tego na wiosnę przygotowałam elegancki obiad z okazji święta Paschy. W połowie pierwszego czytania Bean zaczęła błagać, żebym pozwoliła jej wstać od stołu. Simon siedział z ponurą miną „A nie mówiłem?”. Wysiorbaliśmy zupę z kulkami z macy, a potem poszliśmy oglądać futbol holenderski.

Chanuka okazała się wielkim sukcesem, w czym pewnie pomogło to, że Bean była pół roku starsza, a nie zaszkodziły świece i prezenty. Naprawdę jej się spodobało, kiedy tańczyliśmy i śpiewaliśmy w salonie horę, a potem padliśmy z zawrotami głowy.

Po ośmiu wieczorach i rozpakowaniu ośmiu starannie wybranych prezentów Bean pozostała jednak sceptyczna.

– Chanuka się skończyła, nie jesteśmy już Żydami – powiedziała.

Chciała wiedzieć, czy do naszego domu przyjdzie Ojciec Bożonarodzeniowy, czyli *Père Noël*, o którym słyszała w przedszkolu. W wigilię Bożego Narodzenia Simon uparł się, żeby wystawić przy kominku buty z prezentami. Twierdził, że w ten sposób luźno naśladuje holenderską tradycję ludową, a nie religijną (Holendrzy wystawiają buty 5 grudnia). Bean była przeszczęśliwa, kiedy rano zobaczyła buty, mimo że było w nich tylko tanie jojo i plastikowe nożyczki.

– *Père Noël* zwykle nie odwiedza żydowskich dzieci, ale w tym roku do nas przyszedł! – cieszyła się.

Później, kiedy odbierałam ją z przedszkola, nasza rozmowa zazwyczaj wyglądała tak:

Ja: Co robiłaś dzisiaj w przedszkolu?

Bean: Jadłam wieprzowinę.

Skoro już byliśmy cudzoziemcami, nie najgorzej się złożyło, że naszym ojczystym językiem był angielski, oczywiście bardzo popularny we Francji. Większość paryżan poniżej czterdziestki zna go przynajmniej na podstawowym poziomie. Przedszkolanka poprosiła mnie i kanadyjskiego tatę, żebyśmy przyszli pewnego ranka i poczytali na głos angielskie książeczki dzieciom z grupy Bean. Kilko jej kolegów uczyło się angielskiego, a ich rodzice rozplýwali się nad tym, jakie szczęście ma nasza córka, że jest dwujęzyczna.

Posiadanie rodziców obcokrajowców bywa jednak dla dzieci stresujące. Simon zawsze mi przypominał, że kiedy był dzieckiem i mieszkał w Holandii, to zawsze, kiedy jego rodzice mówili przy ludziach po holendersku, zaciskał zęby. Przypomniałam sobie o tym, kiedy na koniec roku w przedszkolu Bean urządzono koncert. Rodzice mieli zaśpiewać kilka piosenek razem z dziećmi. Większość z nich znała słowa, a ja mruczałam tylko coś pod nosem z nadzieją, że Bean tego nie zauważy.

Było jasne, że trzeba będzie znaleźć kompromis między tożsamością amerykańską, którą starałam się zaszcześcić Bean, a francuską, którą sama szybko przyswajała. Przywykłam do tego, że nazywa Kopciuszka *Cendrillon*, a Królowną Śnieżkę – *Blanche-Neige*. Śmiałam się, kiedy mi opowiadała, jak chłopiec z jej grupy wymawia słowo *Spiderman* z francuskim akcentem. Zgłosiłam jednak sprzeciw, kiedy stwierdziła, że siedmiu krasnoludków śpiewa *Hey ho* tak jak we francuskim dubbingu. Niektóre rzeczy są święte.

Na szczęście okazało się, że pewne elementy kultury anglosaskiej są łatwo przyswajalne.

Kiedy pewnego rana odprowadzałam Bean do przedszkola i szłyśmy cudownymi średniowiecznymi uliczkami naszej dzielnicy, nagle zaczęła śpiewać *The sun'll come out, tomorrow*. Śpiewałyśmy całą drogę do przedszkola. Moja pełna nadziei Amerykaneczka nadal istniała.

W końcu postanowiłam zapytać znajomych dorosłych Francuzów o tajemniczy zwrot *caca boudin*. Byli rozbawieni tym, że potraktowałam go tak serio. Okazało się, że to jest przekleństwo, ale używane tylko przez malutkie dzieci. Uczą się go od siebie nawzajem mniej więcej wtedy, kiedy zaczynają się uczyć korzystania z toalety.

Mówienie *caca boudin* to niewielkie *bêtise*, ale rodzice rozumieją, że sprawia to dziecku frajdę. To ich sposób, żeby pokazać, że mają świat w nosie i łamią zasady. Dorośli, z którymi rozmawiałam, uważali, że skoro dzieci mają tak wiele ograniczeń i zasad, do których muszą się stosować, potrzebują także trochę wolności. *Caca boudin* daje im poczucie władzy i autonomii. Dawna opiekunka Bean, Anne-Marie, uśmiechnęła się pobłażliwie, kiedy zapytałam ją o *caca boudin*. „To część dzieciństwa – wyjaśniła. – My także to mówiliśmy, kiedy byliśmy mali”.

Nie oznacza to jednak, że dzieci mogą mówić *caca boudin*, kiedy tylko chcą. Poradnik wychowania *Twoje dziecko* proponuje, żeby pozwolić im go używać tylko wtedy, kiedy są w łazience. Niektórzy rodzice powiedzieli mi, że zabraniają używać go przy stole. Nie zakazują całkiem dzieciom mówienia *caca boudin*, ale uczą je, jak się nim posługiwać.

Kiedy razem z Bean odwiedzałyśmy francuską rodzinę w Bretanii, ona i ich mała córeczka Leonie pokazały język babci. Ta natychmiast wzięła je na rozmowę o tym, kiedy można robić takie rzeczy.

– Możecie, kiedy jesteście same w pokoju. Możecie, kiedy jesteście same w łazience... Możecie biegać boso, wystawiać język, pokazywać palcem, mówić *caca boudin*. Możecie robić to wszystko, kiedy jesteście same. Ale w przedszkolu – *non*. Kiedy siedzicie przy stole – *non*. Przy mamie i tatusiu – *non*. Na ulicy – *non*. *C'est la vie*. Musicie rozumieć tę różnicę.

Kiedy Simon i ja dowiedzieliśmy się więcej o *caca boudin*, postanowiliśmy znieść nasz zakaz. Powiedzieliśmy Bean, że może tego słowa używać, ale nie za często. Podobała się nam stojąca za nim filozofia i czasem nawet sami go używaliśmy. Przekleństwo specjalnie dla dzieci – jakież to oryginalne! Jakież to francuskie!

Ostatecznie myślę jednak, że towarzyski kontekst *caca boudin* jest zbyt subtelny, by udało nam się go opanować. Kiedy pewnego niedzielnego popołudnia ojciec jednej z przedszkolnych koleżanek Bean przyszedł do nas odebrać swoją córkę, usłyszał, jak Bean, biegnąc korytarzem, krzyczy *caca boudin*. Popatrzył wtedy na mnie nieufnie i jestem pewna, że opowiedział o tym incydencie swojej żonie. Jego córka nigdy więcej do nas nie przyszła.



Podwójna porcja

Wreszcie udało mi się skończyć pisanie książki, a przez cudowny kwadrans pewnego poranka, tuż przed śniadaniem, ważyłam o jakieś sto gramów mniej, niż wynosiła moja docelowa waga. Byłam gotowa do zajścia w ciążę.

Ale nie zaszłam.

Wszyscy wokół mnie byli w ciąży, zupełnie jakby moje przyjaciółki, podobnie jak ja zbliżające się do czterdziestki, chciały wykorzystać ostatnie momenty płodności. Zajście w ciążę z Bean przypominało dostarczenie pizzy. Głodny? Zadzwoń i zamów! Zadziało za pierwszym razem.

Teraz jednak nie przyniesiono żadnej pizzy, a ja wraz z upływem kolejnych miesięcy czułam, że zwiększa się różnica wieku między Bean a jej teoretycznym, być może już nierealnym rodzeństwem. Wydawało mi się, że nie mam czasu do stracenia – jeśli szybko nie urodzę drugiego dziecka, pojawienie się trzeciego będzie fizycznie niemożliwe.

Lekarka powiedziała, że mój cykl stał się za długi – komórka jajowa nie powinna czekać tak długo, zanim się uwolni i zacznie poszukiwać odpowiedniego partnera. Zapisała mi clomid, który miał stymulować owulację i tym samym zwiększać szanse, że jedna z komórek jajowych będzie w odpowiedniej kondycji. Tymczasem kolejne przyjaciółki dzwoniły do mnie z radosną nowiną: są w ciąży! Cieszyłam się razem z nimi. Naprawdę.

Po jakichś ośmiu miesiącach bezskutecznych starań ktoś polecił mi specjalistkę od akupunktury, zajmującą się leczeniem bezpłodności. Miała długie czarne włosy i gabinet w gorszej biznesowej dzielnicy Paryża. (Większość miast ma jedną „chińską dzielnicę” – Paryż, dla odmiany, ma ich pięć albo sześć). Specjalistka obejrzała mój język, wbiła mi kilka igieł w ramię i zapytała o długość cyklu.

– To za długo – orzekła i wyjaśniła, że komórka jajowa nie powinna tyle czekać. Zapisała mi miksturę w płynie, która smakowała jak kora drzewa. Piłam ją sumiennie i nie zaszłam w ciążę.

Simon mówił, że wystarczy mu jedno dziecko, więc aby uszanować jego zdanie, rozważałam tę możliwość przez mniej więcej cztery sekundy. Popychał mnie jakiś prymitywny instynkt, który nie miał jednak nic wspólnego z Darwinem – bardziej z niedoborem węglowodanów. Chciałam dostać kolejną pizzę. Wróciłam do mojej lekarki i powiedziałam jej, że jestem gotowa podjąć większe ryzyko. Co jeszcze ma w zapasie?

Nie uważała, żeby konieczne było uciekanie się do zapłodnienia in vitro (we Francji państwowe ubezpieczenie zdrowotne pokrywa koszty do sześciu prób in vitro dla kobiet poniżej czterdziestego trzeciego roku życia). Zamiast tego nauczyła mnie, jak zrobić sobie w udo zastrzyk z preparatu wymuszającego owulację, tak aby jajo nie zdążyło obumrzeć. Żeby to zadziało, powinnam zrobić zastrzyk w czternastym dniu cyklu, a prymitywnym aspektem całego zabiegu było to, że zaraz potem należało uprawiać seks.

Okazało się, że w najbliższy czternasty dzień cyklu Simon będzie służbowo w Amsterdamie. Nie

było mowy o tym, żebym czekała kolejny miesiąc. Zamówiłam opiekunkę dla Bean i zaaranżowałam spotkanie z Simonem w Brukseli, mniej więcej w pół drogi między Paryżem a Amsterdamem. Planowaliśmy zjeść spokojnie obiad, a potem wrócić do hotelu – w najgorszym razie byłaby to przyjemna chwila wytchnienia. Następnego dnia rano Simon miał wrócić do Amsterdamu.

Czternastego dnia zerwała się potężna burza i doszło do awarii sieci kolejowej w zachodniej Holandii na niespotykaną wcześniej skalę. Kiedy około szóstej wysiadłam na dworcu w Brukseli, Simon zadzwonił, że jego pociąg został zatrzymany w Rotterdamie i nie wiadomo, czy uda mu się stamtąd wydostać. Niewykluczone, że nie zdoła dotrzeć do Brukseli. Zadzwoni później. Jak na komendę zaczęło padać.

Wiozłam lekarstwo w przenośnej lodówce z wkładem wystarczającym na kilka godzin. A co będzie, jeśli utknę w przegrzonym pociągu? Popędziłam do sklepu spożywczego przy dworcu, kupiłam paczkę mrożonego groszku i wepchnęłam do lodówki.

Simon zadzwonił po raz drugi, żeby powiedzieć, że ma pociąg z Rotterdamu do Antwerpii – czy możemy się tam spotkać? Na ogromnym ekranie nad głową zobaczyłam, że pociąg z Brukseli do Antwerpii odchodzi za kilka minut. W scenie przypominającej skrzyżowanie *Tożsamości Bourne’a* i *Seksu w wielkim mieście* złapałam zapakowane w groszek lekarstwo i pognałam na peron.

Kiedy w strugach deszczu miałam już wsiadać do pociągu, Simon znowu zadzwonił. „Nie jedź!” – wrzasnął. Był w pociągu do Brukseli.

Pojechałam taksówką do hotelu, przytulnego, ciepłego i z ogromną bożonarodzeniową choinką w hallu. Powinnam się cieszyć, że w ogóle dotarłam na miejsce, ale pierwszy pokój, do którego zaprowadził mnie boj hotelowy, nie miał w sobie tego czegoś, na czym mi zależało. Pokazano mi inny pokój, na najwyższym piętrze, pod skośnym dachem. Ten sprawiał wrażenie dobrego miejsca do prokreacji.

Czekając na przyjazd Simona, wykąpałam się, przebrałam w szlafrok, a potem spokojnie zrobiłam sobie zastrzyk. Doszłam do wniosku, że mam zadatki na niezłą narkomankę, ale miałam nadzieję, że będę jeszcze lepszą matką dwójki dzieci.

Kilka tygodni później byłam służbowo w Londynie. Kupiłam w aptece test ciążowy, a potem, żeby mieć pretekst do skorzystania z miniaturowej toalety w piwnicy sklepu spożywczego i użycia testu, kupiłam rogalik. (No dobrze, rogalik zjadłam). Ku mojemu zdumieniu wynik był pozytywny. Zadzwoniłam do Simona, ciągnąc walizkę na umówione spotkanie. Natychmiast zaczął wymyślać przezwiska dla dziecka. Biorąc pod uwagę miejsce, gdzie zostało poczęte – może „Brukselka”?

Miesiąc później Simon poszedł ze mną na badanie USG. Leżałam na stole i patrzyłam na ekran: dziecko wyglądało cudownie – puls, główka, nóżki. Wtedy zauważyłam ciemną plamę z boku.

– Co to jest? – zapytałam lekarkę, która przesunęła trochę głowicę urządzenia.

Nagle na ekranie pojawiło się drugie małe ciało, z własnym pulsem, główką i nóżkami.

– Bliźnięta – oznajmiła.

To był jeden z najwspanialszych momentów w moim życiu. Miałam wrażenie, że dostałam cudowny prezent od losu: podwójną pizzę. Poza tym uznałam, że to bardzo efektywny sposób rozmnażania dla kobiety dobiegającej czterdziestki.

Kiedy spojrzałam na Simona, uświadomiłam sobie, że najlepszy moment mojego życia mógł być najgorszym momentem jego życia. Wyglądał, jakby był w szoku, a ja wyjątkowo nie chciałam wiedzieć, o czym myśli. Byłam upojona wizją bliźniaków, ale jego przytłaczała waga tej chwili.

– Nigdy już nie będę mógł pójść do kawiarni – powiedział, przewidując od razu kres wolnego

czasu.

– Może pan kupić do domu ekspres do kawy – podsunęła lekarka.

Francuscy przyjaciele i sąsiedzi gratulowali nam dobrej nowiny, ale nie próbowali dociekać, dlaczego mam bliźnięta. Anglojęzyczne znajome były zwykle mniej dyskretne.

– Zaskoczyło cię to? – zapytała matka koleżanki Bean, kiedy oznajmiłam jej nowinę. Kiedy odparłam wymijająco „tak”, drażyła dalej. – A twoja lekarka była zaskoczona?

Byłam zbyt zajęta, by mi to przeszkadzało – razem z Simonem zdecydowaliśmy, że nie potrzebujemy ekspresu do kawy, tylko większego mieszkania (obecne miało tylko dwie małe sypialnie). To wydawało nam się jeszcze pilniejsze od chwili, gdy się dowiedzieliśmy, że nasze dzieci to chłopcy.

Przemierzyłam kilka tuzinów mieszkań – jedno były zbyt ciemne, inne zbyt drogie, a jeszcze inne miały długie, przerażające korytarze prowadzące do maleńkich kuchenek. (Najwyraźniej w XIX wieku wąchanie zapachów gotowanego przez służbę obiadu nie było w dobrym tonie). Agenci nieruchomości zawsze zapewniali, że oglądany apartament jest w „niezwykle spokojnej” okolicy. Najwyraźniej była to cecha ceniona zarówno w przypadku francuskich mieszkań, jak i francuskich dzieci.

Skoncentrowanie się na rynku nieruchomości pozwoliło mi nie zamartwiać się nadmiernie ciążą. Przesiąkłam też chyba francuskim przekonaniem, że nie muszę obserwować wykształcania się każdego łuku brwiowego (choć było ich całe mnóstwo!) dzieci. Przez krótki czas cierpiałam na lęki związane z ciążą bliźniaczą, na przykład dotyczące przedwczesnego porodu, ale większość niepokoju zdejmował ze mnie system opieki zdrowotnej. Ciąża mnoga uprawniała mnie do dodatkowych wizyt kontrolnych i badań USG. Przy każdym badaniu przystojny radiolog pokazywał na ekranie „Dziecko A” i „Dziecko B”, a potem powtarzał ten sam kiepski dowcip – że będę mogła wybrać inne imiona. Posyłałam mu najlepsze z moich mikrouśmiechów.

Tym razem niepokoił się głównie Simon – o siebie, nie o dzieci. Każdy półmisek sera traktował tak, jakby był jego ostatnim. Ja pławiłam się w okazywanym mi zainteresowaniu, bo pomimo dostępności *in vitro*, bliźnięta w Paryżu nadal były sensacją. (Powiedziano mi, że lekarze często wszczepiają tylko jeden lub dwa zarodki). Po kilku tygodniach ciąża zaczęła być widoczna, a po sześciu miesiącach wyglądałam, jakbym zaraz miała rodzić. Część dawnych ubrań ciążowych była na mnie za mała i niebawem nawet najmłodsze dzieci zauważały, że w środku musi być więcej niż jedno dziecko.

Przestudiowałam także kwestie nazewnictwa. We Francji bliźniąt nie nazywa się jedno- lub dwujajowymi, ale *vrais* lub *faux* – prawdziwymi lub fałszywymi. Przywykłam do mówienia ludziom, że spodziewam się fałszywych bliźniąt płci męskiej.

Nie musiałam się martwić o to, że moi fałszywi chłopcy przyjdą na świat za wcześnie. W dziewiątym miesiącu ciąży miałam w środku dwójkę w pełni rozwiniętych dzieci, z których każde ważyło tyle, co w swoim czasie Bean. Ludzie przy kawiarnianych stolikach pokazywali mnie palcami, a ja nie mogłam wchodzić po schodach.

– Jeśli chcesz nowe mieszkanie, znajdź je sobie – powiedziałam Simonowi. Znalazł je w niecały tydzień, obejrzawszy dokładnie jedną propozycję. Mieszkanie było stare nawet jak na standardy Paryża. Nie miało korytarza i wymagało mnóstwa pracy. Przed domem był potrójnej szerokości chodnik. Kupiliśmy je, a w przeddzień porodu spotkałam się z architektem, żeby omówić renowację.

Prywatna klinika, w której przyszła na świat Bean, była mała i nieskazitelnie czysta, pielęgniarki dyżurowały całą dobę, zapas czystych ręczników nigdy się nie kończył, a w menu były steki oraz

foie gras. Rzadko kiedy musiałam zmieniać pieluszki.

Ostrzegano mnie, że oddział położniczy w państwowym szpitalu, gdzie planowałam urodzić bliźnięta, będzie oferował mniej luksusowe warunki. Poziom opieki medycznej we francuskich szpitalach publicznych jest bardzo wysoki, ale warunki panują w nich raczej spartańskie. Na liście rzeczy, które należy ze sobą przynieść na oddział, znajdują się nawet pieluchy. Nie ma indywidualnych planów porodu, wani i znieczulenia na żądanie. Dzieci nie dostają eleganckich kapturków. Ten skuteczny, ale bezosobowy system był zazwyczaj nazywany „taśmą produkcyjną”.

Wybrałam Hôpital Armand-Trousseau, ponieważ znajdował się dziesięć minut taksówką od naszego domu i miał wyposażenie pozwalające na podjęcie działań w przypadku problemów z bliźniętami. (Później dowiedziałam się, że w przylegającym do niego szpitalu dziecięcym cotygodniowe dyżury miała Françoise Dolto). Tak czy inaczej nie chciałam rodzić w wannie i doszłam do wniosku, że w razie potrzeby po prostu użyję nowojorskiej bezczelności, by dostosować otoczenie do moich potrzeb. Powiedziałam Simonowi, że i tak wybraliśmy opcję ekonomiczną – dostaniemy dwoje dzieci w cenie jednego.

Kiedy zaczął się poród, znieczulenie zewnątrzoponowe nie było kwestią wyboru, a lekarzabrał mnie na sterylną salę operacyjną, żeby w razie potrzeby od razu przeprowadzić cesarskie cięcie. Leżałam płasko na plecach, z nogami uwięzionymi w uprząży retro z lat pięćdziesiątych, otoczona przez obcych ludzi w czepkach i масечkach chirurgicznych. Kilka razy poprosiłam o podłożenie mi pod plecy poduszki, żebym mogła widzieć, co się dzieje. Nikt nawet nie odpowiedział, a w końcu, w drodze niewielkiego ustępstwa, wepchnięto pode mnie złożone prześcieradło, przez które było mi tylko niewygodnie.

Gdy poród zaczął się na dobre, moja znajomość francuskiego zniknęła. Nie rozumiałam, co mówi lekarz, i odpowiadałam tylko po angielsku. Coś takiego musiało się już zdarzyć wcześniej, ponieważ położna natychmiast zaczęła tłumaczyć słowa moje i lekarza. Może streszczała jego polecenia, a może jej angielski nie był najlepszy, ale mówiła głównie „proszę przeć” albo „proszę nie przeć”.

Kiedy wyłoniło się pierwsze dziecko, położna podała mi je, a ja byłam oczarowana. Oto w końcu Dziecko A! Właśnie się zapoznawaliśmy, kiedy położna postukała mnie w ramię.

– Przepraszam, ale musi pani urodzić drugie dziecko – oznajmiła i zabrała Dziecko A w nieznane miejsce. Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że opieka nad bliźniętami będzie skomplikowana.

Dziewięć minut później na świat przyszło Dziecko B. Przywitałam się z nim szybko, a potem ono także zostało zabrane. Niebawem niemal wszyscy zniknęli – Simon, dzieci i większość ogromnego zespołu medycznego. Ja nadal leżałam na plecach, sparaliżowana od pasa w dół, a nogi wciąż miałam spięte w uprząży i rozłożone. Na stole ze stali nierdzewnej leżały przede mną dwa łożyska, każde wielkości ludzkiej głowy. Ktoś postanowił odsunąć zasłaniające mnie parawany, każdy przechodzący obok mógł więc dokładnie obejrzeć moje krocze.

Została ze mną tylko pielęgniarka anestezjologiczna, która także nie była zachwycona z tego powodu. Postanowiła ukryć irytację, zaczynając ze mną niezobowiązującą pogawędkę: Skąd przyjechałam? Czy podoba mi się Paryż?

– Gdzie moje dzieci? Kiedy będę je mogła zobaczyć? – zapytałam. (Mój francuski powrócił).

Nie wiedziała i nie wolno jej było mnie zostawić, żeby sprawdzić.

Minęło dwadzieścia minut. Nikt do nas nie zajrzał, ale być może z powodu hormonów w ogóle się tym nie przejmowałam. Byłam tylko wdzięczna, kiedy pielęgniarka przyczepiła w końcu za pomocą taśmy chirurgicznej mały kawałek materiału między moimi kolanami. Później straciła ochotę do rozmowy.

– Nienawidzę tej pracy – oznajmiła.

W końcu ktoś odwiózł mnie na salę pooperacyjną, gdzie czekał Simon z dziećmi. Zrobiliśmy zdjęcia i po raz pierwszy i ostatni spróbowałam nakarmić obu chłopców jednocześnie.

Sanitariusz zawiózł nas do pokoju, gdzie miałam zostać z chłopcami przez kilka dni. Nie przypominało to eleganckiego hotelu, raczej podrzędny motel. Pomocy udzielały nieliczne pielęgniarki, a sala, w której można było zostawić dzieci, była otwarta od pierwszej do czwartej w nocy. Ponieważ miałam już jedno dziecko, uznano, że raczej nie zrobię niczego okropnego i personel zostawił mnie praktycznie samą sobie. W porze posiłków ktoś przynosił plastikową tacę z parodią szpitalnego jedzenia: wiotkie frytki, kawałki kurczaka i mleko czekoladowe. Po kilku dniach zauważyłam, że żadna z matek tego nie je – na korytarzu stała wspólna lodówka, w której trzymały produkty spożywcze.

Simon był w domu, opiekując się Bean, więc większość czasu spędzałam sam na sam z chłopcami, którzy całymi godzinami płakali. Zazwyczaj starałam się zaklinować jednego między nogami, naśladując tym uścisk, i jednocześnie próbowałam nakarmić drugiego. Ciągły hałas i ruch sprawiały, że miałam wrażenie, jakby było ich więcej niż dwóch. Kiedy w końcu, po godzinach płaczu i ssania, udało mi się ich obu uspić, pojawił się Simon.

– Ależ tu spokojnie – powiedział, a ja próbowałam nie myśleć o tym, że mój brzuch przypomina ogromny kopiec cielistej galarety.

Musieliśmy szybko wymyślić imiona dla chłopców – Paryż daje na to trzy dni; po upływie tego czasu do szpitalnego pokoju wpada rozzłoszczony urzędnik z notesem. Simon prosił tylko, żeby wziąć pod uwagę imię „Nelson”, na cześć podziwianego przez niego Nelsona Mandeli, przede wszystkim jednak zastanawiał się nad najlepszymi przezwiskami. Chciał nazywać jednego z chłopców Gonzo, a drugiego Prezesem. Ja miałam słabość do zbitek samogłosek i rozważałam nazwanie obu Raoul.

Ostatecznie zdecydowaliśmy się na imiona Joel (którego zawsze nazywaliśmy Joey) oraz Leo (do którego nie pasowało żadne przezwisko). Są najbardziej dwujajowymi bliźniętami, jakie w życiu widziałam: Joey wygląda jak ja, tylko z platynowymi włosami, a Leo jest śniadym południowcem. Gdyby nie byli tego samego wzrostu i nie spędzali całego czasu razem, trudno byłoby zgadnąć, że są spokrewnieni. Później zauważyłam, jak można rozpoznać osoby niezainteresowane dziećmi – pytały, czy chłopcy są bliźniętami jednojajowymi.

Po czterech długich dniach pozwolono nam wyjść ze szpitala, ale opieka nad chłopcami w domu okazała się niewiele łatwiejsza. Wieczorem płakali godzinami, a w nocy budzili się co chwilę. Simon i ja codziennie przed pójściem spać wybieraliśmy po jednym, za którego byliśmy odpowiedzialni do rana. Oboje próbowaliśmy wybrać „lepsze” dziecko, ale to stale się zmieniało. Tak czy inaczej nie przeprowadziliśmy się jeszcze do większego mieszkania, więc spaliśmy z nimi w jednym pokoju – kiedy jedno niemowlę się budziło, budzili się wszyscy.

Cały czas miałam wrażenie, że jest ich więcej niż dwóch. Nigdy nie planowałam ubierać bliźniaków jednakowo, ale nagle nabrałam na to nieodpartej ochoty – w ten sposób chociaż wizualnie wprowadziłabym w nasze życie odrobinę porządku. Na tej samej zasadzie nastolatki w szkołach dla trudnej młodzieży ubiera się w mundurki.

O dziwo, mimo wszystko znajdowałam czas na ataki neurozy. Obsesyjnie obawiałam się, że daliśmy chłopcom imiona na odwrót i powinnam iść do ratusza, żeby je zamienić. Rozstrząsałam to w nielicznych wolnych chwilach, jakie miałam.

Wtedy pojawił się problem z obrzezaniem – we Francji robili to tylko muzułmanie i Żydzi. Ponieważ był sierpień, nawet paryscy mohele, zajmujący się rytualnym obrzezaniem, wyjechali na

wakacje. Czekaliśmy, aż wróci ten, którego nam polecono (zaufanie wzbudzało to, że był także pediatrą).

W odróżnieniu od porodu obrzezania nie dało się załatwić w systemie „dwa w cenie jednego” – nie dostaliśmy nawet zniżki za hurt. Przed skromną uroczystością przyznałam się mohelowi do moich obaw, że dałam chłopcom złe imiona i powinnam je zamienić. Nie udzielił mi duchowego wsparcia, ale jako Francuz wymienił niezbędne procedury biurokratyczne, przypominające krętą drogą przez mękę. Z jakiegoś powodu ta informacja w połączeniu z uroczystością obrzezania rozwiały moje wątpliwości. Po ceremonii nigdy więcej nie rozważałam zamiany imion.

Na szczęście z Miami przyleciała moja matka. Ona, Simon i ja spędzaliśmy większość czasu w salonie, piastując chłopców. Pewnego dnia do drzwi zadzwoniła kobieta, która przedstawiła się jako psycholog z lokalnej filii PMI. Przeprowadzała wizyty domowe u wszystkich matek bliźniąt, co wydało mi się taktownym sposobem sprawdzenia, czy nie dostałam załamania nerwowego. Kilka dni później położna z tej samej filii PMI wpadła i obserwowała, jak zmieniam Joeyowi pieluchę. Orzekła, że jego kupa jest „doskonała”. Uznałam to za oficjalne stanowisko rządu francuskiego.

Udało nam się wykorzystać część zgromadzonej dotychczas wiedzy na temat francuskiego systemu wychowywania dzieci. Powoli przedstawialiśmy chłopców na narodowy harmonogram żywienia, z czterema posiłkami dziennie. Odkąd skończyli kilka miesięcy, nigdy nie podjadali między posiłkami.

Niestety nie zdołaliśmy wypróbować na nich „pauzy”. To, że byli bliźniętami, nie mieli własnego pokoju, a za ścianą mieszkało starsze dziecko, nie ułatwiało eksperymentowania.

Dlatego znowu cierpieliśmy – po niemal bezsensownym miesiącu Simon i ja przypominaliśmy zombi. Ponownie wezwaliśmy na pomoc filipińską nianię oraz jej sieć kuzynek i przyjaciółek. W końcu przychodziły do nas cztery kobiety, spędzając na zmianę w naszym mieszkaniu praktycznie całą dobę. Pieniądze szły jak woda, ale przynajmniej mogliśmy chwilę pospać. Zaczęłam postrzegać matki wieloraczków jako prześladowaną mniejszość.

Żaden z chłopców nie chciał ssać piersi, często więc siedziałam w sypialni na górze, przypięta do elektrycznej pompy odciągającej pokarm. Bean z czasem zorientowała się, że może wtedy spędzić ze mną kilka chwil sam na sam. Nauczyła się rozkręcać butelki i pojemniki, jakby składała karabin, i potrafiła doskonale naśladować dźwięki wydawane przez pompę.

Przez większość czasu czułam się jak oszołomione zwierzątko. Schodziłam na dół, żeby dostarczyć butelki z mlekiem, albo wysyłałam z nimi Bean i szłam spać. Wokół kręciło się tyle opiekunek do dzieci, że czułam się bardziej jak statystka niż pierwszoplanowa aktorka. Byłam przekonana, że chłopcy wśród tych wszystkich kobiet nie rozpoznają mnie jako matki. Musiałam wyglądać na nieprzytomną, ponieważ w pewnym momencie przyjaciółka złapała mnie za ramiona, spojrzała mi w oczy i zapytała, czy wszystko w porządku. Nie przyszło jej to łatwo, bo była znacznie niższa ode mnie.

– W porządku, tylko pieniądze mi się kończą – powiedziałam.

Tak często śpiewałam chłopcom *Cichą noc* (bardziej jako polecenie niż jako kołysankę), że jedna z opiekunek zapytała, czy przeszłam na katolicyzm.

Tymczasem trwał remont nowego mieszkania, do którego wpadałam na inspekcję między sesjami odciągania pokarmu. Spotkałam się z przewodniczącym wspólnoty mieszkaniowej, ekonomistą po sześćdziesiątce, żeby zapytać, czy będziemy mogli zostawiać podwójny wózek w holu na dole. Nie odpowiedział bezpośrednio.

– Poprzedni właściciele byli wspianymi sąsiadami – rzucił.

– W jakim sensie? – zapytałam.

– Byli niezwykle dyskretni – wyjaśnił.

W samym mieszkaniu panował potężny bałagan – plan remontu zaakceptowałam, kiedy chłopcy mieli pełnowymiarowy atak kolki. Nagle się okazało, że kompletnie nie umiałam go zinterpretować. Dwustuletnie drzwi i ściany, które mi odpowiadały, zostały zburzone, a ich miejsce zajęły nowe, cienkie. Dopiero po remoncie i przeprowadzce uświadomiłam sobie, że zamieniłam dziewiętnastowieczne paryskie mieszkanie w coś przypominającego snobistyczny apartament w Miami, tyle że z myszami. Nie doceniałam urody Paryża – ciężkich drzwi i ozdobnych stiuków – dopóki za koszarne pieniądze nie zniszczyłam jej części.

Spędzałam mnóstwo czasu, rozmyślając nad tym.

– Pamiętasz, jak Edith Piaf śpiewała *Je ne regrette rien*? („Niczego nie żałuję”) – zapytałam Simona. – No więc w moim przypadku to powinno brzmieć *Je regrette tout* („Żałuję wszystkiego”).

Od czasu do czasu nasze życie przestawało być kosztowne i wyczerpujące, a stawało się zaledwie surrealistyczne. Kiedy chłopcy byli odrobinę starsi, moja przyjaciółka wpadła do nas pewnego wieczora tuż przed tym, jak kładli się spać. Patrzyła, jak chłopcy – ubrani w piżamy – bez słowa podciągają się w górę i w dół na meblach, co wyglądało jak dadaistyczny taniec. Potem również w milczeniu maszerowali po pokoju, dzierżąc szczoteczki do zębów niczym talizmany. Simon obserwował ich i udawał narratora filmu dokumentalnego: „W kulturze tych chłopców szczoteczki są niezwykle ważnymi symbolami statusu”.

Przeważnie jednak nasze nowe życie wypełniały gwałtowne emocje. Simon złościł się ze zmęczenia i rozpacz, rzucając w moją stronę złośliwe docinki. „Może za jakieś osiemnaście lat uda mi się wypić filiżankę kawy” – mówił. Opisywał przerażenie, które go ogarnia, gdy zbliża się do mieszkania i słyszy zza drzwi płacz dzieci. Trójka dzieci poniżej trzech lat to było bardzo dużo, nawet w porównaniu z naszymi bardzo płodnymi znajomymi.

Wśród całego tego płaczu i narzekania zdarzały się jednak jaśniejsze momenty. Mnie bardzo podniosło na duchu, gdy pewnego popołudnia Leo był pogodny i spokojny przez całe pięć minut. Z kolei Simon tańczył po domu, śpiewając piosenkę Franka Zappy *Titties and Beer*, kiedy Leo po raz pierwszy przespał nieprzerwanie siedem godzin w nocy.

Mimo wszystko cały czas czułam to samo, co zaraz po urodzeniu chłopców – że moja uwaga jest rozpaczliwie podzielona. Zapytałam Hélène, która także miała trójkę dzieci, w tym bliźnięta, czy planuje kolejne potomstwo. „Raczej nie, wydaje mi się, że bym sobie nie poradziła” – odparła. Doskonale ją rozumiałam, chociaż sama już teraz miałam poczucie, że sobie nie radzę. Nawet moja matka, która od lat błagała mnie o wnuki, poprosiła, żebym nie miała więcej dzieci.

Aby przypieczętować mój status, Bean pewnego dnia przyszła z przedszkola i oznajmiła, że jestem *maman crotte de nez*. Natychmiast wpisałam to w Tłumacza Google i okazało się, że nazwała mnie „mama glut”. Biorąc pod uwagę okoliczności, uznałam ten opis za trafiony.



Uwielbiam tę bagietkę

Znajomi powiedzieli mi, że wśród rodziców bliźniąt odsetek rozwodów jest dwukrotnie wyższy. Nie byłam pewna, czy ta pogłoska została oparta na danych statystycznych, ale z pewnością rozumiałam jej źródło.

Przez kilka miesięcy po przyjściu na świat bliźniąt kłóciliśmy się z Simonem nieustannie. Podczas jednej z awantur oznajmił mi, że jestem „repulsywna”. Musiałam sprawdzić, co oznacza to słowo – słownik wyjaśnił, że „repulsywny” to „budzący wstręt lub silną niechęć”. Wróciłam do Simona.

– Budząca wstręt? – zapytałam.

Nawet obecnie był to cios poniżej pasa.

– No dobrze, budzisz tylko silną niechęć – odparł.

Aby pamiętać o zachowaniu spokoju, poprzyklejałam w całym mieszkaniu karteczki z napisem „Nie złość się na Simona”. Jedna z nich wisiała na lustrze w łazience, na widoku wszystkich opiekunek do dzieci. Simon i ja byliśmy zbyt zmęczeni, żeby się zorientować, że kłócimy się, ponieważ jesteśmy zmęczeni. Nie obchodziło mnie już, o czym on myśli, chociaż zapewne nadal myślał o futbolu holenderskim.

W rzadkich chwilach wytchnienia Simon lubił zagrzebywać się w łóżku z gazetą, a jeśli ośmieliłam się mu przeszkodzić, oznajmiał:

– Nic, co możesz mi powiedzieć, nie będzie ciekawsze od tego artykułu z „The New Yorkera”.

Pewnego dnia doznałam olśnienia.

– Myślę, że doskonale się uzupełniamy – powiedziałam mu. – Ty jesteś nerwowy, a ja działam na nerwy.

Niewątpliwie roztaczaliśmy wokół siebie przerażającą aurę. Bezdietna para znajomych z Chicago przyjechała z wizytą i po czterech dniach oznajmiła, że jednak nie zamierzają mieć dzieci. Po pewnym weekendzie spędzonym *en famille* Bean także uznała, że nie chce mieć dzieci.

– Dzieci są za trudne – powiedziała.

Pozytywnym sygnałem dla naszego związku było to, że dostaliśmy miejsca w *crèche* dla obu chłopców (nawet moja matka przyjęła tę wiadomość z ulgą). Bliźnięta trafiały się we Francji na tyle rzadko, że nasza aplikacja została potraktowana priorytetowo. Komisja przydzielająca miejsca zlitowała się nad nami do tego stopnia, że wybrała dla chłopców mały żłobek, oddalony tylko o dwie przecznice od naszego nowego mieszkania. Jak mi powiedziano, w żłobku nie było już wolnych miejsc, ale dla Joeya i Leo zrobiono wyjątek.

Crèche była pewną nadzieją na przyszłość, ale mimo wszystko musieliśmy przetrwać jako rodzina i – co zapewne było jeszcze trudniejsze – jako para przez kolejne kilka miesięcy, zanim chłopcy pójdą do żłobka. (Postanowiliśmy poczekać, aż chłopcy skończą rok).

Nie zawsze było oczywiste, że Simonowi i mnie uda się wytrzymać tak długo. To najwyraźniej

nie był przypadek, że od kiedy *concerted cultivation* stała się de facto obowiązującym stylem wychowywania dzieci w amerykańskiej klasie średniej, badania wykazały, że poziom zadowolenia z życia małżeńskiego spadł^[4], a matkom większą przyjemność sprawia zajmowanie się pracami domowymi niż opiekowanie się dziećmi^[2]. Amerykańscy socjologowie przyjmują w zasadzie za pewnik, że obecnie rodzice są mniej szczęśliwi niż osoby bezdzietne. Badania wykazały, że rodzice częściej cierpią na depresję i stają się coraz bardziej nieszczęśliwi wraz z każdym kolejnym dzieckiem, które przychodzi na świat^[3]. (W przypadku Simona wystarczyło, że zobaczył te kolejne dzieci na ekranie ultrasonografu).

Może potrzebowaliśmy tylko małżeńskiej randki? Podczas gdy ja mieszkałam we Francji, małżeńskie randki, czyli *date nights*, stały się nową penicyliną dla amerykańskich par z dziećmi. Nie cierpisz swojego męża? Idźcie na randkę małżeńską! Masz ochotę zadusić dzieci? Wybierzcie się na obiad! Nawet Obamowie chodzili na małżeńskie randki, a socjologowie badali to zjawisko. W artykule naukowym o Kanadyjczykach z klasy średniej^[4] podkreślano, że jeśli para spędza razem czas, odpoczywając, „niezwykle umacnia to jej związek, pozwala odbudować siły i znaleźć nowe inspiracje rodzicielskie”. Niemniej badane małżeństwa rzadko znajdowały na to czas. „Wielu [uczestników badania] odczuwa presję ze strony otoczenia, by zawsze stawiać potrzeby dzieci ponad potrzebami partnera” – podsumowują autorzy. Jeden z mężów przyznał, że kiedy rozmawia z żoną, dzieci „przerywają dosłownie co minutę”.

Jest to oczywiście kolejna konsekwencja *concerted cultivation*, która pochłania cały czas wolny i na pierwszym miejscu listy rodzinnych priorytetów stawia stymulowanie rozwoju dziecka. Widziałam to na własne oczy, kiedy odwiedzałam Stany Zjednoczone albo Wielką Brytanię. Moja amerykańska kuzynka – pielęgniarka z czwórką dzieci – miała mieszkających w pobliżu krewnych, którzy byli gotowi zaopiekować się dziećmi. Tyle że po tygodniu wozenia całego towarzystwa do szkoły, na gimnastykę, na zawody sportowe i do kościoła, ona i jej mąż (policjant) nawet nie brali pod uwagę wspólnego wyjścia. Byli na to zbyt zmęczeni. Nauczycielka z Manchesteru powiedziała mi, że zabrała malutkiego synka na miesiąc miodowy, chociaż jej matka chciała się nim zająć. „Czułabym się po prostu okropnie, gdybym go zostawiła” – wyjaśniła.

Każda anglojęzyczna matka podawała mi ku przestrodze przykład jakiejś znajomej, która nie zgadza się zostawiać dziecka pod opieką innej osoby. Takie mamy nie były tylko miejską legendą, często sama je spotykałam. Na ślubie znajomych siedziałam obok niepracującej matki z Kolorado, która powiedziała, że do jej dzieci przychodzi opiekunka, ale i tak nigdy nie zostawia jej samej z trójką dzieci. (Jej mąż nie mógł przyjechać na ślub, ponieważ musiał się nimi zajmować).

Artystka z Michigan przyznała, że nie umiała się zmusić do zatrudnienia opiekunki przez cały pierwszy rok życia swojego synka. „Wydawał się taki malutki, był moim pierwszym dzieckiem. Naprawdę jestem okropnie neurotyczna. Sama myśl o tym, że zajmie się nim ktoś inny...”

Niektórzy poznani przeze mnie amerykańscy rodzice stosowali tak skomplikowaną dietę i techniki wychowawcze, że innym osobom – nawet dziadkom – trudno byłoby to zapamiętać. Pewien starszy pan z Wirginii zdradził, że córka rozżłościła się na niego, ponieważ w niewłaściwy sposób wjechał dziecięcym wózkiem na krawężnik – wyczytała gdzieś, że wprowadzanie wózka na krawężnik tyłem zmniejsza ryzyko uszkodzenia mózgu dziecka.

Ja i Simon nie mieliśmy oczywiście żadnych oporów w stosunku do opiekunek – aktualnie zatrudnialiśmy połowę populacji Filipin. Od przyjścia na świat chłopców nie wyszłam jednak z domu na dłużej niż kilka godzin. Zazwyczaj robiłam to samo, co tamta matka z Kolorado – wykorzystywałam opiekunkę jako asystentkę do zmiany pieluch i nastawiania prania, ale sama się nie oddalałam.

Ten system cechował się jednoczesnym uszczuplaniem naszych zasobów finansowych

i rujnowaniem naszego związku. Przez większość czasu czułam się repulsywna. Uświadomiłam sobie, że niedługo oszaleję, kiedy na jakiś kwadrans przed zapowiedzianym przyjściem jednej z opiekunek dostałam SMS. Wpadłam w panikę na myśl o tym, że może się ona spóźnić. Okazało się, że jeden z serwisów z wiadomościami informował o tragicznym w skutkach trzęsieniu ziemi w Ameryce Południowej. Odetchnęłam z ogromną ulgą.

Rzecz jasna, łatwiej jest układać relacje z drugą połową, kiedy dzieci w wieku trzech miesięcy śpią w nocy, gdy są starsze same się bawią i nie trzeba bezustannie wozić ich z jednych zajęć dodatkowych na kolejne. Nie bez znaczenia jest to, że małżeństwa francuskie nie muszą się martwić związanymi z dziećmi obciążeniami finansowymi, takimi jak wysokie koszty opieki zdrowotnej oraz edukacji od przedszkola po college.

Na krótszą metę ważne jest przede wszystkim to, że francuskie pary, nawet te z małymi dziećmi, inaczej postrzegają romans. Zauważyłam to po raz pierwszy, kiedy ginekolożka przepisała mi dziesięć zabiegów *rééducation périnéale* (rehabilitacji krocza). Zrobiła to po raz pierwszy po urodzeniu się Bean, a po raz drugi po przyjściu na świat chłopców.

Przed pierwszym zabiegiem ledwie zdawałam sobie sprawę z tego, czym dokładnie jest krocze. Okazało się, że ten termin oznacza przypominającą hamak tkankę pokrywającą miednicę od spodu. Tkanka ta często rozciąga się podczas ciąży i porodu, co powoduje rozluźnienie kanału rodnego i sprawia, że kobietom zdarza się popuszczać mocz, kiedy kaszlą lub kichają.

W Stanach Zjednoczonych lekarze czasem proponowali kobietom, żeby poprawiły stan krocza, ćwicząc mięśnie Kegla. Ale często nie zalecali niczego – sflaczałość i skłonność do przecieków stanowiły po prostu rzadko wspominany element bycia amerykańską mamą.

We Francji tego typu problemy są *pas acceptable*. Przyjaciółki opowiadały mi, że ich lekarz położnik oceniał, czy potrzebne są zabiegi rehabilitacji krocza, pytając: „Czy *monsieur* jest zadowolony?”.

Pomyślałam, że w moim przypadku *monsieur* byłby szczęśliwy, gdyby miał tam w ogóle dostęp. Jakiś rok po urodzeniu chłopców ten obszar nie leżał może całkowicie odłogiem, ale z całą pewnością nie był intensywnie użytkowany. Przez pewien czas, kiedy tylko Simon zbliżał się do moich piersi, te reagowały jak system przeciwpożarowy i zaczynały strzykać mlekiem, a poza tym sen miał dla nas zdecydowanie priorytet. Nawet jeśli cała trójka dzieci nie budziła się już w nocy, praktycznie nigdy nie udawało mi się spać dłużej niż sześć–siedem godzin.

Rehabilitacja krocza zaintrygowała mnie na tyle, że postanowiłam jej spróbować. Zabieg przeprowadzała szczupła Hiszpanka, Mónica, której gabinet mieścił się w dzielnicy Le Marais. Pierwsza sesja zaczęła się od czterdziestopięciominutowego wywiadu, podczas którego zadała mi tuziny pytań o moje zwyczaje łazienkowe i życie erotyczne.

Potem rozebrałam się od pasa w dół i położyłam na wyściełanej leżance przykrytej szeleszczącym papierem. Mónica założyła rękawiczki chirurgiczne i pokierowała mnie przez coś, co można by opisać jako wspomagane skurcze krocza, w seriach po piętnaście („I w górę, i rozluźnić”). Przypominało to trochę pilates dla rejonów poniżej pasa.

Następnie Mónica pokazała mi cienką białą różdżkę, której zamierzała użyć przy kolejnym ćwiczeniu; przypominała ona urządzenia sprzedawane w sklepach tylko dla dorosłych. Różdżka ta miała dodać do moich ćwiczeń elektrostymulację. Na dziesiątej sesji mogliśmy przejść do gry komputerowej, w której czujnik umieszczony w moim kroczu sprawdzał, czy kurczę mięśnie dostatecznie mocno, żeby pozostać nad przesuwającą się na monitorze pomarańczową linią.

Rehabilitacja krocza była jednocześnie niezwykle intymna i zaskakująco kliniczna. Podczas tych

ćwiczeń Mónica i ja zwracałyśmy się do siebie, używając formalnego *vous*, ale prosiła mnie, żebym zamknęła oczy i spróbowała lepiej wyczuć mięśnie, których w danym momencie dotykała.

Lekarka skierowała mnie także na rehabilitację mięśni brzucha. Zauważyła, że ponad rok po urodzeniu bliźniąt nadal mam wokół talii oponkę składającą się po części z tłuszczu, po części z rozciągniętej skóry, a po części z nieznanej substancji. Szczerze mówiąc, sama nie byłam pewna, co się tam znajdowało, ale uznałam, że czas podjąć jakieś działania, kiedy w paryskim metrze zniedołężniała staruszka ustąpiła mi miejsca. Myślała, że jestem w ciąży.

Nie wszystkie Francuzki poddają się rehabilitacji po porodzie, ale bardzo wiele z nich to robi. Ubezpieczenie zdrowotne pokrywa większość kosztów tego leczenia, w tym koszt białej różdżki. Rząd dofinansowuje nawet abdominoplastykę, gdy brzuch matki zwisa poniżej kości łonowej albo przeszkadza jej w pożyciu intymnym.

Oczywiście cała ta rehabilitacja pomaga tylko w chwili startu w dalsze życie. Co robią Francuzki, kiedy ich brzuchy i krocza wracają do formy?

Część z nich koncentruje się na dzieciach, ale odwrotnie niż w Stanach Zjednoczonych lub Wielkiej Brytanii tutejsza kultura ani do tego nie zachęca, ani takich matek nie gloryfikuje. Poświęcenie życia erotycznego ze względu na dzieci uchodzi za skrajnie niezdrowe przesunięcie priorytetów życiowych. Francuzi wiedzą, że powiększenie rodziny zmienia wszystko, szczególnie na początku. Pary zazwyczaj zakładają, że po przyjściu na świat dziecka nastąpi bardzo intensywny okres, kiedy wszystkie działania będą podporządkowane maluchowi. Potem jednak matka i ojciec muszą stopniowo odnaleźć swoje miejsce jako para.

„We Francji obowiązuje podstawowe założenie, że każdy człowiek ma swoje pragnienia, które nigdy nie znikają na bardzo długo. Gdyby zniknęły, to by oznaczało, że cierpisz na depresję i potrzebujesz pomocy lekarskiej” – pisała Marie-Anne Suizzo, socjolożka z Uniwersytetu Teksańskiego, porównująca matki francuskie z amerykańskimi.

Znane mi matki francuskie zupełnie inaczej niż rodzice amerykańscy mówiły o *le couple*. „Dla mnie bycie w związku jest ważniejsze od dzieci” – powiedziała Virginie, niepracująca mama, która nauczyła mnie „bardzo uważać” na to, co jem.

Virginie była kobietą z zasadami, inteligentną i oddaną matką, a także jedyną znaną mi praktykującą katoliczką wśród młodego pokolenia paryżanek. Nie miała jednak zamiaru zaniedbywać swojego życia uczuciowego tylko dlatego, że dorobiła się trójki dzieci.

– Związek jest najważniejszy. To jedyna rzecz, jaką w życiu wybierasz. Nie wybierasz sobie dzieci, wybierasz męża. Dlatego powinnaś sobie z nim ułożyć życie i powinno ci zależeć na tym, żeby wszystko poszło dobrze. Chcesz dobrze z nim żyć, szczególnie wtedy, kiedy dzieci opuszczają dom. Dla mnie to *prioritaire*.

Nie wszyscy francuscy rodzice zgodziliby się z hierarchią ważności Virginie, ale ogólnie rzecz biorąc, w ich przypadku pytanie nie brzmi, czy w ogóle uda się im odzyskać życie uczuciowe, ale kiedy to nastąpi. „Żadna ideologia nie może narzucać chwili, w której rodzice są naprawdę gotowi, by na nowo się odnaleźć” – pisał francuski psychosocjolog Jean Epstein. „Kiedy warunki na to pozwolą i kiedy będą się czuli gotowi, rodzice umieszczają dziecko na właściwym miejscu, na zewnątrz swojej relacji”.

Amerykańscy eksperci wspominali czasem, że rodzice powinni znajdować czas dla siebie. W książce doktora Spocka *Dziecko. Pielęgnacja i wychowanie* (którą Dietlind podarowała mi przed wyjazdem z Paryża) są dwa akapity zatytułowane *Niepotrzebne samopoświęcenie i nadmierne zaangażowanie*. Można tam przeczytać, że współcześni młodzi rodzice mają skłonność do „rezygnowania z całej wolności i wszystkich wcześniejszych przyjemności nie z powodów

praktycznych, ale dla zasady”. Nawet jeśli czasem wymykają się gdzieś sami, „poczucie winy nie pozwala im się z tego cieszyć”. Poradnik zalecał, aby rodzice znajdowali chwilę dla siebie, ale dopiero kiedy „poświęcą cały niezbędny czas i uwagę swoim dzieciom”.

Francuscy eksperci nie postrzegają czasu dla siebie jako opcjonalnego dodatku. Prawdopodobnie wynika to z optymistycznego i pozytywnego spojrzenia na to, w jakim stopniu dziecko komplikuje małżeństwo. „Nie bez powodu wiele par rozstaje się w pierwszych latach lub pierwszych miesiącach po przyjściu na świat dziecka. Wszystko się zmienia” – wyjaśniano w jednym z artykułów.

We francuskich poradnikach kwestia *le couple* jest traktowana jako centralny i kluczowy temat. Francuskie portale dla rodziców poświęcają czasem tyle samo artykułów *le couple*, ile przebiegowi ciąży. „Dziecko nie może wypełniać całego wszechświata rodziców (...) dla dobra rodziny oni także potrzebują przestrzeni dla siebie” – napisała Hélène de Leersnyder, lekarka pediatra. „Dziecko bez problemu i bardzo wcześnie zaczyna rozumieć, że rodzice potrzebują czasu, którego nie spędzają na zajmowaniu się pracą, domem, zakupami i potomstwem”.

Kiedy francuscy rodzice zakończą początkowy okres izolacji, traktują powyższe zalecenia bardzo poważnie. We Francji ta pora dnia, kiedy dzieci idą spać, nazywana jest „czasem dla dorosłych” albo „czasem dla rodziców”. Oczekiwanie na ten moment tłumaczy, dlaczego – kiedy zostaną już przeczytane bajki i zaśpiewane kołysanki – francuscy rodzice rygorystycznie podchodzą do pory snu. Traktują „czas dla dorosłych” nie jako okazjonalny, ciężko wywalczony przywilej, ale podstawową potrzebę życiową. Judith, historyczka sztuki z trójką małych dzieci, wyjaśniła, że kładzie je spać o ósmej lub wpół do dziewiątej, ponieważ „potrzebuje świata dla siebie”.

Zdaniem Francuzów takie rozdzielenie potrzeb dobrze wpływa nie tylko na rodziców, ale także na dzieci, które muszą pojąć, że ich rodzice mają własne przyjemności. „W ten sposób dziecko zaczyna rozumieć, że nie jest pępkiem świata, a ta wiedza jest dla jego rozwoju kluczowa” – tłumaczono we francuskim poradniku *Twoje dziecko*.

Do dyspozycji rodziców nie pozostają tylko wieczory. Kiedy Bean poszła do przedszkola, okazało się, że rok szkolny to także seria międzysemestralnych dwutygodniowych ferii. Nie mogłam wtedy umówić jej nawet na zabawę z innymi dziećmi – większość kolegów Bean była odsyłana na ferie do dziadków na prowincji lub przedmieściach. Ich rodzice wykorzystywali ten czas na pracę, wyjazdy, uprawianie seksu i po prostu bycie sam na sam.

Virginie powiedziała, że co roku wyjeżdża na dziesięciodniowy urlop tylko z mężem. To nie podlega negocjacji – dzieci, w wieku od czterech do czternastu lat, zostają pod opieką jej rodziców, na wsi, około dwóch godzin jazdy pociągami od Paryża. Virginie wyjaśniła, że tego urlopu nie zakłóca poczucie winy. „To, co przez te dziesięć dni budujesz między sobą a mężem, jest korzystne także dla dzieci”. Powiedziała, że dzieci także od czasu do czasu potrzebują odpocząć od rodziców. Kiedy spotykają się po powrocie, powitanie jest bardzo gorące.

Znajomi francuscy rodzice korzystali z czasu dla dorosłych w każdej wolnej chwili. Caroline, fizjoterapeutka, bez cienia poczucia winy powiedziała mi, że jej matka zabierze jej trzyletniego synka z przedszkola w piątek po południu i będzie się nim zajmować aż do niedzieli. Caroline i jej mąż planowali w wolny weekend wyspać się i iść do kina.

Francuscy rodzice potrafią organizować sobie „czas dla dorosłych” nawet wtedy, kiedy dzieci są w domu. Czterdziestodwuletnia Florence, matka trójki dzieci w wieku od trzech do sześciu lat, powiedziała mi, że w weekendy rano „dzieciom nie wolno wchodzić do naszego pokoju, dopóki nie otworzymy drzwi”. Jakimś cudem nauczyły się do tego czasu bawić same. (Zainspirowani jej opowieścią spróbowaliśmy tego sami i ku naszemu zdumieniu prawie podziałało. Musieliśmy

jednak co kilka tygodni powtarzać to dzieciom od nowa).

Miałam trudności z wytłumaczeniem francuskim znajomym koncepcji „randki małżeńskiej”. Przede wszystkim we Francji nie mówisz, że się z kimś „spotykasz” – jeśli wchodzisz z kimś w związek, ta relacja automatycznie zaczyna uchodzić za wyjątkową. „Spotykanie się” brzmi zbyt niezobowiązująco i za bardzo kojarzy się z pracą, żeby mogło być romantyczne. Podobnie przedstawia się kwestia „randki” w przypadku par mieszkających razem. „Randka małżeńska”, zakładająca nagłą zamianę adidasów na szpilki, wydała się moim francuskim przyjaciółkom nienaturalna. Nie spodobało się im założenie, że „prawdziwe życie” jest asekualne i wyczerpujące, a romans jest czymś, co należy wpisać w kalendarz jak wizytę u dentysty.

Kiedy amerykański film *Date Night* wszedł na ekrany we Francji, jego tytuł został zmieniony na *Crazy Night*. Pokazana w filmie para miała stanowić odzwierciedlenie typowego amerykańskiego małżeństwa z dziećmi – recenzent z Associated Press opisał ich jako „znużonych, zwyczajnych, ale stosunkowo szczęśliwych”. W pierwszej scenie filmu bohaterowie budzą się rano, kiedy jedno z dzieci wskakuje im na łóżko. Francuscy krytycy byli przerażeni takimi scenami – recenzent z „Le Figaro” napisał, że dzieci w tym filmie są „nieznośne”.

Wydaje się, że Francuzki powinny mieć więcej powodów do narzekania niż Amerykanki, nawet jeśli dzieci nie wskakują im na łóżko. Francja plasuje się za Ameryką pod względem podstawowych wskaźników równości płci, takich jak odsetek kobiet pracujących w sądownictwie i zarządach wielkich firm. Większe są tu także różnice między zarobkami mężczyzn a kobiet^[5].

Te nierówności są szczególnie wyraźne w domu. Francuzki spędzają o 89 procent więcej czasu niż ich mężowie na wykonywaniu prac domowych i opiece nad dziećmi^[6]. W Stanach Zjednoczonych kobiety spędzają o 31 procent więcej czasu od mężczyzn na pracach domowych i o 25 procent czasu więcej na opiece nad dziećmi^[7].

Mimo wszystko jednak moje amerykańskie (i brytyjskie) znajome z dziećmi wydawały się znacznie bardziej niezadowolone ze swoich mężów niż francuskie koleżanki.

„Jestem wściekła, że nie chce mu się nauczyć, jak powinien prawidłowo robić całe mnóstwo rzeczy, o które go proszę” – napisała w e-mailu o swoim mężu moja przyjaciółka Anya. „Przez niego zamieniam się w skrzeczącą zrzędę, a kiedy już się rozżłoszczę, trudno mi się uspokoić”^[8].

Amerykańskie przyjaciółki – a nawet dalsze znajome – często odciągały mnie na bok na spotkaniach towarzyskich, żeby ponarzekać na jakiś nowy – absurdalny ich zdaniem – pomysł ich mężów. Całe przerwy na lunch poświęcały takim narzekaniom. Oburzało je, że bez nich w domu nie byłoby żadnego czystego ręcznika, niezasuszonej rośliny doniczkowej czy dopasowanej pary skarpetek.

Simonowi należało przyznać, że się starał. Pewnej soboty odważnie zabrał Bean na drugi koniec miasta, żeby zrobić jej zdjęcia paszportowe w formacie wymaganym przez ambasadę amerykańską. Nie zaskoczyło mnie jednak, gdy wrócił z fotografiami, na których Bean wyglądała jak pięcioletnia psychopatka mająca wyjątkowo zły dzień.

Od przyjscia na świat chłopców niekompetencja Simona stała się mniej czarująca – nie wydawało mi się już uroczo tajemnicze to, że ze wszystkich swoich zegarków wyrывał wskazówkę sekundową albo czytał drogie anglojęzyczne czasopisma pod prysznicem. W niektóre poranki nasze małżeństwo wydawało się zagrożone, ponieważ nie potrzęsnał kartonem z sokiem pomarańczowym, który sobie nalewał.

Z jakiegoś powodu najczęściej kłóciliśmy się o jedzenie. (Powiesiłam w kuchni karteczkę „Nie złość się na Simona”). Zostawiał swoje ukochane sery niezawinięte w lodówce, gdzie szybko

wysyszały. Kiedy chłopcy byli trochę starsi, ktoś zadzwonił do Simona akurat wtedy, kiedy mył im zęby. Przejęłam pałeczkę tylko po to, żeby odkryć, iż Leo ma ciągle w buzi całą suszoną morelę. Kiedy zaczęłam narzekać, Simon oznajmił, że czuje się bezsilny wobec moich „skomplikowanych zasad”.

Kiedy spotykałam się z anglojęzycznymi przyjaciółkami, zawsze kończyło się na narzekaniu. Na pewnym obiedzie w Paryżu trzy kobiety z sześciu siedzących przy stoliku odkryły – wśród rykoszetujących potakiwań – że ich mężowie wycofują się na długą sesję do łazienki zawsze wtedy, kiedy przychodzi pora układania dzieci do snu. Narzekały tak okropnie, że musiałam sobie przypominać, iż są to kobiety w stabilnych związkach małżeńskich, a nie na prostej drodze do rozwodu.

Kiedy spotykałam się z Francuzkami z podobnej grupy społecznej, tego rodzaju narzekanie się nie zdarzało. Jeśli zapytałam o to bezpośrednio, to czasem przyznawały, że muszą przypomnieć mężom, by bardziej się angażowali w domu. Większość tych kobiet twierdziła, że przeżywa chwile frustracji, kiedy odnoszą wrażenie, że cały dom jest na ich głowie, a mąż tylko leży na kanapie.

Niemniej z jakiegoś powodu we Francji ten brak równowagi nie prowadzi do tego, co jedna z autorek amerykańskiej bestsellerowej antologii *Jędra w domu* (*The Bitch in the House*) nazwała „koszmarnym, cichym procesem szacowania, gromadzenia i zapamiętywania tego, w czym on pomógł, a w czym nie”. Bez wątpienia Francuzki są zmęczone jednoczesnym odgrywaniem roli matki, żony i kobiety pracującej, ale nie winią za to odruchowo swoich mężów – a w każdym razie nie z jadowitością, jaka często cechuje Amerykanki.

Niewykluczone, że Francuzki są po prostu bardziej skryte. Ale nawet matki, które dobrze znałam, nie wydawały się pieklić w duchu, że nie prowadzą takiego życia, na jakie zasługują. Jeśli były nieszczęśliwe, były po prostu nieszczęśliwe – niezależnie od tego, jak długo drażyłam, nie mogłam znaleźć w nich furii.

Po części Francuzki po prostu nie oczekują, że mężczyźni będą im równi. Postrzegają ich jako odrębny gatunek, z natury nieradzący sobie z zamawianiem opiekunek do dziecka, kupowaniem obrusów albo pamiętaniem o umówieniu się na wizytę kontrolną do pediatry. „Wydaje mi się, że Francuzki bardziej akceptują różnice między płciami” – powiedziała Debra Ollivier, autorka książki *Co wiedzą Francuzki* (*What French Women Know*). „Raczej nie oczekują od nich [mężczyzn], by byli w stanie podołać obowiązkowi z taką samą dokładnością, uwagą i poczuciem pilności spraw”.

Kiedy znajome Francuzki wspominały o wadach partnerów, robiły to, żeby się pośmiać z uroczej niezaradności mężczyzn. „Po prostu nie mają żadnych zdolności, my jesteśmy lepsze!” – żartowała Virginie, a jej przyjaciółki chichotały. Inna matka pękała ze śmiechu, opowiadając, jak jej mąż wysuszył córeczce włosy, nie rozczesując ich wcześniej, przez co mała poszła do szkoły, „wyglądając jak Don King”.

Taki punkt widzenia tworzy pozytywne sprzężenie zwrotne – Francuzki nie zanudzają mężów wytykaniem im niedoskonałości lub błędów, więc mężowie nie są zdemoralizowani. Czują się bardziej wspaniałomyślni wobec żon, które chwalą za osiągnięcia w mikrozarządzaniu i panowaniu nad domowymi sprawami. Pochwały najwyraźniej czynią tę nierówność łatwiejszą do zniesienia, zamiast – jak w amerykańskich domach – budować napięcie i wzajemne pretensje. „Mój mąż mówi, że nie wie, co by beze mnie zrobił” – z dumą oznajmiła zebrany znajomym inna paryska matka, Camille. Nic z tego nie pasowało do amerykańskich scenariuszy feministycznych, ale najwyraźniej w życiu sprawdzało się znacznie lepiej.

Równość i podział pół na pół po prostu nie stanowiły dla znajomych paryżanek idealnego standardu. Być może pewnego dnia to się zmieni, ale na razie bardziej zależało im na znalezieniu

równowagi. Mąż Laurence, konsultantki do spraw zarządzania i matki trójki dzieci, pracował w tygodniu do późna (ona przeszła na pół etatu). Dawniej cały weekend kłócili się, kto powinien co robić, ale ostatnio Laurence sama wyganiała męża na odbywające się w sobotę rano zajęcia aikido, ponieważ potem był bardziej odprężony. Wolała spędzić trochę więcej czasu, opiekując się dziećmi, jeśli w zamian dostawała zadowolonego i spokojnego męża.

Francuskie matki potrafią także rezygnować z nadmiernej kontroli i obniżać standardy, żeby zyskać więcej wolnego czasu i mniej się stresować. „Musisz po prostu pogodzić się z tym, że kiedy wrócisz, będzie na ciebie czekać tygodniowy stos prania” – powiedziała mi Virginie, kiedy wspomniałam, że jadę na tydzień z Bean do Stanów i zostawiam Simona z chłopcami w Paryżu^[9].

Są też systemowe przyczyny, dla których Francuzki wydają się spokojniejsze od Amerykanek – biorą co roku średnio dwadzieścia jeden dni urlopu więcej^[10]. We Francji feministyczna retoryka nie jest tak popularna jak w Stanach, promuje się za to powrót kobiet do pracy. Mogą one korzystać z opłacanego przez państwo urlopu macierzyńskiego (w Stanach Zjednoczonych jest to rzecz nieznana), dofinansowania do opiekunek i żłobków, bezpłatnych państwowych przedszkoli dla dzieci od lat trzech oraz tysiąca ulg podatkowych i dofinansowań na dziecko. Wszystko to nie prowadzi do równości między mężczyznami a kobietami, ale sprawia, że Francuzki mogą jednocześnie mieć dzieci i robić karierę.

Jeśli porzuci się płonne nadzieje na równy podział obowiązków, łatwiej docenić to, że francuscy mężowie z wielkich miast całkiem sporo czasu poświęcają opiece nad dziećmi, gotowaniu i zmywaniu. Francuskie badania z 2006 roku^[11] wykazały, że zaledwie 15 procent ojców noworodków uczestniczy pół na pół w opiece nad nimi, a 11 procent jest główną osobą odpowiedzialną za dziecko. Jednocześnie 44 procent aktywnie wspiera swoje partnerki – można zobaczyć tych tatusiów, jak uroczo nieogoleni pchają wózki do parku w sobotnie poranki, a potem przynoszą do domu torby z zakupami.

Ta kategoria tatusiów zwykle koncentruje się na pracach domowych, szczególnie na gotowaniu. Znajome francuskie matki często mówiły, że ich mężowie są odpowiedzialni za konkretne czynności, takie jak naprawianie usterek albo sprzątanie po obiedzie. Być może sekret tkwi w jasnym podziale obowiązków, a może po prostu Francuzi mają bardziej fatalistyczne podejście do małżeństwa.

– Jednym z pięknych uczuć w związku i małżeństwie jest wdzięczność dla osoby, która od nas nie odeszła – powiedziała Laurence Ferrari, główna prowadząca najpopularniejszych francuskich wiadomości wieczornych.

Czterdziestoczteroletnia wówczas Ferrari była atrakcyjną blondynką w szóstym miesiącu ciąży z drugim mężem. Rozmawiała z przekornym zawodowym prowokatorem, francuskim filozofem Pascalem Brucknerem, na temat „Miłość i małżeństwo: czy to dobre połączenie?” w wywiadzie dla francuskiego czasopisma.

Ferrari i Bruckner należeli do francuskiej elity – wyrafinowanego grona dziennikarzy, polityków, naukowców i biznesmenów, którzy spędzali czas i żenili się we własnym kręgu. Ich poglądy odzwierciedlały jednak przerysowaną, być może życzeniową, wersję myślenia zwyczajnych Francuzów.

– Obecnie małżeństwo nie ma już burżuazyjnych konotacji. Przeciwnie, dla mnie stanowi akt odwagi – oznajmiła Ferrari.

Bruckner odparł, że małżeństwo jest „rewolucyjną przygodą”, natomiast „miłość to nieujarzmione uczucie. Tragedia miłości polega na tym, że się zmienia, a my nie mamy wpływu na tę zmianę”.

Ferrari zgodziła się z nim.

– Dlatego właśnie upieram się, że małżeństwo z miłości to podjęcie cudownego ryzyka.

Na znak tego, że zasłużyliśmy na awans towarzyski, Simon i ja zostaliśmy zaproszeni na weekend – razem z dziećmi – do domu na wsi, należącego do mojej francuskiej przyjaciółki Hélène i jej męża Williama. Oni także mieli trójkę dzieci, w tym bliźnięta. Hélène, wysoka, o twarzy w kształcie serca, z nieziemsko niebieskimi oczami, wychowywała się w Reims, stolicy regionu Szampanii. Jej rodzinny dom letni był położony w pobliżu, w Ardenach, niedaleko granicy belgijskiej.

Podczas pierwszej wojny światowej w Ardenach toczyło się wiele bitew – przez cztery lata francuscy i niemieccy żołnierze drążyli okopy po dwóch stronach wąskiego pasa ziemi niczyjej i strzelali z karabinów i armat. Obie strony konfliktu żyły tak blisko siebie, że znały nawzajem swój rozkład dnia i zwyczaje. Czasem rozmawiali za pomocą napisów na tablicach.

W niewielkim miasteczku, gdzie stał dom Hélène, odnosiło się wrażenie, że ostrzał zakończył się bardzo niedawno. Ludzie nie mówili tu „pierwsza wojna światowa” tylko „między czternastym a osiemnastym”. Wiele ze zniszczonych w czasie wojny budynków nie zostało odbudowanych, co sprawiało, że ogromne przestrzenie zajmowały pola.

Hélène i William przez cały dzień byli niezwykle oddanymi rodzicami, ale każdego wieczora, kiedy tylko dzieci poszły spać, wyciągali papierosy i wino, włączali radio i urządzali czas dla dorosłych. Zależało im na *profiter* – cieszeniu się towarzystwem i ciepłym letnim wieczorem. (Hélène tak bardzo ceniła *profiter*, że kiedy pojechaliśmy z dziećmi na wycieczkę, późnym popołudniem zatrzymała się na łące, wyciągnęła z bagażnika koc i podała ciasto na *gouter*. Obrazek był prześliczny, a ja odczuwałam niemal przytłaczającą przyjemność).

W weekendy William wstawał wcześniej, razem z dziećmi. Pewnego dnia wyskoczył z domu – Simon pilnował maluchów – żeby kupić świeży *pain au chocolat* i chrupiącą bagietkę. Później Hélène zeszła na dół w piżamie, z uroczą potarganymi włosami, i usiadła przy stole kuchennym.

– *J’adore cette baguette!* („Uwielbiam tę bagietkę!”) – powiedziała do Williama, kiedy tylko zauważyła przyniesione przez niego pieczywo.

To było bardzo proste, słodkie i szczere, a ja nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak mówię coś podobnego do Simona. Zazwyczaj informowałam, że kupił niewłaściwą bagietkę albo denerwowałam się, bo zostawi bałagan, który będę musiała sprzątać. Na ogół nie czułam się w stosunku do niego szczególnie wspaniałomyślna – nie sprawiał, że rozpromieniałam się ze szczęścia, w każdym razie nie z samego rana. Ta czysta dziewczęca radość – *j’adore cette baguette!* – między nami niestety już nie istniała.

Opowiedziałam Simonowi o bagietce, kiedy wracaliśmy do domu z Ardenów, mijając od czasu do czasu obelisk ku czci ofiar wojny między polami żółtych kwiatów.

– Potrzeba nam więcej takiego *j’adore cette baguette* – orzekł i miał absolutną rację.



Musisz spróbować

Większość ludzi, poznając bliźnięta, jest przede wszystkim ciekawa, czym się od siebie różnią (a także jak zostały poczęte). Niektórzy rodzice mają na to gotową odpowiedź:

– Jedna lubi dawać, a druga brać – rozczulała się matka dwuletnich dziewczynek, którą spotkałam w parku w Miami. – Doskonale się rozumieją!

W przypadku Leo i Joeya nie było tak łatwo. Przypominali stare małżeństwo – nierozłączne, ale wiecznie skłócone. (Możliwe, że nauczyli się tego od Simona i ode mnie). Różnice między nimi stały się wyraźniejsze, kiedy zaczęli mówić: Leo, ten śniady, przez kilka miesięcy używał tylko pojedynczych rzeczowników, aż pewnego wieczora przy kolacji spojrzał na mnie i powiedział głosem kojarzącym się z głosem robota: „Teraz jem”.

To nie przypadek, że Leo opanował czas teraźniejszy – ponieważ żył w czasie teraźniejszym. Stale był w ruchu, nigdy nie chodził, zawsze biegał. Potrafiłam stwierdzić, który z nich się do mnie zbliża, oceniając szybkość kroków.

Joey preferował zaimki dzierżawcze: mój króliczek, moja mamusia. Poruszał się powoli, jak staruszek, ponieważ cały czas starał się mieć przy sobie ulubione rzeczy. Ich skład się zmieniał, ale zawsze było ich wiele (przez pewien czas spał z małą trzepaczką do piany). W końcu zaczął chować wszystko do dwóch walizek, które ciągnął za sobą z pokoju do pokoju. Leo lubił łapać jedną z nich i uciekać. Gdybym miała podsumować chłopców jednym zdaniem, powiedziałabym, że jeden lubi brać, a drugi – gromadzić.

Ulubioną formą gramatyczną Bean pozostał tryb rozkazujący. Nie winiliśmy już za to jej opiekunek – było jasne, że po prostu odpowiada jej wydawanie poleceń. Stale broniła czyichś interesów – najczęściej własnych. Simon nazywał ją aktywistką związkową i mawiał „Aktywistka życzy sobie na obiad spaghetti”.

Wystarczająco trudno było nam wpoić od małego Bean pewne francuskie obyczaje, kiedy była jedynaczką. Teraz, gdy mieliśmy trójkę dzieci – a nas było tylko dwoje – stworzenie jakiegoś rodzaju francuskiego *cadre* stało się jeszcze trudniejsze, ale też bardziej pilne. Jeśli nie zdołamy zapanować nad dziećmi, one zapanują nad nami.

Jedną z dziedzin, w których udało nam się odnieść sukces, były posiłki. Jedzenie to, rzecz jasna, chluba narodowa Francji i coś, o czym Francuzi uwielbiają rozprawiać. Moi koledzy z biura, w którym wynajmowałam stanowisko pracy, spędzali większość przerwy obiadowej, dyskutując o tym, co będą jedli na kolację. Kiedy Simon ze swoją francuską drużyną piłkarską siedł po meczu na piwo, opowiadał potem, że rozmowa toczyła się wokół jedzenia, nie dziewczyn.

Kiedy pojechaliśmy do Ameryki, stało się jasne, jak bardzo francuskie zwyczaje jedzeniowe kultywują nasze dzieci. Moja mama nie mogła się doczekać, aż poczęstuje Bean amerykańskim klasykiem – makaronem z serem z torebki. Bean zjadła tylko kilka kęsów i oznajmiła, że to nie jest ser. (Wtedy chyba zauważyłam jej pierwszy szyderczy uśmieszek).

Byliśmy w Ameryce na wakacjach, często więc jadaliliśmy w restauracji. Na plus mogłam zaliczyć to, że amerykańskie restauracje były znacznie bardziej przyjazne dzieciom niż francuskie. Miały nieznane we Francji udogodnienia, takie jak wysokie foteliki, kredki i stoły do przewijania w łazience. (Czasem w Paryżu można znaleźć w knajpce jedną z tych rzeczy, ale nigdy wszystkie jednocześnie).

Zaczęłam jednak darzyć niechęcią wszechobecne w amerykańskich restauracjach „dziecięce menu”. Rodzaj restauracji nie miał znaczenia – mogła specjalizować się w owocach morza, kuchni włoskiej czy kubańskiej, ale i tak menu dla dzieci zawierały praktycznie to samo: hamburgery, pieczony filet z kurczaka, zwykłą pizzę i czasem spaghetti. Prawie nie było w nich warzyw, jeśli nie liczyć frytek lub chipsów ziemniaczanych. Z rzadka trafiały się owoce. Dzieci nie pytano nawet, jak bardzo wysmażone chcą mięso – zawsze miało ono depresyjny odcień szarości.

Nie tylko restauracje traktowały dzieci jak osoby z niedorozwiniętymi kubkami smakowymi. Podczas jednej z wizyt w Stanach zapisałam Bean na kilkudniowy dzienny obóz tenisowy, na którym podawano lunch. „Lunch” dla dziesięciorga dzieci okazał się paczką białego chleba i dwoma paczuszkami amerykańskiego sera. Nawet Bean, która – gdybym jej na to pozwoliła – mogłaby stale jeść makaron i hamburgery, była zaskoczona. „Jutro będzie pizza!” – oznajmiła radośnie jedna z trenerek.

W Ameryce dominuje pogląd, że dzieci są wybredne i mają ograniczone upodobania smakowe, a dorośli, którzy poszerzyli swoje menu poza grillowany ser, robią to na własną odpowiedzialność. To założenie jest oczywiście samospełniającą się przepowiednią. Wiele spośród poznanych przeze mnie amerykańskich dzieci było wybrednych i miało ograniczone upodobania smakowe – często przez kilka lat w kółko jadły to samo. Przyjaciółka z Atlanty miała syna, dla którego istniał tylko ryż i makaron. Jej drugi syn jadł tylko mięso. Malutki siostrzeniec znajomej z Bostonu miał zacząć przechodzić na stałe pokarmy w okolicy Bożego Narodzenia. Kiedy się okazało, że odmawia jedzenia czegokolwiek poza czekoladowymi Mikołajami owiniętymi w sreberka, rodzice kupili na zapas całe ich stosy z obawy, że po świętach znikną ze sklepów.

Karmienie wybrednego dziecka to spory kłopot. Znajoma matka z Long Island przygotowywała oddzielne śniadanie dla każdego z czwórki dzieci plus piąte dla męża. Amerykański ojciec, który przyjechał z rodziną na wycieczkę do Paryża, poinformował mnie nabożnie, że jego siedmiolatek jest niezwykle wymagający w kwestii faktury jedzenia. Mały lubi oddzielnie tortillę i ser, ale odmawia ich jedzenia, jeśli zostaną przyrządzone razem, ponieważ tortilla staje się wtedy „zbyt chrupka” – wyszeptał, oglądając się na synka.

Zamiast stawiać opór wybiórczemu jedzeniu, systemy wychowawcze ogłaszają kapitulację. W kontynuacji *W oczekiwaniu na dziecko*, zatytułowanej *Drugi i trzeci rok życia dziecka* (*What to Expect: The Toddler Years*), stwierdzano: „Pozwolenie dziecku na to, by przez całe miesiące jadło tylko płatki śniadaniowe, mleko i makaron albo chleb z serem (zakładając, że dla równowagi zostanie dodane kilka dobrze wybranych owoców i/lub warzyw), nie jest zachowaniem pobłażliwym czy nieakceptowalnym, ale przejawem szacunku. W gruncie rzeczy jest coś okropnie niesprawiedliwego w upieraniu się, żeby dziecko jadło to, co mu się daje, podczas gdy dorośli przy stole mają swobodę wyboru”.

Dochodzi tu jeszcze sprawa przekąsek. Kiedy spędzałam czas z przyjaciółmi i ich dziećmi w Ameryce, torebki słonych paluszków i chrupek serowych pojawiały się jak za dotknięciem różdżki. Dominique, francuska matka mieszkająca w Nowym Jorku, początkowo była zaszokowana tym, że w przedszkolu dzieci co godzinę dostają coś do jedzenia. Zaskoczyło ją także, że rodzice o każdej porze dnia podkarmiają dzieci na placu zabaw. „Jeśli maluch dostaje ataku złości, dają mu jedzenie, żeby się uspokoił. W ten sposób starają się odwrócić jego uwagę od dowolnego

nieszczęścia” – opowiadała.

We Francji wygląda to zupełnie inaczej. W Paryżu robiłam większość zakupów w pobliskim supermarkecie, ale ponieważ dostosowywałam się do trendów panujących w klasie średniej, moje dzieci nigdy nie spróbowały zagęszczonego syropu fruktozowego ani paczkowanego chleba tostowego. Zamiast owocowych rogalików jadły owoce i tak bardzo przywykły do świeżych produktów, że wysokoprzetworzone jedzenie nie bardzo im smakowało.

Jak już wspominałam, francuskie dzieci zazwyczaj jedzą tylko w porach posiłków i popołudniowego *goûter*. Nigdy nie widziałam, żeby jakieś dziecko we Francji jadło w parku rogalik (albo cokolwiek innego) o dziesiątej rano. Tylko w niektórych francuskich restauracjach – przeważnie w bistrach lub pizzeriach – można znaleźć dziecięce menu. Zazwyczaj nie zawierają one wyrafinowanych potraw i sprowadzają się do steku z *frites* – frytkami. („W domu nigdy nie jemy *frites*. Dzieci wiedzą, że tylko tam je dostaną” – powiedziała moja przyjaciółka Christine).

Jednakże w większości restauracji oczekiwano, że dzieci będą korzystać ze zwykłego menu. Kiedy w sympatycznej włoskiej knajpce zamówiłam dla Bean spaghetti z sosem pomidorowym, francuska kelnerka bardzo grzecznie zaproponowała, żebym spróbowała czegoś bardziej niekonwencjonalnego, na przykład makaronu z bakłazanem.

McDonald zbija we Francji kokosy i jeśli ktoś ma ochotę na wysokoprzetworzone jedzenie, znajdzie je bez kłopotu. Napomnienia rządowej kampanii, żeby jeść przynajmniej „pięć owoców i warzyw dziennie”, stały się jednak praktycznie sloganem narodowym. (Popularna restauracja w Paryżu została nazwana 5 Fruits et Légumes Chaque Jour – Pięć owoców i warzyw codziennie).

Chociaż francuskie dzieci jedzą czasem hamburgery i frytki, to nigdy nie widziałam malucha, który ograniczałby się do jednego rodzaju pokarmu, ani rodziców, którzy by na to pozwolili. To nie tak, że francuskie dzieci domagają się dokładek warzyw – jak wszystkim dzieciom niektóre rzeczy smakują im bardziej niż inne. Można także bez trudu znaleźć wybredne trzylatki, ale nawet one nie wykluczają całych kategorii faktur, kolorów i składników odżywczych tylko dlatego, że tak im się podoba. Skrajna wybredność, która w Ameryce i Wielkiej Brytanii stała się normą, w oczach francuskich rodziców stanowi niebezpieczny rodzaj zaburzenia odżywiania albo – w najlepszym razie – przejaw wyjątkowo złego wychowania.

Konsekwencje tych różnic są bardzo znaczące. Zaledwie 3,1 procent francuskich pięcioletnich i sześciolatków jest otyłych^[1], a w Ameryce na otyłość cierpi 10,4 procent dzieci pomiędzy drugim a piątym rokiem życia^[2]. W przypadku dzieci starszych ta różnica jest znacznie większa. Nawet w zamożnych dzielnicach amerykańskich miast widywałam stale grube dzieci, podczas gdy przez pięć lat chodzenia na francuskie place zabaw zauważyłam dokładnie jedno dziecko, które uznałabym za otyłe (i podejrzewam, że było tam tylko przejazdem).

Szczególnie w przypadku jedzenia nie mogę nie zadać tego samego pytania, które zadawałam w przypadku tak wielu aspektów francuskiego sposobu wychowywania dzieci: Jak francuscy rodzice to robią? Jak zamieniają swoje dzieci w małych smakoszy i dlaczego te dzieci nie stają się przy tym grube? Efekty widziałam wszędzie wokół siebie, ale czemu francuskie dzieci jadły z apetytem?

Podejrzewam, że korzeni należy szukać już w niemowlęctwie. Kiedy Bean miała pół roku i chciałam zacząć jej dawać stałe jedzenie, zauważyłam, że francuskie supermarkety nie sprzedają mielonego ryżu, który zdaniem mojej matki i wszystkich anglojęzycznych przyjaciółek powinien być pierwszym stałym pokarmem niemowlaka. Musiałam chodzić do sklepów ze zdrową żywnością i kupować drogi, importowany z Niemiec mielony ryż z upraw ekologicznych, schowany pod

przyjaznymi dla środowiska pieluchami.

Okazało się, że francuscy rodzice nie zaczynają karmienia dzieci od mdłej i pozbawionej koloru papki. Od początku podają im przepyszne warzywa: pierwszym pokarmem stałym podawanym niemowlętom we Francji jest zazwyczaj purée z groszku, szpinaku, marchwi, obranej ze skórki cukinii i białych części pora.

Oczywiście amerykańskie niemowlęta także jedzą warzywa, niektóre nawet od samego początku. Anglosasi mają jednak skłonność do postrzegania jarzyn wyłącznie jako obowiązkowych dostarczycieli witamin. Chociaż zależy nam na tym, żeby nasze dzieci jadły zdrowo, nie zawsze wierzymy, że uda się nam je do tego przekonać. Bestsellerowe książki kucharskie uczą rodziców, jak przemycać warzywa w klopsikach, paluszkach rybnych i makaronie z serem tak, żeby dzieci ich nie zauważyły. Pewnego razu obserwowałam, jak moi przyjaciele pospiesznie wpychali warzywa zanurzone w jogurcie dzieciom, które właśnie skończyły posiłek i oglądały telewizję. Było im najwyraźniej obojętne, co jedzą. „Kto wie, jak długo jeszcze będziemy mogli to robić” – powiedziała pani domu.

Francuscy rodzice traktują *légumes* zupełnie inaczej i z innym zaangażowaniem. Opisują smak każdego warzywa i traktują pierwsze zetknięcie dziecka z selerem lub porem jak początek przyjaźni na całe życie. „Chciałam, żeby poznała czysty smak marchwi. Potem chciałam, żeby poznała smak cukinii” – unosiła się Samia, matka, która pokazywała mi swoje rozebrane zdjęcia. Podobnie jak inni francuscy rodzice uważała warzywa, a także owoce, za kamienie węgielne początkowej kulinarnej *éducation* swojej córki i sposób na wprowadzenie jej w świat bogactwa smaków.

Amerykańskie poradniki potwierdzały, że do smaku niektórych potraw trzeba dziecko przyzwyczaić. Jeśli nie chciało czegoś jeść, zalecały, by odczekać kilka dni i ponownie podsunąć mu to samo. Moje anglosaskie przyjaciółki i ja robiłyśmy to, ale zakładałyśmy, że jeśli kilka prób zakończy się niepowodzeniem, to należy przyjąć, że nasze dziecko po prostu nie lubi awokado, batatów czy szpinaku.

We Francji ta sama rada dotycząca regularnego podsuwania dzieciom danego rodzaju jedzenia urasta do rangi misji. Rodzice zakładają, że chociaż dzieci mogą preferować niektóre potrawy, smak każdego warzywa jest nieodmiennie bogaty i interesujący, a ich zadaniem jest przekonać do tego dziecko. Uważają, że muszą nauczyć je jedzenia, tak samo jak uczą je spania, czekania i mówienia *bonjour*.

Nikt nie twierdzi, że wprowadzanie wielu nowych potraw będzie proste. Darmowy poradnik żywienia dzieci, wydany nakładem rządowym, podkreśla, że każde dziecko jest inne. „Niektóre chętnie odkrywają nowe smaki. Inne są mniej ciekawskie, a zróżnicowanie ich jadłospisu trwa trochę dłużej”. Jednocześnie namawia on rodziców, by nie ustawali w wysiłkach, podsuwali dzieciom nowe potrawy i nie zrażali się, nawet jeśli maluch odmówi zjedzenia czegoś kilka razy.

Francuscy rodzice robią postępy stopniowo. „Poproś dziecko, żeby spróbowało tylko jeden kęs, a potem podaj następne danie” – zaleca poradnik. Autorzy dodają, że rodzice nigdy nie powinni proponować innego jedzenia jako zastępstwa dla odrzuconej potrawy i że powinni reagować neutralnie, jeśli dziecko nie chce czegoś jeść. „Jeśli nie będziecie zbyt gwałtownie reagować na odmowę, dziecko zaniecha takiego zachowania” – przewidywali autorzy. „Nie wpadajcie w panikę. Możecie podawać mu mleko, żeby mieć pewność, że dostaje dość składników odżywczych”.

Ten długoterminowy pogląd na rozwijanie upodobań smakowych dziecka odbija się w legendarnym poradniku macierzyństwa autorstwa Laurence Pernoud, *Pielęgnuję i wychowuję moje dziecko (J'élève mon enfant)*. Dział poświęcony podawaniu dzieciom stałych pokarmów jest zatytułowany *Jak dziecko stopniowo uczy się jeść wszystko*.

„Nie chce jeść karczochów?” – pisała Pernoud. „W tym przypadku także musisz poczekać. Kiedy za kilka dni znowu spróbujesz, wmieszaj odrobinę karczocha w dużą ilość purée”, na przykład ziemniaczanego.

Rządowy poradnik żywienia radzi rodzicom, żeby proponowali dzieciom te same składniki przyrządzone na wiele sposobów. „Spróbujcie gotowania, duszenia, pieczenia w pergaminie, grillowania, podawania bez niczego, z sosem lub z przyprawami”. Jak obiecują jego autorzy, „wasze dziecko odkryje różnorodność kolorów, smaków i zapachów”.

Poradnik zaleca również podejście w stylu Dolto: „Ważne jest, żeby zapewnić dziecku poczucie bezpieczeństwa i rozmawiać z nim o nowym jedzeniu”. Rozmowa o jedzeniu powinna wykraczać poza „lubię” albo „nie lubię”. Autorzy proponują, żeby pokazywać dziecku warzywo i pytać: „Jak myślisz, czy będzie chrupiące i usłyszysz, jak je ugryziesz? Co ci przypomina ten smak? Co czujesz w buzi?”. Podsuwają także smakowe zabawy, na przykład podawanie różnych gatunków jabłek i proszenie, żeby dziecko zdecydowało, które jest najśłodsze, a które najbardziej kwaśne. W innej zabawie rodzice zawiązują dziecku oczy i proszą, żeby zjadało i nazywało znane już warzywa.

Wszystkie francuskie poradniki wychowania dzieci, jakie czytałam, zalecały rodzicom zachowanie spokoju i pogody ducha podczas posiłków, a przede wszystkim niepoddawanie się, nawet jeśli dziecko nie zje ani kęsa. „Nie zmuszaj go, ale nie rezygnuj i próbuj dalej” – zaleca rządowy poradnik. „Stopniowo oswoi się z danym smakiem, spróbuje... i bez cienia wątpliwości nauczy się go doceniać”.

Aby lepiej zrozumieć, dlaczego francuskie dzieci tak dobrze jedzą, wybrałam się na spotkanie Commission Menus w Paryżu. To tutaj wszystkie wyszukane jadłospisy wywieszane w każdy poniedziałek w żłobku Bean zyskiwały ostateczne imprimatur. Komisja decydowała, co paryskie żłobki będą podawać dzieciom na obiad przez najbliższe dwa miesiące.

Byłam prawdopodobnie pierwszą cudzoziemką obecną na takim spotkaniu, odbywającym się w pozbawionej okien sali konferencyjnej w budynku rządowym nad Sekwaną. Sandra Merle, przewodnicząca spotkania, pełniła funkcję głównej dietetyczki paryskich żłobków. Obecni byli także jej zastępcy oraz pół tuzina kucharek pracujących w żłobkach.

Komisja w mikroskali odzwierciedlała francuskie koncepcje dotyczące dzieci i jedzenia. Lekcja numer jeden: nie ma czegoś takiego jak „dziecięce menu”. Dietetyczka czytała propozycje jadłospisów, uwzględniających cztery dania na każdy obiad, jakby zamierzała wpisać je do archiwów państwowych. Nie było w nich ani słowa o frytkach, filetach z kurczaka, pizzy czy nawet keczupie. Proponowanym menu na pewien piątek była surówka z czerwonej kapusty i *fromage blanc* oraz ryba o nazwie *colin* w sosie koperkowym i ziemniakami z upraw ekologicznych *à l'anglaise*. Posiłek miał zakończyć ser coulommiers (rodzaj miękkiego sera podobnego do brie), a na deser dzieci dostałyby pieczone jabłko z upraw ekologicznych. Każda potrawa byłaby krojona lub przerobiona na purée, zależnie od wieku dzieci.

Drugą lekcją, jaką wyniosłam z obrad komisji, było znaczenie różnorodności. Członkowie w pewnym momencie skreślili z menu zupę z pora, ponieważ ktoś zauważył, że dzieci miały jeść pora tydzień wcześniej. Merle wyrzuciła planowaną na koniec grudnia surówkę z pomidorów – także z powodu powtórzenia – i zastąpiła ją sałatką z gotowanych buraków.

Dietetyczka kładła także nacisk na różnorodność kolorów i faktury. Powiedziała, że jeśli cały posiłek będzie w jednym kolorze, na pewno otrzyma skargi od dyrektorów żłobków. Przypomniała kucharkom, że jeśli starsze dzieci (czyli dwu- i trzylatki) dostają jako dodatek do dania głównego purée, to na deser powinny mieć całe owoce, ponieważ dwa dania purée mogą im się wydać

odpowiednie dla zupełnych maluchów.

Niektóre kucharki chwaliły się ostatnimi sukcesami. „Podałam mus z sardynek z odrobiną śmietany” – oznajmiła kobieta z kręconymi czarnymi włosami. „Dzieci smarowały chleb i zjadały się nim”.

Bardzo chwalone były zupy. „Uwielbiają zupę, nieważne z jakich warzyw” – powiedziała inna kucharka. „Naprawdę smakowała im zupa z porów z mleczkiem kokosowym” – dodała trzecia.

Kiedy ktoś wspomniał o *fagots de haricots verts*, wszyscy się roześmiali. To tradycyjne danie bożonarodzeniowe, które w zeszłym roku przygotowywano we wszystkich żłobkach. Wymagało blanszowania fasolki szparagowej, zawinięcia jej pęczków w cienkie plasterki wędzonego boczku, przebicia całego pęczka wykałaczką i zapieczenia. Najwyraźniej było to zbyt wiele nawet dla mających obsesję na punkcie estetyki kucharek (choć nie protestowały, gdy polecono im ciąć kiwi w kształt kwiatków).

Kolejna żelazna zasada Commission Menus mówiła, że jeśli dzieciom coś nie zasmakuje od razu, należy podsunąć im to kolejny raz. Merle przypominała kucharkom, żeby wprowadzały nowe potrawy stopniowo i przygotowywały je na różne sposoby. Zaproponowała, by za pierwszym razem podać truskawki w znajomej dzieciom formie musu, a dopiero potem pokrojone na kawałki.

Jedna z kucharek zapytała, co zrobić z grejpfrutami. Merle zaproponowała, żeby najpierw podać cienkie plasterki posypane cukrem, a potem stopniowo zmniejszać jego ilość. To samo dotyczyło szpinaku. „Nasze dzieci w ogóle nie chcą jeść szpinaku. Wszystko idzie do śmieci” – narzekała jedna z kucharek. Merle poradziła, by mieszać szpinak z ryżem, żeby był bardziej apetyczny, i zapowiedziała, że roześle „instrukcje techniczne”, by przypomnieć wszystkim, jak należy to robić. „Podawajcie szpinak przygotowany na różne sposoby przez cały rok, w końcu go polubią” – zaleciła. Powiedziała też, że jeśli jedno dziecko zacznie jeść szpinak, inne pójdą w jego ślady. „To podstawa edukacji żywieniowej” – oznajmiła.

Bardzo dużo uwagi zebrani poświęcili warzywom. Jedna z kucharek powiedziała, że dzieci nie chcą jeść fasolki szparagowej, jeśli nie zostanie polana *crème fraîche* lub beszamelem. „Trzeba zachować właściwe proporcje: raz z sosem, raz bez sosu” – zaproponowała Merle. Potem wybuchła długa dyskusja na temat rabarbaru.

Po jakichś dwóch godzinach we fluorescencyjnym oświetleniu byłam wykończona. Chciałam wrócić do domu i zjeść obiad, ale komisja nie doszła nawet do menu na zbliżające się święta Bożego Narodzenia.

„*Foie gras*, tak?” – zaproponowała na przystawkę jedna z kucharek. Inna wysunęła kontrpropozycję: mus z kaczki. Początkowo myślałam, że obie żartują, ale nikt się nie roześmiał. Zebrani zaczęli rozważać, czy jako główne danie podać tuńczyka czy łososa (pierwszym pomysłem była żabnica, ale Merle stwierdziła, że jest za droga).

A jaki ser wybrać? Merle zawetowała kozi z ziołami, ponieważ dzieci jadły podobny na jesiennym pikniku. W końcu ustalono menu składające się z ryby, musu z brokułów i dwóch rodzajów sera z mleka krowiego. Na deser miało być ciasto z jabłkami i cynamonem, jogurtowe ciasto z marchwią i tradycyjny bożonarodzeniowy placek z gruszkami i czekoladą („Nie można za daleko odchodzić od tradycji. Rodzice będą chcieli placek” – powiedział ktoś). Merle niepokoiła się, że na popołudniowy *goûter* tego dnia mus zrobiony z „przemysłowej czekolady” może nie być dostatecznie odświeżny. Stało na bardziej wyszukanym *chocolat liégeois* – musie z bitą śmietaną podawanym w szklanych pucharkach.

Nikt ani razu nie stwierdził, że jakiś smak może się okazać zbyt intensywny lub zbyt złożony jak na dziecięce podniebienie. Żadna z potraw nie była specjalnie ostra – używano mnóstwa ziół, ale

nie musztardy, korniszonów czy oliwek. Pojawiały się za to grzyby, selery i obfitość wszelkiego rodzaju warzyw. Nie chodziło o to, żeby każde dziecko wszystko polubiło, tylko żeby wszystkiego spróbowało.

Niedługo po spotkaniu Commission Menus przyjaciółka pożyczyła mi książkę amerykańskiego krytyka kulinarnego Jeffreya Steingartena, zatytułowaną *Mężczyzna, który zjadł wszystko* (*The Man Who Ate Everything*).

Autor wspominał, że kiedy został zatrudniony jako krytyk kulinarny w „Vogue’u”, uznał, że z powodu osobistych upodobań żywieniowych jest niesprawiedliwie uprzedzony do wielu potraw. „Obawiałem się, że będę nie bardziej obiektywny niż krytyk sztuki, który nie znosi koloru żółtego” – napisał. Postanowił więc sprawdzić, czy uda mu się polubić potrawy, których nie cierpiał.

Wśród znienawidzonych dań Steingartena były *kimchi* (kiszona kapusta, narodowe danie Korei), ryba włośnik, anchois, koper, mule, smalec i desery podawane w restauracjach indyjskich, które, wedle jego słów, „wyglądają i smakują jak krem do twarzy”. Poczytał trochę badań dotyczących zmysłu smaku i doszedł do wniosku, że główny problem w przypadku nowych potraw stanowi po prostu to, że są nowe. Dlatego już samo regularne ich spożywanie powinno skruszyć wewnętrzny opór jedzącego.

Steingarten odważnie postanowił, że codziennie będzie jadł jedną ze znienawidzonych potraw. Starał się także wybierać ich najlepsze wersje: siekane anchois w sosie czosnkowym w północnych Włoszech albo doskonale przyrządzone capellini z mulami w białym sosie w restauracji na Long Island. Spędził całe popołudnie na własnoręcznym przygotowywaniu smalcu i spróbował *kimchi* dziesięć razy – w dziesięciu różnych koreańskich restauracjach.

Po sześciu miesiącach Steingarten dalej nie mógł patrzeć na indyjskie desery. („Nie wszystkie indyjskie desery wyglądają i smakują jak krem do twarzy. Ależ skąd! Niektóre wyglądają i smakują jak piłki tenisowe”). Udało mu się jednak polubić, czasem nawet bardzo, niemal wszystkie inne uprzednio znienawidzone potrawy. Po dziesiątej porcji *kimchi* napisał, że „także dla mnie stało się ono narodową potrawą”. Podsumował, że „żaden zapach ani smak nie są z natury odpychające, a wpojone nawyki można zmienić”.

Eksperyment Steingartena to kwintesencja francuskiego podejścia do żywienia dzieci: jeśli będziesz czegoś regularnie próbować, prawdopodobnie z czasem to polubisz. Steingarten odkrył to, czytając artykuły naukowe na temat smaku, ale dla francuskich rodziców z klasy średniej ta wiedza jest intuicyjna i korzystają z niej na co dzień odruchowo. We Francji idea regularnego podsuwania dzieciom szerokiego wachlarza warzyw i innych potraw nie jest tylko jedną z wielu teorii, ale podstawową wskazówką żywieniową. Zwyczajni francuscy rodzice z klasy średniej, których spotykałam, byli święcie przekonani, że istnieje przebogaty świat smaków, którego doceniania muszą nauczyć swoje dzieci.

To nie była teoretyczna idealna sytuacja, która mogła działać tylko w kontrolowanym środowisku żłobka. To się działo naprawdę w kuchniach i jadalniach zwykłych Francuzów. Zobaczyłam to na własne oczy, kiedy odwiedziłam pracującą jako wydawca Fanny, która mieszkała w wysokim apartamencie we wschodniej części Paryża z mężem Vincentem, czteroletnią Lucie i trzymiesięcznym Antoine’em.

Fanny miała śliczną okrągłą twarz i rozsądne spojrzenie. Zazwyczaj wracała do domu z pracy około szóstej i dawała Lucie kolację o wpół do siódmej, podczas gdy Antoine siedział w foteliku i pił z butelki. W weekendy Fanny i Vincent jedli wieczorem razem, kiedy dzieci poszły już spać.

Fanny przyznała, że rzadko robi potrawy tak skomplikowane, jak duszona endywia z boćwiną,

jadana przez Lucie w żłobku. Mimo to postrzega każdą kolację jako część kulinarnej edukacji małej. Nie przejmuję się specjalnie tym, ile Lucie zjada, ale wymaga, żeby skosztowała chociaż kęs każdej potrawy na talerzu.

– Musi wszystkiego spróbować – oznajmiła Fanny, powtarzając zasadę, którą słyszałam niemal od każdej francuskiej matki, jeśli rozmawialiśmy o jedzeniu.

Rozwinięciem tej zasady próbowania jest to, że we francuskiej rodzinie wszyscy jedzą na kolację to samo. Nie ma wyboru ani zastępowania jednych potraw innymi.

– Nigdy nie pytam „Na co masz ochotę?”, tylko mówię „Dzisiaj jemy to i to” – powiedziała mi Fanny. – Jeśli nie zje wszystkiego, w porządku. Ale zawsze jemy razem.

Amerykańskim rodzicom może się to wydawać zmuszaniem bezbronnych dzieci do posłuszeństwa. Fanny uważała jednak, że dodaje to Lucie pewności siebie.

– Czuje się bardziej dorosła, kiedy wszyscy jemy może nie tyle samo, ale to samo.

Fanny opowiadała także, że amerykańscy goście byli zdumieni, kiedy widzieli Lucie przy stole.

– Pytali: „Jakim cudem twoja córeczka odróżnia camembert, gruyère i chèvre?”.

Fanny starała się, aby posiłki były przyjemne. Lucie umiała już robić ciasto, ponieważ piekła je razem z mamą niemal w każdy weekend. Fanny zlecała jej także różne prace, polegające na przygotowaniu jakiejś potrawy albo nakryciu do stołu.

– Pomagamy jej, ale traktujemy to jak zabawę. I powtarzamy to codziennie – powiedziała.

Gdy przychodziła pora na jedzenie, Fanny nie wygrażała córeczce surowo palcem i nie zmuszała jej do próbowania nowych rzeczy. Dyskutowały o jedzeniu, często rozstrząsając smak różnych rodzajów sera. Pomoc w przygotowywaniu posiłku sprawiała, że Lucie była ciekawa, co z tego wyszło. Obowiązywała zasada współudziału. Jeśli coś się nie udało, „wszyscy się z tego śmiejemy” – powiedziała Fanny.

W utrzymaniu pogodnego nastroju pomaga także to, że posiłki trwają krótko. Fanny powiedziała, że kiedy Lucie spróbuje już wszystkiego, może odejść od stołu. Poradnik *Twoje dziecko* zaleca, żeby posiłek z małymi dziećmi nie trwał dłużej niż trzydzieści minut. Francuskie dzieci uczą się spędzać więcej czasu przy stole, kiedy są starsze, a kiedy zaczynają później kłaść się spać, częściej w weekendy jedzą kolację z rodzicami.

Planowanie menu obiadowego także jest lekcją znajdowania równowagi. Byłam zdumiona, do jakiego stopnia francuskie matki, takie jak Fanny, mają w głowach rozpisany kulinarny rytm dnia. Zakładają, że dzieci zjedzą obfity, bogaty w białko obiad, na kolację podają więc zwykle potrawy zawierające dużo węglowodanów, takie jak makaron, a także warzywa.

Fanny mogła właśnie przybiec do domu z biura, ale – tak samo jak w *crèche* – podawała spokojnie kolację po jednym daniu. Zaczynała od warzywnej przystawki na zimno, na przykład surówki z marchwi z sosem winegret. Potem przychodził czas na danie główne – zazwyczaj makaron lub ryż z warzywami. Od czasu do czasu przyrządzała rybę lub mięso, ale zakładała, że Lucie zjadła dzienną porcję białka na obiad. „Staram się nie dawać białka [wieczorem], chyba dlatego że tak mnie wychowano. Mówi się, że raz dziennie wystarczy, dlatego staram się koncentrować na warzywach”.

Niektórzy rodzice mówili mi, że zimą często podają na kolację tylko przecieraną zupę z bagietką lub czasem z makaronem – sycący posiłek, oparty na produktach zbożowych i warzywach. Dzieci mogą pić sok na śniadanie albo do popołudniowego *goûter*, ale przy obiedzie i kolacji piją wodę, zwykle w temperaturze pokojowej lub lekko schłodzoną.

Weekendy to czas posiłków rodzinnych. Niemal wszystkie znane mi francuskie rodziny zbierają

się na obiad *en famille* zarówno w sobotę, jak i w niedzielę. Dzieci zazwyczaj pomagają w przygotowywaniu tych posiłków i nakrywaniu do stołu. W weekendy „pieczemy i gotujemy. Mam książki kucharskie dla dzieci, więc wypróbują własne przepisy” – powiedziała Denise, etyk medycyny i matka dwóch dziewczynek.

Po wszystkich tych przygotowaniach można siadać do stołu i jeść. Francuscy socjologowie Claude Fischler i Estelle Masson, autorzy książki *Manger*, stwierdzili, że osoba, która w pośpiechu połyka kanapki, nie liczy tego nawet jako „zjedzenie posiłku”. We Francji „zjeść posiłek oznacza usiąść przy stole z innymi, nie spieszyć się i nie zajmować w tym czasie innymi sprawami”. Tymczasem Amerykanie za główny powód jedzenia uważają względy zdrowotne^[3] – dostarczenie organizmowi energii.

Na przyjęciu z okazji jej piątych urodzin Bean oznajmiła, że czas na tort. Hałaśliwie bawiące się dzieci grzecznie przeszły do jadalni i usiadły przy stole. W jednym momencie wszystkie stały się *sage*. Bean usiadła u szczytu stołu i rozdawała talerzyki, łyżeczki i serwetki, a moja rola ograniczyła się do wniesienia tortu i zapalenia świeczek. Dla pięciolatek we Francji spokojne siedzenie przy stole podczas dowolnego posiłku staje się automatycznym odruchem. Nie ma mowy o jedzeniu na kanapie, przed telewizorem lub przy komputerze.

Oczywiście jedną z korzyści wprowadzenia w domu jakiegoś rodzaju *cadre* jest to, że można wyjść poza jego ramy bez obawy, że cały system się zawali. Denise powiedziała mi, że raz w tygodniu pozwala córkom – w wieku siedmiu i dziewięciu lat – zjeść kolację przed telewizorem.

W weekendy i podczas częstych szkolnych ferii francuscy rodzice bardziej swobodnie traktują pory posiłków i nocnego odpoczynku. Są pewni, że *cadre* się odnajdzie, kiedy będą go potrzebować. W czasopismach pojawiają się artykuły o tym, jak przestawić dzieci na wcześniejsze jedzenie i spanie po powrocie z wakacji. Kiedy wyjechałam na urlop z Hélène i Williamem, wpadłam w lekką panikę, kiedy o wpół do drugiej William nie wrócił jeszcze z zakupami na obiad.

Hélène uznała jednak, że dzieci się dostosują – ostatecznie są przecież ludźmi, którzy tak samo jak my potrafią radzić sobie z niewielką frustracją. Otworzyła paczkę czipsów, a cała szóstka zajęła miejsca przy kuchennym stole i je zjadła. Potem wysypały się na zewnątrz, żeby bawić się aż do czasu, gdy obiad będzie gotowy. Nic się nie stało. Daliśmy sobie radę. Niebawem bez pośpiechu wszyscy razem jedliśmy cudowny obiad przy stole ustawionym pod drzewami.

Gdyby porównać nadopiekuńczość do linii lotniczych, Park Slope na Brooklynie byłby ich portem macierzystym. Można odnieść wrażenie, że każdy rodzicielski trend i nowy produkt ma tutaj swój początek i tutaj wraca, żeby uzupełnić paliwo. Stąd pochodziły „pierwsze w Nowym Jorku chusty do noszenia niemowląt oraz pierwszy butik dla karmiących piersią”. Tutaj także mieściły się przedszkola z czesnym w wysokości piętnastu tysięcy dolarów rocznie, gdzie opiekunki „aktywnie przeciwdziałały zabawie w superbohaterów”. Jeśli mieszkaliście w Park Slope, firma Baby Bodyguards mogła za sześćset dolarów zabezpieczyć wasz dwupoziomowy apartament, uwzględniając wszelkie możliwe zagrożenia czyhające w nim na dzieci. (Założycielka firmy wyjaśniała: „kiedy urodziłam i mój synek stał się częścią świata zewnętrznego, obudził się we mnie lęk i niepokój”).

Chociaż wiedziałam, że Park Slope jest siedliskiem nadgorliwych rodziców, nie byłam przygotowana na to, czego świadkiem stałam się na placu zabaw w słoneczny niedzielny poranek. Początkowo miałam wrażenie, że obserwowani przeze mnie ojciec z synkiem uprawiają tylko wyjątkowo energiczną wersję „relacji na żywo”. Mały wyglądał na jakieś sześć lat, a tatuś – w markowych džinsach i z szykownym weekendowym zarostem – wszedł razem z nim na drabinki. Jego narracja na żywo odbywała się w dwóch językach – po angielsku i w czymś, co brzmiało jak

niemiecki z akcentem amerykańskim.

Synek sprawiał wrażenie przyzwyczajonego do tego, że tata zjeżdża z nim na zjeżdżalni. Kiedy przeszli na huśtawki, ojciec kontynuował dwujęzyczny monolog, kołysząc swoją pociechę. To wszystko mieściło się w znanych mi granicach, ale w pewnym momencie pojawiła się matka: nadmiernie chuda brunetka, także w markowych džinsach, niosąca torbę z zakupami z pobliskiego sklepu z wiejską żywnością.

– Proszę, oto pietruszka na przekąskę! Masz ochotę na pietruszkę? – zapytała chłopca, wręczając mu zieloną gałązkę.

Pietruszka? Na przekąskę? Rozumiałam ich intencje: nie chcieli, żeby ich synek był otyły i zależało im na poszerzaniu jego horyzontów kulinarnych. Postrzegali siebie jako niekonwencjonalnych wynalazców, którzy dostarczają dziecku niepowtarzalnych wrażeń – niemiecki i pietruszka na pewno stanowiły zaledwie drobny ich ułamek. Musiałam też przyznać, że pietruszka nie miała raczej szans popsuć ich synkowi – ani komukolwiek innemu – apetytu.

Jest jednak jakiś powód, dla którego pietruszka nie przyjęła się w charakterze przekąski. To przyprawa – sama w sobie nie jest szczególnie smaczna. Miałam wrażenie, że ci rodzice starali się uchronić synka przed zbiorową mądrością naszego gatunku i podstawową wiedzą o tym, co dobrze smakuje. Mogłam sobie wyobrazić, jakiej pracy to wymagało. Co się stanie, kiedy mały odkryje ciastka?

Kiedy opowiadałam amerykańskim rodzicom o pietruszce na przekąskę, nie byli zaskoczeni. Zgadzała się, że pietruszka nie sprawdza się w tej roli, ale doceniali pomysłowość. Czemu nie spróbować, dopóki dziecko jest podatne na wpływy? W szklarniowym środowisku Park Slope niektórzy rodzice przeszli już poza etap „pytania amerykańskiego”. Zastanawiali się teraz, jak obejść podstawowe doznania zmysłowe.

Uświadomiłam sobie, że ja także nie jestem bez winy, kiedy zabrałam dwuletnią Bean na jej pierwszy bal halloweenowy. We Francji nie jest to szczególnie popularne święto. (Byłam raz na balu halloweenowym dla dorosłych, gdzie wszystkie kobiety przebrały się za seksowne czarownice, a większość mężczyzn za hrabiego Drakulę). Dlatego co roku grupka anglojęzycznych matek z Paryża wynajmowała górne piętro Starbucksa w pobliżu Bastylli i ustawiała na sali małe stragany halloweenowe.

Kiedy tylko Bean zrozumiała, o co chodzi – ci wszyscy ludzie dawali jej cukierki! – zaczęła jeść. Nie ograniczyła się do kilku słodkości, ale próbowała pożreć wszystkie cukierki ze swojej torby. Usiadła w kącie sali, wpychając różową, żółtą i zieloną lepką masę do ust – musiałam interweniować i jej przerwać.

Uświadomiłam sobie, że miałam złe podejście do słodczy. Przed tym balem Bean rzadko kiedy jadła czysty cukier i o ile wiem, nigdy nie spróbowała żelków. Podobnie jak rodzice od pietruszki starałam się udawać, że takie rzeczy nie istnieją.

Obserwowałam, jak inni anglojęzyczni rodzice męczą się z niepodawaniem dzieciom słodczy. Pewnego popołudnia znajoma Brytyjka oznajmiła, że jej córka nie może dostać ciastka, chociaż jedzą je wszystkie pozostałe dzieci, i wyjaśniła: „Nie musi o tym wiedzieć”. Inna znajoma – psycholożka – zadreślała się rozważaniami, czy można dać półtorarocznemu maluchowi loda, chociaż kończył się upalny letni dzień, a nasze dzieci bawiły się na dworze. (W końcu uległa). Widziałam parę z trzema dyplomami naukowymi, nerwowo naradzającą się, czy ich czterolatek może dostać lizaka.

A przecież cukier istnieje i francuscy rodzice o tym wiedzą. Nie próbują wyeliminować z diety dziecka wszystkich słodczy, starają się tylko umieścić je wewnątrz *cadre*. Dla francuskich dzieci

cukierki mają swoje miejsce – słodczy są na tyle regularną częścią życia, że maluchy nie rzucają się na nie jak oswobodzeni więźniowie, kiedy tylko mają taką okazję. Najczęściej dostają słodczy na przyjęciach urodzinowych, imprezach szkolnych i jako okazjonalne smakołyki – wtedy zwykle mogą ich zjeść tyle, ile chcą. Kiedy próbowałam ograniczyć ilość pochłanianych przez małego chłopczyka cukierków i ciasta czekoladowego na bożonarodzeniowym balu w *crèche*, jedna z opiekunek zainterweniowała i powiedziała mi, żebym pozwoliła dzieciom cieszyć się zabawą i robić, co chcą. Pomyślałam o mojej szczupłej przyjaciółce Virginie, która bardzo uważa na to, co je w tygodniu, a potem w weekend je to, na co ma ochotę. Dzieciom także potrzebne były chwile, w których nie obowiązywały zasady.

Niemniej to rodzice decydują, kiedy przychodzi taka chwila. Kiedy odprowadziłam Bean na przyjęcie urodzinowe u Abigail, małej dziewczynki z naszego domu, byliśmy pierwszymi gośćmi. (Nie zorientowałyśmy się jeszcze, że nie należy przychodzić punktualnie na przyjęcia urodzinowe). Mama Abigail właśnie rozstawiała na stole talerze z ciastkami i cukierkami, a mała zapytała ją, czy może zjeść trochę cukierków. Jej mama powiedziała *non* i wyjaśniła, że jeszcze nie przyszedł czas na jedzenie. Wydało mi się cudem, że Abigail popatrzyła tęsknie na cukierki i pobiegła bawić się z Bean w drugim pokoju.

Bardziej stałe miejsce w życiu francuskich dzieci zajmuje czekolada. Rodzice z klasy średniej uważają ją za zwykły produkt żywieniowy, który jednak należy jeść w umiarkowanych ilościach. Kiedy Fanny opowiadała, co zazwyczaj jada Lucie w ciągu dnia, jadłospis uwzględniał trochę ciasteczek lub kawałek ciasta. „No i, rzecz jasna, będzie chciała dostać trochę czekolady” – dodała Fanny.

Hélène przyrządzała dla dzieci gorącą czekoladę, kiedy na dworze było zimno. Podawała ją na śniadanie, razem z kawałkami bagietki, lub na podwieczorek, z ciasteczkami. Moje dzieci uwielbiały czytać o przygodach T’choupi, bohatera francuskich książeczek dziecięcych, który przypominał pingwina. Kiedy T’choupi był chory, mama pozwalała mu zostać w domu i pić gorącą czekoladę. Na przedstawieniu *Złotowłosa i trzy misie* w pobliskim teatrze misie nie jadły owsianki, tylko *bouillie au chocolat* (gorącą czekoladę zagęszczoną mąką).

– To rekompensata za chodzenie do przedszkola i, jak myślę, także porcja energii – wyjaśniła Denise, etyk medycyny. Nie uznawała McDonalda i codziennie przygotowywała dla córek kolację ze świeżych produktów, ale każdego ranka dawała im na śniadanie oprócz pieczywa i owoców także czekoladowy batonik.

Francuskie dzieci nie dostają czekolady w dużej ilości – mały baton, filiżanka, kawałek *pain au chocolat*. Zjadają to z apetytem i nie oczekują dokładki, a czekolada staje się dla nich elementem codziennego jadłospisu, a nie zakazanym owocem. Pewnego dnia Bean wróciła do domu z przedszkolnej letniej wycieczki z czekoladową kanapką: bagietką z batonikiem w środku. Byłam tak zaskoczona, że zrobiłam zdjęcie. (Później przekonałam się, że czekoladowa kanapka – zazwyczaj z gorzką czekoladą – to klasyczne francuskie *goûter*).

Także w przypadku słodczy kluczem jest utworzenie *cadre*. Francuscy rodzice nie obawiają się cukru – zazwyczaj na deser po obiedzie albo podwieczorek podają ciasto lub ciastka. Nie dają jednak dzieciom czekoladowych lub tłustych deserów po kolacji. „To, co zjesz wieczorem, zostaje z tobą na lata” – wyjaśniła Fanny.

Po obiedzie zazwyczaj podawała świeże owoce lub kompot – z wszechobecnych tubek musu jabłkowo-owocowego bez dodatku cukru, które miały własny dział w supermarketach. Powiedziała także, że kupuje różne rodzaje jogurtu naturalnego i pozwala Lucie mieszać je z dżemem.

Podobnie jak w innych sferach życia francuscy rodzice dążą podczas posiłków do wytyczenia

dzieciom określonych granic i zapewnienia im swobody w ich obrębie. „Chodzi o siedzenie przy stole i próbowanie wszystkiego” – powiedziała Fanny. „Nie wymagam, żeby wszystko zjadła, tylko żeby wszystkiego skosztowała i z nami posiedziała”.

Nie jestem pewna, kiedy dokładnie zaczęłam podawać moim dzieciom posiłki podzielone na dania, ale teraz robię tak zawsze. Ten przejaw francuskiego geniuszu zaczyna się już przy śniadaniu. Kiedy dzieci siadają do stołu, stawiam przed nimi talerz pokrojonych owoców. Podczas gdy je skubią, szykuję dla nich tosty albo płatki śniadaniowe. Przy śniadaniu mogą się napić soku, ale wiedzą, że do obiadu i kolacji pijemy wodę – nawet aktywistka związkowa na to nie narzeka. Rozmawiamy o tym, jak się czujemy, pijąc czystą wodę.

Na obiad i kolację zwykle podaję warzywa na początku posiłku, kiedy dzieci są najbardziej głodne. Nie przechodzimy do dania głównego, jeśli przynajmniej nie spróbują przystawki – zazwyczaj zjadają ją jednak w całości i do zasady spróbowania jednego kęsa muszę się uciekać tylko wtedy, gdy podaję coś nowego. Jeśli Leo za pierwszym razem nie chce czegoś tknąć, zazwyczaj zgadza się przynajmniej to powąchać i często potem zjada odrobinę.

Bean czasem nadużywa tej zasady, zjadając jeden kawałek cukinii i oznajmiając, że wypełniła swój obowiązek. Ostatnio obiecała, że będzie próbować wszystkiego „z wyjątkiem sałaty” (miała na myśli zieloną sałatę), ale zwykle bardzo smakują jej podawane u nas przystawki. Jemy krojone w plastry awokado, pomidory w sosie winegret albo duszone brokuły z odrobiną sosu sojowego. Wszyscy zdrowo się uśmialiśmy, kiedy podałam *carottes rapées* – tartą marchew w sosie winegret – i spróbowałam wymówić tę nazwę.

Moje dzieci siadają do stołu głodne, ponieważ nie licząc *goûter*, nie podjadają w ciągu dnia. Na pewno pomaga to, że ich koledzy także nie podjadają, ale mimo wszystko osiągnięcie tego wymagało żelaznej konsekwencji. Po prostu nie ulegałam żądaniom i nie dawałam im zapychającego kawałka chleba albo banana między posiłkami, a kiedy podrosły, niemal przestały o to prosić. Jeśli to robią, wystarczy, że powiem: „Nie, za pół godziny jemy obiad” i o ile nie są bardzo zmęczone, zwykle nie protestują. Poczułam przyływ dumy, kiedy w supermarkecie Leo wskazał paczkę ciasteczek i powiedział: *Goûter*.

Staram się nie podchodzić do karmienia dzieci fanatycznie (nie być, jak to określił Simon, „bardziej francuska od Francuzów”). Kiedy gotuję, daję im czasem spróbować czegoś, co będzie na obiad – kawałek pomidora albo kilka ziaren soczewicy. Kiedy wprowadzam nowy składnik, taki jak orzeszki piniowe, proponuję im kilka kęsów podczas przygotowywania posiłku, żeby wprowadzić je w odpowiedni nastrój. Możliwe, że czasem daję im gałązkę zielonej pietruszki (choć nie nazywam tego przekąską). Oczywiście mogą pić wodę, kiedy tylko chcą.

Czasem utrzymanie dzieci w *cadre* w przypadku jedzenia wydaje się niezwykle pracowite. Kiedy Simon wyjeżdża, często kusi mnie, żeby zrezygnować z przystawek, postawić przed maluchami talerz makaronu i nazwać to obiadem. Jeśli czasem to robię, są szczęśliwe i jedzą, aż im się uszy trzęsą – z całą pewnością nie zamierzają się domagać sałatki i warzyw.

Ale dzieci nie mają wyboru. Tak jak francuskie mamy przyjęłam, że moim obowiązkiem jest nauczenie ich lubienia różnych smaków i jedzenia posiłków, które są *équilibrés*. Także wzorem francuskich mam staram się układać w głowie zbilansowane menu na cały dzień. Zwykle trzymamy się francuskiej formuły z obfitym, bogatym w białko obiadem i lżejszą węglowodanową kolacją z warzywami. Dzieci często jedzą makaron, ale staram się różnicować jego rodzaj i dobierane sosy. Jeśli mam czas, przyrządzam na kolację wielki garnek zupy (choć nie mogę się zmusić do jej przetarcia) i podaję ją z ryżem lub chlebem.

Nie ma nic dziwnego w tym, że dzieciom lepiej smakuje jedzenie przyrządzone ze świeżych składników i apetycznie wyglądające. Uwzględniłam balans kolorów na talerzu i czasem dorzucam plasterki pomidora lub awokado, jeśli kolacja wygląda zbyt monotennie. Mamy komplet kolorowych talerzy z melaminy, ale do kolacji używam białych, podkreślających barwy jedzenia i pokazujących dzieciom, że jemy posiłek jak dorośli.

Staram się – jeśli to możliwe – pozwalać na samodzielność. Już kiedy chłopcy byli bardzo mali, podawałam do makaronu tarty parmezan w miseczce, żeby mogli sami go sobie nakładać. Pozwalam im słodzić gorącą czekoladę, a czasem także jogurt. Bean często na koniec posiłku prosi o kawałek camemberta lub innego sera. Z wyjątkiem szczególnych okazji wieczorem nie jemy ciasta ani lodów, a ja nadal nie daję im czekoladowych kanapek.

Trochę trwało, zanim to wszystko weszło mi w krew, ale moim sprzymierzeńcem okazał się wyśmienity apetyt chłopców. Jedną z opiekunek w *crèche* nazwała ich łakomczuchami, co było grzecznym sposobem zwrócenia mojej uwagi na to, że bardzo dużo jedzą. Powiedziała, że ich ulubionym słowem jest *encore* (jeszcze). Nabrali irytującego zwyczaju, prawdopodobnie wyuczonego w żłobku: na koniec posiłku podnosili talerz do góry, żeby pokazać, że już zjedli, a pozostały na talerzu sos lub inny płyn kapał na stół. (Przypuszczam, że w żłobku wcześniej zdążyli zetrzeć sos z talerza kawałkami bagietki).

Słodkocze nie są już zakazane w naszym domu, a teraz, gdy pozwalamy na nie w umiarkowanych ilościach, Bean nie traktuje każdego cukierka, jakby miał być ostatnim w jej życiu. Kiedy jest naprawdę zimno na dworze, robię dzieciom rano gorącą czekoladę i podaję ją z wczorajszą bagietką, lekko zmiękczoną w mikrofalówce, a także z kawałkami jabłek, które dzieci maczają w czekoladzie. Uważamy, że to bardzo francuskie śniadanie.

Przepis Hélène na *chocolat chaud* (porcja na sześć filiżanek)

1–2 łyżeczki kakao

1 litr chudego mleka

cukier do smaku

W rondelku wymieszać na gęstą pastę jedną lub dwie czubate łyżeczki kakao z odrobiną mleka zimnego lub w temperaturze pokojowej. Dodać resztę mleka i wymieszać (kakao powinno być równomiernie rozprowadzone w mleku). Podgrzewać na średnim ogniu do zagotowania. Zostawić czekoladę, żeby trochę ostygła, i zdjąć kożuch, jeśli się utworzy, a następnie rozlać do kubeczków z łyżeczkami. Można pozwolić dzieciom, żeby same dosłodziły napój.

Szybka wersja śniadaniowa

W dużym kubku wymieszać na pastę łyżeczkę kakao i odrobinę mleka. Dopełnić kubek mlekiem i wymieszać, a potem podgrzewać w mikrofalówce przez dwie minuty albo do momentu, aż stanie się bardzo gorące. Wsypać łyżeczkę cukru i wymieszać. Rozlać do kubeczków i dolewać do każdego zimne mleko. Podawać z chrupiącą bagietką lub tostami.

To ja decyduję

Leo, smagły bliźniak, robi wszystko szybko. Nie żeby był szczególnie uzdolniony – po prostu porusza się dwa razy szybciej od zwykłego człowieka. W wieku dwóch lat galopy z pokoju do pokoju wyrobiły mu kondycję długodystansowca. Nawet mówi szybko – na urodziny Bean zaśpiewał „Stolatstolat” wysokim, skrzeczącym głosem i całą piosenkę skończył w ciągu kilku sekund.

Z trudem przychodziło mi panowanie nad tym małym tornadem, ponieważ Leo był szybszy ode mnie. Kiedy szłam z nim do parku, także musiałam być stale w ruchu – mój synek traktował każdą furtkę wokół placów zabaw jako zaproszenie do wyjścia na zewnątrz.

Największe wrażenie we francuskim systemie wychowywania dzieci robiła na mnie rzecz zapewne najtrudniejsza do osiągnięcia – rodzicielski autorytet. Wielu znanych mi rodziców cieszyło się poważaniem swoich dzieci, a ja mogłam im tylko zazdrościć. Dzieci naprawdę ich słuchały. Francuskie maluchy nie ganiały bezustannie, nie wyklócały się i nie wdawały w niekończące się negocjacje. Ale jak właściwie rodzice do tego dochodzili? Czy ja także mogłam zyskać ten magiczny autorytet?

W niedzielny poranek moja sąsiadka Frederique obserwowała, jak próbuję poradzić sobie z Leo w parku. Frederique pracowała w biurze podróży i pochodziła z Burgundii. Była rzeczową kobietą po czterdziestce z szorstkim głosem, a po latach załatwiania formalności udało się jej adoptować Tinę, prześliczną rudą dziewczynkę z rosyjskiego domu dziecka.

Choć Frederique była matką od zaledwie trzech miesięcy, to już teraz mogła uczyć mnie *éducation*, ponieważ jako Francuzka miała kompletnie inne spojrzenie na to, co jest *possible*, a co *pas possible*. Stało się to jasne w piaskownicy, gdy siedziałyśmy razem na krawędzi i próbowałyśmy rozmawiać. Leo bezustannie uciekał z piaskownicy przez furtkę ogrodzenia, a ja za każdym razem musiałam go gonić i wlec wrzeszczącego z powrotem. Było to irytujące i wyczerpujące.

Początkowo Frederique w milczeniu obserwowała nasz mały rytuał, a potem bez cienia protekcjonalności oznajmiła, że jeśli za każdym razem będę goniła Leo, nie zdołamy spędzić przyjemnie tego czasu, siedząc i rozmawiając.

– To prawda – przyznałam. – Ale co mam zrobić?

Zdaniem Frederique powinnam być bardziej stanowcza. Leo musi wiedzieć, że nie powinien uciekać z piaskownicy.

– Inaczej biegiesz za nim za każdym razem, a to nie działa – wyjaśniła.

W moim przekonaniu spędzenie przedpołudnia na ganianiu Leo było nieuniknione. W jej przekonaniu było *pas possible*.

Strategia zaproponowana przez Frederique nie wydała mi się szczególnie obiecująca. Przypomniałam, że karmiłam Leo przez ostatnie dwadzieścia minut, ale ona się tylko uśmiechnęła.

Powiedziała, że moje „nie” musi się stać bardziej stanowcze, a ja naprawdę powinnam wierzyć w to, co mówię.

Kiedy następnym razem Leo pobiegł w stronę furtki, powiedziałam „nie” tonem ostrzejszym niż zwykle. Mimo to uciekł, a ja musiałam za nim biec i ciągnąć go z powrotem.

– Widzisz? – powiedziałam do Frederique. – To niemożliwe.

Frederique znowu się uśmiechnęła i powiedziała, że moje „nie” powinno brzmieć bardziej przekonująco. Jej zdaniem brakowało mi wiary w to, że mały naprawdę mnie posłucha. Poleciała, żebym nie krzyczała, tylko mówiła z większym naciskiem.

Bąłam się, że go przerażę.

– Nie martw się – ponagliła mnie Frederique.

Następnym razem Leo także nie posłuchał, ale czułam, że stopniowo moje „nie” staje się bardziej dobitne. Nie podnosiłam głosu, ale mówiłam z większą pewnością siebie i miałam wrażenie, że udaję zupełnie inny rodzaj matki.

Za czwartym razem, kiedy wreszcie mój głos był pełen przekonania, Leo podszedł do furtki, ale – jakimś cudem – nie otworzył jej. Obejrzał się i przyjrzał mi ostrożnie. Otworzyłam szeroko oczy i starałam się wyglądać na niezadowoloną.

Po jakichś dziesięciu minutach Leo całkowicie zrezygnował z prób ucieczki. Najwyraźniej zapomniał o istnieniu furtki i po prostu bawił się w piaskownicy z Tiną, Joeyem i Bean. Niebawem ja i Frederique rozmawiałyśmy swobodnie, wyciągając nogi.

Byłam zdumiona, że Leo nagle uznał mój autorytet.

– Sama widzisz – powiedziała Frederique bez przechwałki. – Chodziło o twój ton głosu.

Zauważyła też, że Leo nie sprawiał wrażenia straumatyzowanego. Przez chwilę – niewykluczone, że po raz pierwszy – naprawdę przypominał francuskie dziecko. Kiedy cała trójka jednocześnie była *sage*, poczułam, że moje ramiona trochę się rozluźniają. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie doświadczyłam w parku. Czy na tym właśnie polegało bycie francuską matką?

Byłam odprężona, ale czułam się także głupio. Skoro to takie proste, dlaczego nie robiłam tego od lat? Mówienie „nie” trudno nazwać szczególnie nowatorską techniką rodzicielską. Zmieniło się tylko to, że dzięki Frederique nauczyłam się ukrywać wahanie i przyjmować bardziej zdecydowaną postawę. Jej rady wyrastały z własnych doświadczeń i najgłębszych przekonań i brzmiały jak rzecz oczywista.

Frederique w takim samym stopniu była pewna, że to, co najprzyjemniejsze dla rodziców – to, że możemy się zrelaksować i pogadać w parku, podczas gdy dzieci się bawią – jest także najlepsze dla dzieci. To także wydawało się prawdą – Leo stał się o wiele mniej nerwowy niż pół godziny wcześniej. Zamiast tkwić w zakętym kręgu ucieczek i uwięzienia, bawił się wesoło z pozostałymi dziećmi.

Byłam gotowa zabutelkować moją nową technikę – płynące z głębi serca „nie” – i sprzedawać ją hurtowo, ale Frederique ostrzegła, że nie istnieje magiczny eliksir, dzięki któremu dzieci zaczną uznawać czyjś autorytet. To wymaga stałej pracy.

– Nie ma żelaznych zasad – wyjaśniła. – Musisz zmieniać swoje podejście.

A to pech! Jak zatem wytłumaczyć posłuch, jaki francuscy rodzice, tacy jak Frederique, mieli u swoich dzieci? Jak go zyskiwali – dzień po dniu, kolacja po kolacji? Gdzie mogłam dostać go więcej?

Znajoma Francuzka powiedziała, że jeśli interesuje mnie rodzicielski autorytet, powinnam

porozmawiać z jej kuzynką. Jej zdaniem Dominique, francuska piosenkarka wychowująca trójkę dzieci w Nowym Jorku, była nieoficjalnym ekspertem do spraw różnic między francuskimi a amerykańskimi rodzicami.

Czterdziestotrzyletnia Dominique wyglądała jak bohaterka filmu *nouvelle vague* – miała ciemne włosy, delikatne rysy i głębokie spojrzenie gazeli. Gdybym była szczuplejsza, ładniejsza i umiała śpiewać, powiedziałabym, że nasze losy stanowiły lustrzane odbicie: ona była paryżanką wychowującą dzieci w Nowym Jorku, ja – była mieszkanką Nowego Jorku wychowującą dzieci w Paryżu. Życie we Francji sprawiło, że stałam się spokojniejsza i mniej neurotyczna, podczas gdy Dominique – mimo uwodzicielskiej urody – przyswoiła sobie entuzjastyczną skłonność do samoanalizy, ściśle związaną z życiem na Manhattanie. Mówiła radosnym angielskim z francuskim akcentem, wtrącając co chwila *like* i *oh my God*.

Dominique przyjechała do Nowego Jorku jako dwudziestodwuletnia studentka – zamierzała uczyć się przez pół roku angielskiego, a potem wrócić do domu. Szybko jednak jej domem stał się Nowy Jork.

– Czułam się tu naprawdę dobrze, ożywiona i pełna energii. Od dawna nie czułam tego w Paryżu – wspominała.

Wyszła za mąż za amerykańskiego muzyka. Od chwili zajścia w ciążę była także zachwycona amerykańskim podejściem do posiadania dzieci.

– Tu jest niesamowite poczucie wspólnoty, którego w tej formie trudno szukać we Francji... Jeśli lubisz jogę i jesteś w ciąży, pstryk! Trafiasz do grupy ciężarnych kobiet ćwiczących jogę.

Zaczęła także zauważać, jak traktowane są dzieci w Stanach Zjednoczonych. Na wielkim obiedzie z okazji Święta Dziękczynienia u rodziny jej męża była zaskoczona, że kiedy pojawiła się trzyletnia dziewczynka, ponad dwadzieścia dorosłych osób przy stole przerwało rozmowę i się nią zajęło.

– Pomyślałam, że to niesamowite, ta kultura. Zupełnie jakby dziecko było bogiem, to naprawdę niezwykle. Nic dziwnego, że Amerykanie są tak pewni siebie i szczęśliwi, a Francuzi tacy ponurzy. Proszę bardzo, wystarczy spojrzeć na uwagę, jaką poświęca się dzieciom.

Z czasem jednak Dominique zaczęła inaczej patrzeć na to poświęcanie uwagi. Zauważyła, że ta sama trzylatka, przez którą przerwano rozmowy podczas Święta Dziękczynienia, ma postawę nadmiernie roszczeniową.

– Pomyślałam „No dobra, ten dzieciak naprawdę mnie irytuje”. Weszła i uważała, że skoro tu jest, wszyscy mają przerwać to, co robią, i się nią zajmować.

Dominique, której dzieci miały jedenaście, osiem i dwa lata, przyznała, że jej wątpliwości wzrosły, kiedy w przedszkolu podsłuchiwała, jak jedno z dzieci na polecenie opiekunki odpowiada „Nie jesteś moim szefem”. („Nigdy nie spotkałabyś się z czymś takim we Francji, nigdy” – podkreśliła). Kiedy wraz z mężem byli zapraszani na kolację do amerykańskich przyjaciół z dziećmi, nierzadko to ona przygotowywała większość posiłku, ponieważ gospodarze musieli pilnować, żeby dzieci zostały w łóżkach.

– Powinni po prostu powiedzieć stanowczo: „Dość tego, nie poświęcę wam więcej uwagi, to jest pora, żebyście poszli spać, pora dla rodziców. Teraz chcę spędzić czas jako dorośli z przyjaciółmi, wy mieliście swój czas, a teraz jest nasz czas. Marsz do łóżka i kropka”, ale cóż, nie robili tego. Nie wiem dlaczego, ale tego nie robili. Nie potrafili tego zrobić, cały czas usługiwali dzieciom. Obserwowałam to i byłam zdruzgotana.

Dominique nadal uwielbia Nowy Jork i zdecydowanie woli szkoły amerykańskie od francuskich, ale w kwestii wychowania dzieci wraca do francuskich metod, gdzie obowiązują jasno wytyczone granice i określone zasady.

– Francuskie metody są czasem zbyt surowe, mogłyby być trochę łagodniejsze i bardziej przyjazne dla dzieci – przyznała. – Ale myślę, że metody amerykańskie są zbyt skrajne, tu się wychowuje dzieci, jakby rządziły światem.

Trudno mi było nie zgodzić się z moim prawie-sobowtorem; potrafiłam sobie wyobrazić opisywane przez nią obiady rodzinne. Amerykańscy rodzice – ze mną włącznie – często kompletnie nie umieją okazać stanowczości. Teoretycznie wiemy, że dzieci muszą znać jakieś granice – to truizm amerykańskiego systemu wychowawczego. W praktyce jednak nie jesteśmy pewni, gdzie te granice należy postawić, albo mamy poczucie, że postępujemy nieodpowiednio, wymuszając ich przestrzeganie.

– Czuję się bardziej winna, że jestem zła, niż faktycznie rozzłoszczona. – W ten sposób znajoma Simona usprawiedliwiała niegrzeczne zachowanie trzyletniej córeczki. Moja przyjaciółka przyznała, że trzyletni synek ją ugryzł, ale „czuła się źle”, krzycząc na niego, ponieważ wiedziała, że mały zacznie płakać. Dlatego mu darowała.

Anglosascy rodzice obawiają się, że nadmierna surowość złamie ducha kreatywności w ich dzieciach. Amerykańska matka, która przyjechała z wizytą, była zaszokowana, kiedy w naszym paryskim mieszkaniu zobaczyła kojec dla dziecka – najwyraźniej w Stanach nawet kojce są obecnie postrzegane jako zbytne ograniczanie swobody. (Nie wiedzieliśmy o tym – w Paryżu kojce były *de rigueur*).

Matka z Long Island opowiadała mi o źle wychowanym siostrzeńcu, którego rodzice byli – w jej przekonaniu – przerażająco pobłażliwi. Przyznała jednak, że wyrósł on na ordynatora oddziału onkologicznego w wielkim amerykańskim centrum medycznym, co rehabilitowało go za niezdane zachowanie w dzieciństwie. „Myślę, że dzieci, które są bardzo inteligentne i traktowane pobłażliwie, bywają początkowo niezdane, ale za to kiedy dorastają, ich kreatywność nie jest stłumiona” – powiedziała.

Bardzo trudno przewidzieć, gdzie należy stawiać granice. Czy zmuszając Leo do siedzenia w kojcu lub w piaskownicy, uniemożliwiam mu wynalezienie w przyszłości lekarstwa na raka? Gdzie kończy się swobodne wyrażanie siebie, a zaczyna bezcelowe złe zachowanie? Czy jeśli pozwalam dzieciom zatrzymywać się i oglądać każdą studzienkę kanalizacyjną na chodniku, podążają one za swoim powołaniem, czy też zachowują się jak niezdane smarkacze?

Wielu anglosaskich rodziców przeżywa rozterki, próbując stać się dla swoich dzieci jednocześnie dyktatorem i muzą. W efekcie muszą z nimi bezustannie negocjować. Przekonałam się o tym na własnej skórze, kiedy Bean miała prawie trzy lata, a nowa zasada w domu głosiła, że wolno jej oglądać telewizję codziennie przez czterdzieści pięć minut. Pewnego dnia poprosiła mnie, żebym pozwoliła jej posiedzieć trochę dłużej.

– Nie. Dzisiaj już wykorzystałaś czas na oglądanie telewizji – powiedziałam.

– Ale kiedy byłam mała, w ogóle nie oglądałam telewizji – odparła.

Podobnie jak my większość anglosaskich rodziców ustala jakieś zasady. W tej sprawie obowiązuje jednak wiele różnych teorii wychowawczych, a bywają także rodzice całkowicie odrzucający siłę autorytetu. Spotkałam taką parę podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych.

Liz, graficzka po trzydziestce, miała pięcioletnią córkę Ruby. Bez namysłu wyliczała główne źródła inspiracji rodzicielskich: pediatra William Sears, pisarz Alfie Kohn i behawiorysta B.F. Skinner.

Kiedy Ruby była niegrzeczna, Liz i jej mąż starali się jej wytłumaczyć, że zachowuje się w sposób moralnie naganny. „Zależy nam na wytłumieniu niepożądanych zachowań bez

odwoływania się do argumentu siły” – wyjaśniła Liz. „Nie chce wykorzystywać tego, że jestem od niej większa i silniejsza, i poskramiać ją fizycznie. Tak samo staram się nie odwoływać do tego, że ja dysponuję pieniędzmi, i nie mówię jej, co może dostać, a czego nie”.

Byłam poruszona pracowitością tych metod i wysiłkiem, jaki Liz włożyła w zbudowanie własnego podejścia do wychowywania dzieci. Nie przyjęła po prostu cudzych zasad, ale dokładnie rozważyła poglądy różnych ekspertów i stworzyła ich przemyślaną hybrydę. Jak twierdziła, jej metoda wychowawcza była kompletnie różna od sposobu, w jaki ona sama była wychowywana.

Miało to jednak swoją cenę. Liz przyznała, że ten eklektyczny styl, którego krytyki nie znosiła, zraził do niej wielu sąsiadów i znajomych, a nawet jej własnych rodziców. Powiedziała, że inni dorośli są zdumieni jej sposobem wychowywania Ruby i wyrażają otwartą dezaprobatę, tak że nie jest w stanie nawiązać z nimi rozmowy. Odwiedziny u dziadków przebiegają w napiętej atmosferze, szczególnie gdy Ruby jest niegrzeczna.

Mimo to Liz i jej mąż pozostawali niewzruszeni w kwestii nieodwoływania się do autorytetu. Ostatnio Ruby zaczęła ich bić, więc za każdym razem siadali z nią i tłumaczyli, dlaczego bicie innych jest złe. Te podyktowane szlachetnymi pobudkami wyjaśnienia nie działały. „Nadal nas bije” – przyznała Liz.

Francja sprawiała wrażenie odmiennego świata: nawet najbardziej ekscentryczni rodzice chwalili się swoją surowością i nie mieli cienia wątpliwości, że znajdują się na szczycie domowej hierarchii. W kraju, który czcił rewolucję i szturmowanie barykad, najwyraźniej nie było anarchistów przy rodzinnym stole.

– To paradoks – przyznała Judith, historyczka sztuki i matka trójki dzieci z Bretanii. Powiedziała, że w kwestiach politycznych jej poglądy są bliskie anarchistycznym, ale jeśli chodzi o wychowanie dzieci, to ona rządzi w domu, i kropka.

– Najpierw rodzice, potem dzieci – opisała rodzinny porządek dziobania. Jak wyjaśniła, we Francji „nie istnieje dzielenie się władzą z dzieckiem”.

We francuskich mediach i wśród starszego pokolenia mówi się o coraz częstszym syndromie „dziecka-króla”. Kiedy jednak rozmawiałam z rodzicami w Paryżu, bezustannie słyszałam: *C’est moi qui décide* – „To ja decyduję”. Istnieje także trochę bardziej surowa wersja: *C’est moi qui commande* – „To ja dowodzę”. Rodzice powtarzają to, żeby przypominać zarówno dzieciom, jak i sobie, kto tu rządzi.

W oczach Amerykanów taka hierarchia może się wydawać tyranią. Pochodząca ze Stanów Zjednoczonych Robynne mieszkała na przedmieściach Paryża z francuskim mężem i dwójką dzieci, Adrienem i Leą. Podczas rodzinnego obiadu w jej domu opowiedziała mi, jak zabrała malutkiego wówczas Adriena do pediatry. Mały płakał i nie chciał wejść na wagę, więc Robynne przyklękała i zaczęła go przekonywać.

Wtrącił się lekarz.

– Powiedział: „Proszę mu nie tłumaczyć dlaczego. Proszę powiedzieć «Dlatego. To właśnie masz zrobić, wejść na wagę i koniec, nie ma dyskusji»” – Robynne była zaszokowana. Powiedziała, że ostatecznie zmieniła pediatrę, ponieważ uznała, że ten jest zbyt surowy.

Mąż Robynne, Marc, przysłuchiwał się tej historii.

– Nie, nie, to nie było tak! – przerwał.

Był zawodowym golfistą, dorastał w Paryżu i należał do tych francuskich rodziców, których w naturalny sposób otaczała aura autorytetu. Zauważyłam, że dzieci uważnie słuchały, kiedy do nich mówił, i natychmiast mu odpowiadały.

Marc wyjaśnił, że lekarz nie był surowy bez powodu. Przeciwnie, chciał pomóc w *éducation* Adriena. On sam zupełnie inaczej zapamiętał to wydarzenie.

– Powiedział, że musisz być pewna siebie, musisz wziąć dziecko i postawić je na wadze... Jeśli dasz małemu za duży wybór, będzie się czuł zagubiony... Musisz mu pokazać, że tak ma być i to nie jest dobre ani złe, ale po prostu tak jest. To bardzo proste, ale to jest podstawa – dodał Marc. – Są pewne rzeczy, które nie wymagają wyjaśniania. Musisz zważyć dziecko, więc podnosisz je i stawiasz na wadze. Koniec. Kropka!

Stwierdził, że chociaż dla Adriena było to nieprzyjemne, stanowiło również część lekcji.

– Czasem w życiu zdarzają się rzeczy, za którymi nie przepadasz, ale które musisz zrobić – powiedział. – Nie zawsze robisz to, co lubisz, albo to, co chcesz.

Kiedy zapytałam Marca, jak zyskał swój autorytet, stało się jasne, że nie przyszło mu to bez wysiłku. Włożył ogromną pracę w utrwalenie układu między nim a dziećmi. Autorytet był czymś, nad czym dużo myślał i co traktował priorytetowo. Wszystkie jego wysiłki wpływały z przekonania, że pewni siebie rodzice stanowią dla dziecka oparcie.

– Moim zdaniem lepiej jest mieć przywódcę, kogoś, kto pokazuje drogę – powiedział. – Dziecko musi czuć, że mama albo tata mają wszystko pod kontrolą.

– Tak jak przy jeździe konnej – wtrącił Adrien, obecnie dziewięcioletni.

– Dobre porównanie! – przyznała Robynne.

– We Francji mówimy, że łatwiej poluzować śrubę niż ją dokręcać – dodał Marc. – To znaczy że musisz być bardzo stanowcza. Jeśli jesteś zbyt stanowcza, możesz poluzować. Ale jeśli jesteś zbyt pobłażliwa... nie uda ci się potem dokręcić śruby.

Marc opisywał *cadre*, który francuscy rodzice budują w pierwszych latach życia dziecka. Jednym z jego elementów jest to, że mogą czasem powiedzieć „Po prostu stań na wadze”.

Podobni do mnie amerykańscy rodzice zakładają, że muszą przez całe popołudnie ganiać dziecko po parku albo spędzić połowę proszonej kolacji na próbach położenia go do łóżka. To irytujące, ale zaczęło się wydawać normalne.

Dla francuskich rodziców życie z dzieckiem-królem wydaje się rażącym naruszeniem równowagi, niekorzystnym dla całej rodziny. Ich zdaniem pozbawia to codzienne życie, zarówno dzieci, jak i dorosłych, wielu radości. Stworzenie *cadre* wymaga ogromnego wysiłku, ale Francuzi uważają, że alternatywne rozwiązanie jest nie do zaakceptowania. Jest dla nich oczywiste, że *cadre* to jedyna rzecz, która chroni ich przed dwugodzinnym mówieniem „dobranoc”.

– W Ameryce akceptuje się, że kiedy masz dzieci, nie masz czasu dla siebie – powiedział mi Marc. – Tymczasem dzieci muszą zrozumieć, że nie są w centrum uwagi. Muszą zrozumieć, że świat nie kręci się wokół nich.

Jak więc rodzice budują *cadre*? Jego stworzenie wymaga czasem surowości, ale nie chodzi tylko o mówienie „nie” i udowodnienie, że „to ja decyduję”. Innym sposobem, w jaki francuscy rodzice i wychowawcy kreślą *cadre*, jest mówienie o nim. Dokładnie tak: spędzają dużo czasu, tłumacząc dzieciom, co jest dozwolone, a co nie, i to wyjaśnianie ułatwia pojawienie się *cadre*, który z czasem zaczyna przybierać niemal fizyczną postać – tak jak dobry mim umie nas przekonać, że stoi przed ścianą.

Ten nieustający dialog jest zazwyczaj bardzo uprzejmy – rodzice często mówią „proszę”, nawet do zupełnie malutkich dzieci. (Wymagają od siebie grzeczności, ponieważ oczywiście dzieci rozumieją, co się do nich mówi). Określając granice, Francuzi posługują się często językiem praw. Zamiast powiedzieć „nie bij Julesa”, zwykle mówią: „nie masz prawa bić Julesa”. To coś więcej

niż różnica semantyczna – w ten sposób polecenie zyskuje inną wymowę. Takie sformułowanie zakłada, że istnieje ustalony i spójny system praw, do którego mogą się odwoływać zarówno dzieci, jak i dorośli. Podkreśla także, że dziecko ma prawo robić różne inne rzeczy.

Dzieci podłapują tę frazę i napominają się nawzajem. Przedszkolna piosenka dla maluchów rymuje: *Oh là là, on a pas le droit de faire ça!* („O la la, nie mamy prawa tego robić!”).

Inną frazę, której dorośli często używają w stosunku do dzieci, jest „nie zgadzam się”, na przykład „nie zgadzam się, żebyś turlała groszek po podłodze”. Rodzice mówią to poważnym tonem, zwracając się wprost do dziecka. „Nie zgadzam się” jest czymś więcej niż zwykłym „nie”. Pokazuje, że dorosły jest odrębnym bytem, który dziecko musi brać pod uwagę. Przyznaje także dziecku prawo do własnego poglądu na to, co można robić z groszkiem, nawet jeśli ten pogląd zostaje zabroniony. Turlanie groszków pokazane jest jako coś, co dziecko świadomie postanowiło zrobić, może więc także świadomie tego nie robić.

To po części wyjaśnia, dlaczego posiłki we Francji mijają tak spokojnie. Zamiast czekać na potężny kryzys i uciekać się do dramatycznych kar, rodzice i opiekunowie skupiają się na mnóstwie drobnych, grzecznych i profilaktycznych korekt, opartych na dobrze znanych zasadach.

Zauważyłam to w *crèche*, kiedy obserwowałam półtoraroczne dzieci przy kolejnym niezwykle prostokątnym obiedzie. Szóstka maluchów w identycznych różowych śliniaczkach frotté siedziała przy prostokątnym stole, a Anne-Marie nadzorowała posiłek. Atmosfera była niezwykle spokojna. Anne-Marie omawiała każde danie i zapowiadała dzieciom, co będzie potem. Zauważyłam, że bacznie obserwowała wszystko, co dzieci robią i – bez podnoszenia głosu – reagowała na drobne naruszenia zasad.

– *Doucement* (ostrożnie), nie robimy tego łyżką – powiedziała do chłopca, który zaczął bębnić łyżką o stół. – Nie, nie, nie dotykamy sera, on jest na później – powiedziała innemu. Kiedy zwracała się do dziecka, zawsze nawiązywała z nim kontakt wzrokowy.

Francuscy rodzice i opiekunowie nie zawsze uciekają się do tak intensywnego korygowania. Zauważyłam, że robią to częściej podczas posiłków, kiedy w grę wchodzi więcej drobnych gestów i zasad i jest większe niebezpieczeństwo rozpętania się chaosu. Anne-Marie kontynuowała to połączenie konwersacji i upominania dzieci przez cały półgodzinny posiłek. Pod koniec ich buzie były wysmarowane jedzeniem, ale na podłodze leżało tylko kilka okruszków.

Podobnie jak Marc i Anne-Marie także inni znani mi rodzice i opiekunowie umieli budować autorytet bez uciekania się do dyktatury. Nie próbowali wychować dzieci na posłuszne roboty, przeciwnie – stale z nimi rozmawiali i ich słuchali. Dorośli, którzy cieszyli się największym szacunkiem dzieci, nigdy nie rozmawiali z nimi jak szef z podwładnym, ale jak równy z równym. „Zawsze trzeba wyjaśniać, dlaczego coś jest zabronione” – jak powiedziała Anne-Marie.

Kiedy pytałam francuskich rodziców, czego najbardziej by chcieli dla swoich dzieci, padały takie odpowiedzi, jak: „żeby były zadowolone z tego, kim są” i „żeby znalazły własną drogę w życiu”. Chcieli, żeby ich dzieci wykształciły własne gusta i opinie – tak naprawdę niepokoił ich, jeśli były zbyt posłuszne. Woleli, żeby miały charakter.

Uważali jednak, że dzieci osiągną te cele tylko pod warunkiem, że będą szanować granice i panować nad swoim zachowaniem. Dlatego oprócz charakteru musiał istnieć *cadre*.

Trudno było przebywać w otoczeniu tak wielu dobrze wychowanych dzieci i rodziców mających tak wysokie oczekiwania. Za każdym razem, kiedy chłopcy zaczęli głośno krzyczeć albo jęczeć, gdy szliśmy od windy do głównej bramy budynku, czułam się zażenowana. To było jak obwieszczenie dla tuzinów sąsiadów, których okna wychodziły na podwórze: przybyli Amerykanie!

Pewnego popołudnia podczas ferii bożonarodzeniowych zostałam zaproszona z Bean na *goûter* do domu jej koleżanki z przedszkola. Dzieci dostały gorącą czekoladę i ciasteczka (mnie poczęstowano herbatą). Kiedy wszyscy usiedliśmy przy stole, Bean uznała, że to dobry moment na *bêtise*. Upiła łyk gorącej czekolady i wypluła go z powrotem do kubka.

Zmartwiałam. Kopnęłabym Bean pod stołem, gdybym tylko wiedziała, która para nóg należy do niej. Syknęłam, żeby przestała, ale nie chciałam psuć nastroju, wywołując zamieszanie. W tym czasie trzy córeczki naszej gospodyni siedziały przy stole, skubały ciasteczka i zachowywały się *sage*.

Widziałam, jak francuscy rodzice konstruuja *cadre*, nie mogłam jednak zrozumieć, w jaki sposób tak spokojnie utrzymują dzieci wewnątrz niego. Cały czas do głowy przychodziło mi amerykańskie powiedzenie: jeśli chcesz, żeby ktoś siedział w rowie, musisz tam wejść razem z nim. Tak właśnie było w naszym domu – gdybym odesłała Bean do jej pokoju, musiałabym tam z nią siedzieć, bo inaczej natychmiast by wyszła.

Podbudowana przygodą w parku z Leo starałam się być cały czas stanowcza, ale to nie zawsze wychodziło. Nie byłam pewna, kiedy należy dokręcać śrubę, a kiedy poluzować.

W poszukiwaniu wskazówek umówiłam się na obiad z Madeleine, francuską niańką pracującą dla Robynne i Marca. Pochodziła z niewielkiego miasteczka w Bretanii, ale obecnie pracowała na nocnej zmianie przy noworodku w Paryżu. (Dziecko, jak powiedziała, „szukało swojego rytmu”).

Sześćdziesięcioletnia Madeleine była matką trzech chłopców. Miała krótkie brązowe włosy przetykane siwizną i ciepły uśmiech, ale promieniowała tą samą absolutną pewnością, jaką widziałam u Frederique i innych znanych mi francuskich rodziców. Podobnie jak oni była spokojnie przekonana co do słuszności swoich metod.

– Im bardziej rozpuszczone jest dziecko, tym bardziej jest nieszczęśliwe – powiedziała, kiedy tylko usiadłyśmy.

Jak więc utrzymywała posłuch u swoich podopiecznych?

– *Les gros yeux* – wyjaśniła.

To znaczyło „wielkie oczy”. Zademonstrowała mi to przy stole i w jednej chwili przemieniła się z sympatycznej babci w różowym szaliku i swetrze w przerażającą sowę. Nawet jeśli to było tylko na pokaz, naprawdę robiło wrażenie.

Ja także chciałam nauczyć się robić „wielkie oczy”. Kiedy przyniesiono nam sałatkę, zaczęłyśmy ćwiczyć. Początkowo miałam problemy z udawaniem sowy i niewybuchnięciem śmiechem, ale tak samo jak w przypadku Frederique w parku, kiedy w końcu udało mi się to zrobić z prawdziwym przekonaniem, poczułam różnicę. W tym momencie nie było mi do śmiechu.

Madeleine wyjaśniła, że nie stara się po prostu przerazić dzieci, żeby skłonić je do posłuszeństwa. Powiedziała, że „wielkie oczy” działają najlepiej wtedy, kiedy z dzieckiem łączy ją silna więź i darzą się wzajemnym szacunkiem. Dla niej najbardziej satysfakcjonującą częścią pracy było nawiązanie z dzieckiem „porozumienia”, polegającego na tym, że oboje widzą świat tak samo, a ona przeczuwa, co dziecko zamierza zrobić za chwilę. Osiągnięcie tego wymagało uważnego obserwowania dziecka, rozmawiania z nim i pozwalania mu na pewną swobodę.

Aby stworzyć z dzieckiem relację, w której „wielkie oczy” będą skuteczne, trzeba łączyć stanowczość z elastycznością, pozwalając dzieciom na autonomię i dokonywanie wyborów.

– Myślę, że należy zostawiać dzieciom trochę swobody, pozwolić im zademonstrować ich osobowość – powiedziała.

Madeleine nie widziała żadnej sprzeczności między tak silną dwustronną relacją a bardzo

stanowczą postawą. Jej autorytet wynikał z więzi z dzieckiem, nie był czymś narzucanym odgórnie – potrafiła znaleźć równowagę między stanowczością a porozumieniem.

– Musisz słuchać dziecka, ale to twoim zadaniem jest wytyczanie granic – wyjaśniła.

„Wielkie oczy” są słynne we Francji. Bean obawiała się, że zostanie w ten sposób skarcona w żłobku, a wielu dorosłych Francuzów pamięta, jak w dzieciństwie traktowano ich „wielkimi oczami” lub podobnym wyrazem twarzy.

– Potrafiła tak spojrzeć – wspominała matkę Clotilde Dusoulie, paryska krytyczka kulinarna. O obojgu rodziców mówiła zaś: – Był określony ton głosu, którego używali, i wtedy nagle miałam poczucie, że przeciągnęłam strunę. Mieli taki wyraz twarzy, surowy, poirytowany i niezadowolony. Mówili „Nie, nie możesz się tak zachować”, a ja się czułam skarcona i trochę upokorzona. To mijało.

Zainteresowało mnie to, że Clotilde wspominała *les gros yeux* – i wymuszony przez nie *cadre* – bardzo ciepło.

– Zawsze ustalała jasne reguły, co wolno, a czego nie – powiedziała o swojej matce. – Potrafiła być czuła, ale miała u nas autorytet i nie musiała nawet podnosić głosu.

Jeśli mowa o podnoszeniu głosu, mnie zdarzało się to bardzo często. Krzyczenie czasem pozwalało zmusić dzieci do umycia zębów albo rąk przed obiadem, ale dużo mnie kosztowało i tworzyło paskudną atmosferę. Im głośniejsze krzyczałam, tym gorzej potem się czułam i tym bardziej byłam zmęczona.

Francuskim rodzicom zdarza się odezwać ostro do dziecka, ale wolą chirurgiczne cięcia od stałych nalotów dywanowych. Krzyk jest zarezerwowany na naprawdę ważne okazje, kiedy bardzo im zależy, by coś podkreślić. Kiedy podnosiłam głos na moje dzieci w parku albo w domu przy gościach, Francuzi sprawiali wrażenie zaniepokojonych, jakby myśleli, że dzieci dopuściły się poważnego przestępstwa.

Amerykańscy rodzice, tacy jak ja, często postrzegają budowanie autorytetu w kategoriach dyscypliny i kary. Francuscy rzadko o tym wspominają – mówią raczej o *éducation*. Tak jak sugeruje znaczenie tego słowa, chodzi tu o stopniowe uczenie dzieci, jakie zachowanie jest akceptowalne, a jakie nie.

Sam koncept, że zadaniem rodziców jest uczyć, a nie egzekwować zasady, sprawia, że ton we Francji staje się znacznie łagodniejszy. Kiedy Leo przy obiedzie odmawiał używania sztućców, powtarzałam sobie, że nauka posługiwania się widelcem przypomina naukę alfabetu. Dzięki temu znacznie łatwiej było mi zachować cierpliwość i spokój. Nie czułam się już lekceważona i zła, jeśli nie od razu się podporządkował, a mniejszy stres sprawiał, że on także chętniej podejmował kolejne próby. Nie zaczynałam krzyczeć, a obiad był dla wszystkich bardziej przyjemny.

Zajęło mi trochę czasu odkrycie, że francuscy i amerykańscy rodzice w zupełnie innym znaczeniu używają słowa „surowy”. Jeśli Amerykanie nazywają kogoś w ten sposób, zazwyczaj mają na myśli wszechwładny autorytet, kojarzący się z wymagającym, ponurym nauczycielem. Nie znam wielu Amerykanów, którzy sami siebie by tak określili, ale robią to niemal wszyscy rodzice francuscy.

Niemniej Francuzi, nazywając się „surowymi rodzicami”, mają na myśli coś innego niż Amerykanie. Chodzi im o to, że są bardzo stanowczy w nielicznych sprawach i bardzo pobłażliwi we wszystkich innych. To model *cadre*: sztywna rama otaczająca mnóstwo swobody.

„Powinniśmy dać dziecku tyle swobody, ile to możliwe, bez podporządkowywania go bezsensownym regułom” – napisała Françoise Dolto w książce *Główne stadia dzieciństwa* (*Les*

Étapes majeures de l'enfance). „Powinniśmy zostawić jedynie *cadre* zawierający zasady niezbędne z punktu widzenia bezpieczeństwa. Dziecko dzięki doświadczeniu, próbując złamać te zasady, zrozumie ich wagę i to, że nie robimy niczego tylko po to, żeby utrudniać mu życie”. Innymi słowy, surowość w kilku kluczowych kwestiach sprawia, że działania rodziców wydają się bardziej racjonalne, a co za tym idzie, istnieje większe prawdopodobieństwo, że dziecko będzie ich słuchać.

Paryscy rodzice powiedzieli mi, że – w duchu rozważań Dolto – zazwyczaj nie denerwują się z powodu drobnych *bêtises*, czyli aktów nieposłuszeństwa. Zakładają, że to po prostu część bycia dzieckiem.

– Gdyby każde złe zachowanie traktować tak samo, to skąd dziecko miałoby wiedzieć, co jest ważne? – zapytała moja przyjaciółka Esther.

Ci sami rodzice twierdzą jednak, że natychmiast reagują na niektóre wykroczenia. Strefy zerowej tolerancji bywają różne, ale prawie wszyscy, których znałam, twierdzili, że główną niepodlegającą dyskusjom kwestią jest szacunek dla innych. Mieli na myśli wszystkie te *bonjour*, *au revoir* i *merci*, a także zwracanie się z szacunkiem do rodziców i innych dorosłych.

Innym powszechnie zabronionym zachowaniem jest agresja fizyczna. Amerykańskim dzieciom często uchodzi na sucho bicie rodziców, chociaż wiedzą, że nie powinny tego robić. Znajomi Francuzi nie tolerowali tego w najmniejszym stopniu. Pewnego razu Bean uderzyła mnie na oczach naszego sąsiada Pascala, artysty i kawalera po pięćdziesiątce. Pascal, który zazwyczaj miał luzacki stosunek do życia, natychmiast wygłosił surową tyradę, że „tego się nie robi”. Zdumiała mnie jego nagle stanowczość i widziałam, że Bean także była pod wrażeniem.

W porze kładzenia dzieci spać francuska równowaga między stanowczością a pobłażliwością uwidacznia się najlepiej. Kilkoro rodziców powiedziało mi, że kiedy nadchodzi wieczór, dzieci muszą zostać w swoich pokojach, ale mogą tam robić, co tylko chcą.

Wypróbowałam ten pomysł na Bean, i bardzo jej się to spodobało. Nie koncentrowała się na tym, że musi siedzieć w pokoju, ale powtarzała z dumą: „Mogę robić, co tylko chcę”. Zazwyczaj przez chwilę bawiła się albo czytała, a potem kładła się spać.

Kiedy chłopcy skończyli dwa lata i zaczęli spać w łódeczkach zamiast w kojach, wprowadziłam tę samą zasadę. Ponieważ mieszkali razem, bywało tam zdecydowanie głośniejsze – często słyszałam grzechot klocków LEGO. O ile jednak nie brzmiało to groźnie, starałam się już nie wkraczać do pokoju po tym, jak powiedziałam im dobranoc. Czasem, jeśli robiło się późno, a oni dalej szaleli, zaglądałam, żeby przypomnieć im, że już pora iść do łóżek i gaszę światło. Nie uważali tego za naruszenie zasady „można robić, co tylko się chce” – zazwyczaj byli już w tym momencie na tyle zmordowani, że po prostu kładli się spać.

Aby oderwać się jeszcze bardziej od czarno-białego spojrzenia na autorytet, odwiedziłam Daniela Marcellego, ordynatora oddziału psychiatrii dziecięcej w dużym szpitalu w Poitiers i autora ponad tuzina książek, z których najnowsza nosiła tytuł *Wolno być posłusznym (Il est permis d'obéir)*. Książka jest poradnikiem dla rodziców, ale zawiera także rozważania nad naturą autorytetu. Marcelli opiera swoje argumenty na obszernych wywodach, cytując Hannah Ardent i zachwycając się paradoksami.

Jego ulubionym paradoksem jest to, że aby zyskać autorytet, rodzice powinni jak najczęściej mówić „tak”.

„Jeśli stale zakazujesz, jesteś autorytarny” – powiedział mi Marcelli przy kawie i czekoladkach. Podkreślił, że głównym celem rodzicielskiego autorytetu jest udzielanie dzieciom zezwolenia na robienie różnych rzeczy, a nie zakazywanie ich.

Jako przykład podawał dziecko, które chce dostać pomarańczę lub szklankę wody bądź dotknąć komputera. Obecne francuskie „liberalne wychowanie” zakłada, że dziecko powinno zapytać, zanim coś weźmie lub czegoś dotknie. Marcelli zgadzał się z tym, ale uważał też, że odpowiedź rodziców prawie zawsze powinna być pozytywna.

Rodzice „powinni zabraniać czegoś dziecku tylko od czasu do czasu (...) dlatego, że coś jest niebezpieczne lub łatwe do uszkodzenia. Zasadniczo rola rodziców sprowadza się do nauczania dziecka, żeby pytało, zanim coś weźmie”.

Marcelli mówił, że prowadzi to do osiągnięcia długofalowego efektu, w którym kryje się odrębny paradoks: jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dziecko będzie mogło samo zdecydować o swoim nieposłuszeństwie.

„Oznaką sukcesu edukacyjnego jest nauczanie dziecka, że ma słuchać, dopóki nie będzie samodzielnie umiało udzielić sobie od czasu do czasu pozwolenia na nieposłuszeństwo. Jak można nauczyć się łamać określone rozkazy, jeśli nie umie się ich słuchać? Podległość poniżej – wyjaśnił Marcelli – natomiast posłuszeństwo pozwala dziecku dorastać”.

Powiedział także, że dzieci powinny czasem oglądać telewizję, żeby mieć wspólną płaszczyznę porozumienia z rówieśnikami.

Aby prześledzić pełną argumentację Marcellego w kwestii autorytetu, dobrze jest wychowywać się we Francji, gdzie filozofii uczą w liceum. Ja zrozumiałam tyle, że jednym z powodów budowania tak solidnego *cadre* dla dzieci jest to, że czasem mogą go opuścić, a kiedy wrócą, będzie na nie czekał.

W poglądach Marcellego pobrzmiewały echa tego, co często słyszałam we Francji: bez ograniczeń dzieci zostałyby pochłonięte przez własne pragnienia. („Istota ludzka z natury nie zna ograniczeń” – powiedział mi Marcelli). Francuscy rodzice przywiązują tak wielką wagę do *cadre*, ponieważ wiedzą, że bez wytyczonych granic dzieci zostaną przytłoczone tymi pragnieniami. *Cadre* pomaga opanować i uspokoić wewnętrzny zamęt.

To mogło tłumaczyć, dlaczego w zasadzie tylko moje dzieci dostawały w paryskich parkach ataków złości. Atak złości następuje, kiedy dziecko zostaje pochłonięte przez własne zachcianki i nie potrafi się samo opanować. Inne dzieci przywykły do słyszenia *non* i nauczyły się je akceptować – dla moich nie było to oczywiste. Moje „nie” wydawało im się niepewne i słabe, nie mogło zatrzymać fali pragnień.

Marcelli powiedział, że znajomość *cadre* nie blokuje dziecięcej kreatywności i nie przeszkadza w „otwieraniu oczu”, które rodzice nazywają także „rozkwitaniem”. Francuski ideał zakłada umożliwienie dziecku rozwoju wewnątrz *cadre*. Marcelli przyznał, że dla niewielkiej części rodziców ważne jest tylko rozkwitanie i nie tworzą oni dla dzieci żadnego *cadre*, ale było jasno widać, co sam o tym sądzi. Ich dzieci, jak powiedział, „wcale nie radzą sobie dobrze i są rozpaczliwe pod każdym względem”.

Bardzo spodobało mi się to nowe spojrzenie – od tej pory byłam zdecydowana budować autorytet, nie autorytaryzm. Pewnego wieczora, kiedy kładłam Bean do łóżka, powiedziałam jej, że wiem, że czasem musi popełniać *bêtise*. Sprawiała wrażenie, jakby jej ulżyło. To był moment porozumienia.

– Powiesz to tacie? – zapytała.

Bean, która chodziła do francuskiego przedszkola, miała lepsze pojęcie na temat dyscypliny ode mnie. Pewnego dnia utknęłam na podwórzu naszego domu. Simon wyjechał, więc zostałam sama z dziećmi, a godzina była już późna. Musiałam wsadzić chłopców do wózka, żeby odprowadzić jak

najszybciej Bean do przedszkola, a ich zabrać do żłobka. Chłopcy odmówili jednak zajęcia miejsc w podwójnej spacerówce – chcieli iść samodzielnie, co zajęłoby znacznie więcej czasu. Co więcej, byliśmy na podwórzu, a sąsiedzi słyszeli i widzieli naszą kłótnię. Wezwałam na pomoc całą stanowczość, na jaką potrafiłam się zdobyć przed pierwszą kawą, i zażądałam, żeby wsiedli. Nie podziślało.

Bean także mnie obserwowała i wyraźnie była zdania, że powinnam umieć skłonić do posłuszeństwa dwóch małych chłopców.

– Powiedz po prostu „raz, dwa, trzy” – oznajmiła z wyraźną irytacją. Najwyraźniej właśnie to mówiły przedszkolanki, kiedy chciały skłonić niewspółpracujące dziecko do działania.

Powiedzenie „raz, dwa, trzy” nie wymaga wiedzy potrzebnej do lotów w kosmos. Na pewno niektórzy amerykańscy rodzice tak mówią, ale logika stojąca za tymi słowami jest czysto francuska. „To daje dziecku trochę czasu i jest przejawem szacunku dla niego” – powiedział Daniel Marcelli^[4]. Należy pozwolić dziecku odegrać czynną rolę w akcie posłuszeństwa, a to wymaga dania mu czasu na reakcję.

W *Wolno być posłusznym* Marcelli przytacza przykład dziecka, które sięga po ostry nóż. „Matka spogląda na nie i z chłodnym wyrazem twarzy oraz lekko zmarszczonymi brwiami mówi stanowczym i neutralnym tonem: «Odłóż to!»”. W tym przykładzie dziecko patrzy na matkę, ale nie reaguje. Piętnaście sekund później matka dodaje bardziej stanowczym tonem: „Odłóż to natychmiast”, a po kolejnych dziesięciu sekundach: „Czy mnie rozumiesz?”.

W przykładzie Marcellego dziecko odłożyło nóż na stół. „Twarz matki rozjaśniła się, jej głos stał się łagodniejszy, powiedziała: «Dobrze». Potem wyjaśniła, dlaczego nóż jest niebezpieczny i że można się nim skaleczyć”.

Marcelli zauważa, że chociaż dziecko ostatecznie się podporządkowało, pozostało także aktywnym uczestnikiem wydarzeń. Widać było obustronny szacunek. „Dziecko posłuchało, matka mu podziękowała, ale nieprzesadnie, dziecko uznało jej autorytet... Aby tak się stało, potrzeba słów, czasu, cierpliwości i obopólnego szacunku. Gdyby matka podbiegła do dziecka i wyrwała mu nóż z ręki, nie zrozumiałoby niczego”.

Trudno jest znaleźć złoty środek między podjęciem się roli szefa a słuchaniem oraz szanowaniem dziecka. Pewnego popołudnia, kiedy ubierałam Joeya do wyjścia ze żłobka, nagle wybuchnął płaczem. Byłam całkowicie nastawiona na nowy tryb „To ja decyduję” i miałam w sobie zapal nowicjusza. Uznałam, że to taki sam przypadek, jak z Adriem i wagą w gabinecie lekarskim: muszę ubrać go siłą.

Ale Fatima, jego ulubiona opiekunka w żłobku, usłyszała, że coś się dzieje i przysłała do szatni. Przyjęła zupełnie odmienną taktykę. Joey miewał wybuchy złego humoru w domu, ale w *crèche* zdarzało się to rzadko. Fatima nachyliła się nad Joeyem i zaczęła gładzić go po głowie.

– Co się stało? – zapytała łagodnie.

Uważała jego atak nie za jakiś abstrakcyjny, nieuchronny przejaw aktywności upiornej dwójki, ale za próbę komunikacji ze strony bardzo małej, jasnowłosej, racjonalnej istoty.

Po minucie czy dwóch Joey uspokoił się dostatecznie, żeby wyjaśnić – słowami i gestami – że chciałby wziąć czapeczkę ze swojej szafki. Właśnie z tego powodu zrobił scenę. (Wydaje mi się, że wcześniej próbował po nią sięgać). Fatima zdjęła Joeya ze stołu do przebierania i obserwowała, jak idzie do szafki, otwiera ją i wyjmuje nakrycie głowy. Potem był już *sage* i gotów do wyjścia.

Fatimie nie brakowało charakteru – cieszyła się wśród dzieci ogromnym autorytetem. Nie uważała, że wysłuchując cierpliwie Joeya, poddaje się jego zachciankom. Po prostu uspokoiła go, a potem dała mu możliwość powiedzenia, czego chce.

Niestety istniała nieskończona liczba scenariuszy i żadna zasada nie działała we wszystkich przypadkach. Francuzi uznają całe mnóstwo sprzecznych ze sobą reguł i nieliczne sztywne zasady. Czasem słuchasz uważnie dziecka, a czasem po prostu stawiasz je na wadze. Chodzi o wytyczanie granic, ale także o obserwowanie, nawiązywanie porozumienia i dostosowywanie się do wymogów sytuacji.

Niektórym rodzicom wszystko to przychodzi zapewne odruchowo. Na razie jednak zastanawiałam się, czy ja kiedykolwiek w naturalny sposób odnajdę ten punkt równowagi. Miałam wrażenie, że to jak różnica między osobą, która próbuje nauczyć się tańczyć salsę w wieku trzydziestu lat, a kimś, kto jako dziecko tańczył salsę z tatą. Cały czas liczyłam kroki i deptałam po palcach.

W niektórych odwiedzanych przeze mnie amerykańskich domach zdarzało się, że dziecko było odsyłane do swojego pokoju praktycznie podczas każdego posiłku. We Francji pada wiele drobnych napomnień w kwestii dobrego zachowania, ale zostać *puni* (ukaranym) to poważna sprawa.

Często rodzice odsyłają ukarane dziecko do jego pokoju lub do kąta. Czasem dają mu klapsa. Widziałam tylko kilka razy, jak ktoś publicznie dawał dziecku klapsa, ale moi paryscy przyjaciele twierdzili, że nie jest to rzadki widok. Na przedstawieniu *Złotowłosej i trzech misiów* aktorka grająca mamę-misia zapytała publiczność, co powinno się zrobić z małym misiem, który był niegrzeczny.

„*La fessée!*” („Klapsy!”) – krzyknęły jednogłośnie zebrane maluchy.

W ogólnokrajowej ankiecie^[2] 19 procent francuskich rodziców stwierdziło, że daje dzieciom klapsy „od czasu do czasu”, 46 procent – „rzadko”, 2 procent zaś zaznaczyło odpowiedź „często”. Kolejne 33 procent odpowiedziało, że nigdy nie bije dzieci^[3].

W przeszłości *la fessée* prawdopodobnie odgrywała większą rolę w wychowaniu dzieci we Francji i narzucaniu im autorytetu dorosłych. Ten trend jednak się odwraca – sprzeciwiali mu się wszyscy eksperci francuscy, których prace czytałam^[4]. Zamiast klapsów zalecają rodzicom doskonalenie się w mówieniu „nie”, chociaż podobnie jak Marcelli uważają, że „nie” powinno być używane rzadko. Kiedy jednak padnie, ostatecznie zamyka dyskusję.

Ta koncepcja nie jest nowa – w gruncie rzeczy pochodzi aż od Rousseau. „Dawaj z przyjemnością, a odmawiaj z przykrością – pisał w *Emilu* – ale niech wszystkie odmowy twoje będą nieodwołalne; niech cię nie wzrusza żadne natręctwo, niech wypowiedziane «nie» będzie spiżową ścianą, przeciw której jeżeli pięć, sześć razy załamię się jego siłą, nie będzie więcej usiłował jej obalić”.

Oprócz genu błyskawicznego poruszania się Leo przyniósł na świat także gen wywrotowca.

– Chcę wody – oznajmił pewnego wieczoru przy kolacji.

– A jakie jest magiczne słowo? – zapytałam słodko.

– Woda! – odparł ze złośliwym uśmieszkiem.

(To dziwne, ale Leo – który najbardziej przypomina Simona – mówi z lekkim akcentem brytyjskim. Joey i Bean brzmią jak Amerykanie).

Stworzenie *cadre* dla dzieci wymaga mnóstwa pracy. W pierwszych latach ich życia potrzeba wielu powtórzeń i uwagi, ale kiedy rama już powstanie, czyni życie znacznie prostszym i spokojniejszym (a przynajmniej tak się wydaje). W chwilach rozpaczyny zaczynałam powtarzać dzieciom po francusku *C'est moi qui décide* („To ja decyduję”) i samo powiedzenie na głos tego zdania dodawało mi sił. Czułam, że trochę prostują mi się plecy.

Francuska metoda wychowania wymaga także zmiany paradygmatów. Byłam przyzwyczajona, że wszystko kręci się wokół dzieci, ale „francuskość” oznacza przesunięcie środka ciężkości i pozwolenie, żeby do głosu doszły także moje potrzeby.

Poczucie jakiejś kontroli nad tym wszystkim sprawia także, że posiadanie trójki małych dzieci staje się bardziej wykonalne. Kiedy w pewien wiosenny weekend Simon wyjechał, pozwoliłam dzieciom wyciągnąć na balkon koce i dywany i zbudować coś w rodzaju marokańskiego pawilonu. Przyniosłam im gorącą czekoladę, a one siedziały tam i ją popijały.

Kiedy później opowiadałam o tym Simonowi, zapytał natychmiast: „Bardzo się denerwowałaś?”. Prawdopodobnie denerwowałabym się jeszcze kilka tygodni wcześniej, czułabym się bezsilna lub zbyt zaniepokojona, żeby się tym cieszyć. Na pewno byłoby dużo krzyków, które – ponieważ nasz balkon wychodził na podwórze – słyszeliby także sąsiedzi.

Teraz jednak, kiedy to ja podejmowałam przynajmniej czasem decyzje, trójka dzieci popijających na balkonie gorącą czekoladę okazała się możliwa do opanowania. Udało się mi nawet usiąść z nimi i wypić filiżankę kawy.

Pewnego ranka odprowadzałam do żłobka samego Leo. (Simon i ja podzieliliśmy się porannymi obowiązkami). Kiedy jechaliśmy windą na parter, ogarnęło mnie paskudne przeczucie. Postanowiłam powiedzieć mu stanowczo, że nie będzie krzyków na podwórku. Przedstawiłam tę nową zasadę tak, jakby istniała od zawsze, i wyjaśniłam ją bardzo zdecydowanie, patrząc Leo w oczy. Zapytałam go, czy mnie zrozumiał, i dałam mu chwilę na odpowiedź. Po namyśle odparł, że tak.

Kiedy szklane drzwi się otworzyły i wyszliśmy na podwórze, panowała cisza. Nie było krzyków ani jęczenia, był tylko bardzo szybki mały chłopczyk ciągnący mnie za sobą.



Pozwól mu na własne życie

Pewnego dnia w połączonym z podstawówką przedszkolu Bean pojawiło się zawiadomienie, że rodzice uczniów w wieku od czterech do jedenastu lat mogą zapisać dzieci na letnią wycieczkę w Wogezy Wyższe, rolniczy region położony około pięciu godzin jazdy od Paryża. Wycieczka, na którą rodzice nie mogli pojechać, miała potrwać osiem dni.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić wysłania pięcioletniej Bean na ośmiodniową szkolną wycieczkę. Nigdy nie zostawiałam jej na dłużej niż jedną noc w domu mojej matki. Ja sama pojechałam na pierwszą dwudniową wycieczkę, do SeaWorld, kiedy byłam w gimnazjum.

Ta wycieczka po raz kolejny przypomniła mi, że nawet jeśli umiem już używać francuskiego trybu łączącego, a także skłonić dzieci, żeby mnie słuchały, nigdy tak naprawdę nie będę Francuzką. W tym celu musiałabym spojrzeć na ten anons i powiedzieć jak stojąca obok mnie mama innego pięciolatka: „Straszna szkoda, że mamy już inne plany”. Nikomu spośród francuskich rodziców wysyłanie cztero- i pięciolatków na tydzień zbiorowych pryszniców i spania w dormitorium nie wydawało się w najmniejszym stopniu niepokojące.

Szybko odkryłam, że ta wycieczka to dopiero początek. Ja zaczęłam wyjeżdżać na letnie obozy, kiedy miałam dziesięć czy jedenaście lat, ale we Francji są do wyboru setki rozmaitych *colonies de vacances* (kolonii) nawet dla czterolatków. Młodsze dzieci zazwyczaj wyjeżdżają na siedem–osiem dni na wieś, gdzie jeżdżą na kucykach, karmią kozy, uczą się piosenek i „odkrywają przyrodę”. Dla starszych dzieci są przygotowywane tematyczne *colonies*, oferujące na przykład warsztaty teatralne, kajakarstwo lub obserwacje astronomiczne.

To jasne, że pozwalanie dzieciom na pewną niezależność i kładzenie nacisku na zdolność przystosowania się i samodzielność stanowią ważny element francuskiego systemu wychowawczego. Francuzi nazywają to *autonomie* („autonomia”) i zazwyczaj dążą do pozwalania dzieciom na taką swobodę, z jaką są w stanie sobie poradzić. To obejmuje wymiar czysto fizyczny, jak klasowe wycieczki, ale także emocjonalną separację, na przykład budowanie poczucia własnej wartości, niezależnego od pochwał rodziców i innych dorosłych.

Podziwiałam wiele zjawisk obecnych we francuskim systemie wychowawczym. Starłam się przyswoić francuski sposób jedzenia, wykorzystywania autorytetu i uczenia dzieci, jak mogą same się bawić. Zaczęłam wygłaszać obszerne przemowy do niemowląt i pozwalałam dzieciom, żeby po prostu „odkrywały” pewne rzeczy i nabywały konkretne umiejętności we własnym tempie, bez sterowania nimi. W chwilach kryzysu i niepewności często zadawałam sobie pytanie: co zrobiłaby francuska matka?

Trudniej jednak było mi zaakceptować ten francuski nacisk na samodzielność na przykład w formie klasowych wycieczek. Oczywiście nie chciałam, żeby moje dzieci stały się nadmiernie ode mnie uzależnione, ale po co ten pośpiech? Czy pęd do autonomii musi się zaczynać tak wcześnie? Czy Francuzi trochę nie przesadzają? W niektórych przypadkach dążenie do usamodzielnienia dzieci zderzało się z moimi najbardziej pierwotnymi instynktami chronienia ich

i dbania o ich szczęście.

Amerykańscy rodzice zwykle zupełnie inaczej postrzegają niezależność. Dopiero kiedy wyszłam za Simona, Europejczyka, uświadomiłam sobie, że w dzieciństwie opanowałam podstawowe umiejętności ze szkoły przetrwania. Nie zgadlibyście tego, patrząc na mnie, ale potrafiłam strzelać z łuku, postawić przewróconą kanadyjkę, ułożyć bezpieczne ognisko na czyimś brzuchu i – brodząc w wodzie – zamienić parę džinsów w napompowaną kamizelkę ratunkową.

Jako Europejczyk, Simon nie miał w dzieciństwie do czynienia z surwiwalem. Nigdy nie nauczył się stawiać namiotu czy sterować kajakiem i z trudem domyśliłby się, z którego końca należy wchodzić do śpiwora. W dziczy przeżyłby jakiś kwadrans – a i to pod warunkiem, że miałby przy sobie poradnik.

Ironia losu polegała na tym, że wszystkie te fałszywe zdolności traperskie zdobyłam pod czujnym okiem instruktorów na letnich obozach, przed którymi moi rodzice musieli podpisać oświadczenia przygotowane przez prawników na wypadek, gdybym się utopiła. A to było jeszcze w czasach przed pojawieniem się kamerek internetowych w szkołach i wegańskich tortów urodzinowych, niezawierających orzeszków ziemnych.

Niezależnie od odznak skautowskich i zabójczych bekhendów, amerykańskie dzieci z klasy średniej słyną z tego, że są wyjątkowo chronione. „Obecne trendy rodzicielskie polegają na chronieniu dzieci przed emocjonalnym lub fizycznym dyskomfortem” – napisała amerykańska psycholożka Wendy Mogel w książce *Błogosławieństwo otartego kolana* (*The Blessing of a Skinned Knee*). Zamiast dawać im swobodę, bogaci rodzice szukający porady Wendy „starali się zabezpieczyć swoje dzieci grubą warstwą umiejętności, wysyłając je na liczne kursy i kładąc nacisk na rywalizację i doskonalenie się”.

Nie można powiedzieć, że amerykańskim rodzicom nie zależy na autonomii dzieci – po prostu nie jesteśmy przekonani, czy jest to na pewno dobry pomysł. Zakładamy, że rodzice powinni być fizycznie obecni w możliwie największym wymiarze, chronić dzieci przez krzywdą fizyczną i pomagać im przetrwać emocjonalne turbulencje. Od urodzenia Bean Simon i ja żartowaliśmy, że przeprowadzimy się z nią do miasta, w którym będzie chodzić do college’u. Potem zobaczyłam artykuł o tym, że w niektórych amerykańskich college’ach odbywają się „ceremonie pożegnalne” dla rodziców pierwszorocznych studentów, żeby zasygnalizować im, że powinni już wyjechać.

Francuscy rodzice nie marzą o takiej kontroli – chcą chronić swoje dzieci, ale nie mają obsesji na punkcie mało prawdopodobnych wypadków, do których mogłoby dojść. Kiedy wyjeżdżają z domu, nie piszą – tak jak ja to robię – codziennie do męża e-maili, by przypomnieć mu o ryglowaniu drzwi na klucz i zamykaniu klapy sedesu (żeby dziecko nie wpadło do środka).

We Francji nacisk ze strony otoczenia działa w przeciwnym kierunku. Jeśli rodzice za bardzo kontrolują dziecko lub starają się nadzorować wszystkie jego działania, ktoś z zewnątrz radzi im, żeby się pohamowali. Moja przyjaciółka Sharon, agentka literacka z dwójką dzieci, tłumaczyła: „Tutaj działa argument o popychaniu dziecka do granic możliwości. Każdy ci powie: «Musisz pozwolić dzieciom na własne życie»”.

Francuski nacisk na autonomię pochodzi od Françoise Dolto. „Najważniejszą rzeczą jest to, żeby przy zapewnieniu pełnego bezpieczeństwa dziecko stawiało się samodzielne tak wcześnie, jak to możliwe” – pisała w *Głównych stadiach dzieciństwa*. „Pułapką w relacjach rodziców z dziećmi jest nierozpoznanie prawdziwych potrzeb dziecka, wśród których znajduje się swoboda (...). Ono potrzebuje czuć się «kochane jako osoba, którą się staje», pewne siebie w otaczającej je przestrzeni, z dnia na dzień coraz swobodniej zostawiane, żeby na własną rękę eksplorowało świat, przeżywało własne doświadczenia i nawiązywało relacje z rówieśnikami”.

Dolto miała na myśli pozwalanie dziecku na samodzielne dochodzenie do różnych rzeczy w bezpiecznych warunkach. Chodziło jej także o szanowanie go jako odrębnej istoty, która potrafi radzić sobie z wyzwaniami. Jej zdaniem dziecko, które kończy sześć lat, powinno w zakresie własnych potrzeb radzić sobie zarówno w domu, jak i w społeczeństwie^[1].

Francuskie metody mogą być trudne do zaakceptowania nawet dla najbardziej zasymilowanych Amerykanów. Moja przyjaciółka Andi, artystka mieszkająca we Francji od ponad dwudziestu lat, dowiedziała się pewnego dnia, że klasa jej sześciolatniego wówczas synka organizuje kilkudniową wycieczkę.

– Wszyscy wokół powtarzali, jak to cudownie, że w kwietniu będzie *classe verte* (zielona szkoła). A ja mówię sobie: „Hmm, co to jest? A, wycieczka. Tygodniowa? Ma trwać tydzień?”.

W szkole jej syna wycieczki były opcjonalne dla dzieci w zerówce. Później oczekiwano, że cała dwudziestopięcioosobowa klasa każdej wiosny będzie wyjeżdżać na tydzień pod opieką nauczyciela.

Andi jak na amerykańskie standardy nie była szczególnie nadopiekuńczą matką. Nie podobała jej się jednak perspektywa „zielonej szkoły”, która miała się odbywać w pobliżu słonych bagien na zachodnim wybrzeżu Francji. Jej syn nigdy nawet nie nocował u kolegów, Andi nadal każdego wieczoru zaganiała go pod prysznic i nie potrafiła sobie wyobrazić, jak miałby zasnąć, gdyby nie opatulila go przed snem. Lubiła jego nauczycielkę, ale nie знаła pozostałych opiekunów. Jednym z nich był siostrzeniec nauczycielki, drugim – opiekunka z placu zabaw, a trzecią Andi wspominała tylko jako znajomą nauczycielki.

Kiedy opowiedziała o planowanej wycieczce swoim trzem siostrom w Stanach Zjednoczonych, te „wpadły w zupełną panikę. Powiedziały: «Nie musisz tego robić!». Jedna z nich, prawniczka, dopytywała się: «Czy coś podpisywałaś?»”. Zdaniem Andi obawiały się głównie pedofilów.

Na spotkaniu informacyjnym przed wycieczką inna amerykańska mama z tej samej klasy zapytała nauczycielkę, jak poradzi sobie w przypadku, gdyby do wody wpadł przez przypadek przewód elektryczny, a następnie weszło tam jakieś dziecko. Francuscy rodzice zaczęli tłumić śmiech, więc Andi poczuła ulgę, że sama nie zadała takiego pytania. Musiała jednak przyznać, iż odzwierciedlało ono jej „ukryte lęki”.

Główną obawą Andi – której nie odważyła się wyrazić na głos podczas spotkania – było to, co się stanie, jeśli jej synek w trakcie wycieczki poczuje się smutny albo zdenerwowany. Kiedy coś takiego miało miejsce w domu, „starałam się pomóc mu w zidentyfikowaniu emocji. Jeśli zaczynał płakać i nie wiedział dlaczego, pytałam: «Jesteś przestraszony, sfrustrowany czy zły?». Na tym polegała moja rola, miałam podejść «No dobrze, poradzimy sobie z tym razem»”.

Francuskie dążenie do autonomii nie ogranicza się do szkolnych wycieczek. Moje serce regularnie zaczynało walić, kiedy spacerowałam po okolicy, ponieważ rodzice często pozwalali małym dzieciom wybiegać przed nich na chodniku. Ufali, że maluchy zatrzymają się na rogu i zaczekają na nich. Obserwowanie tego było szczególnie przerażające, gdy maluchy jeździły na hulajnogach.

Żyłam w świecie najczarniejszych scenariuszy. Kiedy spotkałam moją przyjaciółkę Hélène na ulicy i zatrzymałyśmy się, żeby chwilę porozmawiać, ona pozwoliła swoim trzem córkom odejść od nas kawałek w stronę krawężnika. Była pewna, że nie wybiegną nagle na jezdnię. Bean prawdopodobnie także by tego nie robiła, ale na wszelki wypadek zmusiłam ją, żeby stała obok i trzymała mnie za rękę. Simon wypominał mi, że kiedyś nie pozwoliłam Bean kibicować mu na amatorskim meczu piłki nożnej, ponieważ mogłaby zostać uderzona piłką.

We Francji często miałam poczucie, że powinnam pomagać dzieciom, podczas gdy inni oczekiwali, że te poradzą sobie same. Wiele razy spotykałam na ulicy opiekunki ze żłobka moich

chłopców, jak szły z grupką maluchów, żeby kupić bagietki. To nie było oficjalne wyjście, zabierały po prostu kilkoro dzieci na spacer. Bean jeździła na wycieczki do zoo albo do wielkiego parku na przedmieściach Paryża, o czym dowiadywałam się przypadkowo całe tygodnie później (kiedy się złożyło, że zabrałam ją do tego samego zoo). Rzadko proszono mnie o podpisanie zgody – najwyraźniej francuscy rodzice nie martwili się, że na takich wycieczkach może się zdarzyć coś nieprzewidzianego.

Kiedy grupa z lekcji tańca Bean miała występ, nie zostałam nawet wpuszczona za scenę. Dopilnowałam, żeby miała białe legginsy – to jedyne polecenie, jakie otrzymali rodzice. Ani razu nie rozmawiałam z instruktorką – komunikowała się z Bean, nie ze mną. Kiedy przyszliśmy do teatru, po prostu przekazałam Bean w ręce asystentki, która zabrała ją za kulisy.

Od tygodni Bean powtarzała mi „Nie chcę być marionetką”. Nie byłam pewna, co miała na myśli, ale zrozumiałam to, gdy tylko podniosła się kurtyna. Bean wyszła na scenę w pełnym kostiumie i makijażu razem z tuzinem innych małych dziewczynek, celowo wykonując sztywne, szarpane ruchy rękami i nogami w rytm piosenki *Marionetta*. Nie było celowe to, że dziewczynki nie potrafiły się zsynchronizować i wyglądały jak zbiegłe marionetki, które nadużyły koniaku.

Zauważyłam za to, że Bean zapamiętała cały dziesięciominutowy układ taneczny, o czym wcześniej nie wiedziałam. Kiedy wróciła zza sceny po przedstawieniu, zaczęłam się rozpląwać nad tym, jak cudownie wypadła. Ona jednak sprawiała wrażenie rozczarowanej.

– Zapomniałam, że nie powinnam być marionetką – oznajmiła.

Francuskie dzieci nie są bardziej niezależne tylko na zajęciach dodatkowych. Mają także większą autonomię w kontaktach między sobą – rodzice we Francji są mniej skory do interweniowania w kłótnie na placu zabaw czy rozsądzania sporów między rodzeństwem. Oczekują, że dzieci same rozwiążą konflikt. Szkolne boiska we Francji słyną jako areny wolnej amerykanki, którą nauczyciele na ogół obserwują z ubocza.

Kiedy pewnego popołudnia odbierałam Bean z przedszkola, przybiegła z boiska z czerwoną krechą na policzku. Skaleczenie nie było głębokie, ale krwawiło. Nie chciała mi powiedzieć, co się stało, chociaż nie sprawiała wrażenia poruszonej i raczej nic jej nie bolało. Nauczycielka nie wiedziała, co się wydarzyło. Prawie z płaczem zaczęłam wypytywać dyrektorkę, ale ona także niczego nie wiedziała. Obie wydawały się zdumione, że tak poważnie to traktuję.

Moja matka akurat była u nas z wizytą i nie mogła uwierzyć w taką nonszalancję. Powiedziała, że podobne skaleczenie w Ameryce pociągnęłoby za sobą oficjalne dochodzenie, rozmowy z rodzicami i obszerne wyjaśnienia.

Dla francuskich rodziców takie wydarzenia są nieprzyjemne, ale nie traktują ich jak szekspirowskie tragedie.

– We Francji lubimy, jeśli dzieci trochę się przepychają – powiedziała mi dziennikarka i pisarka Audrey Goutard. – To część naszego francuskiego i śródziemnomorskiego dziedzictwa. Podoba nam się, jeśli dzieci wiedzą, jak bronić swojego terytorium, i czasem kłócą się z rówieśnikami... Nie przejmujemy się pewnym poziomem przemocy wśród dzieci.

Niechęć Bean do wyjawienia przyczyn skaleczenia prawdopodobnie odzwierciedlała inny aspekt etosu autonomii. Skarżenie na inne dziecko – we Francji nazywane *rapporter contre* – jest bardzo źle widziane. Teoria głosi, że ma to swoje źródła w potępieniu śmiercionośnych donosów na sąsiadów składanych podczas drugiej wojny światowej. Na dorocznym zebraniu wspólnoty mieszkaniowej naszego domu (w której wielu członków pamiętało czasy wojenne) zapytałam, czy ktoś wie, kto przewraca nasz wózek w holu.

– Nie będziemy *rapporter* – powiedziała starsza pani, a wszyscy się roześmiali.

Amerykanie także nie lubią skarżypytów, jednak we Francji wewnętrzna siła dziecka, pozwalająca mu przecierpieć niewielkie zadrapania i trzymać buzię na kłódkę, jest uważana za ważną życiową umiejętność. Nawet w obrębie rodziny poszczególni członkowie mają prawo do własnych tajemnic.

– Możemy mieć z synem sekrety, o których nie powiemy mamie – powiedział mi Marc, francuski golfista.

Widziałam francuski film, w którym znany ekonomista musiał odebrać nastoletnią córkę z paryskiego posterunku policji po tym, jak została tam przywieziona za kradzież w sklepie i posiadanie marihuany. Po drodze do domu broniła się, że przynajmniej nie wydała koleżanki, która z nią była.

Kultura nieskarżenia buduje poczucie solidarności między dziećmi. Uczą się one polegać na sobie i kolegach, zamiast za każdym razem zwracać się o wsparcie do rodziców czy władz szkolnych. Z pewnością nie ma tu skłonności do cenienia prawdy ponad wszystko. Marc i jego amerykańska żona Robynne opowiadali mi o zdarzeniu, kiedy to ich dziesięcioletni synek Adrien zobaczył, jak inny uczeń odpala w szkole petardy. Było w tej sprawie przeprowadzane wielkie dochodzenie. Robynne zachęcała Adriena, żeby powiedział szkolnym władzom, czego był świadkiem. Marc doradzał rozważyć, na ile popularny jest tamten chłopiec i czy może stłuc Adriena.

– Należy oszacować ryzyko – powiedział Marc. – Jeśli bardziej opłaca się nic nie robić, powinien niczego nie robić. Chcę, żeby mój syn analizował sytuację.

Z naciskiem, by dzieci uczyły się pewnych rzeczy same, zetknęłam się także podczas remontu naszego mieszkania. Podobnie jak wszyscy amerykańscy rodzice chciałam, by stało się ono całkowicie bezpieczne dla dzieci. Wybrałam gumową wykładzinę do łazienki dzieci, żeby nie poślizgnęły się na mokrych kafelkach, upierałam się także, że wszystkie sprzęty kuchenne muszą mieć zamek zabezpieczający przed dziećmi, a piekarnik należy wyposażyć w nienagrzewające się drzwiczki.

Szef ekipy remontowej, Régis, bezpośredni, szelmowski gość z Burgundii, uważał, że mi odbiło. Powiedział, że jedyną metodą na „zabezpieczenie” piekarnika przed dzieckiem jest pozwolić mu dotknąć drzwiczek i przekonać się, że są gorące. Odmówił położenia gumowej wykładziny w łazience, twierdząc, że będzie okropnie wyglądać. Ustąpiłam, ale dopiero wtedy, gdy odwołał się także do wartości mieszkania w przypadku ewentualnej sprzedaży. W kwestii piecyka byłam jednak nieugięta.

Kiedy przyszłam poczytać angielską książeczkę przedszkolnej grupy Bean, przedszkolanka poprowadziła krótką lekcję angielskiego. Pokazała długopis i poprosiła dzieci, żeby powiedziały po angielsku, jakiego jest koloru. Czteroletni chłopczyk odpowiedział coś na temat swoich butów.

– To nie ma nic wspólnego z pytaniem – odparła przedszkolanka.

Byłam nieprzyjemnie zaskoczona taką reakcją. Oczekiwałam, że opiekunka pochwali dziecko, niezależnie od tego, jak bardzo nie na temat była odpowiedź. Wychowałam się w amerykańskiej tradycji, nakazującej, jak ujęła to socjolożka Anette Lareau, „traktowanie każdej myśli dziecka jako cennego wkładu”^[2]. Doceniając dzieci nawet za najbardziej niezwiązane z tematem komentarze, staramy się budować ich pewność siebie i sprawić, żeby były z siebie zadowolone.

We Francji taka metoda wychowawcza bardzo rzuca się w oczy. Zauważyłam to, kiedy zabrałam dzieci na trampoliny w Ogrodach Tuileries, niedaleko Luwru. Każde dziecko skakało na własnej trampolinie na ogrodzonym placu, a rodzice obserwowali je z ustawionych dokoła ławek. Jedna mama przyniosła sobie krzesło na plac i postawiła je tuż przy trampolinie swojego synka. Krzyczała „Hopsa!” za każdym razem, kiedy chłopiec skakał, a ja wiedziałam, nawet bez dalszego

podśluchiwania, że pochodzi z krajów anglosaskich, tak jak ja.

Byłam tego pewna, bo choć sama zdołałam się pohamować w przypadku trampolin, to czułam nieodpartą potrzebę krzyczenia „Łiii!” za każdym razem, kiedy któreś z moich dzieci zjeżdżało na zjeżdżalni. To była skrócona forma powiedzenia: „Widzę, jak to robisz! Podoba mi się to! Jesteś świetny!”. Podobnie wychwalałam nawet najgorszy ich rysunek czy inną pracę plastyczną – czułam, że muszę to robić, żeby wzmacniać ich poczucie własnej wartości.

Francuskim rodzicom także zależy na tym, żeby ich dzieci były zadowolone z siebie i czuły się *bien dans leur peau* („dobrze we własnej skórze”), ale osiagają to w inny sposób. Do pewnego stopnia stanowi on przeciwieństwo strategii amerykańskiej – zakłada, że pochwały nie zawsze są potrzebne.

Francuzi są zdania, że dziecko będzie pewne siebie, jeśli potrafi robić różne rzeczy samo i potrafi je zrobić dobrze. Kiedy dzieci uczą się mówić, dorośli nie chwalą ich za każde wypowiedziane zdanie. Chwalą je, jeśli powiedzą coś ciekawego albo ładnie się wysłowią. Socjolożka Raymonde Carrol napisała, że francuscy rodzice chcą, by ich dzieci umiały „dobrze się bronić” werbalnie. Cytowała rozmówcę, który stwierdził: „We Francji, jeśli dziecko ma coś do powiedzenia, inni go słuchają. Nie może jednak zwlekać zbyt długo, ponieważ nie zatrzyma uwagi słuchaczy. Jeśli się ociąga, rodzina skończy myśl za nie. To wyrabia w nim nawyk lepszego formułowania wypowiedzi, zanim jeszcze się odezwie. Dzieci uczą się mówić szybko i ciekawie”.

Nawet jeśli francuskie dzieci mówią interesujące rzeczy – albo po prostu udzielają prawidłowej odpowiedzi – dorośli są zdecydowanie powściągliwi w pochwałach. Nie zachowują się, jakby każde dobrze wykonane zadanie było powodem do mówienia „dobra robota”. Kiedy zabrałam Bean na wizytę kontrolną do państwowej kliniki zdrowotnej, lekarka pediatra poprosiła ją, żeby ułożyła układankę z drewnianych klocków. Kiedy Bean skończyła, lekarka spojrzała na układankę i zrobiła coś, do czego ja byłabym organicznie niezdolna – właściwie nie zareagowała. Mruknęła najcichsze *bon*, które oznaczało raczej „przejdźmy dalej” niż „dobrze”, a potem kontynuowała badanie.

Nauczyciele i opiekunowie we Francji nie tylko nie chwalą rutynowo samych dzieci, ale – ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu – nie chwalą ich także przy rodzicach. Miałam nadzieję, że było to tylko dziwactwo ponurej przedszkolanki opiekującej się pierwszozroczną grupą Bean. W następnym roku mała miała dwie inne przedszkolanki. Jedną z nich była młoda, dynamiczna, niesamowicie ciepła Marina, z którą Bean nawiązała doskonały kontakt. Kiedy jednak zapytałam ją o postępy Bean, Marina odpowiedziała, że moja córka jest *très compétente*. (Wpisałam to w Tłumacza Google, żeby sprawdzić, czy nie umknął mi jakiś niuans słówka *compétente*, sugerujący geniusz. Ale nie, znaczyło ono po prostu „kompetentna”).

Dobrze, że moje oczekiwania były odpowiednio niskie, kiedy w połowie semestru Simon i ja spotkaliśmy się z drugą opiekunką Bean, Agnès. Ona także była urocza i troskliwa, ale również miała wyraźne opory przed szczegółowym omawianiem postępów Bean czy wygłaszaniem jakichkolwiek opinii na jej temat. Powiedziała po prostu: „Wszystko jest w porządku”. Potem pokazała nam jeden arkusz zadań – z tuzinów wykonywanych – z którego wypełnieniem Bean miała problemy. Wyszłam z tego spotkania, nie mając pojęcia, jak Bean wypada na tle rówieśników.

Byłam poirytowana, że Agnès nie wspomniała o niczym, co Bean zrobiła dobrze. Simon przypomniał, że we Francji rola wychowawców nie na tym polega – zadaniem Agnès było odkrycie problemów. Jeśli dziecko ma z czymś trudności, rodzice powinni o tym wiedzieć. Jeśli dziecko sobie radzi, nie ma o czym mówić.

Ta koncentracja na negatywnym przekazie, zastępująca podbudowywanie morale dzieci – i rodziców – za pomocą pozytywnych sygnałów, jest dobrze znaną (i często krytykowaną) cechą

francuskich szkół. W zasadzie nie da się uzyskać najwyższej liczby punktów na francuskim *baccalauréat*, egzaminie kończącym szkołę średnią. Zdobyć czternastu na dwadzieścia punktów jest uważane za wynik doskonały, a szesnaście na dwadzieścia jest prawie równoważne z bezbłędną odpowiedzią^[3].

Za pośrednictwem wspólnych znajomych poznałam Benoîta, ojca dwójki dzieci i profesora na jednym z elitarnych francuskich uniwersytetów. Jego syn, licealista, uczył się doskonale, ale najbardziej pozytywnym komentarzem, jaki nauczyciel kiedykolwiek napisał na jednej z jego prac, było *des qualités* („pewne zalety”). Zdaniem profesora nauczyciele we Francji często nie oceniają dzieci według krzywej Gaussa, ale raczej porównują je z praktycznie nieosiągalnym ideałem^[4]. Nawet w przypadku wyróżniającej się pracy „francuska metoda polega na powiedzeniu: «dobrze, nieźle, ale to i to, i to, i to jest niepoprawnie»”.

Benoît przyznał, że na poziomie liceum nie przywiązuje się już większej wagi do wyrażania przez uczniów własnych odczuć i opinii. „Jeśli powiesz: «Podoba mi się ten wiersz, ponieważ przypomina mi o własnych doświadczeniach», to będzie całkowicie zła odpowiedź. W szkole średniej uczą cię rozumowania. Nie masz być kreatywny, masz się wyrażać przejrzyście”.

Kiedy Benoît wykładał przez pewien czas na Uniwersytecie Princeton, był zdumiony, kiedy studenci oskarżyli go o zbyt surowe ocenianie. „Nauczyłem się, że trzeba powiedzieć coś pozytywnego nawet o najgorszych esejach” – wspominał. W jednym przypadku musiał uzasadnić nawet wystawienie studentowi trójki. I odwrotnie – słyszałam, że rodzice zaczęli skarżyć się na Amerykankę uczącą angielskiego we francuskim liceum, ponieważ przyznawała osiemnaście i dwadzieścia punktów na dwadzieścia możliwych do zdobycia. Doszli bowiem do wniosku, że lekcje są zbyt łatwe, a stopnie „fałszywe”.

Cały ten krytycyzm może onieśmielać dzieci. Moja przyjaciółka, która przed przeprowadzką do Chicago chodziła do szkoły we Francji, wspominała swoje zaskoczenie, gdy amerykańscy uczniowie zabierali na lekcjach głos z dużą pewnością siebie. Inaczej niż w jej szkole francuskiej uczniowie nie byli natychmiast krytykowani, jeśli powiedzieli coś nie tak albo zadali głupie pytanie. Inna znajoma, francuska lekarka z Paryża, opowiadała mi podekscytowana o prowadzonych przez Amerykankę zajęciach jogi, na które się zapisała. „Cały czas mi powtarza, jak świetnie sobie radzę i jaka jestem piękna!” – powiedziała o instruktorce. Prawdopodobnie przez wszystkie lata edukacji we francuskich szkołach nie usłyszała tylu pochwał.

Francuscy rodzice na ogół udzielają dzieciom znacznie większego wsparcia duchowego niż nauczyciele. Chwalą dzieci i przekazują im pozytywne sygnały, ale mimo to nie nadużywają pochwał w takim stopniu jak Amerykanie.

Zacząłam podejrzewać, że mogą mieć rację, zachowując większą powściągliwość w chwaleniu. Niewykluczone, że wszystkie te małe ukłucia przyjemności, jakie dzieci odczuwają za każdym razem, gdy dorosły powie „dobra robota”, mogą – jeśli pojawiają się zbyt często – po prostu uzależnić je od pozytywnych sygnałów. Po pewnym czasie dzieci zaczynają potrzebować aprobaty drugiej osoby, żeby czuć się zadowolone z siebie. A jeśli mają pewność, że zostaną pochwalone niezależnie od tego, co zrobią, nie muszą specjalnie się starać. Tak czy inaczej zawsze słyszą pochwałę.

Ponieważ jestem Amerykanką, w pełni przekonały mnie dopiero badania naukowe. Pochwały okazały się kolejną dziedziną, w której francuscy rodzice – dzięki tradycji i intuicji – robią dokładnie to, co zalecają wyniki najnowszych opracowań fachowych.

W wydanej w 2009 roku książce *Rewolucja w wychowaniu (NurtureShock)* Po Bronson i Ashley

Merryman napisali, że powszechne dawniej przekonanie, iż „pochwała, samoocena i wyniki jednocześnie rosną i opadają” zostało podważone przez nowe badania. Jak stwierdzono, „nadmierna liczba pochwał (...) zaburza motywację dziecka; zaczyna ono wykonywać zadania tylko po to, żeby usłyszeć pochwałę, tracąc z oczu wewnętrzną przyjemność”.

Bronson i Merryman powoływali się na badania wykazujące, że kiedy często chwaleni uczniowie trafiają do college’u, stają się „niechętni do podejmowania ryzyka i brak im wyczuwalnej autonomii”. Tacy studenci „często wolą zrezygnować z zajęć, niż cierpieć przeciętne oceny, mają też poważne problemy z wyborem głównego kierunku nauki. Obawiają się poświęcić jakiegś dziedzinie, ponieważ mogliby nie odnieść w niej sukcesu”^[5].

Te same badania obalają też amerykańskie przekonanie, że jeśli dziecku coś się nie powiedzie, rodzice powinni złagodzić cios za pomocą pozytywnych sygnałów. Lepszym podejściem jest delikatna próba zgłębienia, co poszło nie tak, dająca dziecku pewność siebie i umożliwiającą poprawę wyników. Francuskie szkoły mogą być trochę surowe, szczególnie w starszych klasach. Nauczycielki Bean postępowały jednak dokładnie tak samo i z pewnością odzwierciedlało to poglądy francuskich rodziców.

Wydaje się, że Francuzi radzą sobie z wychowaniem dzieci, wykorzystując coś w rodzaju naukowej metody polegającej na stałym testowaniu różnych sposobów. Na ogół nie robią na nich wrażenia teorie dotyczące tego, co powinno działać w przypadku ich dzieci, wiedzą natomiast doskonale, co faktycznie działa. Doszli do wniosku, że pewna dawka pochwał jest dobra dla dziecka, ale jeśli chwali się je zbyt często, nie pozwala się mu wieść własnego życia.

W zimowe ferie zabrałam Bean do Stanów Zjednoczonych. Na spotkaniu rodzinnym urządziła jednoosobowe przedstawienie, polegające głównie na udawaniu nauczycielki i wydawaniu dorosłym poleceń. Było to urocze, ale szczerze mówiąc, nie jakieś nadzwyczajnie pomysłowe. Tymczasem stopniowo wszyscy zebrani dorośli przyszli się przypatrywać i komentowali, jaka cudowna jest Bean. (Była na tyle sprytna, żeby wtrącać francuskie zdania i piosenki, ponieważ to zawsze robiło wrażenie).

Kiedy przedstawienie się skończyło, Bean promieniała i pławiła się w pochwałach. Pomyślałam, że to dla niej najlepsza chwila tej wizyty. Ja również promieniałam – interpretowałam pochwały dla Bean jako pochwały dla mnie, których rozpaczliwie brakowało mi we Francji. Przez cały obiad wszyscy rozmawiali – tak żebyśmy obie słyszały – o tym, jakie świetne to było przedstawienie.

Na wakacjach sprawdziło się to doskonale, ale nie jestem pewna, czy chciałabym, żeby Bean bezustannie słyszała tego rodzaju bezwarunkowe pochwały. Z takiej przyjemności wyraźnie wynikały inne rzeczy, na przykład przyzwolenie, żeby dziecko bezustannie przerywało rozmowę, ponieważ przepełnia je poczucie własnej wartości. Wszystko to mogłoby również rozstroić wewnętrzną skalę Bean, mówiąc jej, co jest naprawdę zabawne, a co nie.

Przyjęłam do wiadomości, że jeśli zostaniemy we Francji, moje dzieci prawdopodobnie nigdy nie nauczą się strzelać z łuku. (Niech Bóg broni, żeby zaatakowali ich kiedykolwiek osiemnastowieczni Indianie). Udało mi się nawet powściągnąć trochę moje pochwały, ale dostosowanie się do nadrzędnego francuskiego wymogu autonomii było znacznie trudniejsze. Wiedziałam oczywiście, że życie emocjonalne dzieci jest odrębne od mojego i że nie mogę stale chronić ich przed odrzuceniem i rozczarowaniem. Mimo to idea, że one mają własne życia, a ja mam własne, nie znajdowała odzwierciedlenia na mojej emocjonalnej mapie. A może po prostu nie pasowała do moich potrzeb emocjonalnych?

Mimo to musiałam przyznać, że moje dzieci wydają się najszczęśliwsze, kiedy im ufam i czują, że

mogą coś zrobić same. Nie daję im noży i nie mówię, żeby pokroiły sobie arbuza – zazwyczaj wiedzą, co wykracza poza ich możliwości. Ale pozwalam im podejmować niewielkie ryzyko, nawet jeśli chodzi tylko o zanieśenie na stół mogącego się stłuc talerza. Po takich małych sukcesach są spokojniejsze i szczęśliwsze. Dolto bez cienia wątpliwości miała rację, pisząc, że autonomia jest jedną z najbardziej podstawowych potrzeb dziecka.

Mogła mieć także rację, twierdząc, że sześć lat to wiek przełomowy. Pewnego wieczora zachorowałam nagle na grypę i budziłam kaszlem Simona, więc w środku nocy przeniosłam się na kanapę. Kiedy dzieci koło wpół do ósmej rano wmaszerowały do salonu, ledwie mogłam się ruszać. Nie zajęłam się jak zwykle przygotowywaniem śniadania.

Zrobiła to Bean. Leżałam na kanapie w opasce na oczy, a z kuchni dobiegały odgłosy jej krzątania – słyszałam, jak otwiera szuflady, nakrywa do stołu i wyjmuję mleko i płatki śniadaniowe. Miała pięć i pół roku i przejęła moje obowiązki, a nawet scedowała część z nich na Joeya, który rozkładał sztućce.

Po kilku minutach Bean podeszła do kanapy. „Śniadanie jest gotowe, ale musisz zrobić kawę” – powiedziała. Była spokojna i pełna satysfakcji, a mnie uderzyło to, jak szczęśliwa – albo raczej jak bardzo *sage* – poczuła się dzięki samodzielności. Nie chwaliłam jej ani nie zachęcałam – po prostu zrobiła coś nowego dla siebie, czego mogłam być świadkiem, i z tego powodu była z siebie bardzo zadowolona.

Koncepcja Dolto, że jeśli okażę dzieciom zaufanie i szacunek, one także będą darzyć mnie zaufaniem i szacunkiem, jest bardzo kusząca. W gruncie rzeczy przynosi ulgę. Węzeł wzajemnej zależności i niepokoju, często pętający amerykańskich rodziców i dzieci, wydaje się czasem nieunikniony, ale nigdy nie jest przyjemny. Nie sprawia wrażenia czegoś, na czym można budować najlepsze metody wychowawcze.

Pozwolenie dzieciom na „własne życie” nie polega na wypuszczeniu ich gdzieś w dziczy albo porzuceniu (nawet jeśli tak postrzegałam francuskie wycieczki szkolne). Chodzi o przyjęcie do wiadomości tego, że dzieci nie są pojemnikami na ambicje rodziców ani projektem, który rodzice starają się doskonalić. Są odrębne i uzdolnione, mają własny gust, przyjemności i doświadczenia życiowe. Mają nawet własne sekrety.

Moja przyjaciółka Andi ostatecznie pozwoliła synkowi jechać na wycieczkę na słone bagna. Powiedziała, że wrócił zachwycony – najwyraźniej nie potrzebował być opatulany każdego wieczora, to ona potrzebowała go opatulać. Kiedy przyszła pora, żeby jej młodszy syn zaczął wyjeżdżać na te same wycieczki, po prostu go puściła.

Może przywyknę do wycieczek, chociaż na razie nie zapisałam Bean na żadną z nich. Moja przyjaciółka Esther zaproponowała, że wyślemy nasze córki razem na kolonie w przyszłe wakacje, kiedy będą miały po sześć lat. Trudno mi to sobie wyobrazić. Chcę, żeby moje dzieci były samodzielne, odporne na stres i szczęśliwe, ale nie chcę jeszcze wypuszczać ich ręki.



Przyszłość po francusku

Moja matka w końcu zaakceptowała fakt, że dzieli nas od niej ocean. Zaczęła się nawet uczyć francuskiego, chociaż nie idzie jej to tak dobrze, jak by chciała. Amerykańska znajoma, która mieszkała w Panamie, ale słabo mówiła po hiszpańsku, podzieliła się swoją techniką: mówiła zdanie po hiszpańsku w czasie teraźniejszym, a potem wykrzykiwała nazwę potrzebnego czasu. „Idę do sklepu... *pasado!*” obwieszczało, że była w sklepie. „Idę do sklepu... *futuro!*” znaczyło, że wybierze się później.

Zabroniłam mamie to robić, kiedy przyjechała z wizytą. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że miałam reputację, o którą powinnam dbać. Trójka moich dzieci chodziła do pobliskiego przedszkola, a ja utrzymywałam luźną znajomość z okolicznymi sprzedawcami ryb, krawcami i właścicielami kafejek. Paryż w końcu zaczęło obchodzić to, że tu mieszkam.

Nadal nie jestem zauroczona tym miastem. Męczą mnie skomplikowane zasady mówienia *bonjour* i używanie zdystansowanego *vous* wobec wszystkich z wyjątkiem najbliższych przyjaciół i rodziny. Życie we Francji wydaje mi się troszkę zbyt sformalizowane i nie służy mojej wrodzonej swobodzie. Uświadomiłam sobie, jak bardzo się zmieniłam, kiedy pewnego ranka w metrze instynktownie odsunęłam się od mężczyzny siedzącego obok jedyne wolnego miejsca, ponieważ odniosłam wrażenie, że jest chory umysłowo. Kiedy się nad tym zastanowiłam, okazało się, że jedynym dowodem jego niesprawności intelektualnej było to, że miał na sobie szorty.

Mimo wszystko jednak Paryż stał się dla mnie domem. Jak mówią Francuzi, „znalazłam swoje miejsce”. Na pewno pomogło mi, że znalazłam także wspaniałych przyjaciół – okazało się, że skrywające się za lodowatą fasadą paryżanki także potrzebują wzajemnego wsparcia i potakiwania. Zdarza się nawet, że ukrywają lekki cellulitis. Te przyjaźnie zmieniły mnie w prawdziwą frankofonkę – często z zaskoczeniem uświadamiałam sobie w środku rozmowy, że z moich ust padają spójne francuskie zdania.

Niezwykłe było także obserwowanie, jak moje dzieci stają się dwujęzyczne. Pewnego rana, kiedy się ubierałam, Leo wskazał mój stanik.

– Co to jest? – zapytał.

– *A bra* („stanik”) – odparłam.

Natychmiast wskazał swoje ramię, a ja dopiero po kilku sekundach zorientowałam się, że francuskie słowo *bras* (z niemym „s”) oznaczało „ramię”. Musiał nauczyć się tego słowa w żłobku. Przepytałam go i odkryłam, że znał francuskie nazwy większości części ciała.

Tym, co naprawdę związało mnie z Francją, było odkrycie mądrości francuskiego sposobu wychowywania dzieci. Nauczyłam się, że są one zdolne do samodzielności i rozsądku w stopniu, jakiego – jako amerykańska matka – nie potrafiłabym sobie wyobrazić. Będę o tym pamiętać, także jeśli zamieszkamy gdzieś indziej.

Oczywiście niektóre zasady łatwiej jest wprowadzać w życie, mieszkając we Francji. Kiedy inne dzieci nie dostają smakołyków na placu zabaw, łatwiej jest nie dawać ich swoim. Łatwiej także

określać granice zachowania dzieci, kiedy wszyscy wokół przestrzegają mniej więcej tych samych reguł (często pytałam Bean: „Czy pozwoliliby ci na to w przedszkolu?”).

Duża część „francuskich” metod wychowawczych nie zależy jednak od miejsca zamieszkania i nie wymaga dostępności określonego gatunku sera. Jest tak samo wykonalna w Cleveland, jak i w Cannes – zazwyczaj wymaga od rodziców, żeby zaczęli inaczej postrzegać relację z dzieckiem i oczekiwania wobec niego.

Przyjaciele często pytają, czy wychowuję dzieci bardziej na Francuzów czy Amerykanów. Kiedy wychodzę z nimi z domu, zazwyczaj myślę, że są gdzieś pomiędzy – zachowują się niegrzecznie w porównaniu ze znanymi mi dziećmi francuskimi i wyjątkowo grzecznie w porównaniu z amerykańskimi.

Nie zawsze mówią *bonjour* i *au revoir*, ale wiedzą, że powinny to robić. Jak prawdziwa francuska matka za każdym razem im o tym przypominam. Zaczęłam to uważać za część długoterminowego procesu *éducation*, w którego ramach będą się uczyć coraz większego szacunku dla innych ludzi, a także czekania. *Éducation* pomału przynosi efekty.

Ja nadal dążę do francuskiego ideału: naprawdę słuchać swoich dzieci, ale nie mieć poczucia, że należy im ulegać^u. W trudnych chwilach oznajmiam: „To ja decyduję”, przypominając o tym wszystkim. Uważam, że moim zadaniem jest uchronienie dzieci przed pochłonięciem przez ich własne pragnienia. Staram się jednak mówić „tak”, gdy tylko jest to możliwe.

Simon i ja przestaliśmy się zastanawiać, czy zostaniemy we Francji. Jeśli tak się stanie, nie wiem, co dla naszych dzieci szykuje przyszłość. Kiedy francuskie dzieci stają się nastolatkami, rodzice dają im naprawdę mnóstwo swobody i jako oczywiste traktują ich prawo do prywatności, a nawet do życia erotycznego. Być może właśnie to sprawia, że nastolatki mają mniej powodów, żeby się buntować.

Francuskie nastolatki wydają się łatwiej akceptować to, że *maman* i *papa* także mają prawo do prywatności. Ostatecznie ich rodzice zawsze zachowują się, jakby tak było, ich życie nie obraca się wyłącznie wokół dzieci. Tutejsze dzieci oczywiście planują w pewnym momencie wyprowadzkę z domu, ale jeśli Francuz po dwudziestce nadal mieszka z rodzicami, nie jest to tak upokarzające jak w Ameryce. Rodzice i dzieci potrafią pozwolić sobie nawzajem na własne życie.

W wakacje, zanim Bean poszła do zerówki, uświadomiłam sobie, że francuskie metody wychowawcze stały się moją drugą naturą. Praktycznie wszyscy jej francuscy koledzy spędzali kilka tygodni wakacji u dziadków, postanowiłam więc, że wyślemy Bean do babci do Miami. Moja mama odwiedzała nas akurat w Paryżu, mogły więc polecieć razem.

Simon był temu przeciwny. A jeśli Bean zacznie okropnie tęsknić za domem, a nas będzie oddzielał od niej ocean? Znalazłam dla niej letni kurs nauki pływania, ale z powodu wyjazdu musiałyby zacząć na niego chodzić w połowie. Czy nie będzie jej wtedy trudno nawiązać nowe znajomości? Zaproponował, żebyśmy poczekali rok, aż będzie starsza.

Bean uważała jednak, że wyjazd do Stanów to wspaniały pomysł. Oznajmiła, że poradzi sobie, jeśli zostanie z babcią, i że cieszy się na ten kurs. Simon w końcu wyraził zgodę, być może kalkulując, że jeśli Bean wyjedzie, będzie mógł spędzać więcej czasu w kawiarniach. Ja miałam polecieć do Miami i zabrać ją do domu.

Udzieliłam matce tylko kilku instrukcji: zero wieprzowiny, dużo emulsji przeciwsłonecznej. Bean i ja spędziłyśmy tydzień na wybieraniu zawartości jej bagażu podręcznego do samolotu. Przeżyłyśmy chwilę smutku, kiedy obiecałam, że będę dzwonić codziennie.

Tak też robiłam. Ale kiedy tylko Bean przybyła do Miami, całkowicie pochłonięła ją ta nowa

przygoda i nie chciała rozmawiać przez telefon dłużej niż minutę czy dwie. Musiałam polegać na raportach składanych przez mamę i jej przyjaciółki. Jedna z nich napisała do mnie w e-mailu: „Jadła z nami dzisiaj wieczorem sushi, uczyła nas trochę francuskiego, opowiedziała o palących problemach jej przedszkolnych kolegów i poszła spać szeroko uśmiechnięta”.

Po zaledwie kilku dniach angielski Bean – który miał tajemniczy środkowoatlantycki akcent z naleciałością brytyjską – zaczął brzmieć całkowicie amerykańsko. Wymawiała *car* (samochód) z długim, płaskim „arh”. Umiała jednak wykorzystać swój status emigrantki. Mama opowiadała, że kiedy słuchały w samochodzie jej taśm do nauki języka, Bean oznajmiła: „Ten pan nie zna francuskiego”.

Bean była ciekawa, co się dzieje w Paryżu pod jej nieobecność. „Czy tata zrobił się gruby? Czy mama zrobiła się stara?” – pytała nas zaledwie po tygodniu. Mama doniosła, że Bean cały czas opowiadała wszystkim, kiedy przylecę do Miami, jak długo zostanę i dokąd wybierzemy się potem. Dokładnie tak, jak przewidziała Françoise Dolto, potrzebowała zarówno niezależności, jak i racjonalnego wytłumaczenia świata.

Kiedy opowiadałam znajomym o wyjeździe Bean, ich reakcje zależały bezpośrednio od przynależności narodowej. Mieszkańcy Ameryki Północnej mówili, że Bean jest „odważna”, i pytali, jak sobie radzi z separacją. Żadne z nich nie wysłałoby dziecka w tym wieku na dziesięć dni do dziadków, a już na pewno nie za ocean. Francuscy znajomi zakładali jednak, że krótka rozłąka wyjdzie wszystkim na dobre. Uważali za oczywiste, że Bean dobrze się bawi sama, podczas gdy ja cieszę się zasłużonym odpoczynkiem.

Im bardziej niezależne stają się dzieci, tym lepiej ja i Simon się dogadujemy. On wciąż bywa nerwowy, a ja wciąż działam na nerwy, uznał jednak, że może się czasem rozchmurzyć i przyznać, że dobrze mu w moim towarzystwie. Bywa nawet, że śmieje się z moich żartów. Co dziwne, uważa poczucie humoru Bean za komiczne.

– Kiedy się urodziłaś, myśleliśmy, że jesteś małpką – powiedział jej żartobliwie pewnego ranka.

– Wiesz, kiedy ty się urodziłeś, myśleliśmy, że jesteś *caca* – odparła.

Simon uśmieł się z tego prawie do łez. Najwyraźniej ja nigdy nie sięgnęłam po jego ulubiony typ humoru: surrealizm skatologiczny.

Nie zaczęłam opowiadać toaletowych żartów, ale udało mi się pójść na pewne ustępstwa. Mniej komenderuję Simonem, nawet jeśli wstaję rano i widzę, że daje dzieciom niewstrząśnięty sok pomarańczowy. Doszłam do wniosku, że Simon, podobnie jak one, potrzebuje autonomii, a jeśli dla mnie oznacza to szklankę pełną owocowej pulpy, niech i tak będzie. Nie pytam go już, o czym myśli. Nauczyłam się szanować – i doceniać – pewne prawo do tajemnicy w małżeństwie.

W ostatnie wakacje pojechaliśmy do tego samego nadmorskiego miasteczka, w którym po raz pierwszy zwróciłam uwagę na francuskie dzieci jedzące spokojnie w restauracji. Tym razem zamiast jednego dziecka mieliśmy ze sobą trójkę, a zamiast męczyć się w hotelu, rozsądnie wynajęliśmy letnią willę z kuchnią.

Pewnego popołudnia zabraliśmy dzieci na obiad do restauracji niedaleko portu. Był to jeden z tych idyllicznych francuskich letnich dni, kiedy bielone domy lśniły w mocnym słońcu. I o dziwo, cała nasza piątka mogła się nim cieszyć. Zamówiliśmy spokojnie kilkudaniowy obiad. Dzieci siedziały w fotelikach i z apetytem jadły wszystko, łącznie z rybą i warzywami. Nic nie wylądowało na podłodze. Musiałam wygłosić kilka łagodnych napomnień i na pewno nie było to tak relaksujące, jak obiad we dwoje z Simonem, ale naprawdę czułam, że jesteśmy na wakacjach. Wypiliśmy nawet poobiednią kawę.



Podziękowania

Jestem niezwykle wdzięczna mojej agentce, Suzanne Gluck, a także Ann Godoff i Virginii Smith z Penguin Press.

Składam gorące podziękowania Sapnie Gupcie za wnikliwe przeczytanie manuskryptu. Adam Kuper służył mi radą i zachętą, kiedy ich najbardziej potrzebowałam. Pauline Harris udzieliła fachowej pomocy w zbieraniu materiałów. Ken Druckerman nie tylko komentował pierwsze rozdziały, ale także odbierał w moim imieniu paczki.

Merci oddziałowi matek-czytelniczek: Christine Tacconet, Brooke Pallot, Dietlind Lerner, Amelii Relles, Sharon Galant i bohaterkiej Hannah Kuper, która czytała rozdział o ciąży, mając skurcze porodowe.

Za ogólne wsparcie, często przejawiające się posiłkiem lub udzieleniem schronienia, dziękuję Scottowi Wengerowi, Joanne Feld, Adamowi Ellickowi, Jeffreyowi Sumberowi, Kari Snick, Patrickowi Weilowi, Lithe Sebeście, Adelyn Escobar, Shanie Druckerman, Marshy Druckerman, Steve'owi Fleischerowi oraz Nancy i Ronaldowi Gellesom. Dziękuję Benjaminowi Bardowi i znajomym z *rue Bleue* za towarzystwo, porady wychowawcze i uczenie mnie, jak cieszyć się obiadem.

Jestem dłużniczką wielu francuskich rodzin, które wpuściły mnie do swoich domów, i ludzi, którzy przedstawiali mnie swoim znajomym: Valerie Picard, Cécile Agon, Hélène Toussaint, Williama Oiry'ego, Véronique Bouruet-Aubertot, Gail Negbaur, Lucie Porcher, Emilie Walmsley, Andrei Ipaktchi, Jonathana Rossa, Robynne Pendariès, Benamina Benity i Laurence Kalmanson. Dziękuję żłobkowi Cour Debille i żłobkowi Enfance et Découverte, szczególnie Marie-Christine Barison, Anne-Marie Legendre, Sylvie Metay, Didier Trillot, Alexandre Van-Kersschaver i Fatimie Abdullarif. Szczególną wdzięczność wyrażam rodzinie Fanny Gerbet.

Znacznie łatwiej pisać książkę o rodzicielstwie, kiedy ma się szczęście być dzieckiem nadzwyczajnych rodziców – Bonnie Green i Henry'ego Druckermana. To również dar niebios być żoną kogoś, kto jest lepszy ode mnie w rzeczach, które robię. Nie napisałabym tej książki bez wsparcia i tolerancji mojego męża, Simona Kupera. Krytykował wszystkie kolejne wersje, a dzięki temu sprawiał, że stawałam się lepszą pisarką.

Na koniec dziękuję Leo, Joelowi i Leili. To właśnie tym mama zajmowała się w pracy! Mam nadzieję, że pewnego dnia uznacie, że było warto.

Objaśnienia

Francuskie dzieci nie rzucają jedzeniem

[1] Według badania przeprowadzonego w 2002 r. przez International Social Survey Program 90 procent dorosłych Francuzów zgadza się lub stanowczo zgadza się ze stwierdzeniem: „Obserwowanie dorastania dzieci to największe szczęście w życiu”. W Stanach Zjednoczonych takiej odpowiedzi udzieliło 85,5 procent respondentów, w Wielkiej Brytanii – 81,1 procent.

[a] Objasnienia pochodzące od autorki znajdują się [tutaj](#).

[b] Pejoratywne określenie nadopiekuńczych rodziców, którzy stale nadzorują dziecko („wiszą” nad nimi jak helikopter) (przyp. tłum.).

[2] Joseph Epstein, *The Kindergarchy: Every Child a Dauphin*, „Weekly Standard” 2008, 9 czerwca. Najprawdopodobniej to Epstein ukuł termin *kindergarchy* – „dzieciokracja”.

[3] Judith Warner opisywała to w *Perfect Madness: Motherhood in the Age of Anxiety*, Riverhead Books, Nowy Jork 2005.

[4] Zgodnie z przedstawionym przez FBI Uniform Crime Report wskaźnik przestępstw z użyciem przemocy w Stanach Zjednoczonych spadł w latach 1991–2009 o 43 procent.

[5] Alan B. Krueger, Daniel Kahneman, Claude Fishler, David Schkade, Norbert Schwarz i Arthur A. Stone, *Time Use and Subjective Well-Being in France and the U.S.*, „Social Indicators Research” 2009, nr 93, s. 7–18.

[c] Słowniczek terminów używanych przez francuskich rodziców znajduje się [tutaj](#).

[6] Zgodnie z danymi Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (Organisation for Economic Co-operation and Development – OECD) za 2009 r. współczynnik urodzeń we Francji wynosi 1,99 na kobietę, w Belgii – 1,83, we Włoszech – 1,41, w Hiszpanii – 1,4, a w Niemczech – 1,36.

Rozdział 2. Bekający Paryż

[1] Według raportu *Women on the Front Lines of Health Care: State of the World's Mothers 2010*, opublikowanego w 2010 r. przez organizację Save the Children. Dane pochodzą z dodatku do raportu, zatytułowanego *The Complete Mothers' Index 2010*.

[d] Fernand Lamaze (1891–1957) – francuski pediatra, popularyzator psychoprofilaktycznej techniki łagodzenia bólu podczas porodu, nazwanej metodą Lamaze’a (przyp. red.).

[2] „Maman”, dział „Top des Maternités”, http://www.maman.fr/top_des_maternites-1-1.html.

[e] *bean* – oznacza po angielsku m.in. dziecięcy czepek (przyp. tłum.)

Rozdział 3. Bezsenne noce

[1] Jodi A. Mindell i in., *Behavioral Treatment of Bedtime Problems and Night Wakings in Young Children: An American Academy of Sleep Medicine Review*, „Sleep” 2006, nr 29, s. 1263–1276.

[2] Teresa Pinella i Leann L. Birch, *Help Me Make It Through the Night: Behavioral Entrainment of Breast-Fed Infants' Sleep Patterns*, „Pediatrics” 1993, nr 91 (2), s. 436–443.

Rozdział 4. Zaczekaj!

[1] Eksperymenty Mischela zostały zrelacjonowane przez Jonaha Lehrera w „The New Yorker” z 18 maja 2009 r.

[2] Walter Mischel zauważa, że nawet jeśli francuskie dzieci potrafią czekać, nie oznacza to, że odniosą sukces w dorosłym życiu, ponieważ ma na to wpływ także wiele innych czynników. Z kolei Amerykanie, choć zazwyczaj nie oczekują od małych dzieci cierpliwości, zakładają, że zdobędą one tę umiejętność na późniejszym etapie życia. „Uważam, że niezdyscyplinowane dziecko nie musi stać się niezdyscyplinowanym dorosłym” – powiedział Mischel. „To, że dziecko w wieku siedmiu czy ośmiu lat rzuca w restauracji jedzeniem (...), nie znaczy, że to samo dziecko piętnaście lat później nie zostanie doskonałym biznesmenem, naukowcem, nauczycielem czy kimkolwiek innym”.

[3] Mischel zauważył, że dzieci potrafią błyskawicznie nauczyć się zajmować czymś swoją uwagę. W kolejnym teście cukierka prowadzący eksperyment zapowiadał dzieciom, że zamiast myśleć o cukierku, powinny myśleć o czymś przyjemnym, na przykład o tym, że „huśtają się na huśtawce, popychane przez mamę”, albo udawać, że cukierek jest tylko na obrazku. To polecenie wyraźnie wydłużało całkowity czas oczekiwania, mimo że dzieci świadomie próbowały się w ten sposób oszukiwać. Gdy tylko prowadzący eksperyment wracał do pomieszczenia, dzieci, które przez kwadrans pracowicie zajmowały się czymś innym, rzucały się na cukierek.

[4] Jennifer Steinhauer, *Snack Time Never Ends*, „New York Times” 2010, 20 stycznia.

[5] Marie-Anne Suizzo, *French and American Mothers' Childrearing Beliefs: Stimulating, Responding, and Long-Term Goals*, „Journal of Cross-Cultural Psychology” 2004, nr 35 (5), wrzesień, s. 606–626.

[6] National Institute of Child Health & Human Development (NICHD), *Study of Early Child Care and Youth Development, 1991–2007*, <http://www.nichd.nih.gov/research/supported/seccyd/overview.cfm#initiating>.

[7] Badanie przeprowadzone w 2006 r. na białych parach kanadyjskich z klasy średniej wykazało, że kiedy dzieci są w pobliżu – czyli bardzo często – rodzice nie są w stanie spędzać razem satysfakcjonująco czasu. Jeden z respondentów powiedział, że kiedy rozmawia z żoną, dzieci „przerywają im co kilka minut”. Autorzy podsumowują: „Aby doświadczyć bycia we dwoje, para musi po prostu uciec od dzieci”. Vera Dyck i Kerry Daly, *Rising to the Challenge: Fathers' Role in Negotiation of Couple Time*, „Leisure Studies” 2006, nr 25 (2), s. 201–217.

[8] Chodzi o Christine Brunet, cytowaną w „Journal des Femmes” z 11 lutego 2005 r.

[9] Anne-Catherine Pernot-Masson, cytowana w poradniku *Twoje dziecko*.

Rozdział 5. Malutki człowiek

[1] Elisabeth Badinter, *L'Amour en Plus: Histoire de l'amour maternel*, Flammarion, Paryż 1980, s. 56–63.

[2] *ibidem*.

[3] *ibidem*.

[4] Marie-Anne Suizzo, *French and American Mothers' Childrearing Beliefs: Stimulating, Responding, and Long-Term Goals*, *ibidem*.

[5] Dolto: *Une vie pour l'enfance*, *Télérama hors série*, 2008.

[6] Dolto postanowiła zrobić karierę zawodową, kiedy zobaczyła, jak niegdyś zamożne kobiety z sąsiedztwa przychodziły po prośbie do jej szkoły, ponieważ straciły mężów podczas pierwszej wojny światowej. „Zobaczyłam bezradność burżuazyjnych wdów, które nie zdobyły żadnego zawodu” – wyjaśniła.

[7] Françoise Dolto, *Lettres de jeunesse: Correspondance 1913–1938*, Gallimard, Paryż 2003.

[8] Wspomnienia psychologa Alaina Vaniera, zacytowane w *Dolto: Une vie pour l'enfance*, *Télérama hors série*, 2008.

[9] Chodzi o Muriel Djéribi-Valentin, z którą Jacqueline Sellem przeprowadziła wywiad zatytułowany *Françoise Dolto: an analyst who listened to children*, opublikowany w angielskiej edycji „L'Humanité”, a przełożony przez Kierana O'Mearę, <http://www.humaniteinenglish.com/article1071.html>.

[10] Marie-Anne Suizzo pisze, że 86 procent badanych przez nią paryskich matek „bezpośrednio potwierdziło, że mówią do niemowląt, aby się z nimi porozumieć”. Anne-Marie Suizzo, *Mother-Child Relationship in France: Balancing Autonomy and Affiliation in Everyday Interactions*, „Ethos” 2004, nr 32 (3), s. 292–323.

[11] Paul Bloom, *Moral Life of Babies*, „New York Times Magazine” 2010, 3 maja.

[12] Alison Gopnik napisała, iż te badania „zademonstrowały, że niemowlęta i bardzo małe dzieci wiedzą, obserwują, eksplorują, wyobrażają sobie i uczą się znacznie więcej, niż kiedykolwiek wydawało nam się możliwe”. Gopnik jest psycholożką z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley i autorką *The Philosophical Baby*.

Rozdział 6. Żłobek?

[1] Abby J. Cohen, *A Brief History of Federal Financing for Child Care in the United States*,

[2] Z czasem przedszkola włączono do amerykańskiego systemu szkół publicznych, ale żłobki pozostały prywatne. Rodzice z klasy średniej i eksperci uważają, że najmłodszymi dziećmi powinny się opiekować matki, a państwo nie powinno ingerować na tym etapie rodzinnego życia z wyjątkiem sytuacji, gdy „rodzina – lub cały kraj – znajdzie się w kryzysie” – napisała Abby Cohen.

Jednym z takich kryzysów był Wielki Kryzys. Do 1933 r. rząd amerykański otwierał dodatkowe żłobki, działanie to miało jednak na celu jedynie stworzenie nowych miejsc pracy. Cohen cytuje pochodzący z 1930 r. raport działającej pod skrzydłami Białego Domu Conference on Children: „Nikt nie powinien dojść do wniosku, że Wujek Sam będzie kołysał dzieci do snu”. Większość tych placówek została zamknięta, gdy tylko minął najgorszy okres kryzysu.

Kiedy Stany Zjednoczone włączyły się w drugą wojnę światową, nastąpił kolejny kryzys w opiece nad dziećmi: kto zajmie się maluchami Rózi Nitowaczki? W latach 1942–1946 rząd federalny tworzył żłobki dla dzieci, których matki pracowały w przemyśle zbrojeniowym. Większość tych placówek mieściła się w Kalifornii, gdzie działały fabryki produkujące na potrzeby militarne. Początkowo opłata za korzystanie z takiego żłobka wynosiła zaledwie 50 centów dziennie.

Po zakończeniu wojny rząd ogłosił, że zamierza zamknąć te żłobki, by matki mogły wrócić do zajmowania się domem. Niektóre kobiety protestowały. Pierwsza dama Eleanor Roosevelt pisała: „Wielu sądzi, że żłobki te były tylko rozwiązaniem awaryjnym na czas wojny. Nieliczni z nas przeczuwają, że być może odpowiadały one na stale istniejące zapotrzebowanie, które w przeszłości lekceważyliśmy”. Niektóre placówki były finansowane jeszcze przez kilka lat, większość jednak została zamknięta.

Nowy impuls dla rządu Stanów Zjednoczonych, by dofinansowywać żłobki – albo nawet zapewnić dzieciom darmową opiekę – zrodził się w latach sześćdziesiątych. Została wtedy opublikowana seria badań dowodzących, że wykształcające się między małymi dziećmi nierówności nie znikają wraz z wiekiem. Utworzono program Head Start, który się miał zająć finansowaniem przedszkoli dla najuboższych dzieci w wieku od trzech do pięciu lat.

Oczywiście matki z klasy średniej także chciały, by ich dzieci skorzystały na wczesnej edukacji, a ponieważ coraz więcej kobiet podejmowało pracę, problem opieki nad dziećmi narastał. W 1971 r. Kongres uchwalił Comprehensive Child Development Act. Jego celem była profesjonalizacja opieki nad dziećmi, budowa wielu nowych placówek i zapewnienie dostępnego finansowo, wykwalifikowanego personelu. Prezydent Nixon zawetował tę ustawę, argumentując (uzasadnienie pisał jego doradca Pat Buchanan), że faworyzuje ona „komunalne podejście do wychowywania dzieci, zastępujące podejście koncentrujące się na rodzinie”. Uzasadnienie błyskotliwie wykorzystywało lęki związane z zimną wojną i komunizmem, bazując przy tym na zakorzenionym poglądzie, że matki same powinny opiekować się dziećmi.

W latach osiemdziesiątych wątpliwości dotyczące żłobków przybrały nową formę – obawy przed domniemanymi pedofilskimi siatkami wokół prywatnych i społecznych ośrodków. W serii nagłaśnianych procesów właściciele i pracownicy takich placówek byli oskarżani o pedofilię, a czasem nawet o oddawanie czci diabłu i wędrówki po podziemnych labiryntach. Wiele z tych oskarżeń okazało się nonsensownych, a kluczowe dowody podważano, ponieważ opierały się na zeznaniach dzieci składanych pod naciskiem nadgorliwych prokuratorów. Dziennikarka Margaret Talbot napisała, że nawet najbardziej absurdalne zarzuty we wczesnych latach osiemdziesiątych wydawały się wiarygodne, ponieważ Amerykanie nerwowo przyjmowali fakt podejmowania pracy przez matki małych dzieci. „Zupełnie jakby przynosiło jakąś mroczną, autodestrukcyjną ulgę zamienienie drobnych codziennych obaw o jakość opieki nad naszymi dziećmi na najgorszy

z naszych lęków: historię o potworach zamiast o ludziach, którzy być może nie zawsze zajmowali się dziećmi tak, jak byśmy tego chcieli; na los tak przerażający i niespotykany, że nikt z rodziców, nawet najczujniejszych, nie byłby w stanie mu zapobiec”.

[3] Zgodnie z badaniami Pew Research Center w 2003 r. 72 procent Amerykanów zgodziło się ze stwierdzeniem: „Obecnie zbyt wiele dzieci znajduje się pod opieką żłobków i przedszkoli”, w porównaniu z 68 procentami w 1987 r.

[4] W latach osiemdziesiątych, podczas serii procesów o molestowanie seksualne w niektórych żłobkach i przedszkolach, House Subcommittee on Military Personnel and Compensation przeprowadził kontrolę w celu zbadania całego systemu. Wskazano te same problemy, co w przypadku placówek prywatnych: wysoka rotacja personelu, niskie płace, a czasem fikcyjne kontrole (zgodnie z informacjami podanymi przez Gail L. Zellman i Anne Johansen w *Examining the Implementation and Outcomes of the Military Child Care Act of 1989*). To skłoniło Kongres do uchwalenia w 1989 r. ustawy Military Child Care Act, regulującej dokładnie te kwestie, o których rozwiązanie zabiegali amerykańscy zwolennicy żłobków: specjalistyczne kursy dla personelu, nadzór ekspercki nad każdą placówką i niezapowiedziane kontrole cztery razy do roku.

[5] Raport sporządzony w 2009 r. przez paryski ratusz poucza, że opiekunki nie powinny wyrażać się źle o rodzicach, pochodzeniu lub wyglądzie dziecka, nawet jeśli mają do czynienia z niemowlakiem i zwracają się do osoby trzeciej. „Ukryty przekaz w tego rodzaju stwierdzeniach jest zawsze intuicyjnie odbierany przez dzieci. Im są młodsze, tym lepiej rozumieją, co kryje się za słowami” – podsumowywał raport.

[6] *Starting Strong II: Early Childhood Education and Care*, OECD 2006.

[7] National Institute of Child Health & Human Development (NICHD), *Study of Early Child Care and Youth Development*.

[8] Jay Belsky, *Effects of Child Care on Child Development: Give Parents Real Choice*, marzec 2009. Referat wygłoszony na Konferencji Europejskich Ministrów ds. Rodziny, Praga, luty 2009.

Rozdział 7. *Bébé au lait*

[1] *France Country Highlights, Doing Better for Children*, OECD 2009.

[2] WHO Global Data Bank on Infant and Young Child Feeding, 2007–2008.

[3] „Im uważniej i częściej obserwujesz siebie, tym lepiej się kontrolujesz” – napisali Roy F. Baumeister i John Tierney w *Willpower: Rediscovering the Greatest Human Strength*, The Penguin Press, Nowy Jork 2011.

[4] *ibidem*.

[5] W badaniu z 2004 r. poproszono francuskie i amerykańskie matki o oszacowanie istotności stwierdzenia „Zawsze przedkładać potrzeby dziecka ponad własne”. Amerykańskie matki oceniły jego ważność na 2,89, podczas gdy francuskie – na 1,26 w skali od 1 do 5. Marie-Anne Suizzo,

French and American Mothers' Childrearing Beliefs: Stimulating, Responding, and Long-Term Goals, *ibidem*.

[6] Violane Belle-Croix, *Géraldine Pailhas, des visages, des figures*, „Milk Magazine” 2010, 13 września.

[7] „Francuzki wiedzą, że wewnętrzne życie jest bardzo sexy. Musi ono być pielęgnowane, podtrzymywane i rozwijane...” – napisała Debra Ollivier w *What French Women Know: About Love, Sex and Other Matters of the Heart and Mind*, G.P. Putnam's Sons, Nowy Jork 2009.

Rozdział 8. Doskonała matka nie istnieje

[1] Z powodu wyżu demograficznego i deficytu miejsc w żłobkach rząd francuski płaci niektórym matkom około 500 euro miesięcznie, żeby opiekowały się dziećmi do czasu, aż najmłodsze z nich skończy trzy lata. W ciągu pierwszych trzech lat matki mają także prawo do pracy na część etatu.

[2] Amerykańskie matki uważają opiekę nad dziećmi za dwa razy bardziej przykry obowiązek niż matki francuskie. Alan B. Krueger, Daniel Kahneman, Claude Fishler, David Schkade, Norbert Schwarz i Arthur A. Stone, *Time Use and Subjective Well-Being in France and the U.S.*, „Social Indicators Research” 2009, nr 93, s. 7–18.

[3] Anette Lareau, *Unequal Childhoods: Class, Race and Family Life*, University of California Press, Berkeley 2003.

[4] Anette Lareau napisała, że większość obserwowanych przez nią rodzin z klasy średniej była nieustannie zajęta. Rodzice pracowali na pełny etat, a potem jeździli po zakupy, gotowali, nadzorowali kąpiele i odrabianie lekcji oraz wozili dzieci na zajęcia dodatkowe. Anette Lareau, *Unequal Childhoods: Class, Race and Family Life*, „Questions & Answers”, http://sociology.sas.upenn.edu/sites/sociology.sas.upenn.edu/files/Lareau_Questions&Answers.pdf.

[5] Elisabeth Guédel Treussard, *Pourquoi les mères françaises sont supérieures*, „French Morning” 2011, 24 stycznia.

[6] Robert Pear, *Married and Single Parents Spending More Time with Children, Study Finds*, „New York Times” 2006, 17 października.

Rozdział 9. Caca boudin

[1] *The Basic Economic Security Tables for the United States 2010*, opublikowane przez Wider Opportunities for Woman, 2010, <http://www.wowonline.org/documents/BESTIndexforTheUnitedStates2010.pdf>.

[2] Debra Ollivier, *What French Women Know: About Love, Sex and Other Matters of the Heart and Mind*, *ibidem*.

Rozdział 11. Uwielbiam tę bagietkę

[1] Jean M. Twenge, W. Keith Campbell i Craig A. Foster, *Parenthood and Marital Satisfaction*:

A Meta-Analytic Review, „Journal of Marriage and Family” 2003, nr 65 (3), sierpień, s. 574–583.

[2] W znanym badaniu z 2004 r. pracujące matki z Teksasu stwierdziły, że opieka nad dziećmi jest jednym z najbardziej przykrych codziennych obowiązków. Wolały wykonywać prace domowe. Daniel Kahneman i in., *A Survey Method for Characterizing Daily Life Experience: The Day Reconstruction Method*, „Science” 2004, 3 grudnia.

[3] Jean M. Twenge i in., *Parenthood and Marital Satisfaction: A Meta-Analytic Review*, *ibidem*.

[4] Vera Dyck i Kerry Daly, *Rising to the Challenge: Fathers’ Role in Negotiation of Couple Time*, *ibidem*.

[5] W zbiorczym indeksie Global Gender Gap Index z 2010 r., przygotowanym przez Światowe Forum Ekonomiczne, Stany Zjednoczone znalazły się na 19. miejscu, a Francja na 46.

[6] Według danych Institute National de la statistique et des études économiques (INSEE).

[7] Według danych U.S. Bureau of Labor Statistics, wiadomość z 22 czerwca 2010, *American Time Use Survey – 2009 Results*, http://www.bls.gov/news.release/archives/atus_06222010.pdf.

[8] W badaniu z 2008 r. 49 procent pracujących amerykańskich mężczyzn stwierdziło, że uczestniczą w opiece nad dziećmi w takim samym lub w większym stopniu niż ich partnerka. Pogląd ten podzielało jednak zaledwie 31 procent kobiet. Ellen Galinsky, Kerstin Aumann i James T. Bond, *Times Are Changing: Gender and Generation at Work and at Home*, raport, Families and Work Institute, Nowy Jork 2009.

[9] Alan B. Krueger i in., *Time Use and Subjective Well-Being in France and the U.S.*, *ibidem*. Francuzki spędzają o 15 procent mniej czasu na pracach domowych niż Amerykanki.

[10] *ibidem*.

[11] Denise Bauer, *Études et Résultats, Le temps des parents après une naissance*, „Direction de la recherche, des études, de l’évaluation et des statistiques (DREES)” 2006, kwiecień, <http://www.sante.gouv.fr/IMG/pdf/er737.pdf>.

Rozdział 12. Musisz spróbować

[1] Nathalie Guignon, Marc Collet i Lucie Gonzalez, *La santé des enfants en grande section de maternelle en 2005–2006*, „Drees études et resultats” 2010, wrzesień.

[2] Center for Disease Control and Prevention, *Prevalence of Obesity Among Children and Adolescents: United States Trends 1963–1965 Through 2007–2008*.

[3] *France, Europe, the United States: What Eating Means to Us: Interview with Claude Fischler and Estelle Masson*, [online] www.lemangeur-ocha.com [dostęp: 16 stycznia 2008].

Rozdział 13. To ja decyduję

[1] W wywiadzie dla czasopisma „Enfant”, zatytułowanym *Comment réussir à se faire obéir?*, październik 2009, s. 78–82.

[2] Ankieta *Les Français et la fessée*, przeprowadzona przez agencję badania opinii publicznej TNS Sofres/Logica dla Dimanche Ouest France 11 listopada 2009.

[3] 55 procent respondentów stwierdziło również, że jest przeciwne dawaniu klapsów.

[4] Marcel Rufo, znany psychiatra dziecięcy z Marsylii, stwierdził: „Są dwa pokolenia rodziców (...) żyjący przeszłością, którzy dają klapsy, biją i mówią: «My nie mieliśmy z tego powodu traumy». A obok nich rodzice współcześni, którzy moim zdaniem są o wiele lepsi, ponieważ bardziej koncentrują się na zrozumieniu dziecka niż na zabranianiu mu wszystkiego. Rolą rodziców jest przekazanie dziecku ich spojrzenia na świat, objaśnianie mu rzeczywistości. Dziecko to akceptuje”, „Le Figaro Magazine” 2009, 20 listopada, <http://www.lefigaro.fr/2009/11/20/01016-20091120ARTFIG00670-deux-claques-pour-la-loi-antifessée-.php>.

Rozdział 14. Pozwól mu na własne życie

[1] Kiedy poproszono francuskie i amerykańskie matki o określenie wagi stwierdzenia „Nie można pozwolić dziecku na nadmierną zależność od matki”, Amerykanki oceniły je na 0,93 w skali od 0 do 5, natomiast Francuzki na 3,36. Marie-Anne Suizzo, *French and American Mothers' Childrearing Beliefs: Stimulating, Responding, and Long-Term Goals*, *ibidem*.

[2] Raymonde Carroll napisał w *Cultural Misunderstandings*, że rodzice amerykańscy „unikają jak tylko mogą krytykowania swoich dzieci, żartowania z ich gustu lub tłumaczenia im bezustannie, jak coś należy zrobić”.

[3] Uzyskanie szesnastu na dwadzieścia punktów jest „rzadkim i wyróżniającym się osiągnięciem” według raportu przygotowanego przez komisję egzaminacyjną Uniwersytetu w Cambridge dla uczelni brytyjskich. Informacje przytoczone za: *A Chorus of Disapproval*, „Economist” 2010, 30 września 2010, <http://www.economist.com/node/17155766>.

[4] Stwarza to problemy socjologom, którzy porównują życie w Stanach Zjednoczonych z życiem we Francji. „Amerykanie zazwyczaj opisują swój poziom zadowolenia z większą dozą empatii” – stwierdzają autorzy badania porównującego kobiety z Ohio i Rennes. Amerykanki częściej wybierały odpowiedzi skrajne: „bardzo zadowolona” lub „bardzo niezadowolona”, podczas gdy Francuzki raczej ich unikały. Naukowcy musieli skorygować wyniki, by to uwzględnić.

[5] Po Bronson i Ashley Merryman, *NurtureShock: New Thinking About Children*, Twelve, Nowy Jork 2009, *Rewolucja w wychowaniu*, Świat Książki, Warszawa 2011, <http://abcnews.go.com/GMA/Books/story?id=8433586&page=7>.

Przyszłość po francusku

[1] „Zdaniem Françoise Dolto zachcianka nie jest potrzebą i niekoniecznie musi zostać zaspokojona. Należy jej jednak wysłuchać i porozmawiać o niej z dzieckiem – na tym polega różnica” – pisała

Muriel Djéribi-Valentine w *Françoise Dolto: An Analyst Who Listen to Children*, w angielskiej edycji „L’Humanité”, *ibidem*.



ABC tajników francuskiego wychowania (najważniejsze terminy i pojęcia)

attends – czekaj, zatrzymaj się

Polecenie, które francuscy rodzice wydają dziecku. „Czekaj” sugeruje, że dziecko nie potrzebuje natychmiastowej nagrody i potrafi samo się czymś zająć.

au revoir – do widzenia

Francuskie dziecko musi to powiedzieć, kiedy żegna się z dorosłym. To jedno z czterech francuskich „magicznych słów” dla dzieci. Zob. [bonjour](#).

autonomie – autonomia

Mieszanka niezależności i samodzielności, którą francuscy rodzice od najwcześniejszych lat zaszczepiają swoim dzieciom.

bêtise – drobny akt nieposłuszeństwa

Zakwalifikowanie wykroczenia jako *bêtise* pozwala rodzicom na umiarkowaną reakcję.

bonjour – dzień dobry

Dziecko musi to powiedzieć, kiedy spotyka znajomego dorosłego.

caca boudin – dosłownie „kupoparówka”

Wulgaryzm używany wyłącznie przez francuskie przedszkolaki.

cadre – kadr, rama

Ideał francuskiego sposobu wychowywania dzieci: ustalenie sztywnych granic, w których obrębie zezwala się na ogromną swobodę.

caprice – kaprys

Impulsywny kaprys lub zachcianka dziecka, której często towarzyszą jęki i łzy. Francuscy rodzice uważają, że uleganie *caprice* jest szkodliwe.

classe verte – zielona szkoła

Doroczna wycieczka szkolna, podczas której dzieci spędzają około tygodnia w plenerze. Opiekunami są nauczyciel i kilkoro innych dorosłych.

colonie de vacances – kolonie

Jedna z setek propozycji grupowych wyjazdów wakacyjnych dla dzieci od lat czterech, które wyjeżdżają bez rodziców, zazwyczaj na wieś.

complicité – porozumienie

Wzajemne porozumienie, jakie francuscy rodzice i opiekunowie starają się nawiązać z dziećmi od chwili ich urodzenia. *Complicité* zakłada, że nawet malutkie dzieci są istotami racjonalnymi, z którymi dorośli mogą budować dwustronną relację opartą na szacunku.

crèche – całodzienny żłobek, dotowany i zarządzany przez państwo. Francuscy rodzice wolą żłobek od zatrudniania nianie lub prywatnej opieki nad dziećmi.

doucement – ostrożnie, delikatnie

Jedno ze słów, które rodzice i opiekunowie często mówią do małych dzieci, zakładając, że są one zdolne do kontrolowanego, przemyślanego zachowania.

doudou – obowiązkowy przedmiot służący pocieszaniu małych dzieci, zazwyczaj miękka pluszowa zabawka.

école maternelle – darmowe publiczne przedszkole

Dziecko zaczyna do niego uczęszczać we wrześniu roku, w którym kończy trzy lata.

éducation – wychowanie

Sposób, w jaki francuscy rodzice wychowują dzieci.

Enfant roi – dziecko-król

Dziecko wykazujące nadmierną postawę roszczeniową, znajdujące się stale w centrum uwagi rodziców i niepotrafiące radzić sobie z frustracją.

équilibre – równowaga

Niedopuszczanie do tego, żeby jakaś sfera życia – także rodzicielstwo – zdominowała pozostałe sfery.

éveillé/e – świadome, przebudzone, z otwartymi oczami

To jedno z idealnych zachowań francuskiego dziecka, drugim jest *sage*.

gourmand/e – ktoś, kto je za szybko, za dużo jednej potrawy lub za dużo wszystkiego

goûter – podwieczorek dla dzieci

Jedzony około wpół do piątej, *goûter* jest jedyną okazją do podjadania w ciągu dnia. Może także pełnić rolę czasownika w znaczeniu „jeść podwieczorek”.

les gros yeux – „wielkie oczy”

Wyraz dezaprobaty, z jaką francuscy dorośli patrzą na dzieci, żeby powstrzymać je przed *bêtise*.

maman-taxi – mama-taksówka

Kobieta spędzająca większość wolnego czasu na wożeniu dziecka na zajęcia dodatkowe. To nie jest *équilibre*.

n'importe quoi – wszystko jedno, nieważne

Dziecko, które zachowuje się w sposób *n'importe quoi*, nie zwraca uwagi na wytyczone granice lub na innych ludzi.

non – nie, absolutnie nie

profiter – cieszyć się chwilą i wykorzystywać ją

punir – karać

Zostać *puni*, ukaranym, to poważna i istotna sprawa

rapporter – donosić na kogoś, skarżyć

Francuskie dzieci i dorośli uważają, że donoszenie jest bardzo naganne.

sage – rozsądne i spokojne

W ten sposób opisuje się dziecko, które panuje nad sobą lub jest pochłonięte jakąś czynnością. Francuscy rodzice zamiast „bądź grzeczny” mówią „bądź *sage*”.

tétine – smoczek

Nierzadko widuje się smoczki w buziach francuskich trzy- i czterolatków.



Bibliografia

- ABCs of Parenting in Paris*, red. Emily James, wyd. 5, MESSAGE Mother Support Group, Paryż 2006, www.messageparis.org.
- Antier Edwige, *Plus on lève la main sur un enfant, plus il devient agressif*, „Le Parisien” 2009, 15 listopada.
- Auffret-Pericone Marie, *Comment réussir à se faire obéir?*, „Enfant” 2009, październik, s. 91–96.
- Badinter Elisabeth, *L'Amour en plus: Histoire de l'amour maternel*, Flammarion Lettres, Paryż 1980.
- Badinter Elisabeth, *Le Conflit: la femme et la mère*, Flammarion Lettres, Paryż 2010.
- Belsky Jay, *Effects of Child Care on Child Development: Give Parents Real Choice*, marzec 2009. Referat wygłoszony na Konferencji Europejskich Ministrów ds. Rodziny, Praga, luty 2009.
- Bennhold Katrin, *Where Having It All Doesn't Mean Having Equality*, „New York Times” 2010, 11 października.
- Bloom Paul, *Moral Life of Babies*, „New York Times Magazine” 2010, 3 maja, www.nytimes.com/2010/05/09/magazine/09babies-t.html?pagewanted=all.
- Bornstein Marc H., Catherine S. Tamis-LeMonda, Marie-Germaine Pecheux i Charles W. Rahn, *Mother and Infant Activity and Interaction in France and in the United States: A Comparative Study*, „International Journal of Behavioral Development” 1991, s. 21–43.
- Bronson Po, Ashley Merryman, *NurtureShock: New Thinking About Children*, Twelve, Nowy Jork 2009.
- Calhoun Ada, *The battle over 'cry it out' sleep Training*, 17 marca 2010, Salon.com.
- Carroll Raymonde, *Cultural Misunderstandings: The French-American Experience*, University of Chicago Press, Chicago 1990.
- CIA, *The World Factbook*, <https://www.cia.gov/library/publications/the-world-factbook>.
- Cimpian Andrei, Holly-Marie C. Arce, Ellen M. Markman, Carol S. Dweck, *Subtle Linguistic Cues Affect Children's Motivation*, „Association for Psychological Science” 2007, nr 18 (4).
- Cohen Abby J., *A Brief History of Federal Financing for Child Care in the United States*, „Portal The Future of Children: Financing Child Care” 1996, nr 6, s. 26–40.
- Cohen Michel, *The New Basics*, Harper Paperbacks, Nowy Jork 2004.
- Clerget Stéphanie i Danièle Laufer, *La mère parfaite, c'est vous*, Hachette Littératures, Paryż 2008.
- Dolto Françoise, *Les étapes majeures de l'enfance*, Gallimard, Paryż 1994.
- Dolto Françoise, *Lettres de jeunesse: Correspondance 1913–1938*, Gallimard, Paryż 2003.
- Dolto Françoise, Danielle Marie Lévy, *Parler juste aux enfants*, Gallimard, Paryż 2002.
- Delahaye Marie-Claude, *Livre de bord de la future maman*, Marabout, Paryż 2007.
- De Leersnyder Hélène, *L'enfant et son sommeil*, Robert Laffont, Paryż 1998.
- Direction de la recherche, des études, de l'évaluation et des statistiques (DREES), *Le temps des parents après une naissance*, kwiecień 2006.
- Dyck Vera, Kerry Daly, *Rising to the Challenge: Fathers' Role in the Negotiation of Couple Time*, „Leisure Studies” 2006, nr 25 (2), s. 201–217.
- Eisenberg Arlene, Heidi E. Murkoff, Sandee Hathaway Sandee, *What to Expect: The Toddler Years*, Simon and Schuster, Londyn 1996.
- Epstein Jean, *Parents, faites-vous confiance!*, wywiad, 7 października 2009, www.aufeminin.com.
- Franrenet Sandra, *Quelles punitions pour nos fripons?*, 28 lutego 2011, <http://madame.lefigaro.fr/societe/quelles-punitions-pour-nos-fripons-280211-13725>.
- Galinsky Ellen, Kerstin Aumann, James T. Bond, *Times Are Changing: Gender and Generation at Work and at Home*, raport, Families and Work Institute, Nowy Jork 2009.
- Gerkens Danièle, *Comment rendre son enfant heureux?*, wywiad z Aldo Naori, „Elle” 2010, 26 lutego.
- Girard Isabelle, *Pascal Bruckner at Laurence Ferrari: Le mariage? Un acte de bravoure*, „Le Figaro – Madame” 2010, 11 września.
- Guiliano Mireille, *French Women Don't Get Fat*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 2005.

- Hausmann Ricardo, Laura D. Tyson, Saadia Zahidi, *The Global Gender Gap Report 2010*, Światowe Forum Ekonomiczne, Genewa, Szwajcaria 2010.
- Hulbert Ann, *Raising America: Experts, Parents, and a Century of Advice About Children*, Vintage Books, Nowy Jork 2004.
- Institute National de la statistique et des études économiques (INSEE), *Évolution des temps sociaux au cours d'une journée moyenne*, 1986 i 1999, www.insee.fr/fr/themes/tableau.asp?ref_id=natccf05519.
- Kahneman Daniel i Alan B. Krueger, *Developments in the Measurement of Subjective Well-Being*, „Journal of Economic Perspectives” 2006, nr 20 (1), s. 3–24.
- Kamerman Sheila, *Early Childhood Education and Care: International Perspectives*, Oświadczenie przygotowane dla Senackiej Komisji Zdrowia, Edukacji, Pracy i Emerytur, Waszyngton, 27 marca 2001.
- Kamerman Sheila, *A Global History of Early Childhood Education and Care*, materiały UNESCO, 2006.
- Krueger Alan B., Daniel Kahneman, Claude Fischler, David Schkade, Norbert Schwarz, Arthur A. Stone, *Time Use and Subjective Well-Being in France and in the U.S.*, „Social Indicators Research” 2009, nr 93, s. 7–18.
- Lareau Annette, *Unequal Childhoods: Class, Race and Family Life*, University of California Press, Berkeley 2003.
- Lareau Annette, *Questions and Answers About Unequal Childhoods*, http://sociology.sas.upenn.edu/a_lareau2.
- Lemangeur-ocha.com, *France, Europe, the United States: What Eating Means to Us: Interview with Claude Fischler and Estelle Masson* [online], 16 stycznia 2008.
- Marbeau Jean-Baptiste Firmin, *The Crèche or a Way to Reduce Poverty by Increasing the Population*, tłum. Vanessa Nicolai, Montreal 1994 (oryginał, *Des crèches, ou Moyen de diminuer la misère en augmentant la population*, opublikowano w 1845 roku). PDF z przekładem udostępniony dzięki uprzejmości Larry'ego Prochnera z University of Alberta.
- Marcelli Daniel, *Il est permis d'obéir*, Albin Michel, Paryż 2009.
- Mairie de Paris, *Mission d'information et d'évaluation sur l'engagement de la collectivité parisienne auprès des familles en matière d'accueil des jeunes enfants de moins de trois ans*, 15 czerwca 2009.
- Measuring the Subjective Well-Being of Nations: National Accounts of Time Use and Well-Being*, red. Alan B. Krueger, University of Chicago Press, Chicago 2009.
- Melmed Matthew, Oświadczenie złożone w Komisji Edukacji i Pracy Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych, posiedzenie w sprawie wczesnej edukacji: zwiększenie szans sukcesu dziecka, Waszyngton, 23 stycznia 2008.
- Military.com, *Military Child Care*, www.military.com/benefits/resources/family-support/child-care.
- Mindell Jodi i in., *Behavioral Treatment of Bedtime Problems and Night Wakings in Young Children: AASM Standards of Practice*, „Sleep” 2006, nr 29, s. 1263–1276.
- Mischel Walter, *A History of Psychology in Autobiography*, red. G. Lindzey i W.M. Runyan, American Psychological Association, Waszyngton 2007.
- Mogel Wendy, *The Blessing of a Skinned Knee*, Scribner, Nowy Jork 2001.
- Murkoff Heidi, Sharon Mazel, Murkoff Heidi, Arlene Eisenberg i Sandee Eisenberg-Hathaway, *What to Expect When You're Expecting*, Workman, Nowy Jork 2002.
- National Institutes of Health, *Child Care Linked to Assertive, Noncompliant, and Aggressive Behaviors; Vast Majority of Children Within Normal Range*, 16 lipca 2003.
- Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD), *Éducation et Accueil des Jeunes Enfants*, maj 2003.
- Ollivier Debra, *What French Women Know: About Love, Sex, and Other Matters of the Heart and Mind*, G.P. Putnam's Sons, Nowy Jork 2009.
- Parker Kim, *The Harried Life of the Working Mother*, Pew Research Center, 1 października 2009, <http://pewresearch.org/pubs/1360/working-woman-conflicted-but-few-favor-return-to-traditional-roles>.
- Pernoud Laurence, *J'élève mon enfant*, Editions Horay, Paryż 2007.
- Pew Global Attitudes Project, *Men's Lives Often Seen as Better: Gender Equality Universally Embraced, but Inequalities Acknowledged*, 1 lipca 2010.
- Pinella Teresa, Leann L. Birch, *Help Me Make It Through the Night: Behavioral Entrainment of Breast-Fed Infants' Sleep Patterns*, „Pediatrics” 1993, nr 91 (2), s. 436–443.
- Prochner Larry, *The American Creche: 'Let's Do What the French Do, But Do It Our Way'*, „Contemporary Issues in Early Childhood” 2003, nr 4 (3), s. 267–285.

- Richardin Sophie, *Surfez sur les vagues du désir!*, „Neuf Mois” 2009, luty, s. 49–53.
- Rossant Lyonel, Jacqueline Rossant-Lumbroso, *Votre Enfant: Guide à l'usage des parents*, Robert Laffont, Paryż 2008.
- Rousseau Jean Jacques, *Émile, ou De l'éducation*, tłum. A. Bloom, Basic Books, Nowy Jork 1979.
- Sawica Leslie, oprac., *Le guide des nouvelles mamans*. Darmowa broszura wydana nakładem francuskiego Ministerstwa Zdrowia, 2009.
- Senior Jennifer, *All Joy and No Fun*, „New York” 2010, 12 lipca.
- Sethi Anita, Walter Mischel, J. Lawrence Aber, Yuichi Shoda, Monica Larrea-Rodriguez, *The Role of Strategic Attention Deployment in Development of Self-regulation: Predicting Preschoolers' Delay of Gratification from Mother-Toddler Interactions*, „Developmental Psychology” 2000, nr 36 (6) (listopad), s. 767–777.
- Skenazy Lenore, *Free-Range Kids*, Jossey-Bass, San Francisco 2009.
- Steingarten Jeffrey, *The Man Who Ate Everything*, Vintage Books, Nowy Jork 1997.
- Suizzo Marie-Anne, *French and American Mothers' Childrearing Beliefs: Stimulating, Responding and Long-Term Goals*, „Journal of Cross-Cultural Psychology” 2004, nr 35 (5) (wrzesień), s. 606–626.
- Suizzo Marie-Anne, *French Parents' Cultural Models and Childrearing Beliefs*, „International Journal of Behavioral Development” 2002, nr 26 (4), s. 297–307.
- Suizzo Marie-Anne, *Mother-Child Relationships in France: Balancing Autonomy and Affiliation in Everyday Interactions*, „Ethos” 2004, nr 32 (3), s. 292–323.
- Suizzo Marie-Anne, Marc H. Bornstein, *French and European American Child-Mother Play: Culture and Gender Considerations*, „International Journal of Behavioral Development” 2006, nr 30 (6), s. 498–508.
- Talbot Margaret, *The Devil in the Nursery*, „New York Times Magazine” 2001, 7 stycznia.
- Thirion Marie, Marie-Josèphe Challamel, *Le sommeil, le rêve et l'enfant: De la naissance à l'adolescence*, Albin Michel, Paryż 2002.
- Turkle Sherry, *Psychoanalytic Politics: Jacques Lacan and Freud's French Revolution*, The Guilford Press, Nowy Jork 1992.
- Turkle Sherry, *Tough Love*, Wstęp do: Françoise Dolto, *When the Parents Separate*, David R. Godine, Boston 1995.
- Twenge Jean M., W. Keith Campbell, Craig A. Foster, *Parenthood and Marital Satisfaction: A Meta-Analytic Review*, „Journal of Marriage and Family” 2003, nr 65 (3) (sierpień), s. 574–583.
- UNICEF, *Child Poverty in Perspective: An Overview of Childhood Well-being in Rich Countries*, Innocenti Report Card 7, 2007. UNICEF Innocenti Research Center, Florencja, Włochy.
- U.S. Bureau of Labor Statistics, *American Time-Use Survey Summary*, wyniki za rok 2009.
- Warner Judith, *Perfect Madness: Motherhood in the Age of Anxiety*, Riverhead Books, Nowy Jork 2005.
- Zellman Gail L., Anne Johansen, *Examining the Implementation and Outcomes of the Military Child Care Act of 1989*, sprawozdanie z badań, Rand Corporation, Santa Monica, Kalifornia 1998.
- Zigler Edward, Katherine Marsland, Heather Lord, *The Tragedy of Child Care in America*, Yale University Press, New Haven–Londyn 2009.

POLSKIE WYDANIA KSIĄŻEK CYTOWANYCH W W PARYŻU DZIECI NIE GRYMASZĄ

- Badinter Elisabeth, *Historia miłości macierzyńskiej*, tłum. Krzysztof Choiński, Warszawa 1998.
- Bronson Po, Ashley Merryman, *Rewolucja w wychowaniu*, Warszawa 2011.
- Delahaye Marie-Claude, *Gdy stajesz się mamą*, Warszawa 2012.
- Eisenberg Arlene, Heidi E. Murkoff, Sandee Hathaway Sandee, *Drugi i trzeci rok życia dziecka*, tłum. zbiorowe, Poznań 1997.
- Guiliano Mireille, *Francuzki nie tyją*, tłum. Danuta Górka, Warszawa 2005.
- Murkoff Heidi, Sharon Mazel, Murkoff Heidi, Arlene Eisenberg i Sandee Eisenberg-Hathaway, *W oczekiwaniu na dziecko*, tłum. zbiorowe, Poznań 1997.
- Pernoud Laurence, *Pielegnuję i wychowuję moje dziecko*, tłum. Aleksandra Mańka-Chmura, Katowice 1994.
- Rousseau Jean Jacques, *Emil, czyli o wychowaniu*, tłum. Wacław Husarski, Wrocław 1955.
- Skenazy Lenore, *Dzieci wolnego chowu*, tłum. Karolina Bojadziejewa-Wesołowska, Warszawa 2012.

Autorzy teorii wychowawczych wspomnianych w książce

Bronson Po

Bloom Paul, psycholog

Cohen Michel, dr

De Leersnyder Hélène, dr

Dolto Françoise

Epstein Jean, psychosocjolog

Ferber Richard, dr

Goutard Audrey, dziennikarka

James William, filozof i psycholog

Kamerman Sheila

Lareau Annette, socjolożka

Marcelli Daniel, psichiatra

Merryman Ashley

Mischel Walter, prof.

Mogel Wendy, psychologka

Pernoud Laurence

Piaget Jean, psycholog

Pleux Didier, psycholog

Rousseau Jean Jacques

Spock Benjamin, dr

Suizzo Marie-Anne, socjolożka

Thompson Caroline, psychologka rodzinna

Turkle Sherry, socjolożka

Warner Judith

Wierink Marie, socjolożka

Vaillant Maryse, psychologka i pisarka

